

Prolog

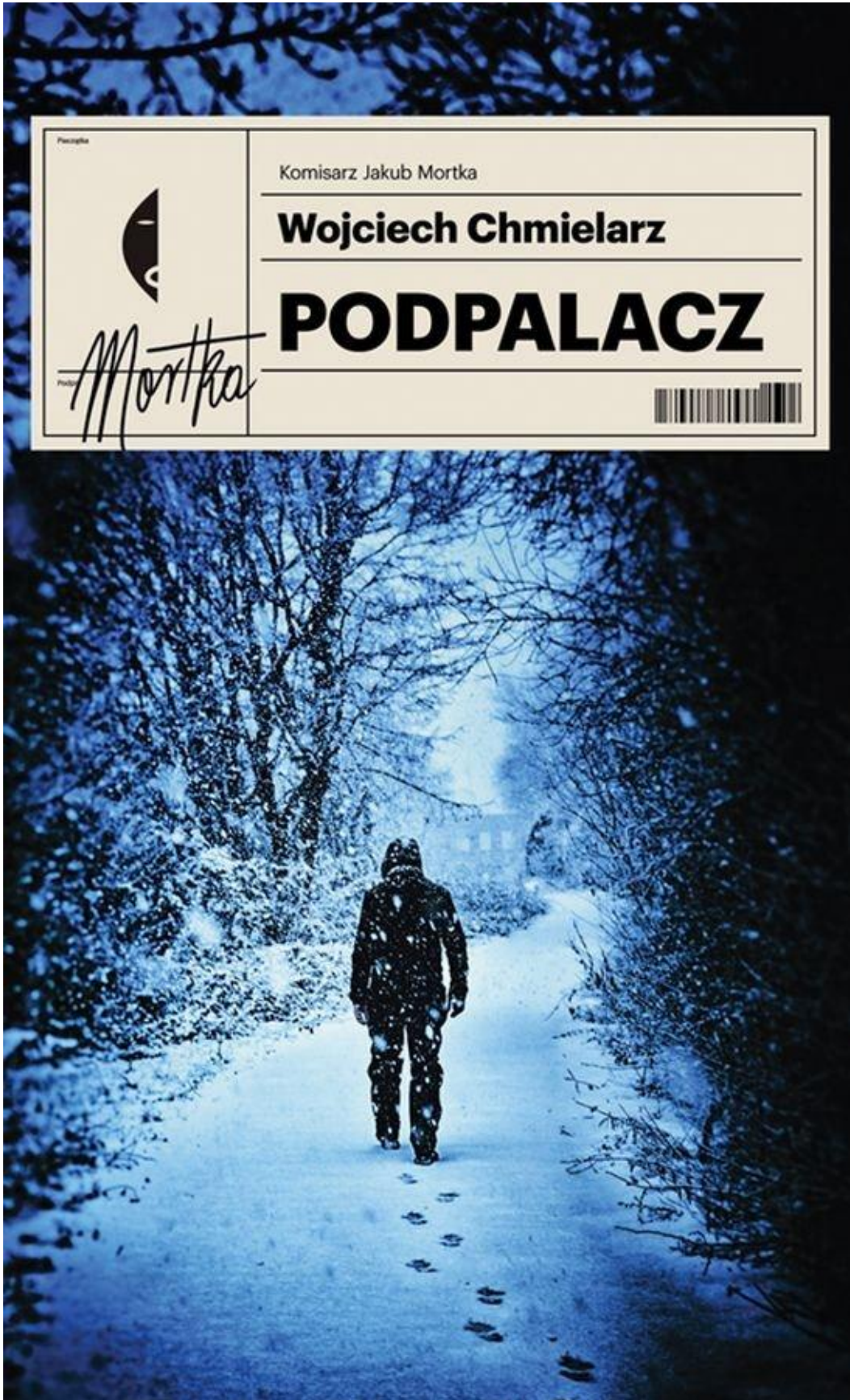


Mortka

Komisarz Jakub Mortka

Wojciech Chmielarz

PODPALACZ



Dla Dagi

*- Prawdę mówiąc, jestem okropnie nudny, pani Marcus.
Odebrać mi mój zawód i mnie nie ma.*

Prolog

W nocy temperatura w Warszawie spadła do minus dwudziestu stopni. Mężczyzna był z tego powodu zadowolony.

Gdyby było ciepiej, po ulicach snułyby się grupki młodzieży wracające z imprez, nocne marki, które akurat wyszły z psem na spacer, albo włóczędzy plądrujący śmietniki w poszukiwaniu aluminiowych skarbów. Ale w taki mróz nikt nie wystawiał nosa z domu.

Ludzie kryli się w ciepłych łóżkach pod kilkoma warstwami koców i pierzyn.

Zimno ułatwiało czuwanie, pobudzało umysł. Mężczyzna sprawdził ekwipunek: goreteksowe rękawiczki do wspinaczki, butelka z benzyną, latarka, nóż, zapalniczka oraz sucha szmatka - wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Raz jeszcze zerknął w tylne i boczne lusterko. Nikogo nie zauważył. Powtórzył w myślach plan i wysiadł z samochodu.

Uderzył w niego lodowaty podmuch wiatru. Skulił się i wsadził ręce do kieszeni.

Założył chustę na twarz i przebiegł kilka metrów. Po rozgrzewających się mięśniach rozeszło się przyjemne ciepło. Zawsze był dumny ze swojej muskulatury i sprawności fizycznej.

Wiedział, że na takim mrozie łatwo o kontuzję - naciągnięcie ścięgna, skręcenie kostki. To by wszystko skomplikowało. A on nie mógł sobie pozwolić na komplikację. Nie teraz.

Szybko wykonał cztery głębokie skłony, rozruszał ręce, stawy kolanowe oraz kostki.

Kilka razy zamachał szeroko ramionami do przodu i do tyłu, a w końcu na przemian. To musiało wystarczyć. Przebiegł truchtem kilkanaście metrów, a potem dwoma skokami pokonał najbliższy parkan i znalazł się na terenie posesji. Dopadł do ściany i schował się w cieniu.

Skupił się na tym, żeby uspokoić oddech, a jednocześnie nasłuchiwał, co się dzieje dokoła. W oddali zaszczekał pies, przecznicę obok przejechał samochód z uszkodzonym tłumikiem. Poza tym w okolicy panowała senna, mroźna cisza.

Uśmiechnął się sam do siebie i poprawił butelkę. Za pomocą krótkiego, mocnego sznurka przymocował ją do paska spodni i dla bezpieczeństwa schował w worku wypełnionym watą. W ten sposób nie była narażona na stłuczenie.

Raz jeszcze sprawdził, czy zawiązał dobry węzeł, i wziął dwa głębokie wdechy.

Przed sobą miał taras domu jednorodzinnego, na który wychodziło się przez duże, przeszklone drzwi - teraz chronione solidną, żeliwną kratą. Powyżej był balkon.

W salonie na parterze paliła się lampa. Nie przeszkadzało mu to specjalnie. Światło było zbyt słabe, żeby w jakikolwiek sposób zdradzić jego obecność, a tworzyło dodatkowe cienie, w których mógł się ukryć.

Drabinę ogrodową znalazł przy tylnej ścianie garażu. Wszedł na taras i rozłożył ją pod balkonem. Krew zaszumiała mu w głowie. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale zerknął

do wnętrza salonu. Właściciel domu był tam, gdzie być powinien - leżał kompletnie pijany na kanapie przy kominku. Mężczyzna dojrzał pustą butelkę wódki na stole tuż obok pełnej niedopałków popielniczki i dwóch puszek po piwie Lech. Smród tytoniowego dymu musiał być tam tak intensywny, że niemal czuł go na języku.

Wdrapał się na drabinę i wyciągnął ręce. Był wysoki, ale wciąż brakowało mu kilku centymetrów do balustrady balkonu. Wybił się więc ze szczebla, chwycił za metalowe pręty, a potem podciągnął w górę. Przeskoczył przez barierkę i przygnał do ściany.

Rozmasował biceps. Wszystko szło zgodnie z planem. Początkowe zdenerwowanie zniknęło, jakby nigdy go nie odczuwał. Piekły go lekko barki, ale to chyba nie było nic groźnego. Najwyżej następnego dnia będzie miał zakwasy, ale pozbędzie się ich kilkoma ćwiczeniami rozciągającymi, delikatnym masażem i kąpielą w ciepłej wodzie, w której rozpuści wcześniej jedną lub dwie tabletki aspiryny.

Wszedł na barierkę i chwycił się krawędzi dachu. To nie była najbezpieczniejsza droga.

Od frontu, przy bocznej ścianie nad garażem znajdowała się drabina dla kominiarzy, którą początkowo planował wykorzystać. Jednak jej wadą było to, że miejsce doskonale oświetlały uliczne latarnie. Mężczyzna nie chciał ryzykować wpadki.

Wszedł na górę. Musiał bardzo uważać, bo lekko spadzisty dach pokrywała warstwa śniegu i nieregularne płaszczyzny grubego lodu. Ostrożnie, niemal na czworakach wdrapał się pod komin. Tam pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Jak każdy doświadczony sportowiec oddychał nie ustami, ale przez nos, żeby powietrze ogrzało się, zanim dotrze do płuc.

Jego puls powoli wracał do normy. Mróz delikatnie szczypał w policzki, ale pod grubą warstwą ubrań lepił się od potu. Przez chwilę zastanawiał się, czy dla ochłody nie ściągnąć czapki, bał się jednak przeziębienia.

Wejście na teren posesji oraz wspinaczka wbrew pozorom stanowiły najłatwiejszą część zadania. Teraz czekało go prawdziwe wyzwanie. Mimo to czuł się fantastycznie - pełen mocy i siły. Była godzina druga w nocy z piątku na sobotę. Wszyscy wokoło spali. Mógł być na każdym dachu każdego domu, a ich właściciele, niby bezpieczni we własnych czterech ścianach, nawet by o tym nie wiedzieli. Obudziłyby ich dopiero płomienie. A wtedy byłoby już przecież za późno.

Za pomocą noża wyważył osłonę otworu wlotowego do komina. Potem wyciągnął z worka półlitrową butelkę po wódce Absolut, w której znajdowała się mieszanina benzyny i oleju silnikowego. Następnie przykleił do niej papierową paczuszkę z chloranem potasu zmieszany z cukrem pudrem.

Wstał. Z kieszeni kurtki na piersi wyjął latarkę i zajrzał do komina. Nie zauważył niczego, co mogłoby utrudniać wykonanie zadania. Ostrożnie wsadził do otworu kominowego butelkę. Nie chciał, żeby się rozbiła, uderzając o ściany. Miała spaść wprost do kominka.

Wstrzymał oddech i puścił szklaną szyjkę.

Butelka poleciała pionowo w dół do wygaszonego paleniska jak bomba lotnicza. Szkło pękło. Pod wpływem uderzenia wybuchł schowany w papierowej paczce chloran potasu, to zaś spowodowało eksplozję mieszaniny benzyny z olejem silnikowym. Chmura ognia wbiła się we wnętrze pokoju.

Mężczyzna zjechał na dół po dachu i zeskoczył na balkon. Przyłgnął do ściany.

Odetchnął, a potem podszedł do barierki, zsunął się z niej i wylądował na tarasie. Zerknął do wnętrza salonu i przez żeliwne kraty zobaczył, jak płomienie ogarniają dywan, obrazy na ścianach i suszone kwiaty wazonie. Właściciel domu wciąż spał pijany na kanapie.

Podpalacz rzucił się do ucieczki. Pośpiesznie przeskoczył parkan i znalazł się na ulicy.

Po pokonaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymał się i odwrócił. Ogień wybił szyby w willi, pomarańczowoczerwona łuna unosiła się wzdłuż ścian, a pod dach wzbijały się słupy białoszarego dymu.

Był szczęśliwy. Wiedział, że okoliczni mieszkańcy dopiero się budzą. Minie chwila, zanim ktoś zadzwoni po straż pożarną. Nikt go nie zauważy, nikt nie zwróci na niego uwagi.

Ta myśl go uspokoiła. Pozwolił sobie na to, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na wywołany przez siebie pożar.

Miał erekcję.

Policzył do dziesięciu, a później wszedł do auta i ruszył wąskimi, osiedlowymi uliczkami w stronę centrum. Po niecałych czterech minutach wjechał na Puławską, jedną z ruchliwszych szos w Warszawie, która nawet o trzeciej w nocy była pełna samochodów, i zniknął w sznurze pojazdów.

Światło reflektora przypominało srebrne ostrze. Pojedyncza gwiazda w mroku, w którym kryły się tysiące wpatrzonych w nią osób. Oślepiąca, musiała zmrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. To była jej noc, jej chwila. Teraz miało się wszystko rozstrzygnąć.

Promień lampy lizał jej skórę, aż piekło. Kropla potu spłynęła po nagich plecach wzdłuż kręgosłupa i zatrzymała się dopiero w miejscu, w którym zaczynają się pośladki.

Dziewczyna zastygła w wyuczonyj pozie.

Żeby dostać się w to miejsce, przeszła długą drogę. Pochodziła z małej wsi pod Oławą, gdzie mieszkali smutni ludzie o zmęczonych twarzach, a jej rówieśnicy monotonicznie odliczali czas od jednej soboty do drugiej, dla rozrywki upijając się i rozbijając kolejne maluchy kupowane od okolicznych gospodarzy. Widziała ich wszystkich nawet teraz, kiedy tylko przymykała powieki - skulonych pod kurtkami i bluzami, siedzących na przystanku, tonących w pustych butelkach i puszkach po piwie.

Jeśli się jej nie uda, będzie musiała tam wrócić. Najpierw ją pocieszą, ale w duchu będą się śmiać na myśl, że i ona poległa w starciu z wielkim światem. Nawet gdyby odtąd nabrała pokory i zachowywała się skromnie, to i tak wkrótce znowu zaczynają szeptać za jej plecami, że zadziera nosa i że w głowie się jej przewracało, bo raz w życiu pojechała do Warszawy na jakiś tam konkurs. I prędzej czy później, może za przystankiem, może w ubikacji pobliskiej dyskoteki, klęknie przed jakimś chłopakiem, zwilży językiem suche wargi i weźmie jego lekko słonego, niemytego, śmierdzącego moczem penisa do ust. A potem wszystko potoczy się już samo: znajdzie w ciąży, weźmie szybki ślub i zamieszka w pokoju u teściów, gnieźdząc się tam z dzieckiem i mając do końca życia na głowie męża pijaka, który będzie rzadko pojawiać się w domu, a jeśli już wróci wstawiony, to nazwie ją kurwą, uderzy otwartą dłoń w twarz i poprawi kopniakiem.

Nie chciała takiego życia. I dlatego stała teraz w świetle reflektorów ubrana w skąpy kostium kąpielowy i modliła się do Boga, żeby dał jej szansę na coś więcej.

- Miss Polonia 2010 zostaje...

Konferansjer zawiesił głos, a ona umiera ze zdenerwowania.

- Klaudia Kameron!

W pierwszym momencie nie może uwierzyć, ale prowadzący powtarza jej nazwisko i wreszcie dociera do niej, że to prawda. Sen się ziszczył. Źrenice rozszerzają się gwałtownie, a w żyłach zdaje się krążyć czyste szczęście. Chciałaby skakać z radości, wyciągnąć triumfalnie ręce w górę lub po prostu paść na kolana i dziękować Bogu. Ale nie może. Przeszkolili ją, jak się ma zachować, kiedy nastąpi ta chwila. Dlatego uśmiecha się odrobinę szerzej niż zwykle i macha dłońmi do rozentuzjowanego tłumu, który wyje w ciemności.

Wszystkie reflektory wybuchają światłem i kierują się na nią. Jest przerażona. Pot spływa już nie tylko po jej plecach, ale także po biuście, brzuchu, pachwinach, głowie, na którą ktoś założył niepostrzeżenie ciężką, rozgrzaną koronę.

To piecze, to piecze! - chce krzyknąć, ale wie, że nie może. Dalej macha radośnie dłońmi. Zgaście reflektory - błaga w myślach. Dzieje się coś złego. To nie powinno tak wyglądać.

Promienie lamp nadal parzą jej ciało.

Otworzyła oczy i podniosła się gwałtownie, uderzając głową o coś miękkiego.

Oddychała ciężko. To był sen - uświadomiła sobie. Tylko sen.

Ta myśl nie przyniosła ulgi. Zamiast tego poczuła ukłucie strachu. W pierwszej chwili nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Dotarło to do niej w ułamku sekundy.

Zasnęła. Zasnęła albo zemdląca. To zresztą nie miało znaczenia. Przymknęła powieki, próbując zrekonstruować wydarzenia ostatnich kilku godzin. Najpierw powrót męża. Potem kłótnia o spa, która przerodziła się w dziką awanturę. Uderzył ją. Raz. Drugi. Chciała uciekać z

domu, ale zagroził jej drogę. Pobiegła na górę do sypialni i schowała się w garderobie.

Zapomniała jednak, że klucz do niej tkwił w drzwiach od zewnętrznej strony. Zanim zdążyła coś zrobić, usłyszała cichy, pełen złościwości rechot i odgłos przesuwającej się zasuw.

Zamknął ją. Kiedy to się wydarzyło? Ile godzin temu? Nie potrafiła określić. Z trudem oddychała. Pot zalewał jej oczy. Kolejny obraz. Dym, ciepło, trzask pękającego od uderzeń gorąca drewna. Pożar. W domu szaleje pożar!

Rzuciła się do drzwi. Napała na nie barkiem, ale nawet nie drgnęły. Mimo kłębow dymu, próbowała myśleć jasno. Przychodziło to z trudem. Jakby ktoś uwięził jej mózg w żelaznych kajdanach.

Łyżka do butów!

Schyliła się i znalazła ją na podłodze niedaleko drzwi. Metal był ciepły i śliski.

Palcami wymacała w drzwiach miejsce, w którym znajdował się zamek, a tuż obok wydrążony otwór - na tyle duży, że wyczuła mechanizm zasuw. Musiała pracować nad nim od dłuższego czasu, chociaż niewiele z tego pamiętała.

Zakręciło się jej w głowie. Z trudem łapała każdy kolejny oddech. W pomieszczeniu było coraz mniej tlenu, a coraz więcej dwutlenku węgla. Zrozumiała, że zapewne szybciej się uduśi, niż dotrą do niej płomienie.

Wrzasnęła w ciemność, a po policzkach spłynęły jej łzy. Skup się, skup! - krzyczała do siebie w myślach, jednocześnie uderzając łyżką o drzwi. Nie pomagało.

Drzwi były grube, solidne i mocne. Może udałoby się wcześniej, kiedy miała więcej sił, ale nie teraz, kiedy ociążała ramiona z trudem wykonywały najmniejszy ruch.

Wbiła łyżkę do butów w dziurę pomiędzy framugą a zamkiem i spróbowała użyć jej jako łomu. Łyżka tylko się zgięła pod ciężarem ciała, a kobieta uderzyła twarzą o drzwi i padła na kolana.

Na dole było jakby cieplej. I bardziej duszno. Śmierdziało spalenizną. Ale poczuła się tu przyjemnie. Jej powieki opadły same - jak ciężkie, aksamitne kurtyny.

Wzdrygnęła się.

Czy usnęła? Ile czasu mogła stracić?

Z jednej strony zdawało się jej, że to, co robi, jest beznadziejnym marnowaniem ostatnich chwil życia na udawanie, że ma jeszcze jakąś szansę na ratunek. Powinna przestać się bać, zamknąć oczy i po prostu czekać, aż zaśnie po raz ostatni. Tak by było łatwiej. Ale z drugiej strony w głowie wciąż słyszała głos, który zawsze dodawał jej nadziei, tak jak wtedy, gdy kilka lat temu wcale nie udało się jej wygrać konkursu Miss Polonia, ale mimo to nie wróciła do rodzinnej wsi, by pograć się w rozpacz; głos, który mówił, że Klaudia Klau może w życiu upadać, ale zawsze się podnosi. Teraz też się podniesie i nie umrze w tej garderobie, uwędzona trującym dymem.

Przejechała językiem po suchym podniebieniu.

Już wiedziała, co ma zrobić. Zrzuciła odzież i upchnęła ją stopą w szparze między drzwiami a podłogą, żeby odciąć dopływ dymu. Oceniała, że to powinno dać jej kilkadziesiąt sekund. Potem chwyciła za drążek, na którym wisały ubrania. Szarpnęła raz i drugi. Uwiesiła się na nim. Poczowała, że śruby pękają, a ona sama spada na dół. Wyrwała ze ściany jedną końcówkę.

Odetchnęła, żeby nabrać siły.

Złapała mocno pręt i szarpnęła jeszcze raz. Wyrwała drugą końcówkę. Obróciła drążek w rękach i wbiła go w dziurę obok zamka. Napała. Tym razem ramię dźwigni było dłuższe, a łom wykonany z mocnej stali. Drzwi zatrzeszczały i lekko się wygięły, ale zaraz wróciły do pierwotnej pozycji. Zacisnęła zęby i resztkami sił napała ponownie. Zamek puścił z trzaskiem. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a ona straciła równowagę i poleciała przed siebie.

Wpadła prosto do piekła.

Poczuła pieczenie - tysiące małych, rozgrzanych do czerwoności węgielków wbijających się w jej skórę, policzki, usta, gardło, płuca. Zapach spalonego mięsa i smród zwijających się pod wpływem temperatury w czarne strzępy włosów. Chciała uciec z powrotem do szafy, odgrodzić się od ognia drzwiami i umrzeć w ciszy i błogości od dwutlenku węgla.

Wrzeszczała i płakała.

Sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Płomienie były tak mocne i wysokie, że ucieczka przez drzwi wejściowe w ogóle nie wchodziła w rachubę. Umarłaby, nim przekroczyłaby próg pokoju.

Wstała i zasłoniła twarz ramieniem. Na niewiele to się zdało. Żar i tak ranił jej oczy, powieki, drażnił czoło i podbródek.

Podbiegła do popękanych okien. Otworzyła je i chwyciła za kraty. Szarpnęła.

Zamknięte. Klucz! Musiał gdzieś tu być. Gdzieś blisko. Zawsze tu był. Zaczęła przeszukiwać na oślep parapet, aż natrafiła na niewielki pęk. Parzył jej dłonie i wbijał się w ciało, jakby było z masła. Wybrała jeden z kluczy i wsadziła w zamek kłódki. Miała szczęście, bo od razu trafiła na właściwy. Wyszarpnęła kłódkę i otworzyła szeroko kratę.

Jej ciało wiło się, kurczyło i skręcało. Próbowwała wejść na parapet, ale nie miała siły.

Zamiast tego po prostu się na nim położyła, a potem przeczołgała na zewnątrz. W pewnym momencie straciła podparcie i bezwładnie spadła.

Lodowata ziemia była dla niej miękka jak poduszka. Z ulgą zapadła w ciemność.

Straż pożarna przyjechała na miejsce po około siedmiu minutach od momentu otrzymania zgłoszenia. Cały dom stał już wtedy w płomieniach.

Rozdział 1

Komisarz Jakub Mortka wypił ostatni łyk kawy z kubka termoizolacyjnego. Napój przyjemnie go rozgrzał i rozbudził. Przyjrzał się sobie w tylnym lusterku. Wyglądał okropnie.

Nieogolony, z podkrążonymi oczami i szarą, ziemistą cerą wydawał się przynajmniej pięć lat starszy, niż był w rzeczywistości.

Dariusz Kochan zapukał w szybę dziesięcioletniej toyoty corolli. Mortka westchnął, odłożył kubek i otworzył drzwi. Temperatura na dworze wzrosła, tak w każdym razie mówili w radiu, ale komisarz odniósł wrażenie, że zamiast minus piętnastu stopni jest co najmniej minus trzydzieści. Zerknął pytająco na podkomisarza. Wciąż miał jeszcze nadzieję, że nie będzie musiał wychodzić z ciepłego wnętrza samochodu.

- I co tam?

- Niedobrze. Wyskakuj z wozu.

- Co to znaczy niedobrze?

Kochan wykrzywił usta zirytowany.

- Niedobrze to znaczy trup i mocno uszkodzona panienska. Wystarczająco niedobrze, żebyś ruszył tyłek, panie komisarzu?

- Wystarczająco - odpowiedział ze złością Mortka.

Wysiadł z auta i wsadził dłonie w kieszenie spodni. Stał przed spaloną willą przy ulicy Kanarkowej na południu Warszawy, na osiedlu domków jednorodzinnych niedaleko wielkiego blokowiska Ursynowa. Kilkaset metrów dalej widział czubki drzew Lasu Kabackiego, a daleko za plecami słyszał odgłosy aut pędzących Puławską.

Była to specyficzna okolica, gdzie obok siebie stały starsze, klockowate domy z płaskimi dachami i nowoczesne wille - piękne jak z amerykańskich filmów. Przy samej Puławskiej postawiono kilka niewielkich biurowców. Całość stanowiła dziwaczne pomieszanie ekskluzywnego osiedla ze starą zabudową, pozbawione jednak nieprzyjemnego, elitarnego

charakteru Konstancina, gdzie człowiekowi, który zarabia mniej niż milion złotych rocznie, dawano do zrozumienia, że źle wpływa na uzdrowiskowy charakter miejscowości.

Wąską, zaśmieconą ulicę blokowały wóz strażacki i radiowóz, wokół których zebrał się niewielki tłumek gapiów.

Komisarz ziewnął głośno i przeciągnął się.

- Nie wyspałeś się? Studenciki znów zrobiły imprezę? - zapytał Kochan.

Mortka kiwnął głową.

- Dlaczego po prostu nie wlepisz im mandatu za zakłócanie ciszy nocnej? Błoczki ci się skończyły?

W odpowiedzi komisarz uśmiechnął się krzywo.

Kochan poprowadził go do stojącego przy bramie posesji strażaka - czterdziestoletniego, lekko brzuchatego mężczyzny z wielkim, czarnym wąsem, który kierował akcją gaśniczą.

Mortka sięgnął po legitymację służbową.

- Dzień dobry - przywitał się i pokazał dokument. - Komisarz Jakub Mortka. Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Podkomisarza Kochana już pan zna?

Mężczyzna spojrział na Mortkę spode łba, a potem skinął głową.

- Dzień dobry. - Miał mocny, głęboki głos. - Aspirant Marcin Kowalski.

Mortka stłumił kolejne ziewnięcie i przyjrzał się spalonej willi. Był to piętrowy, ładnie wyglądający budynek z wejściem w stylu dworku w Soplicowie. Miał lekko spadzisty dach z czerwonej dachówki, garaż i otoczony był sporym ogrodem. Komisarz pomyślał, że przed takim domem powinien stać luksusowy samochód terenowy - wysiadałby z niego przystojny czterdziestolatek ze skórzaną aktówką w dłoni, witając żonę, która pielęgnowałaby kwieciste rabatki, troskliwie zerkając na bawiące się na huśtawce dzieci. Obraz przytulnego rodzinnego gniazda psuły tylko czarne, żeliwne kraty w każdym oknie, które upodobiały dom do luksusowego więzienia. Na pierwszym piętrze kraty były jednak otwarte.

Na skutek pożaru popękały wszystkie szyby, a na żółtych ścianach pojawiły się brudne, smoliste słupy. Ogień sięgnął nawet dachu, o czym świadczyła wielka wyrwa wśród poczerniałych dachówek.

- Co się tu stało? - spytał Mortka.

- Około godziny drugiej w nocy w domu wybuchł pożar. Pierwsze wezwanie otrzymaliśmy o godzinie drugiej dziesięć, a na miejscu byliśmy mniej więcej sześć minut później - odpowiedział strażak.

- Szybko.

Kowalski wyglądał na urażonego tą uwagą, jakby w ustach policjanta słowo „szybko” tak naprawdę oznaczało przyganę, że nie dotarli na miejsce prędkiej.

- Mamy remizę na Płaskowickiej, niedaleko stąd - mruknął. - Dom, jak pan komisarz widzi, został znacząco uszkodzony. - Zwrot „pan komisarz” wypowiedział w lekceważący i drwiący sposób. - Od środka wygląda to jeszcze gorzej. Na szczęście ogień nie przeszedł na inne budynki.

- Szybko spłonął, jeśli byliście tutaj już po sześciu minutach - zauważył Kochan.

- To był środek nocy, okolica jest spokojna, ludzie spali. Oceniam, że pożar szalał już dobrych dziesięć minut, zanim do nas zadzwoniono.

Strażak zauważył, że Mortka wpatruje się w otwartą kratę okienną na piętrze.

- W czasie zdarzenia zginął właściciel domu - wyjaśnił Kowalski. - A właścicielka została ciężko poparzona. Przeżyła tylko dlatego, że uciekła, skacząc właśnie z tego okna, na które pan spogląda. Połamała sobie nogi.

Komisarz odczekał, aż strażak skończy mówić, i podrapał się po nosie. Znowu zachciało mu się ziewać. Spojrzał na zegarek. Była sobota rano, dochodziła siódma trzydzieści. Powinien o tej porze jeszcze spać, ale straż pożarna nalegała, żeby na miejscu pojawił się ktoś z wydziału, i padło na Mortkę.

- Panie Kowalski... Aspirancie Kowalski, jak się powinienem do pana zwracać?

- Aspirancie.

- Dobra, a więc aspirancie Kowalski. Proszę wybaczyć, ale wygląda mi to na zwykły pożar. Fakt, dosyć tragiczny. Wzywanie nas chyba nie było potrzebne. Przynajmniej nie tak wcześnie rano. Wystarczyłyby pewnie miejscowe chłopaki.

Strażak zmroził go wzrokiem.

- Proszę za mną, komisarzu - powiedział i ruszył przed siebie.

Wprowadził ich do willi. Przeszli przez zniszczony przedpokój do dużego salonu.

Wnętrze wyglądało tak, jakby wybuchła w nim bomba. Ściany poczerniały od dymu, meble spaliły się w części lub w całości. Podobnie obrazy. Na podłodze walały się kawałki szkła, drewna, strzępy dywanów, a do tego wszędzie było pełno błota powstałego ze zmieszania wody i popiołu.

Plomienie strawiły niemal wszystko. Niedaleko ocalałego z pożogi kawałka stołu leżało ciało. Ktoś zakrył je kocem, ale Mortkę i tak przeszył dreszcz. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał przyjrzeć się temu, co ukryto pod szarą płachtą.

Kowalski podszedł do kominka i kiwnął palcem na policjantów. Kochan niechętnie zrobił krok do przodu i zerknął przez ramię w stronę drzwi.

- Konstrukcja budynku jest nienaruszona - mruknął strażak. - Nie ma się pan czego bać.

- Nie boję się - odpowiedział Kochan.

Strażak wzruszył ramionami, po czym głośno klasnął.

- Dobrze, panowie! - Jego głos odbił się od nadpalonych ścian. - Pożar rozpoczął się w tym pokoju.

- To widać - szepnął Kochan pod nosem.

- A dokładnie od kominka. Jak panowie mogą zauważyć, meble są bardziej zniszczone właśnie od tej strony.

Komisarz Mortka przyjrzał się kanapie. Nie widział żadnej różnicy w stopniu zdewastowania umeblowania z obu stron, ale postanowił uwierzyć Kowalskiemu na słowo.

Później zastanowił się nad tym, czy strażak jest wiarygodny jako ekspert.

- Wskazują też na to ślady po dymie - kontynuował aspirant. - Sufit jest najczarniejszy wokół otworu wylotowego paleniska. Jak panowie pewnie zauważyli, w domu są drewniane podłogi. Zwęglają się one w formie szachownicy, której pola są tym mniejsze, im bliżej do źródła pożaru.

Mortka dostrzegł charakterystyczne ślady. Rzeczywiście, strażak się nie mylił.

- Dlaczego tak się dzieje? - zapytał.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał szczerze Kowalski. - Tłumaczyli mi to w Szkole Głównej, ale to było wiele lat temu. A teraz zapraszam panów bliżej.

Podeszli do kominka i kucnęli. Strażak wyjął z kieszeni munduru długopis i wskazał nim sporej wielkości czarne grudki o ostrych krawędziach.

- Widzą panowie?

- Kawałki szkła - powiedział Kochan.

- Właśnie. A teraz proszę głęboko wciągnąć powietrze.

Zrobili, co im kazał.

- Czują panowie?

- Nie bardzo - rzucił z powątpiewaniem Mortka.
- No tak. To pewnie kwestia doświadczenia. Wy na pierwszy rzut oka rozpoznajecie, kto jest bandziorem, a kto nie. Proszę jeszcze raz zrobić wdech.

Mortka zamknął oczy i całkowicie skupił się na zmyśle powonienia, ale nadal czuł wyłącznie wilgotny zapach spalenizny.

- Wciąż nic?

- Nic.

Strażak westchnął lekko rozczarowany.

- A ja czuję tutaj benzynę - oznajmił.

Mortka spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę? Benzynę?

- Naprawdę. Benzynę - warknął strażak. - Gdybyście przysłali tu ludzi z laboratorium, to pewnie znaleźliby jeszcze jej ślady pomiędzy deskami w podłodze lub w samym drewnie.

A jak przeczeszą popiół, to na pewno będą w nim resztki szmaty.

Komisarz Mortka wstał.

- Czyli sugeruje pan, że to było podpalenie?

Strażak spojrział mu prosto w oczy.

- Jestem tego pewien.

- Na podstawie śladów po ogniu, kawałków szkła i własnego powonienia? - Głos komisarza zabrzmiał arogancko i agresywnie. Mortka nie wiedział, dlaczego sprowokował strażaka. Może to z powodu niewyspania. A może dlatego, że bardzo chciał, żeby to był zwykły, chociaż tragiczny w skutkach pożar.

- Wie pan co, komisarzu? - Strażak zmarszczył gniewnie brwi. - Ja pana nie uczę wykonywać waszej pracy. Jak dostaję mandat za parkowanie w złym miejscu, to go płacę i się nie wyklócam, że znak zakazu stał dwa metry dalej. Trochę szacunku, dobrze? Zajmuję się ogniem i pożarami od prawie dwudziestu lat i potrafię powiedzieć, czy mam do czynienia z podpaleniem, czy nie. A akurat w tym wypadku, panie komisarzu, jestem tego pewien. I nawet wiem, jak do niego doszło.

- Jak?

- Ktoś wrzucił koktajl Mołotowa przez komin.

- To głupie - prychnął Mortka.

Strażak aż spurpurowiał ze złości.

- Przyślijcie tu swoich chłopaków z laboratorium. Znajdą to, co powiedziałem. Dom, kraty w oknach, wszystko było zamknięte od środka. Wiem, bo sami wyważaliśmy drzwi.

Podpalacz musiał się wspiąć na dach i wrzucić koktajl przez komin - stwierdził stanowczo.

- Jeśli to w ogóle był jakiś podpalacz - mruknął Kochan.

Komisarz uciszył kolegę i spojrział tęsknie na zegarek.

Była wczesna pora, a on musiał wyęźać wszystkie siły, żeby się skupić.

- A więc przyczyną pożaru okazał się koktajl Mołotowa wrzucony przez komin?

Strażak zrobił minę, jakby rozmawiał z idiotą.

- Tak, panie komisarzu - odpowiedział drwiącym tonem.

- A czy to rzeczywiście jest możliwe, panie aspirancie? - zapytał z niedowierzaniem Mortka, wypowiadając słowa „panie aspirancie” dokładnie w taki sam protekcyjny sposób, w jaki zwracał się do niego Kowalski. - Czy taka butelka zmieści się w kominie?

- Według przepisów prawa budowlanego komin musi mieć przewód kominowy o wymiarach co najmniej czternaście na czternaście centymetrów lub o średnicy co najmniej

piętnastu centymetrów.

Mortka podrapał się po policzku. Piętnaście centymetrów. Próbował sobie wyobrazić tę długość. Standardowa szkolna linijka ma, o ile dobrze pamiętał, dwadzieścia centymetrów.

Jaka mogła być średnica butelki wina lub wódki? Dziesięć centymetrów? Chyba za dużo, ale nawet jeśli, to zostawało jeszcze pięć centymetrów luzu. Hipoteza strażaka dalej brzmiała dla niego nieprawdopodobnie, ale dla świętego spokoju oraz utrzymania poprawnych stosunków pomiędzy służbami mundurowymi postanowił dać za wygraną.

- Dobra. Kochan, zadzwoń po chłopaków z laboratorium. Niech tutaj przyjadą. Nie zaszkodzi sprawdzić - powiedział.

Na twarzy strażaka odmalowało się poczucie ulgi.

- Był już tutaj prokurator? - zapytał Mortka.

Kochan wyszczerzył zęby, jakby komisarz opowiedział wyjątkowo dobry dowcip.

- Kuba, a jak myślisz? Jest sobota, siódma rano. Jaki prokurator przyjedzie ci o tej porze do zwykłego pożaru nawet z trupem w pakiecie? Później wszystko podpiszą. Tylko my, szare zuczki gnojkarze jeździmy do każdej pierdoły.

Kowalski drgnął, gdy usłyszał ostatnie słowo.

- To nawet dobrze. Im później się tu zjawi, tym lepiej - stwierdził Mortka. - Cholera wie, kogo by przysłali tym razem.

Komisarz ułożył w głowie listę niezbędnych czynności: straż pożarna znajduje trupa, jest podejrzenie podpalenia, mówią o tym rejonowym, rejonowi zawiadamiają terror i zabójstwa. Terror i zabójstwa wysyła jego i Kochana. Odhaczone. Co teraz? Oni zawiadamiają laboratorium, chłopaki pewnie pojawią się tu za godzinę, chyba że Kochan ich odpowiednio zmotywuje.

Komisarz usłyszał, jak Kochan klnie przez telefon. Laboratorium będzie tu za pół godziny - pomyślał. Kochan miał dar przekonywania. Dobierał ton i przekleństwa w taki sposób, że każdy, kto słuchał jego wiązanki, czuł się nagle zobowiązany rzucić wszystkie inne obowiązki i ruszyć podkomisarzowi z pomocą. Mortka nigdy nie potrafił zrozumieć, na czym to polega. Kiedyś próbował użyć tych samych słów w stosunku do tej samej osoby, co przedtem Kochan, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, żeby się wypchał.

Wrócił do listy. Klienta zabiorą do patologa dopiero po wizycie prokuratora.

Odhaczone. Co dalej?

- Mój kolega i pan wspominaliście o rannej właścicielce domu. Co się dokładnie stało? - spytał Kowalskiego.

- W czasie pożaru została uwięziona na piętrze. Nie wiemy jeszcze jak i dlaczego.

Mogła po prostu spać i obudzić się, kiedy ogień już szalał. Udało się jej otworzyć kratę w oknie i wyskoczyła z płonącego budynku. Została poważnie poparzona, a podczas upadku połamała obie nogi, ale będzie żyć. Jest już w szpitalu.

- Którym?

- MSWiA.

- Jasne. Zanim pójde porozmawiać z kolegami z rejonówki, czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze? - zapytał komisarz.

Strażak zawahał się, a jego twarz niespodziewanie stężała.

- To już trzecie podpalenie tego typu w ostatnim czasie - powiedział w końcu.

Mortce wydawało się, że się przesłyszał.

- Trzecie?

Strażak przytaknął niechętnie.

- I dopiero teraz nas zawiadamiacie!?! - wrzasnął policjant.

Kilka osób przerwało pracę i spojrzało w jego kierunku.

- Wcześniej nikt nie zginął. A biorąc pod uwagę waszą dzisiejszą reakcję, to bez trupa byście nawet palcem nie kiwnęli - mruknął strażak.

- Gdybym od początku wiedział, że to już trzeci taki przypadek, to nasza rozmowa wyglądałaby trochę inaczej - odpowiedział komisarz.

- Jasne. Bajki opowiadaj dzieciom.

- Bajki!? Jakże bajki!? Przyjeżdżam na miejsce do czegoś, co wygląda jak zwykły wypadek podczas palenia w kominku, a teraz, w ostatniej chwili, dowiaduję się, że to środek pierdolonej serii. Jakże jeszcze informacje zataja przed nami straż pożarna!? - Mortka wypluwał z siebie słowa, gestykulując energicznie.

Kowalski nadał policzki, a potem wypuścił z nich powietrze.

- Jakże zataja!? - zaprotestował. - Grzecznie powiedziałem. Będzie mi tu mówił o zatajaniu, jebany pies.

Mortka poczuł, że z gniewu traci dech w płucach.

- Co powiedziałeś!? Jak mnie nazwałeś!?

Zacisnął pięści. Strażak zrobił krok do tyłu, ale nie po to, żeby się wycofać, ale żeby przyjąć lepszą postawę do walki. Wtedy jednak Kochan wkroczył między mężczyzn.

- Spokojnie, panowie. Spokojnie. - Klepnął ich delikatnie otwartą dłońią po klatkach piersiowych. - Za chwilę będzie tu laboratorium, nie zacierajcie śladów. Jak macie się bić, to na zewnątrz, na mrozie. I na gołe klaty. Gapie będą mieli ubaw, bo na razie wyglądają na trochę zawiedzionych.

Mortka dyszał ciężko. Nienawidził określenia „jebany pies”. Słyszał je już chyba tysiąc razy. Nawet jego była żona raz go tak nazwała. Patrzyli sobie teraz z Kowalskim prosto w oczy, niezdecydowani, czy rzucić się na siebie, czy puścić cały incydent w niepamięć.

- Przepraszam - mruknął w końcu strażak, odwracając przy tym głowę, jakby mówił do kogoś innego.

- Nie lubię, jak mnie ktoś nazywa „jebanym psem” - odparł komisarz.

- Przepraszam raz jeszcze - powiedział Kowalski głośniej i wyraźniej.

Poczuł wstyd, że tak łatwo stracili panowanie nad sobą. Uśmiechnęli się równocześnie.

To był kwaśny uśmiech, ale oznaczał, że topór wojenny został zakopany.

- Proszę opowiedzieć o tych pozostałych pożarach - poprosił Mortka.

Strażak przygryzł wargę.

- Miał pan rację, że zrobiliśmy błąd, nie zawiadamiając was, ale proszę, niech mi pan da wytłumaczyć - zaczął. - Jest zima, i to dość sroga. Nawet pan sobie nie wyobraża, komisarzu, jakim głównym ludzie ogrzewają domy. Bywa, że jeździmy z jednej akcji na drugą. Pożary ze spięć elektrycznych w starych grzejnikach, płonące kominy, które nie widziały kominiarza od lat, a o których właściciele przypomnieli sobie dopiero, kiedy zrobiło im się zimno w domu; kozy, które ludzie powyciągali z piwnic i palą w nich, chociaż nie wiedzą, jak ich używać; do wyboru, do koloru. Głupota nie zna granic. Do tego wyjazdy do sopli lodu, dachów, które trzeba odśnieżyć, i wypadków samochodowych, których też jest sporo. Kupa roboty i od cholery papierków potem do wypełniania. Rozumie pan?

- Czy rozumiem? Zatrzymujemy zwykłego złodzieja samochodu, a potem jest tyle formalności, że pod koniec zapominamy, dlaczego go właściwie aresztowaliśmy.

Strażak uśmiechnął się. Tym razem szerzej i szczerze. Mortka z zaskoczeniem stwierdził, że chyba go polubi. Obaj pracowali w służbach mundurowych, które aż tak się od siebie nie różniły: te same problemy, te same głupie i niepotrzebne dokumenty do przygotowania i to samo poczucie obowiązku, które nie pozwala rzucić wszystkiego w cholerę. No, ale strażaka pewnie nikt nigdy nie nazwał „jebanym psem”.

- Wszystkie trzy pożary były w tej samej okolicy - kontynuował Kowalski. - Wśród domków jednorodzinnych po obu stronach Puławskiej. Na pierwszy, szczerze mówiąc, nie zwróciliśmy uwagi. Nikt nie zginął. Straty też były niewielkie. Właściciele nie było wtedy w mieszkaniu. Po akcji przyznali, że zostawili ogień w kominku. Co prawda w środku śmierdziało trochę benzyną, ale pomyśleliśmy, że używali jej jako podpałki. Poza tym właściciel wziął na siebie winę za spowodowanie pożaru, sprawa z ubezpieczycielem została załatwiona, wszystko ładnie pięknie, zamknęliśmy sprawę.

- A co z kolejnym przypadkiem?

- To samo. Żadnych ofiar, spalony pokój z kominkiem i trochę korytarza. Było już groźniej, ale nie aż tak jak tutaj. Tam mieliśmy jakieś podejrzenie. Wie pan, znowu kominek, znowu pod nieobecność właściciela, znowu benzyna. Ale potem zdarzyła się ta straszna sprawa na Ursynowie. Słyszał pan?

- Nie.

- Student ASP oblewał dyplom. Jedna dziewczyna zasnęła z papierosem w ustach. W mieszkaniu było pełno rozpuszczalników, farb, materiałów plastycznych. Wszystko momentalnie zajęło się ogniem. Dwie osoby się spaliły. Ta dziewczyna i student od dyplomu.

Uratował się tylko chłopak, który schował się na balkonie. Stało się to tuż przed świętami.

Nie mieliśmy potem głowy do niczego innego. I teraz to. Kiedy po akcji gaśniczej wszedłem do willi, zobaczyłem tego trupa, poczułem zapach...

Mortka zamyślił się. Doskonale znał ten naturalny mechanizm obrony przed nadmiarem obowiązków, którym ich obarczano. Policjanci też zwykle wybierali najprostsze rozwiązanie sprawy, nawet jeśli przeczuwali, że niekoniecznie jest ono prawdziwe. Oczywiście czasami można by się bardziej przyłożyć, poszukać nowych tropów, współsprawców, innych wątków.

Prawda jest jednak taka, że śledztwo trzeba zamykać najszybciej jak to możliwe, bo inaczej ginie się pod lawiną wniosków, akt, dokumentów, rozpoczętych dochodzeń, których nigdy nie ma czasu doprowadzić do końca. W straży pożarnej najwyraźniej postępowano tak samo.

Właściciel przyznaje, że pożar to jego wina, raz-dwa podpisujemy papiery, zawiadamiamy kogo trzeba i nie wracamy do tematu. Czasami zaś, jak w wypadku drugiego podpalenia, nagłe wydarzenia zmieniały listę priorytetów i trzeba było zająć się tym, o czym właśnie napisała prasa. Zabijały ich statystyki wykrywalności, presja przełożonych i formularze, które musieli wypełnić, a których nikt potem nie sprawdzał, bo nie było po prostu na to czasu.

- Jak się skończyło z tym drugim pożarem? - zapytał.

- Wie pan, ci ludzie nawet nie byli ubezpieczeni, więc było im wszystko jedno. Z tego, co pamiętam, to po prostu zamknęliśmy sprawę, uznając, że pożar wybuchł z ich winy.

- I nie protestowali?

- Zależało im, żeby jak najszybciej zacząć remont. Wszyscy nasi ludzie i policja byli zaangażowani w tę sprawę przy Na Uboczcu, więc poszliśmy im na rękę. Mimo że mieliśmy wątpliwości.

Komisarz skinął głową. Rozejrzał się jeszcze po spalonym pomieszczeniu. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na szarym kocu, który przykrywał zwłoki. Westchnął. Plan działania. To było teraz najważniejsze.

- Pewnie ma pan jeszcze trochę roboty - powiedział do Kowalskiego. - Pójdę porozmawiać z chłopakami z Ursynowa. Może spotkamy się później, jak już będzie spokojniej? Na przykład u was na Płaskowickiej?

Strażak potrzebował chwili, żeby ocenić sytuację.

- W porządku. Umówmy się na dwunastą u nas. Do tej pory wszystko tutaj powinno być

już pozamiatane.

Uścisnęli sobie dłonie.

Na zewnątrz Mortka wypatrzył policjanta w mundurze zimowym, który podskakiwał w miejscu, żeby się rozgrzać. Był to młody, krótko ostrzyżony chłopak o dziecinnej twarzy.

Mortka wybrał go, bo wyglądał na odrobinę mniej znudzonego niż jego koledzy, którzy tylko tęsknie spoglądali na zaparkowane niedaleko radiowozy i czekali na zwolnienie ze służby.

Poza tym odniósł wrażenie, że funkcjonariusz przyglądał mu się uważnie, kiedy pojawił się na miejscu. Chłopak zmarszczył wtedy brwi, próbując zapamiętać kształt twarzy, nosa, przybliżony wiek i kolor oczu komisarza. To zaś świadczyło o tym, że ma trochę oleju w głowie i można mu powierzyć bardziej odpowiedzialne zadania niż tylko pilnowanie, by gapie nie podchodzili do willi.

Mortka zbliżył się do chłopaka i bez słowa machnął mu przed oczami legitymacją służbową. Policjant natychmiast zasalutował zamaszystym gestem, o mało nie ściągając sobie przy tym czapki z głowy.

- Sierżant Skalski, komenda na Ursynowie - zameldował się, jakby był na apelu.

Mortka kiwnął aprobowująco głową i poprosił o przepytanie sąsiadów. Skalski miał się dowiedzieć, czy w okolicy nie widziano nikogo podejrzanego, a także kim był właściciel posesji.

- Uważa pan, że to pan podpalenie, komisarzu? - zapytał Skalski.

Mortkę uderzyła zmiana, jaka zaszła na twarzy młodego policjanta. Wcześniej zdawał się skupiony i poważny, teraz oczy lśniły mu z podniecenia, a policzki zrobiły się czerwone.

Chłopak szybko kojarzył fakty.

- Jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków.

Komisarz starał się, żeby jego głos zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo i obojętnie.

- Zrobiłem już wstępne rozpoznanie - pochwalił się sierżant. - Dom należał do Jana Kamersona. Przedsiębiorcy. Miał własną firmę w Piasecznie, ale sąsiedzi nie wiedzieli, czym się dokładnie zajmował. Żona ma na imię Klaudia.

- Dobra robota - pochwalił go zaskoczony komisarz. Nie spodziewał się, że ktokolwiek tutaj wykaże się inicjatywą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął metalowy wizytownik. Żeby go otworzyć, musiał ściągnąć rękawiczkę. Uporał się z zamknięciem i wręczył jeden kartonik Skalskiemu.

- Tu jest mój mail, numer telefonu na komendzie i komórka. Dzwonź o każdej porze, jeśli tylko coś znajdziesz.

- Tak jest.

Policjant schował wizytówkę, zasalutował i ruszył w stronę gapiów. Chwilę później przesłuchiwał już kogoś, trzymając notatnik w jednej, a długopis w drugiej dłoni. Komisarz spojrział na zegarek. Dochodziła za dwadzieścia ósma.

Po kilkunastu minutach, które policjant spędził, marząc o kawie i dreptając w miejscu, żeby choć trochę się rozgrzać, pod dom podjechał czerwony polonez. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn: starszy i siwiejący oraz młodszy, ale już łysy. Mortka nie znał tego drugiego. Starszy nazywał się Kamil Jankowski i był jednym z najlepszych techników z Komendy Stołecznej. Metodyczny, bystry, ale też lekko narwany i irytujący.

- Mortka, złamasie jeden. To twoja sprawa? - przywitał komisarza Jankowski. - Czy ty wiesz, która godzina?

- Wiem.

- To cudownie! - Technik wyciągnął ręce w górę. - Och, jak mi ulżyło! Komisarz Mortka

jednak nie zgubił pieprzonego zegarka!

- Przestań narzekać. Uwiniesz się tutaj do dziewiątej i będziesz mógł wracać do domu.

Technik spojrzął na willę. Budynek miał sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, do tego ogród i piwnicę.

- Coś takiego? Do dziewiątej? Jesteś pewien?

- Szybciej zaczniesz, szybciej skończysz.

- Goń się. Co tu mamy?

- Prawdopodobnie podpalenie - wyjaśnił Mortka. - W środku jest strażak, aspirant Kowalski. Zna się na tym lepiej ode mnie. Mówi, że ktoś wrzucił koktajl Mołotowa przez komin. Możesz to sprawdzić?

Jankowski spojrzął na komisarza tak, jakby ten go właśnie obraził.

- Do takiej roboty mogłeś wezwać byle stażystę, a nie.

- Takiego asa polskiej kryminalistyki jak ty? - wszedł mu w słowo Mortka. - A tak właściwie to wezwał cię Kochan. Jemu podziękuj.

- Sukinkot.

- I zrób jeszcze w wolnej chwili zdjęcia temu tłumowi, dobrze? Nie widziałem, żeby miejscowi mieli aparaty.

- Pierdol się.

- Dzięki.

Jankowski poszedł z pomocnikiem do spalonej willi. Po drodze minęli się z Kochanem, a Mortka usłyszał wiązaną rzuconą przez technika. Kochan tylko się roześmiał i pogroził

Jankowskiemu palcem.

- To co, idziemy do jakiegoś centrum operacyjnego? - zaproponował podkomisarz, kiedy podszedł do kolegi.

- Tak wcześnie rano, w sobotę? Będzie coś otwarte?

- Niedaleko jest McDonald.

Mortka kiwnął głową na znak zgody.

Rozdział 2

W McDonalddie oprócz nich był tylko personel i trójka nastolatków, którzy chichotali co chwilę nad tackami z jedzeniem, tręcali się łokciami i rzucali w siebie zanurzonymi w ketchupie frytkami.

Mortkę obsługiwała blisko czterdziestoletnia kobieta wyglądająca tak, jakby stała za ladą przez ostatnie dwie doby.

Komisarz coraz częściej zauważał pracowników w średnim wieku w fast foodach.

Jeszcze niedawno była to praca raczej dla młodych, ale najwyraźniej i to się zmieniło.

Zastanawiał się tylko, czy to efekt kilkunastoprocentowego bezrobocia, straszenia kryzysem czy świadoma polityka. Można się zachłystywać młodością i przedstawiać jako firma wielkich możliwości, ale student albo przyjdzie do roboty, albo nie, a samotna matka z dwójką dzieci będzie stała za ladą piątek, świątek czy niedziela, chora czy zdrowa, byleby tylko dostać te swoje tysiąc dwieście brutto.

Usiedli przy stoliku. Mortka zamówił hamburgera, frytki i kawę. Kochan wziął taki sam zestaw, ale zamiast kawy wybrał colę i dokupił jeszcze jedną kanapkę. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Co o tym myślisz? - zapytał w końcu komisarz.

- O czym? - odparł Kochan. - O podpalaczu, który wspina się na dachy i wrzuca do kominów koktajle Mołotowa?

- Właśnie o tym.

Podkomisarz ugryzł hamburgera.

- Czyste szaleństwo, człowieku, czyste szaleństwo - powiedział z pełnymi ustami, a kawałek mięsa wypadł mu na tackę.

- Ale czy to możliwe?

Kochan przełknął powoli, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chyba możliwe - przyznał niechętnie. - Powiedzmy, że mamy świrka, który lubi płomienie i tak się nakręcił, że postanawia podpalić jakiś dom. Bardzo mu się to spodobało, więc bierze się za kolejny. Aż w końcu popełnia błąd i ktoś ginie.

- Potrafię sobie wyobrazić podpalacza piromana, ale chodzi mi o samą metodę - odparł zirytowany Mortka. - Koktajl Mołotowa, wchodzenie na dach. Wybacz, ale są chyba lepsze sposoby, żeby podpalić komuś chałupę.

- Jakie?

Mortka wzruszył ramionami. Wziął kęs swojego hamburgera. Kanapka była trochę za sucha, ale smaczna. Popił kawą. Już drugą tego dnia.

- Nie wiem.

- No właśnie. Załóżmy na chwilę, że nasz strażak Sam ma rację i to było podpalenie. Co dalej?

Mortka sięgnął do kieszeni, wyciągnął notatnik i długopis. Rozpisał go, wyrwał zabazgraną kartkę i na czystej napisał cyfrę 1, przy której postawił kropkę. Po chwili dopisał

obok jedyńki słowo: „Piroman”.

- Trzeba będzie stworzyć zespół, przesłuchać wszystkich w okolicy, ściągnąć szamanów, przeszukać kartoteki. Facet może już siedział za inne podpalenia. Może to ktoś, kto niedawno wyszedł z więzienia, przyjechał do Warszawy szukać pracy i wrócił do dawnego hobby? - powiedział.

- Trzeba będzie też sprawdzić od cholery papierów, zadzwonić w wiele miejsc - dodał

Kochan.

- Wiem. I wysłać chłopaków z laboratorium na dach. Może nasz człowiek podczas wspinaczki zostawił gdzieś odciski palców, skrawki materiałów, cokolwiek.

- Jankowski się ucieszy.

- Obiecałem mu, że będzie mógł wkrótce jechać do domu.

Obaj policjanci uśmiechnęli się równocześnie. Jankowski był typem choleryka. Kiedy dowie się, że ma jeszcze sprawdzić dach, po prostu eksploduje, a wtedy biada temu, kto stanie na jego drodze. Jak znali życie, ofiarą technika będzie pewnie pierwszy młody policjant, który akurat się napatoczy.

- Co jeszcze mamy? - zapytał komisarz.

- Załóżmy, że strażak Sam się myli i te dwa pierwsze pożary to były jednak wypadki.

Mamy wtedy do czynienia tylko z jednym podpaleniem.

Ten pomysł spodobał się Mortce o wiele bardziej.

- Sprawdzamy właściciela, jego wrogów, przyjaciół. Musiał komuś zająć za skórę i ten ktoś postanowił się zemścić. Może miał związki ze światkiem przestępczym? - zastanawiał się.

- To byłoby takie proste.

- Oj, byłoby.

- Mógł też próbować wymusić odszkodowanie i sam podpalił dom, ale coś nie wyszło - zasugerował Kochan.

- To byłaby jedna z najmniej udanych prób wymuszenia odszkodowania w historii światowej kryminalistyki, panie podkomisarzu.

- Ale ile oszczędziłoby to nam pracy, gdyby się jednak okazało, że to prawda.

Mortka uśmiechnął się pod nosem i wrócił do hamburgera. O tak, ostatnia hipoteza podobała mu się najbardziej. Przy sprzyjających okolicznościach zamknęliby śledztwo w kilkanaście, góra kilkadziesiąt godzin. Wystarczyłaby tylko odpowiednia opinia biegłego, parę podpisów na papierkach i można odłożyć teczkę na półkę, żeby wrócić do tysiąca innych rozgrzebanych spraw.

- No i jest jeszcze hipoteza, że i tym razem nie ma mowy o żadnym przestępstwie. Facet napalił za mocno w kominku, jako podpałki użył benzyny i... bum - powiedział Kochan.

W tym momencie zadzwonił telefon Mortki. Komisarz przełknął kęs, przechylił się mocno na krześle i wyciągnął komórkę z kieszeni spodni. Spojrzał na wyświetlacz.

- Jankowski - oznajmił Kochanowi i odebrał. - I co tam?

- Rozmawiałem z tym aspirantem Kowalskim, strażakiem. - Komisarz usłyszał zdenerwowany głos technika w słuchawce. - Szkoda, że go od razu nie posłuchałeś, tępa pało, tobym nie musiał przyjeżdżać.

- Czyli jednak podpalenie?

- Oczywiście, że tak. Przy kominku tak śmierdzi benzyną, że nawet człowiek z odciętym nosem by to poczuł.

- Koktajl Mołotowa?

- Najwyraźniej - odparł technik po chwili namysłu. - Wygląda to na prostą miksturę benzyny z jakimś olejem, może opałowym, może silnikowym. Znalazłem też kawałki szkła w kominku i wokoło. Pozostałości po butelce. Jest tutaj jeszcze kilka rzeczy, które muszę sprawdzić.

- Przede wszystkim dach - powiedział Mortka.

Podkomisarz Kochan wyszczerzył zęby znad kubka z colą.

- Wysłałem tam już mojego młodego padawana.

Młodego? - zdziwił się w duchu Mortka. Łysy facet zdawał mu się co najmniej jego rówieśnikiem.

- Kiedy będę miał raport? - zapytał komisarz.

- Albo dzisiaj wieczorem, albo w poniedziałek rano. Jutro niedziela, a ja dzień święty święcę i pracować nie mam zamiaru.

- Dobra, dobra. Powiedz mi jeszcze tylko, czy na twoje techniczne oko to naprawdę było podpalenie? Na sto procent?

- Na sto dziesięć procent.

Koniec marzeń o prostym dochodzeniu - pomyślał ze złością komisarz. Do tej pory naprawdę miał nadzieję, że uda mu się całą sprawę zamknąć w kilka godzin.

- Dzięki. Informuj mnie na bieżąco - mruknął do telefonu.

Mortka rozłączył się i spojrzał zrezygnowany na Kochana.

- Mamy robotę? - spytał podkomisarz.

- Niestety tak.

- A wczoraj zapowiadała się taka piękna sobota. Co robimy?

- Dokończmy śniadanie.

Dalej jedli już w milczeniu. Mortka zastanawiał się nad kolejnymi krokami. Trzeba będzie sprawdzić tego Kameroną w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej, w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców oraz w innych bazach danych.

Dobrze byłoby też zobaczyć hipotekę działki i domu. Może wcale nie należały do niego?

Notował wszystkie luźne myśli. Potem wyrwał kartkę z notesu i przepisał ją na czysto. Na górze dodał wielkimi literami - poniedziałek. Skończył, dopił kawę, wstał i wyrzucił śmieci do kosza. Musieli wracać na miejsce przestępstwa.

Przed willą zebrał się już dużo większy tłumek gapiów. Dochodziła godzina dziewiąta, pora wychodzenia na poranny spacer z psami.

Koło zbiegowiska krążyła funkcjonariuszka z aparatem w dłoni. Dziewczyna stała się chyba ofiarą furii Jankowskiego, bo Mortka dostrzegł na jej twarzy ślady niedawnego płaczu.

Komisarz machnął do niej ręką.

- Możesz już przestać robić zdjęcia - powiedział, kiedy podeszła. - A na przyszłość staraj się być bardziej dyskretna.

Policjantka zrobiła wielkie, przestraszone oczy. Jej sine z zimna wargi zadrżały i przez chwilę wydawało się, że znowu się rozplacze.

- Zrobiłam coś źle? - spytała przejęta.

- Jeśli sprawca stał w tłumie, to pewnie uciekł, jak tylko zauważył, że sięgasz po aparat.

- Jezu. Przepraszam, nie wiedziałam.

- Nie przejmuj się. Raczej i tak go tu nie było.

Odprawił funkcjonariuszkę i poszedł do willi. Strażacy kończyli pracę na pogorzeliisku.

Na miejscu mieli pozostać tylko policjanci i technicy kryminalistyczni.

Mortka złapał Jankowskiego na pierwszym piętrze. Technik zapisywał coś w grubym, pośliskim zeszyte.

- Nie musiałeś tak opierdalać tej młodej.

- Głupia dupa - odpowiedział Jankowski, nie podnosząc wzroku znad zeszytu. - Nie wiem, kto ją przyjął do służby. Za skrajny debilizm powinni ją postawić przed ścianą i rozstrzelać.

Mortka postanowił nie dociekać, o co dokładnie poszło.

- Dobra, co znalazłeś? - zapytał.

- Twój kolega strażak miał rację. Podpalenie za pomocą koktajlu Mołotowa. Chcesz

pewnie wiedzieć, jak do tego doszliśmy?

- Nie zaszkodziłoby.

Technik prychnął z irytacją. Odłożył zeszyt do teczki, z której wyciągnął niewielki, czarny przedmiot przypominający pilot od telewizora i podsunął go policjantowi pod sam nos.

- Mam tu ze sobą taki podręczny dynks, który Amerykanie nazywają „snifferem”-

wyjaśnił, potrząsając urządzeniem. - Służy on do wykrywania gazów palnych w powietrzu. W

tym wypadku zidentyfikował opary benzyny.

- Te opary się nie spaliły?

- Mój dynks wykrywa nawet śladowe ilości substancji, rzędu dziesięciu części na milion.

- Sprytny ten dynks.

- Oj, tak.

- Czy to możliwe, żeby ta benzyna znalazła się tutaj przypadkiem albo ktoś jej użył jako podpałki?

Technik pokręcił przecząco głową.

- Raczej nie. Jest jej za dużo. Zbyt wielki rozbryzg.

- Co to znaczy?

- Benzynę jako rozpałkę lejesz wprost do kominka. I tylko do kominka. A ja znalazłem jej ślady na podłodze w odległości nawet metra od paleniska. Rozbryznięta się, kiedy wybuchł koktajl Mołotowa. Pobrałem próbki, zbadamy wszystko w laboratorium i przygotuję ci szczegółową ekspertyzę.

- Dzięki.

Mortka zostawił technika i wyszedł z willi. Skierował się do niewielkiego, ale zadbanego ogródka. Wokół parkanu rosły niskie krzaki róży. Oprócz nich jedyną ozdobą były dwa młode drzewka owocowe, teraz schowane pod brudną, matową folią.

Kochan wskazał komisarzowi pas zgniętej zieleni, obszar, gdzie ogień stopił śnieg.

- Fajne, nie?

Komisarz wzruszył ramionami.

- Co tutaj mamy?

- Szczerze mówiąc, nic. Strażacy zdemolowali teren podczas akcji ratowniczej i wątpię, żebyśmy znaleźli jakiegokolwiek ślady.

Mortka spodziewał się takiej odpowiedzi. Raz jeszcze przyjrzał się willi. Budynek wyglądał jak twierdza. Kraty we wszystkich oknach, zwykle zamknięte na dwie, trzy kłódki.

Wyważone drzwi wejściowe wyglądały na bardzo solidne, ale nawet one nie oparły się taranowi strażaków. Ciekawe, ile je forsowali? Musiało im to zająć dobrych kilka minut.

Mortka domyślił się, że pewnie stąd się wzięła skala zniszczeń. Dom zmienił się w ognistą pułapkę. Zanim straż pożarna dostała się do środka, nie było już co ratować. Ludzie wydają tysiące na wyrafinowane zabezpieczenia, kraty, alarmy, cholera wie, co jeszcze, a w sytuacji zagrożenia wszystko to tylko przeszkadza. Od dawna wiadomo, że najlepszym zabezpieczeniem przed włamaniem jest życzliwy sąsiad. Tylko trzeba najpierw wiedzieć, jak ten sąsiad ma na nazwisko i przynajmniej kilka razy powiedzieć mu dzień dobry.

- Parkan od strony ulicy nie jest specjalnie trudny do pokonania - powiedział Kochan. -

Według mnie sprawca wspiął się na balkon, z balkonu na dach i tam otworzył luki bombowe.

Mortka prześledził wzrokiem trasę wskazaną przez kolegę. Nie było to niemożliwe, ale on sam chyba nie dałby rady.

- Nie ma łatwiejszej drogi? - zapytał.

- Jest. Można próbować przez drabinkę nad garażem, ale nie wydaje mi się, żeby nasz człowiek poszedł tamtędy.

- Czemu?

Kochan wskazał palcem na stojącą nieopodal garażu uliczną latarnię. Komisarz od razu domyślił się, o co chodzi. Gdyby podpalacz zdecydował się na łatwiejszą drogę, przez chwilę byłby doskonale widoczny nawet z końca ulicy.

Mortka spojrział w górę. Na dachu wciąż pracował łysy technik, którego imienia i nazwiska nie znał. Raz jeszcze zmierzył odległość między ziemią a balkonem i między balkonem a dachem. Ciągle uważał, że on sam wspiałby się co najwyżej na balkon, ale ktoś inny, sprawniejszy i mający doświadczenie we wspinaczce mógłby pokonać tę drogę z łatwością. Nagle coś go tknęło. Na balkonie stała rozłożona drabina.

- Ej, ty tam! - krzyknął.

Technik ostrożnie wychylił się zza krawędzi.

- Skąd wzięłeś drabinę!?

- Leżała tutaj. Obok garażu!

- A zjąłeś z niej ślady?

Technik zbladł. Mortka zacisnął pięści.

- Kretyn - wycedził przez zęby.

Kochan roześmiał się i machnął do technika, żeby wracał do pracy.

- Spoko, komisarzu. Pewnie strażacy też jej używali, a jak nie używali, to obficie spryskali podczas akcji ratowniczej.

- Pewnie tak - mruknął pod nosem Mortka.

Przyznał rację Kochanowi, ale zdenerwował go brak profesjonalizmu technika. Trzeba było wysłać na dach samego Jankowskiego. Ten nie dałby mu za to żyć przez najbliższe dwa tygodnie, ale przynajmniej zrobiłby wszystko jak należy.

Weszli tylnym wejściem do garażu. Stała tam kilkuletnia, brudna skoda octavia z lekko wgniecionym bokiem. Mortka spodziewał się dużo lepszego samochodu. Co najmniej volkswagena passata lub volvo. Octavia wydała mu się zbyt pospolita jak na ten dom.

Obok samochodu na drewnianych półkach leżało kilka zestawów narzędzi - pokrytych kurzem i najwyraźniej bardzo rzadko używanych - na wół zużyty zimowy płyn do spryskiwaczy, komplet opon letnich i prostownik do akumulatora. To nie był garaż kogoś, kto lubi grzebać przy swoim samochodzie, a raczej osoby, która kupiła narzędzia wyłącznie na wszelki wypadek i ograniczała się do wykonywania najprostszych napraw, takich jak wymiana żarówek.

- Spróbujemy podsumować to, co mamy. Sprawca dostał się na dach, więc to musiał być wysportowany mężczyzna - powiedział komisarz.

- Czemu mężczyzna? - zaprotestował Kochan. - Dzisiaj kobiety też są wysportowane. I potrafią dołożyć tak mocno i być tak bezwzględne jak mężczyźni. Ty powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Mortka puścił tę złośliwość mimo uszu. Przez otwarte drzwi garażowe przeszli z powrotem przed dom. Komisarz znalazł młodego policjanta, z którym rozmawiał godzinę wcześniej. Skalski zdążył już przepytac sąsiadów: nie widzieli w nocy nic podejrzanego, nikt obcy nie kręcił się ostatnio po okolicy, nie słyszeli, żeby Kameron bądź jego żona mieli jakichkolwiek wrogów.

- Słowem, nie mamy nic - podsumował Mortka.

- Nie do końca. Jedna z sąsiadek przypomniała sobie, że wczoraj wieczorem przed domem Kameronów stał obcy samochód. Srebrny opel vectra.

- Zapamiętała numery rejestracyjne?

- Niestety nie.

- Czyli nie mamy nic - powtórzył Mortka.

Skalski wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Pytaj dalej, może coś znajdziesz - powiedział komisarz.

Policjant kiwnął głową i odszedł. Mortka pomyślał, że mógł go chociaż pochwalić - pewnie choć trochę poprawiłby chłopakowi humor i być może przyczynił się do zmiany opinii komend rejonowych na temat „tych złamasów ze stołecznej”.

Mężczyzna uderzał rytmicznie trzonkiem noża w deskę do krojenia tak długo, aż dwie tabletki aspiryny zmieniły się w biały proszek. Zebrał go ostrożnie na chusteczkę, a następnie wrzucił do wanny pełnej gorącej wody. W łazience było duszno i ledwo mógł oddychać.

Począł, aż lekarstwo się rozpuści, a potem ostrożnie zanurzył się w kąpiel. Jego skóra natychmiast się zaróżowiła. Stęknął z rozkoszy i zamknął oczy. Woda rozgrzewała stężałe mięśnie, a aspiryna uśmierzała tępy ból ramion, rąk i brzucha. Mógłby tak leżeć bez ruchu godzinami, podczas gdy jego ciało samoczynnie powracało do pełnej sprawności.

W nocy wykonał dobrą robotę. Płomienie były nawet większe, niż się spodziewał, a eksplozja mocniejsza dzięki temu, że zastosował nowy, lepszy rodzaj oleju silnikowego, który przedłużył spalanie benzyny. Trochę żałował, że nie mógł tam zostać, ale miał cichą nadzieję, że któryś z sąsiadów nakręcił film domową kamerą lub nawet komórką i później wrzucił go na YouTube'a. Zresztą YouTube to było mało. Tam powinna być telewizja - TVN24, Polsat News i TVP Info. Powinni zrobić materiał o pożarze i pokazać w głównym wydaniu wiadomości. Ale na razie o jego wyczynie było cicho. Zanim przygotował kąpiel, spędził

godzinę przed komputerem, sprawdzając wiadomości w internecie. Znalazł tylko krótkie wzmianki na lokalnych warszawskich portalach, których nikt nie czytał. Ale tam też napisano tylko o tym, że w domu takim i takim wybuchł w nocy pożar.

- Wybuchł - przyznał wściekle. - Sam wybuchł. Sam się zrobił.

Uderzył pięścią o taflę wody tak mocno, że kilka kropel wpadło mu do nosa.

Zasługiwał na to, żeby pokazali jego dzieło w telewizji. Ale to nic, że teraz go nie doceniają. Docenią.

W końcu będą kolejne pożary.

Rozdział 3

Przez całą drogę na Komendę Stołeczną Policji w pałacu Mostowskich Mortka marzył o przesłodzonej kawie z automatu przy głównym wejściu. Kiedy pił ją po raz pierwszy, jej smak go odrzucił, ale teraz nie potrafił sobie wyobrazić dnia bez kubka gęstego, czarnego płynu, który miał tyle cukru, że zamieniał krew w likier. Na miejscu okazało się jednak, że maszyna jest zepsuta i policjant musiał zadowolić się kubkiem zwykłej gorzkiej herbaty.

Komisarz usiadł przy biurku i włączył komputer. Zdawało mu się, że zanim zaczął w końcu działać i wreszcie uruchomiła się przeglądarka internetowa, minęły całe wieki.

Kochanowi poszło szybciej. Miał nowego laptopa, którego sam sobie przyniósł z domu.

Kiedy Mortka dopiero klikał na ikonę Internet Explorera, podkomisarz już gwizdał przeciągle.

- No proszę, proszę.

- Co masz?

- Wiesz, kim jest Klaudia Kameron? - zapytał Kochan z chytrym uśmiechem.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A Klaudia Klau?

Mortce coś zaświtało w głowie, ale nim zdążył odpowiedzieć, z głośników komputera Kochana popłynęły dźwięki banalnej piosenki o wielkiej miłości i deszczu.

- Możecie ściszyć to gównno!?

W drzwiach pokoju stanął komisarz Maciej Gruda. Kochan kiwnął głową przepraszająco i wyłączył piosenkę.

Grudzie się nie odmawiało. Komisarz miał już może swoje pięćdziesiąt lat i zupełnie siwe włosy, ale wciąż był wielkim wysportowanym facetem, który wyglądał na takiego, co szybciej bije, niż myśli. To był gliniarz starej daty, który równie chętnie zamykał bandziorów, jak pił z nimi wódkę.

Mortka nie lubił Grudy, zresztą z wzajemnością. Ta obopólna niechęć, zamaskowana kiepsko udawanymi uprzejmościami, dziwiła wszystkich, bo uważano, że Gruda i Mortka są do siebie podobni z charakteru jak dwie krople wody: nieustępliwi, twardzi, bez poczucia humoru.

- Przepraszam, panie komisarzu - powiedział Kochan. - Muzyczki sobie chcieliśmy posłuchać. To Klaudia Klau, panie komisarzu.

- Nie znam - sapnął ciężko Gruda. - Puśćcie jakąś prawdziwą muzykę. Nie wiem, Budkę Suflera albo Lady Pank.

- Co z tą Klaudią Klau? - zapytał Mortka.

Podkomisarz zawahał się, czy powinien kontynuować rozmowę z Grudą, czy raczej odpowiedzieć na pytanie kolegi zza drugiej strony biurka. Ten dylemat rozwiązał sam Gruda, który oparł się o framugę i machnął przyzwalająco dłonią.

- Klaudia nagrała dwie płyty pod koniec lat dziewięćdziesiątych - wyjaśnił Kochan. -

To, co puściłem, to jej największy hicior.

Mortka wściekle klikał myszką w ikonę przeglądarki, która ciągle nie chciała się uruchomić. Po chwili jak na złość na ekranie monitora pojawił się komunikat o jakimś błędzie i komputer się zresetował. Komisarz wypuścił powietrze z płuc i założył dłonie za głowę.

- Nie znam tej piosenki - oznajmił zrezygnowany. - Jaki to ma związek z czymkolwiek?

- Klaudia Klau to pani Klaudia Kameron, czyli żona naszego klienta.

- Jan Kameron jest waszym klientem? - wtrącił się Gruda. - Co mu się stało?

- Nie żyje - odpowiedział Kochan, nim Mortka zdążył otworzyć usta.

Gruda uśmiechnął się szeroko i klepnął w udo.

- Zawsze wiedziałem, że się w końcu do niego dobiorą - oznajmił z satysfakcją człowieka, który po latach oczekiwania może powiedzieć: „A nie mówiłem”.

- Oni? Znałeś Jana Kamerona? - zapytał Mortka.

Gruda wszedł do pokoju, przesunął papiery na biurku komisarza i usiadł na rogu.

- I co z tym Kameronem? - dopytywał się Mortka.

- Chwila, myślę przecież.

Gruda westchnął i podrapał się po czole.

- Właściwie to nic na niego nie mieliśmy. Ale wiecie, zawsze był w pobliżu.

- A coś konkretnego?

- Jakbyśmy mieli, młody, coś konkretnego, tobyśmy go przymknęli.

- Czyli po prostu nazwisko ci się obiło o uszy, tak? Super.

Gruda spojrział rozszłoszczony na Mortkę.

- Jak nie chcesz, żebym ci opowiedział, co wiem o Kameronie, młody, to nie. Zbieram się.

Kochan natychmiast skoczył do przodu i stanął w drzwiach, blokując Grudzie drogę.

- Panie komisarzu, Kuba żartował. Proszę mówić.

Gruda postać chwilę na środku pokoju, po czym wrócił na róg biurka. Wpatrzył się w sufit.

- Dobra - rozpoczął - to było tak. Na faceta nigdy nic nie mieliśmy, ale wszyscy wiedzieli, że on zna ludzi z półświatka, a oni znają jego. Robił z nimi interesy.

- Z kim konkretnie?

- Ze wszystkimi, młody. Zrozum, że nigdy nie złapaliśmy go na niczym niezgodnym z prawem. Prowadził legalne biznesy z legalnymi spółkami, o których wiadomo było, że należały do ludzi z półświatka. A do tego postępował mądrze. Nawet jak mu coś nie wypaliło, to i tak dawał gangsterom umówioną wcześniej dolę. Nigdy nie próbował ich oszukać, nigdy ich nie okłamywał, zawsze rozliczał się w terminie. Nigdy nie był ich dłużnikiem. Jak już, to oni wisieli mu kasę. Wkrótce zaczęli sami do niego przychodzić: Pruszków, Wołomin, Gdańsk. Podejrzewaliśmy, że pomagają im prac pieniądze. Ale facet nie był chciwy. Jak uważał, że interes jest zbyt ryzykowny, to się z niego grzecznie wycofywał. A w pewnym momencie. Chyba po prostu straciłem go z oczu.

- Co się stało?

- Sądzę, że to się zbiegło z rozbiem Pruszkowa i Wołomina. Kameron zobaczył, że jego kumple albo nie żyją, albo siedzą, i skalkulował sobie, co się mu opłaca najbardziej.

Wyszło mu chyba na to, że z różnymi młodymi mutantami nie chce mieć nic wspólnego.

Zabrał zabawki i przeniósł się do innej piaskownicy.

- Co robił konkretnie? Chodzi mi o te legalne interesy.

- Miał udziały w kilku knajpach, w tym jednej na starówce, grał na giełdzie, z sukcesami chyba. Wydaje mi się też, że zajmował się sprowadzeniem tekstyliów z Chin i Wietnamu, ale pewnie nie wytrzymał konkurencji z tamtejszymi.

Mortka próbował sobie szybko ułożyć w głowie zdobyte informacje. Taki człowiek jak Kameron musiał mieć wrogów, którzy nawet po latach pragnęli zemsty. Ale przecież wrzucanie koktajli Mołotowa przez komin nie należało do metod, którymi posługiwali się polscy gangsterzy.

- Komu konkretnie zaszedł za skórę? - spytał Grudę.

- A to jest właśnie dziwne, młody. Zdaje się, że nikomu. Był szanowany w środowisku.

Opiekował się rodziną jednego bandziora, kiedy ten siedział w więzieniu. Innemu posyłał regularnie paczki. Teraz ten pierwszy, o ile wiem, wyjechał do Niemiec czy innego

Londynu, a drugi nie żyje.

- Jak to się stało?
- Powiesił się w celi na prześcieradle.
- Sam czy ktoś mu pomógł?
- A tego to już, młody, nie wie nikt.

Gruda nagle pstryknął głośno palcami i poderwał się z biurka.

- Mam! Raz prawie mieliśmy Kameron! Chodziło o jego żonę!

Mortka nadstawił uszu.

- W... - Gruda szukał w pamięci szczegółów - ...chyba w roku 1997 albo 1998, jakoś tak, Kameron wysłał byczka, żeby pobił producenta muzycznego, który mu się naraził. Ten producent nie chciał wydać płyty jego żony, wtedy chyba jeszcze narzeczonej, albo ją skrytykował. Coś takiego. W każdym razie Kameron stracił cierpliwość, zadzwonił do jednego ze swoich kumpli, a ten kumpel wysłał typka, żeby obił producentowi facjatę.

Byczka złapaliśmy, ale nie puścił pary z gęby na temat mocodawców.

- To jak się dowiedzieliście, że to była sprawka Kameron?

- Dochodziły nas plotki i ploteczki, młody. Ale wiesz, że plotki nie interesują ani prokuratora, ani sądu.

- Jak się nazywał ten producent? - zapytał Kochan.

Gruda opuścił głowę i zaczął drapać się po potylicy, mamrocząc cicho pod nosem kolejne przychodzące mu na myśl imiona i nazwiska.

- Maciej Staś - oznajmił wreszcie z ulgą.

Kochan wpisał imię i nazwisko w wyszukiwarce i przejrzał wyniki.

- Chyba Michał Stasiński - powiedział.

- Może.

- „Staś” to była jego ksywa - wyjaśnił wpatrzony w monitor Kochan. - Michał „Staś”

Stasiński. Ma ciekawe portfolio. Na początku lat dziewięćdziesiątych zajmował się rockiem i punkiem. Wyprodukował i wypromował parę niszowych zespołów. Zwrócił na siebie uwagę i przeszedł do Sony. Tam zrobił ładną karierę. - Kochan przerwał swój wywód i doczytywał

coś z ekranu. - Ale się wypalił, rzucił pracę, takie tam bzdury, i założył własną wytwórnię.

Wydają muzykę z pogranicza reggae, dancehallu, hip-hopu i muzyki klubowej. Takie trochę ambitniejsze techno na mój gust. Myślicie, że to Staszek mógł być naszym podpalaczem?

Mortka pokręcił przecząco głową.

- Po tylu latach? Raczej nie. Ale i tak trzeba będzie go przesłuchać.

Komisarz spojrzął na zegarek. Było pięć po jedenastej. Przypomniawszy sobie, że o dwunastej miał być na Płaskowickiej. Wyłączył komputer, który wciąż odmawiał posłuszeństwa. Wstał i zaczął się ubierać.

- Jadę porozmawiać ze strażą pożarną. Ty, Kochan, sprawdź, proszę, tego Kameron w naszej bazie danych, dobra?

- Dobra.

- Gdzie jedziesz do tej straży? - zapytał Gruda.

- Na Płaskowicką.

- To mnie podwieziesz i wysadzisz przy Polach Mokotowskich.

To nie była prośba, ale rozkaz. Mortka postanowił nie kłócić się z Grudą. Był zbyt zmęczony, żeby po raz kolejny wyjaśniać, czym się różni jego samochód od taksówki.

Pożegnał się z Kochanem i razem ze starszym policjantem wyszli z komendy.

W czasie drogi nie zamienili ani słowa. Mortka włączył radio, wysłuchał serwisu informacyjnego, z którego nie dowiedział się absolutnie niczego. Gruda patrzył przez okno.

W pewnym momencie sięgnął po papierosa i wsadził go sobie w usta. Zapalił jednak dopiero, kiedy wysiadał. Nie podziękował za podwiezienie, tylko opatulił się mocniej kurtką i poszedł

w swoją stronę.

Mortka dojechał na miejsce trochę przed dwunastą. Komenda straży pożarnej na Płaskowickiej zrobiła na nim dobre wrażenie. To był nowoczesny budynek - schludny, czysty i zadbane. Ale przede wszystkim podobała mu się atmosfera napięcia, która tam panowała.

Każdy, nawet jeśli akurat odpoczywał lub czytał książkę, był gotowy natychmiast jechać na akcję. Poczul się trochę jak na posterunku policji, gdzie też czeka się na sygnał od dyżurnego, który wysyła cię do zabójstwa, kradzieży, rozboju czy po prostu zbyt głośnych lokatorów.

Tyle że strażacy nie okazywali zniechęcenia czy apatii, zatruwających powietrze na każdej komendzie, w której Mortka kiedykolwiek pracował lub przebywał. Ale przecież nie było się czemu dziwić. Strażacy to fajni chłopacy, pomyślał komisarz. Ratują życie, wszędzie są witani z radością. Powiesz w towarzystwie, że jesteś strażakiem, to ktoś ci postawi kolejkę, a ktoś inny poklepie po plecach. Przyznasz, że pracujesz w policji, to albo czeka cię litania skarg na organa ścigania, albo pijany facet niby żartem spyta, czy jego też przymkniesz za palenie trawki czy ściąganie pirackiej muzyki z internetu.

Mortka nie dowiedział się zbyt wiele. Zebrał materiały, protokoły, sprawozdania, zdjęcia, to, co mógł, wysłał na swoją skrzynkę mailową, z reszty porobił notatki. Ustalili z aspirantem Kowalskim, że spotkają się w większym gronie w poniedziałek lub wtorek, żeby opracować plan działania na wypadek kolejnego pożaru.

Następnie komisarz pojechał jeszcze na komendę na Ursynowie. Chciał scedować na nich zawiadomienie rodziny, ale okazało się, że Jan Kameron nie miał już żadnych bliskich.

Był jedynakiem, ojciec z matką nie żyli od pięciu lat. Oboje umarli z przyczyn naturalnych -

najpierw matka, pół roku później ojciec. O innych krewnych nic nie wiadomo. Jeśli chodzi o rodzinę żony: siostra Klaudii mieszkała w Anglii, matka spod Oławy już jechała do Warszawy, żeby być blisko córki. Komisarz zdał miejscowemu komendantowi relację z wypadków, opowiedział o podejrzeniach i wspólnie ustalili, że w rejonie, gdzie dochodziło do domniemych podpałek, pojawi się więcej patroli. Przy okazji wysłuchał zwyczajowego narzekania na braki kadrowe.

W końcu udał się do szpitala MSWiA na Wołoskiej. W rejestracji wyciągnął legitymację, przedstawił się i powiedział, że chce rozmawiać z lekarzem, który opiekuje się Klaudią Kameron. Starsza, mocno umalowana pielęgniarka najpierw sprawdziła coś w komputerze, a potem gdzieś zadzwoniła i kazała mu poczekać. Usiadł na krześle pod ścianą i leniwie obserwował ludzi wchodzących do szpitala.

Po dziesięciu minutach pojawił się młody lekarz, który zdawał się tak zirytowany, jakby Mortka osobiście wyciągnął go za fartuch z sali operacyjnej.

- Komisarz Jakub Mortka. - Policjant wstał i przedstawił się pierwszy.

- Michał Leśniak.

Podali sobie ręce.

- Chciałem się dowiedzieć czegoś o Klaudii Kameron. Przywieziono ją do was dzisiaj rano.

- Pamiętam. Z tego, co wiem, jej stan jest ciężki, ale stabilny. Ma rozległe poparzenia drugiego i trzeciego stopnia. Jedna noga złamana, a druga skręcona.

Lekarz mówił bardzo szybko, a Mortka z trudem za nim nadążał.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Nie ma jej u nas w szpitalu.

- Jak to jej nie ma? Powiedziano mi, że ją do was przewieziono. Sam pan przyznał.

- I dobrze panu powiedziano - przerwał komisarzowi znieczcierpliwiony Leśniak. - Ale już jej u nas nie ma. Miała dziewczyna szczęście.

Mortka rozważał przez chwilę, czy „posiadanie szczęścia” w lekarskim żargonie nie oznacza przypadkiem „zgonu”.

- Przenieśliśmy ją do szpitala wojskowego na Szaserów - wyjaśnił doktor. - Tylko tam w Warszawie mają specjalistów i przygotowanie do leczenia oparzeń.

- Tylko tam!?

Mortka nie potrafił ukryć zdziwienia. W szpitalu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji leczyli się przecież posłowie, rząd i prezydent.

- Panie komisarzu, od biedy możemy leczyć tu oparzenia, ale mamy o tym tylko ogólne pojęcie. Brakuje nam specjalistów i odpowiedniego sprzętu. Wie pan, ile w całej Warszawie jest łóżek na oddziałach dla poparzonych?

- Ile?

Lekarz wyciągnął przed siebie dwa palce.

- Dwa, proszę pana. Dwa. Po jednym na milion mieszkańców. Oba są w szpitalu wojskowym na Szaserów. I na szczęście dla pani Kameron oba były wolne.

Leśniak sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru.

- Proszę. Spodziewałem się, że pojawi się tu ktoś od was. To numer do kolegi z Szaserów, który zajmuje się panią Kameron. Udzieli panu wszelkich informacji.

Mortka wziął kartkę i spojrzał na numer telefonu komórkowego. Na wszelki wypadek przepisał go szybko do własnego notatnika.

- Coś jeszcze? - zapytał znieczcierpliwiony lekarz.

- Tak. - Mortka zawahał się. - Wiem już, że nie jest pan specjalistą od poparzeń, ale jak pan ocenia stan zdrowia pani Kameron?

- Czeka ją długie leczenie i rehabilitacja, ale przeżyje. Powinna być w pełni sprawna zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Ale...

- Tak?

- Zdawało mi się, że skądś ją kojarzę. Kiedy już odstawiliśmy ją na Szaserów, poszukałem informacji w internecie. To była finalistka konkursu Miss Polonia. Wiedział pan o tym?

- Nie. Wiem tylko, że nagrała płytę.

- To później. Była piękną, bardzo piękną kobietą, panie komisarzu, ale po tym, co się stało, nawet po operacji plastycznej...

- Tak?

- Wątpię, żeby ktokolwiek już obrócił się za nią na ulicy. A teraz, pan wybacz, ale mam pacjentów, którzy na mnie czekają. Niedawno przywieźli posła, który po pijaku.

właściwie to nie mogę zdradzać takich informacji, więc powiedzmy tylko, że leciało z niego i przodem, i tyłem.

Lekarz pożegnał się skinieniem głowy.

Mortka od razu zadzwonił do szpitala na Szaserów. Odebrał jakiś doktor Maćkowiak.

Miał stary, mocny głos. Przyznał, że pani Kameron jest pod jego opieką, ale nie zgodził się na wizytę policji. Ani dziś, ani jutro. Najwcześniej w poniedziałek. Poza tym - dodał już spokojniejszym i mniej kategoriycznym tonem - to i tak nie miałyby sensu. Pani Kameron była

pod wpływem silnych środków przeciwbólowych i nie wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Rozdział 4

Mortka przyjechał pod swój stary blok na Kabatach i jak zwykle nie mógł znaleźć miejsca do parkowania. W końcu zawrócił pod pobliskie Tesco, gdzie zostawił samochód.

Stamtąd miał pięć minut spacerem do domu. Byłego domu.

Z powodu śniegu, który zalegał na chodnikach, zamiast pięciu minut szedł dwa razy dłużej. Porządnie przemarzł. Wchodząc do klatki, minął się z dawnym sąsiadem z piętra niżej.

Staruszek spiorunował go wzrokiem i mruknął coś pod nosem. Z niewiadomych przyczyn miał komisarzowi za złe, że ten się rozwiódł z żoną.

Mortka machnął dłonią na przywitanie do portiera i wbiegł po schodach na drugie piętro. Zadzwoił do drzwi. Usłyszał radosne okrzyki dochodzące z mieszkania. Strzepnął śnieg z kurtki i przeczesał palcami włosy.

Otworzyła mu Ola. Wyglądała jak zwykle zachwycająco - dyskretnie, elegancko, w sposób, na który Mortka nie zwracał kiedyś uwagi, a który teraz doprowadzał go do szaleństwa. Czasami wydawało mu się, że była żona specjalnie maluje się i stroi na jego przyjście. Oczywiście nie po to, żeby go uwieść, ale by zrobić mu na złość i przekazać komunikat: „Patrz i podziwiał, co straciłeś”.

Miała długie, sięgające ramion blond włosy, wielkie orzechowe oczy, cerę nastolatki i ostre, wyraźne rysy twarzy, które dodawały jej orientального uroku. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat, a nie na swoje ponad trzydzieści. Patrząc na jej figurę, nikt nie domyśliłby się, że urodziła już dwoje dzieci. Jeszcze niedawno skarżyła się z wyraźną satysfakcją, że kiedy kupuje piwo, ekspedientki wciąż proszą ją o dowód.

Andrzej i Michał wybiegli zza jej pleców. Mortka uśmiechnął się na ich widok i przytulił mocno obu synów.

- Jak tam, chłopaki? - zapytał, czochrając ich po głowach.

- Dobrze - odpowiedzieli jednocześnie.

- W szkole w porządku?

- W porządku!

Spojrzał na Olę. Kiwnęła lekko głową.

- No to fajnie. Zbierajcie rzeczy i jedziemy.

- Poczekaj - odezwała się Ola.

- Tak?

Zamilkła na moment, nad czymś rozmyślając.

- Chłopcy, do pokoju - powiedziała w końcu. - Mama musi porozmawiać z ojcem.

- Ale mam. - jęknęli.

- Do pokoju.

- To naprawdę konieczne? - zapytał Mortka. - Mamy seans za pół godziny.

- Kuba, proszę.

Spojrzał na zegarek. Bilety kupił już wcześniej, więc nie musiał się martwić kolejkami w kasach, a dojazd do Multikina dwie stacje metra dalej powinien im zająć najwyżej piętnaście minut. Jeśli dodać do tego kwadrans reklam, to raczej zdążą na sam film.

- Dobra, chłopaki. Do pokoju. Musimy porozmawiać z mamą - powiedział.

Chłopcy spuścili głowy i pomaszrowali do siebie. Mortka zamknął za nimi drzwi i poszedł z Olą do kuchni.

Nawet po dziesięciu miesiącach od rozwodu wciąż czuł się dziwnie, wchodząc do mieszkania, które było dawniej jego domem. Zawsze, kiedy tu wracał, miał ochotę po prostu położyć się na kanapie w salonie, włączyć telewizor i poprosić Olę, żeby przyniosła mu piwo z

lodówki. Tak jak kiedyś. Teraz to oczywiście było niemożliwe. Te sześćdziesiąt pięć metrów kwadratowych należało już tylko do niej. Nawet jeśli w salonie stały skrzycone przez niego meble z sieci Ikea, a obrazy wisiały na kołkach, które sam wbił w wywiercone wcześniej dziury.

Wszedł do kuchni i usiadł na taborecie, który kupił wiele lat temu po okazyjnej cenie na wyprzedaży w likwidowanym sklepie meblowym.

- Nie ma telewizora - zauważył i wskazał palcem na widoczny po drugiej stronie korytarza salon.

- Oddałam do domu dziecka - odparła Ola. - Chłopcy siedzieli przed nim całymi dniami. Teraz przynajmniej czytają książki.

- Lepiej, żeby całymi dniami przed telewizorem siedziały cudze dzieci, a nie nasze, co?

Spojrzała na niego ze złością.

- Masz z tym jakiś problem?

- Żaden.

Już miał powiedzieć z przyzwyczajenia „kochanie”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Czego chciałaś?

- Wciąż nie zapłaciłaś alimentów.

Uderzył się dłonią w czoło.

- Przepraszam.

Poczuł się wyjątkowo głupio.

- Już połowa stycznia.

- Wiem. Przepraszam. Miałem dużo pracy.

- Zawsze masz dużo pracy.

Każde słowo cedziła osobno. W taki sposób zwykle zaczynała kłótnię. A on oczywiście nie mógł się powstrzymać i dał się sprowokować.

- Przecież sama mówiłaś, że nie potrzebujesz tych pieniędzy. Pamiętasz? - odburknął.

- Bo nie potrzebuję. Ale sam to na siebie wzięłaś i masz płacić. To twój cholerny obowiązek. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałem - powiedział, usiłując zachować spokój. - Zapłacę ci.

- Nie mi! To są pieniądze na dzieci. Na twoje dzieci!

- Przecież wiem! - krzyknął i poderwał się z miejsca. - Mówię, że zapłacę. Pójdę w poniedziałek do banku i zrobię przelew.

- A nie możesz po prostu jak człowiek zrobić przelewu przez internet?

Nie odpowiedział.

- Jezus Maria! - Podniosła ręce do góry. - Jeszcze sobie nie założyłaś konta internetowego?

- Nie.

- To przynajmniej wyciągnij pieniądze z bankomatu i przynieś mi, jak będziesz odstawił chłopców.

Poczuł, że się czerwieni.

- Mam limit na karcie - przyznał cicho. - Mogę wyciągnąć tylko pięćset złotych.

Zamrugła i potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Tego też jeszcze nie załatwiłaś?

- Miałem pracę! Dużo pieprzonej pracy!

- Uspokój się i uważaj, co mówisz! Dzieci są za ścianą! - krzyknęła.

Mortka prychnął, ale tylko po to, żeby nie musieć przyznawać jej racji.

- Po prostu zapłać alimenty - powiedziała Ola już trochę spokojniejszym tonem.

- W poniedziałek zrobię przelew.

Machnęła ręką.

- Rób jak chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu zapłać. Sam to na siebie wzięłeś.

Oddawał jej tysiąc pięćset złotych, prawie połowę pensji. Nie chciał się wymigiwać albo oszczędzać na dzieciach. A ona, chociaż wiedziała, że był to dla niego bardzo poważny wydatek, traktowała to często lekceważąco.

- W poniedziałek - powiedział pojednawczo.

Położyła dłoń na piersi i westchnęła głęboko.

- Biorę chłopców.

- Dobrze.

Otworzył usta, żeby coś dodać, ale Ola ciągle stała niewzruszona i Mortka wiedział, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

Podszedł pod drzwi do pokoju synów. Zapukał. Nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął klamkę i zajrzał do środka.

Chłopcy siedzieli w kącie, na łóżku Andrzeja, tuląc się do siebie. Patrzyli na niego wystraszeni. Słyszeli wszystko, pomyślał Mortka ze złością. Oczywiście, że słyszeli. Czemu nie mógł im tego oszczędzić? Chłopcy byli przecież świadkami tylu kłótni przed rozwodem, że mieli dość na całe życie, a mimo to on z Olą i tak darli ze sobą koty przy każdej nadarzającej się okazji.

- Chodźcie, zbieramy się do kina - powiedział.

W przedpokoju pomógł się ubrać Michałowi. Chłopak miał już siedem lat, ale wciąż nie potrafił samodzielnie zawiązać butów.

Jechali metrem w milczeniu. Oni nie chcieli mówić, a on nie wiedział, jak zacząć.

Poszli na *Avatara*. Chłopców wprawdzie nie chciano wpuścić na seans z powodu wymaganego wieku, ale gdy Mortka pokazał bileterowi legitymację policyjną, ten nie robił żadnych przeszkód. Komisarz kupił synom jeszcze po coli i duże pudełko popcornu.

Film mu się nie spodobał. Uważał, że jest po prostu głupi. Nawet efekt 3D nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Chłopców za to *Avatar* zachwycił. Michał był trochę niepokieszony, bo przez to, że musiał iść do ubikacji, stracił kawałek głównej bitwy, ale i tak buzia w drodze powrotnej mu się nie zamykała. Mortkę bawiła ich rozmowa o tym, jakiego avatara miałby który z nich. Ich pomysły daleko odbiegały od treści filmu i pomieszały się chyba, jeśli komisarz dobrze pamiętał, z *Pokemonami*, ale wcale im to nie przeszkadzało.

Do domu odstawił ich kilka minut po ósmej. Nie wchodził już do mieszkania.

- W poniedziałek - obiecał raz jeszcze byłej żonie na pożegnanie.

Ola kiwnęła głową i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Znalazł samochód na wpół pustym o tej porze parkingu pod Tesco i pojechał do siebie.

Po rozwodzie zamieszkał w szarym, ponurym i niesympatycznym blokowisku na skraju Mokotowa, w tej samej okolicy, gdzie kilka lat wcześniej zabito generała Pupałę. W klatce, która z powodu bliskości całodobowego sklepu monopolowego stała się przystanią dla okolicznych pijaków i mniej lub bardziej agresywnych wyrostków, zarządzających w ciepłe letnie noce na pobliskim placu zabawy imprezy do piątej nad ranem. Normalni mieszkańcy przemykali zwykle pod blokiem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi ani jednych, ani drugich.

No i byli jeszcze współlokatorzy.

Kiedy tylko wszedł do mieszkania, uderzył go smród papierosów. Stłumił przekleństwo.

Zrzucił ubranie i buty i przeszedł do kuchni, gdzie wokół kuchennego stołu siedzieli Piotrek, Agnieszka i jeszcze dwóch młodych chłopaków, których Mortka nie miał okazji poznać. Obaj nosili długie, wyciągnięte czarne bluzy i okulary w cienkich, drucianych oprawkach, a ich

twarze pokrywały czerwone pryszcze. Na poplamionym, przykrytym wilgotną ceratą w kratę blacie stała butelka taniej wódki, kieliszki i na wpół wypełniona popielniczka, w której dogasał pet.

Na widok Mortki zamilkli. Nagle jeden chłopak zachichotał, potem dołączył się drugi, a na końcu Piotrek.

W zlewie stały brudne naczynia, a po kuchni wały się resztki jedzenia i pudełka po pizzy wyprodukowanej specjalnie dla Biedronki.

- Moglibyście tu w końcu posprzątać - warknął Mortka.

Odwrócił się na pięcie i poszedł do swojego pokoju. Papierosowy smród dotarł też tam, więc pomimo mrozu komisarz otworzył szeroko okno. Zamknął drzwi, włączył telewizor. Na Jedyńce leciał film, którego nie miał zamiaru oglądać, ale i tak pogłośnił. Położył się na łóżku. Burezało mu w brzuchu z głodu, ale nie chciał przygotowywać kolacji, kiedy w kuchni siedzieli jego współlokatorzy. Musiałby znosić ich drwiące spojrzenia i rzucane szeptem niby dowcipne uwagi. Przymknął oczy i próbował się zdrzemnąć.

Wprowadził się do tego mieszkania kilka tygodni przed rozwodem, kiedy wszystko już zostało przesądzone i niezręcznie byłoby mieszkać dalej razem z żoną. W trakcie rozprawy uniósł się honorem i odpowiedzialnością. Wszystko, co tylko możliwe, zostawił Oli: mieszkanie (które pewnie i tak by jej przypadło, bo było prezentem ślubnym od jej rodziców), samochód i komputer z resztą sprzętów domowych. Wziął ze sobą właściwie tylko ubrania.

Pamiętał, jak stał na przystanku z plecakiem na ramieniu, walizką w jednej ręce i garniturem w drugiej i zastanawiał się, co ma teraz zrobić ze sobą i swoim życiem.

W policji brakowało wolnych mieszkań służbowych, a komisarza, po odliczeniu alimentów, nawet z dodatkiem mieszkaniowym nie było stać na wynajęcie samodzielnej kawalerki. W końcu po długich poszukiwaniach udało mu się znaleźć pokój na stacji u pewnej starszej kobiety.

Kiedy wszedł do jej domu po raz pierwszy, przeraził go odór starości tak intensywny, jakby staruszka nigdy nie otwierała okien. W zimnych promieniach słońca tańczyły drobiny kurzu, który osiadał cienką warstwą na meblach. Kobieta była już zbyt słaba, żeby samodzielnie wysprzątać mieszkanie, i zbyt biedna lub zbyt dumna, żeby prosić kogoś o pomoc. Ta słabość nie przeszkadzała jej jednak zrzedzić na wszystko. Oczywiście tak jak większość staruszek wcale nie zważała na to, że policjant jej nie słucha. Wystarczyła jej sama jego obecność. Na chwilę spokoju mógł liczyć tylko w nocy, kiedy kobieta spała, a kładła się na szczęście wcześniej, lub kiedy jechała na cmentarz Bródnowski, żeby odwiedzić grób męża. Mimo to wziął ten pokój. Był tani i w dobrej lokalizacji: blisko metra, Biedronki i Galerii Mokotów. Wmawiał sobie, że pomieszka w nim miesiąc, może dwa, bo w końcu potrzebuje trochę czasu, żeby odpocząć i pomyśleć, co dalej. A kiedy to zrobi, wszystko jakoś samo się ułoży, jego życie wróci na właściwe tory i Ola będzie jeszcze żałować, że się z nim rozwiodła.

Nic takiego się nie stało. Po prawie roku wciąż czuł się tak samo bezradny jak wtedy, kiedy stał na przystanku z walizką i garniturem w rękach.

Staruszka jak na złość umarła na zawał trzy miesiące po tym, jak się wprowadził. Był wtedy w pracy. Nie mógł jej pomóc. Miał nadzieję, że nie cierpiała. Na szczęście starsza pani już dawno przepisała mieszkanie na córkę, która pozwoliła mu w nim zostać, a po wakacjach dorzuciła dwoje studentów - Piotra i Agnieszkę.

Na początku było całkiem nieźle. Oni się starali, on także. Nie wchodzili sobie w drogę, robili drobne przysługi. Oni zainteresowali się jego pracą, on ich studiami. Raz nawet zaprosili go na piwo do pobliskiego baru z szantami, ale odmówił, wymawiając się nadmiarem pracy i zmęczeniem. A potem z tygodnia na tydzień wszystko zaczęło się psuć.

Oni coraz częściej imprezowali, a coraz rzadziej sprząтали po sobie. Do tego doszły różne drobne uszczypliwości. Chociaż trzeba przyznać, że problemy sprawiał głównie chłopak, bo Agnieszka przynajmniej starała się być w porządku.

Mortka już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że musi sobie znaleźć nowe mieszkanie, ale nie potrafił się do tego zabrać. Zawsze miał coś ważniejszego na głowie. Poza tym obawiał się, że może nie znaleźć niczego, na co byłoby go stać.

Po kilkunastu minutach usłyszał, że studenci się ubierają i wychodzą. Cały czas się śmiali. Mówili coś o „pieprzonym Colombo” i „Kojaku z włosami”. Zazgrzytał zębami ze złości, ale nie ruszył się z łóżka.

- Kojak z włosami, to dobre - powtórzył Piotrek i zachichotał.

Potem doszedł go odgłos zamykanych drzwi i przekręcanego zamka.

Chciał już wstać i pójść do kuchni, ale ktoś tam jeszcze był. Słyszał szum wody.

Czyżby sprząтали?

Film w telewizji robił się jeszcze głupszy, niż mógł się spodziewać. Było to amerykańskie kino akcji, w którym policjant podczas pościgu zdemolował pół miasta. Mortka wyobraził sobie, jak zareagowałby jego przełożeni, gdyby zrobił coś takiego w Warszawie.

Dostałby od razu dyscyplinarkę i mógłby się pożegnać ze służbą.

Ktoś zakręcił kran, ale chyba dalej przebywał w kuchni. Po chwili Mortka usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi. Usiadł na łóżku.

- Proszę.

Do środka weszła Agnieszka. Uśmiechnęła się i położyła na jego stoliku piwo i talerz z kanapkami z serem, pomidorem i cebulą.

- To z przeprosinami - powiedziała.

- Dziękuję.

- Piotrek jest strasznym bałaganierzem.

- Zauważyłem.

- Prosiłam go, żeby sprzątał, i czasami nawet to robi, ale później zaprasza kolegów, razem się uczą i potem jest bałagan.

- Uczą się tak jak wczoraj? - spytał komisarz ironicznie.

Zaczerwieniła się.

- Nie. Wczoraj mieliśmy imprezkę.

- Domyśliłem się.

- Za to też przepraszam. Nie wiedzieliśmy, że będziesz dzisiaj pracował.

- Mogliście się chociaż spytać, prawda? - powiedział. Wziął kanapkę, ugryzł. Otworzył piwo.

- Mogę usiąść? - zapytała.

Zrobił jej miejsce na kanapie. Agnieszka była drobną, czarnowłosą dziewczyną o małych piersiach i wąskich biodrach. Bardzo bladą, jakby nigdy nie wychodziła na słońce.

Średnio ładną, ale też nie brzydką. Nawet mu się podobała. Myślał o niej czasami, kiedy się masturbował.

- Nie było cię cały dzień. Coś się stało?

Upił łyk lecha.

- Podpalenie ze skutkiem śmiertelnym. Jeden facet się spalił, jego żona jest poparzona.

- Spalił się? Jezu, to musiał być straszny widok.

Mortka dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jeszcze nie oglądał ciała.

- Tyle, o ile.

- Człowiek się pewnie przyzwyczaja do widoku trupów, prawda? - zapytała.

- Do niektórych tak, do niektórych nie - odpowiedział wymijająco.

- To znaczy?

Odłożył kanapkę na talerz, strzepnął okruszki z dłoni i wyłączył telewizor. Twarz amerykańskiego aktora zniknęła z ekranu z cichym pyknięciem. Mortka wstał z piwem w ręku, zamknął okno, odwrócił się w stronę dziewczyny i oparł o parapet.

- Większość zabójstw to sprawy rodzinne: mąż zabija żonę, żona męża, wujek siostrę, syn ojca, takie tam. Inne zdarzają się przy okazji żulerskich imprez. Zejdą się tacy, popiją sobie, potem się pokłóca, padnie o jedno słowo za dużo i ktoś sięgnie po nóż, butelkę czy popielniczkę i rozbije drugiemu łeb. Do takich wypadków łatwo się przyzwyczaić. Przyjeżdża się na miejsce, zbiera zeznania, bardzo często od razu aresztuje sprawcę. Ale są też inne.

- Jakie?

Z trudem udało mu się ukryć znużenie. Odbywał już takie rozmowy wielokrotnie. Na każdym spotkaniu, na każdym przyjęciu znajdzie się ktoś, kto chce poczuć dreszczyk emocji związany z wysłuchaniem z ust prawdziwego policjanta opowieści o najbardziej makabrycznych zbrodniach, do których są zdolni ludzie. Tragedie zmieniały się w towarzyskie anegdotki. Irytowało go to, ale też nigdy nie odmawiał.

- Jakiś czas temu kilku nastolatków urządziło imprezę. Podprowadzili pijanemu koledze telefon i wydzwonili mu całą kartę. Dzwonili oczywiście na sekslinię. Pogadali może z dziesięć minut. Tak bardzo chcieli, żeby kolega się o tym nie dowiedział, że go zabili. Udusili poduszką. Chłopak miał czternaście lat.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Albo coś innego - kontynuował. - Osiemnastolatek, już z przeszłością, miał czternastoletnią dziewczynę. Oddał ją swoim kolegom. Gwałcili ją w piątkę na zmianę przez ponad godzinę. Kiedy zagroziła, że opowie o wszystkim rodzicom, zamordowali ją. Ciało chcieli wrzucić do Wisły, ale złapał ich patrol, kiedy nieśli je zawinięte w dywan nad rzekę.

Wziął kolejny łyk piwa. Na języku osiadł mu gorzko-kwaśny posmak.

- Do takich rzeczy nigdy się nie przyzwyczaję - powiedział po chwili ciszy.

- To wszystko prawda? To się naprawdę wydarzyło? - spytała dziewczyna.

- Tak. To się wydarzyło naprawdę - odparł.

Zaczerwieniła się, jakby strach, który nagle poczuła, był czymś wstydliwym.

- Przeróżające - odezwała się ze smutkiem.

- Wiem.

- A ta dzisiejsza sprawa?

Mortka zamyślił się, po czym odparł:

- Ta dzisiejsza jest gdzieś pomiędzy.

Wypił jeszcze łyk piwa.

- Gdzie Piotrek? - zapytał z uprzejmości.

- Poszedł z kolegami do Club Rocka na Raławickiej.

- A ty dlaczego zostałeś?

- System Eliminacji Studentów Jest Aktywny.

- Słucham?

- Wkrótce sesja. System Eliminacji Studentów Jest Aktywny. Mam parę kolokwiów - wytłumaczyła.

- Piotrek nie musi się uczyć?

- Najwyraźniej nie. Poza tym ja nie najlepiej się dzisiaj czuję.

Spojrzała mimowolnie na swój brzuch.

- Aha, czyli masz okres i dzisiaj śpicie w osobnych pokojach, co? - rzucił żartobliwym

tonem, ale natychmiast zrozumiał, że nie był to najlepszy pomysł.

Agnieszka poderwała się oburzona.

- Nie twoja sprawa - warknęła.

Nim zdążył powiedzieć cokolwiek na swoją obronę, wyszła, trzaskając drzwiami.

Dopił piwo i zjadł kanapki. Wrócił na chwilę do filmu w telewizji, a później odniósł naczynia do kuchni. Pozmywał po sobie. Umył zęby w łazience. Gdy wracał do pokoju, zauważył, że u Agnieszki ciągle pali się światło. Zastanawiał się, czy nie powinien do niej zajrzeć, by przeprosić, ale doszedł do wniosku, że nie ma za co. Położył się spać.

Właściwie nie potrafił się zdecydować, czy wierzy w matematykę, czy w szczęście.

Matematyka była potrzebna, bez dwóch zdań. Jasne, wszyscy mówią, że to kasyno zawsze wygrywa. Zwykle jest to prawda, ale w momencie, kiedy gracz potrafi wykonać w głowie więcej operacji niż dodawanie i odejmowanie, jego szanse znacznie rosną. Chodzi o dwie rzeczy: podstawy rachunku prawdopodobieństwa i szacowanie ryzyka. Ta pierwsza pozbawiała złudzeń i przywracała trzeźwy osąd sytuacji. Ta druga pozwalała dobrać optymalną strategię gry. Istniały również pewne uniwersalne zasady, które wynikały bezpośrednio z matematycznych wzorów i pozwalały maksymalizować zyski przy równoczesnym minimalizowaniu porażki. Brzmiały one: graj zawsze o niskie stawki i szybko wycofuj się z wygraną. Gdyby zatem wierzył w matematykę, musiałby już dawno wypłacić pieniądze i iść świętować. Ale kiedy Piotrek pociągnął za wajchę jednorękiego bandyty i na trzech bębnach po raz kolejny pojawiły się trzy wesołe cytryny, nie mógł nie stwierdzić, że tym razem ma po prostu szczęście. A skoro tak, to trzeba było wycisnąć z niego tyle, ile się dało.

Wyciągnął papierosa z leżącej na automacie paczki i zapalił. Upił łyk piwa. Przez cały ten czas delikatnie gładził bok maszyny. Zdecydował się na kolejny pojedynczy zakład.

Bębny zatańczyły, a kiedy wreszcie stanęły, na jednym z nich pojawiła się wiśnia, drugi zatrzymał się pomiędzy cytryną a dzwoneczkiem, a trzeci na napisie „Bar”. Zgodnie z przewidywaniami przegrał.

Automat nie pozwoli teraz parę razy na wygraną - pomyślał.

Należało to przeczekać.

Znowu nacisnął przycisk pojedynczego zakładu i pociągnął za wajchę.

Dwóch kolegów zostawił w Club Rocku i poszedł sam do pobliskiej speluny z nie do końca legalnymi automatami, które pojawiały się i znikwały w rytm kontroli skarbowych. Nie żałował specjalnie tych frajerów, bo nawet ich nie lubił. Obaj byli nudni i potrafili rozmawiać tylko o studiach, nowych wzorach, fizyce i serialach science fiction. Wyciągnął ich do knajpy tylko dlatego, że byli jednymi z nielicznych ludzi na roku, którym nie był winien pieniędzy.

Szybko dali się złapać na jego ściemę o tym, że zapomniał portfela, i zgodzili się pożyczyć mu pięćdziesiąt złotych. Pojęczał jeszcze chwilę, wyzwał ich od Żydów i wkrótce miał już w kieszeni całą stówę. Mało, ale wiedział, że więcej od nich nie wyciągnie.

Bębny stanęły.

Znowu nic nie wygrał. Trudno. Wciąż był jednak na plusie. Wkrótce wypłaci pieniądze i wróci do klubu. Odnajdzie tych dwóch pacanów, postawi im po piwie i kupi paczkę fajek.

Może nawet od razu odda dług.

Pociągnął za wajchę.

W Club Rocku znajdzie sobie jakąś panienkę, którą najpierw upije, a potem zaciągnie w ustronne miejsce, żeby się porządnie zabawić.

Dzwoneczek, wisienka, coś pomiędzy cytryną a morelą.

Agnieszka sama była sobie winna, że zamiast kupić jej coś ładnego, wyda pieniądze na inną. Mogła z nim pójść, mogła zrobić mu laskę, tak jak prosił.

Pociągnął za wajchę.

Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w kręcące się bębny. Jeśli teraz nie wygra, będzie musiał postawić na wysokie stawki. Maszyna powinna być gotowa do wypłaty, a on czuł, że dzisiaj naprawdę sprzyja mu szczęście.

- Malinka, cytrynka i coś pomiędzy. Słabo, Piotruś - usłyszał nad uchem mocny, lekko chropowaty głos. - Mam nadzieję, że nie przepuściłeś wszystkiego.

Chciał się odwrócić, ale mężczyzna za nim przyparł go tak mocno do automatu, że nie mógł zrobić ruchu. Papieros wypadł mu z ust i poleciał na ziemię.

- O. A jednak nieźle ci idzie, Piotruś - powiedział napastnik, kiedy zobaczył wartość kredytów na wyświetlaczu.

- Słuchaj, Czarny.

- Pysk, Piotruś.

Piotrek poczuł, że Czarny delikatnie dźga go jakimś szpikulcem ukrytym w kieszeni.

Chłopak zagryzł wargi. Nigdy nie powinien pożyczać pieniędzy od tego wariata, ale kiedyś, kiedy był w dołku, Czarny po prostu wyrósł przed nim z kuflem do połowy napełnionym żetonami. Żal było nie skorzystać z takiej okazji. Poza tym automat żarł wtedy monety przez cały dzień, miał ogromny jackpot i Piotrek był pewien, że prędzej czy później puści w końcu wygraną i wypluje z siebie strumień kasy. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Przegrał

wszystko, co miał swojego i co pożyczył od innych.

Czarny chwycił kufel piwa, przechylił go i wylał zawartość na podłogę.

- Co ty, kurwa, robisz!?! - wrzasnęła w ich stronę wściekła barmanka.

Czarny obrócił się w jej stronę, a na widok jego twarzy kobieta struchlała. Czarny był dobrze znany w tej okolicy. Pół Cygan, pół Polak z motylkiem w kieszeni i odsiedzianym wyrokiem za pobicie, które, gdyby koledzy nie zareagowali w odpowiednim momencie, mogłoby się okazać zabójstwem.

- Sorry, szefowo - rzucił bez troski Czarny przez ramię.

Wciąż trzymając kufel, nacisnął guzik wypłaty i podsunął go pod otwór, z którego z brzękiem zaczęły wypadać żetony.

- Stary. - wydukał żałośnie Piotrek. - Ta kasa miała być dla Zająca - skłamał.

- Stary. - przedrzeźnił go Czarny. - Zając Zajacem, a Czarnemu też wisisz.

Kufel niemal w całości zapełnił się żetonami. Czarny przestał napierać na Piotrka nożem, klepnął go przyjacielsko w ramię i powędrował z naczyniem do baru. Chłopak najpierw odetchnął z ulgą, a zaraz potem poczuł, jak lzy napływają mu do oczu. Stracił całą noc grania.

Czarny położył kufel przed barmanką.

- To do wymiany, szefowo - powiedział.

Sięgnęła po żetony, ale Czarny chwycił ją za rękę tak gwałtownie, że aż podskoczyła.

Spokojnym ruchem wyciągnął z naczynia cztery metalowe krążki.

- To dla pani, szefowo. Z przeprosinami za wylane piwo.

- Nic się nie stało - odpowiedziała i uśmiechnęła się kwaśno.

Już bez przeszkód zabrała resztę wygranej i szybko ją przeliczyła.

- Czarny. Zostawiłbyś coś na dalszą grę - jęknął Piotrek, który ciągle siedział przy automacie.

Barmanka podała Czarnemu zwitek banknotów, a ten bez słowa schował go do kieszeni kurtki. Potem podniósł jeden z czterech żetonów, które poprzednio zostawił kobiecie, i rzucił go chłopakowi.

- Trzymaj się, Piotruś! - krzyknął wesoło na pożegnanie.

Piotrek chwycił żeton i z lekko otwartymi ustami obserwował, jak Czarny wychodzi z

knajpy. Barmanka posłała studentowi pogardliwe spojrzenie i wróciła do nalewania piwa.

Chłopak położył krążek na otwartej dłoni i długo się w niego wpatrywał. Wciąż była szansa, żeby się odegrać. Chuchnął dwa razy na żeton, wrzucił go do automatu. Nastawił zakład o wszystko. Bez zastanowienia pociągnął za wajchę i zamknął oczy. Wsłuchał się w obracające się bębny. Stuknięcia wydobywające się z maszyny przypominały odgłos pędzącego pociągu. Podniósł powieki i spojrzał na wynik.

Sliwka, coś pomiędzy morelą a cytryną, coś pomiędzy siódemką a dzwoneczkiem.

Przegrał.

Przełknął ślinę i ze złością pomyślał, że powinien dzisiaj jednak uwierzyć w matematykę.

Rozdział 5

Mortka obudził się po siódmej. Długo leżał w bezruchu i myślał o tym, co ma ze sobą zrobić przez resztę dnia. Nie miał żadnych pomysłów, a co ważniejsze nie odczuwał żadnej ochoty, żeby gdziekolwiek się ruszać. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, czy zawsze był takim nudnym i żalonym typem, czy stał się nim dopiero po rozwodzie. Odnosił

niejasne wrażenie, że kiedyś miał jakieś zainteresowania, ale teraz już o nich nie pamiętał. Musiał je zostawić byłej żonie razem z mieszkaniem i dziećmi.

W końcu postanowił, że po śniadaniu pojedzie do spalonej willi i dokładnie obejrzy miejsce przestępstwa.

Poszedł do łazienki, żeby umyć zęby i może się ogolić. Ledwo przekroczył jej próg i stanął jak wryty. W wannie pełnej wody leżał nagi Piotrek i głośno chrapał. Chłopak był tak chudy, że komisarz mógł policzyć jego żebra. Miał wystające biodra i gęste owłosienie wokół penisa. Czarne, kręcone włosy falowały w wodzie jak macki meduzy. Na kafelkach obok wanny leżał mokry niedopałek papierosa.

Mortka mocno potrząsnął chłopakiem. Piotrek mruknął coś niezrozumiałego i odwrócił się na bok, chlapiąc wodą. Komisarz potrząsnął nim jeszcze raz, tym razem mocniej, a potem delikatnie spoliczkował. Dopiero wtedy student otworzył przekrwione oczy.

- Co jest? - mruknął, a trochę wody wlało mu się przy tym do ust. Wypluł ją cienkim strumieniem.

- Zasnąłeś w wannie. Wstawaj.

- Aaa... Która godzina?

- Ósma.

- O ósmej się śpi.

Zamknął oczy. Mortka znowu go spoliczkował, chwycił za ramiona i zaczął mocno potrząsać. Chłopak starał się bronić, ale był ciągle pijany i szybko zrezygnował ze stawiania oporu.

- Dobra, dobra - mruknął.

Mortka puścił go i pokręcił głową z obrzydzeniem. Chłopak tymczasem wstał z trudem, oparł się o ścianę, chwycił ręcznik i przepasał się nim na wysokości bioder. Chlapiąc, wyszedł z łazienki.

- Posprzątaj tu po sobie! - krzyknął za nim Mortka.

- Dobra, dobra.

Piotrek wszedł do swojego pokoju, zamknął drzwi i padł na łóżko. Mortka po chwili wahania wyciągnął korek z wanny.

Umył dokładnie zęby, twarz i po raz kolejny postanowił zrezygnować z golenia.

Przyrządził sobie śniadanie i kawę. Włączył telewizor. Dłuższą chwilę oglądał poranny program na TVN, gdzie dwoje prezenterów, których nie znał, prowadziło całkowicie nieinteresującą rozmowę z gościem, którego również nie kojarzył. Potem się ubrał i wyszedł.

Temperatura na zewnątrz wynosiła minus siedem stopni. Jak na złość, samochód nie chciał

zapalić. Próbował przez dobrych dwadzieścia minut, a kiedy zdał sobie sprawę, że to na nic, zaczął kląć na wszystkie strony. W końcu wyjął akumulator, zaniósł go do domu i podłączył do prostownika.

Dojechał metrem na Ursynów i tam wsiadł w autobus, który dowiózł go w okolice podpalonej willi. Żeby do niej dojść, musiał zrobić jeszcze dwudziestominutowy spacer wzdłuż Puławskiej.

Na miejscu Mortka przywitał się z policjantem pilnującym domu, pokazał legitymację i wypytał, co się wydarzyło w nocy. Zgodnie z przewidywaniami nie pokazał się nikt podejrzany.

Komisarz wszedł do willi. Wyciągnął z kieszeni notatnik i na czystej kartce rozpiisał długopis. Odetchnął głęboko. Nie było już gapiów i strażaków. Mógł się skupić.

Nie szukał niczego konkretnego i niczego nie spodziewał się znaleźć. Nawet jeśli były tu jakieś ślady, to zostały zdeptane przez straż pożarną. Nie o to chodziło. Chciał po prostu jeszcze raz zobaczyć ten dom na własne oczy, zebrać kilka strzępów informacji, parę resztek, które kiedyś być może mu się do czegoś przydadzą. Na tym w końcu polegała ta praca: na ciągłym grzebaniu po łokcie w stosie śmieci w nadziei, że tym razem wyłowi się coś cennego, i na zadawaniu tysięcy razy tego samego pytania, licząc, że ktoś w końcu na nie odpowie.

Na dole znajdowały się cztery pokoje: spalony salon z kominkiem, gabinet, łazienka oraz duża, przestronna kuchnia. Dwa ostatnie pomieszczenia były właściwie nietknięte.

Uratowały je grube, drewniane drzwi, które powstrzymały płomienie. Jedyne straty, niewielkie zresztą, spowodowała akcja ratownicza. Postanowił rozpocząć od gabinetu. Pokój sprawiał przytłaczające wrażenie. Na wielkim, dębowym i starym biurku wały się stosy papierów. Szafki w biblioteczkę wypełniały grube segregatory z dokumentami firmowymi i prywatnymi, pomiędzy którymi stało kilka książek, głównie o tematyce ekonomicznej i prawniczej, oraz dwa, trzy podręczniki typu „jak inspirować ludzi” i *Sztuka wojny w biznesie*.

Do tego jeszcze lampy, krzesło, wielki skórzany fotel w rogu i elegancki barek, we wnętrzu którego znajdowała się w połowie pusta butelka taniej whisky. Meble wypełniały niewielką przestrzeń pokoju tak ściśle, że ledwo dało się zrobić kilka kroków w każdym kierunku.

Na ścianach wisiały dwa niewielkie pejzaże: góra, zachodzące słońce, parę chmur, kilka rachitycznych drzewek. Komisarz poświęcił dwie minuty, żeby odczytać niewyraźny podpis twórcy - Wyczółkowski. Nie znał tego malarza, ale też jego wiedza z dziedziny sztuki ograniczała się do wiadomości, że van Gogh obciął sobie ucho.

Zajął się papierami z biurka. Przerzucał niewyraźne notatki, kartki wypełnione rzędami cyfr oraz słupkami dodawania i odejmowania, urozmaicone rysunkami na marginesach, które przedstawiały patyczkowate ludziki. Ludziki biegały z mieczem w dłoniach i obcinały innym głowy lub nabijały się nawzajem na pal. Przyglądał im się długo, zastanawiając się, czy można z nich wywnioskować coś interesującego, ale w końcu uznał, że Kameron po prostu ciągle miał w sobie coś ze znużonego dziesięciolatka.

Obok notatek znajdował się pokaźny stos korespondencji z banku, od operatora telefonii komórkowej, z gazowni i z wodociągów. Mortka wiedział, że będzie musiał poprosić jakiegoś stażystę, żeby to wszystko przejrzał. Już mu współczuł, bo to była bezsensowna praca na cały dzień, z której prawie na pewno nie wyniknie nic interesującego. Podniósł i przeczytał list z banku. Kameronowie mieli wspólne konto, na którym znajdowało się zaledwie osiem tysięcy złotych. Niedużo, biorąc pod uwagę wartość domu i to, że wyglądali, a przynajmniej starali się wyglądać, na ludzi zamożnych. Może Kameron miał drugie konto?

Albo lokatę w innym banku? Podobno grał na giełdzie. Zapisał sobie te pytania w notatniku.

Wyszedł z gabinetu i skierował się prosto do spalonego salonu. Ten pokój wyglądał najgorzej ze wszystkich. Meble nadawały się już tylko do wyrzucenia. Na podłodze wały się kawałki pozłacanych ram i resztki płócien obrazów, które teraz zmieniły się w zwykłe, brudne szmaty.

Wszedł na piętro, na które składały się łazienka i trzy sypialnie. Wszystkie pokoje były pogorzeliem. Najlepiej wyglądała łazienka, chociaż kafelki popękały, a wszystkie plastikowe

elementy stopiły się od żaru. Znalazł kawałki maszynki Gillette i resztki opakowań po kobiecych kosmetykach.

Dwie sypialnie nie różniły się od siebie znacząco. Obie były w kompletnej ruinie, ale w mniejszej z nich Mortka znalazł dodatkowe, osobne pomieszczenie na garderobę. Zajrzał do środka i zamarł. Coś wzbudziło jego niepokój, chociaż nie wiedział co. Potarł zmęczone oczy.

Musiał się skoncentrować. To było zadanie jak w przedszkolu - wskaż szczegół, który nie pasuje do reszty. Natychmiast ułożył w głowie listę przedmiotów, które powinien tu znaleźć.

Popiół, resztki ubrań i butów, metalowe resztki po wieszakach. Wszystko było i być powinno.

Czemu więc ciągle wydawało mu się, że coś tu jest nie tak? Futryna. Została zniszczona, ale nie przez ogień. Mortka przełknął ślinę i spojrzał pod stopy. Tuż obok leżała wygięta w kształt litery U łyżka do butów i metalowy drążek, na którym kiedyś wisiały ubrania, a który najwyraźniej został wykorzystany jako prowizoryczny łom. Położenie przedmiotów i uszkodzenia drzwi wskazywały na to, że zamek został wyłamany od środka.

Podszedł do okna, jedyne w całym domu z otwartą kratą. Uznał, że to właśnie z tego pokoju wyskoczyła pani Kameron.

Oparł się o parapet. Dlaczego ktoś miałby wyłamywać drzwi do garderoby? Bo ten ktoś tam był. W środku. Zamknięty i uwięziony, kiedy wybuchł pożar - odpowiedział sam sobie.

Czy to pani Kameron? A jeśli tak, to jak się tam znalazła? I dlaczego?

Od zapachu spalenizny rozboleła go głowa. Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz, żeby choć chwilę pooddychać świeżym, zimnym powietrzem.

Wyobraził sobie, co się stało. Kameronowie się pokłócili i Jan zamknął żonę w szafie.

Takie rzeczy się zdarzały. Mortka wiedział, że istnieją mężczyźni, dla których pas oraz więzienie partnerki w piwnicy, szopie czy szafie to najlepsze sposoby na rozwiązywanie sporów. Kameron najwyraźniej też miał takie skłonności. Kiedy wybuchł pożar, jego żona najpierw wyważyła drzwi do garderoby, a dopiero potem mogła myśleć o ucieczce z płonącego domu. Ale wtedy ogień już się rozszalał i odciął drogę na parter. Pozostawał jej tylko ryzykowny skok z wysokiego pierwszego piętra. Nie miała szans, żeby wyjść z tego bez szwanku. Tylko dlaczego się pokłócili? Zapisał to pytanie obok pozostałych, a po chwili zastanowienia podkreślił je grubą kreską.

Zamknął okno i przyjrzał się drzwiom do garderoby. Solidne drewno, bardzo mocne i twarde. To cud, że udało się jej uciec. Dorosły mężczyzna miałby z tym problemy. Domyślił się, że kobieta pracowała nad tym długo przed wybuchem pożaru. W zamku od zewnętrznej strony tkwił jeszcze metalowy klucz.

Nie mógł już oddychać spalenizną, a od unoszącego się wokół popiołu łzawiły mu oczy. Opuścił willę. Policjant z Ursynowa wciąż siedział w radiowozie i obserwował okolicę.

Z domu obok wyszła tymczasem blondynka z labradorem - ubrana w grubą, puchową kurtkę, wielką wełnianą czapkę z czerwonym pomponem i okulary przeciwsłoneczne przysłaniające pół twarzy, przez co Mortka nie potrafił określić jej wieku. W końcu ocenił, że musiała mieć około pięćdziesięciu lat.

- Przepraszam panią! - zawołał.

Blondynka zatrzymała się i mocniej szarpnęła smycz. Labrador posłusznie usiadł.

Mortka podbiegł do niej.

- Przepraszam bardzo, komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji.

Zaczął przeszukiwać kieszenie. W końcu znalazł portfel i pokazał kobiecie legitymację.

Wydawała się dziwnie zaniepokojona. Komisarz zastanawiał się, czy może miała coś na sumieniu, czy po prostu - jak połowa ludzi w tym kraju - cierpiała na alergię na policję.

- Ach, tak - odparła. - Rozmawiałam wczoraj z pana kolegą. Powiedziałam już, że nic nie wiem. Położyliśmy się z mężem spać wcześniej. Obudziły nas dopiero syreny strażackie. -

Mówiła dziwnie, w pretensjonalny sposób przeciągając niektóre sylaby i robiąc pauzy w miejscach, gdzie powinny być znaki interpunkcyjne.

- Ja nie do końca w tej sprawie.

Labrador podszedł do Mortki i zaczął obwąchiwać jego rękę.

- Krysia, przestań!

Właścicielka szarpnęła smycz i suka cofnęła się kilka kroków, ale wciąż merdała ogonem.

- W takim razie może przejdzie się pan ze mną, komisarzu? Nierozsądnie tak stać na mrozie, a poza tym Krysia musi się poruszać.

Mortka kiwnął głową. Poszli w stronę Lasu Kabackiego.

- Piękny pies. - Komisarz pokiwał z uznaniem głową. - Ile ma lat?

- Sześć.

- Nie wygląda.

- Labratory długo utrzymują żywiołowy charakter. To typowe dla tej rasy. Ich szczenięctwo trwa nawet dwa lata.

- I są bardzo inteligentne. Tak słyszałem.

- Nawet za bardzo.

- Co pani ma na myśli?

- To duży pies, który ma dużą wyobraźnię i potrafi dużo napsocić. Czasami zachowuje się jak wielkie, źle wychowane dziecko - powiedziała kobieta i uśmiechnęła się.

Mortka uznał, że pierwsze lody zostały przełamane i może zakończyć wprowadzającą pogawędkę.

- Jak się pani nazywa?

Kobieta roześmiała się.

- Powiedziałem coś śmiesznego?

- Nie. Ale myślałam, że pan wie.

- Niestety nie.

- Mariola Zduńska.

- Miło mi panią poznać. Chciałem porozmawiać o Kameronach.

- Nie wiem o nich wiele. Nie byłam z nimi blisko.

- A kto był?

Zastanowiła się chwilę.

- Chyba nikt. To były takie sobki, wie pan. Ona szczególnie, wielka gwiazda. - Zduńska nawet nie starała się ukryć niechęci. - Cały czas opowiadała, że zaproszą ją do *Tańca z gwiazdami*, ale nie do tej, tylko do następnej edycji. Potem okazywało się, że chodzi o jeszcze kolejną edycję i jeszcze kolejną. Nie wiem, skąd ona sobie to ubzduriała. A pan, panie komisarzu?

- Ja też nie. A jacy oni w ogóle byli?

- Trochę dziwni. On był od niej dużo starszy. O dziesięć lat, a może nawet więcej. Mam wrażenie, że małżeństwo im się nie do końca udało.

- Kłócili się?

- Oj, i to dużo.

- A w dniu pożaru?

- Wtedy to się dopiero posprzeczali! Chyba cała dzielnica słyszała. Myśli pan, że to ważne?

- Może. O co im poszło?

- Nie wiem. Nie podsłuchuję sąsiadów - powiedziała urażona. - Mam ciekawsze rzeczy do

roboty.

- Ale sama pani przyznała, że słyszała ich cała dzielnica.

Zacisnęła usta. Udało mu się ją podejść.

- Chyba o pieniądze - odparła niechętnie. - Zawsze chodziło im o pieniądze.

- Nie wiodło im się?

- On podobno dużo stracił na giełdzie. Bardzo dużo. Właściwie to tym powinien się pan zająć. Tam to jest dopiero złodziejstwo.

- Tym się zajmuje Wydział do walki z Przystępczością Gospodarczą.

- A pan jest?

- Terror i zabójstwa.

- Czyli goni pan Al-Kaidę?

Rozśmieszyło go to, ale dla świętego spokoju kiwnął głową. Niech sobie Mariola Zduńska myśli, że komisarz Mortka w wolnych chwilach ściga terrorystów.

Labrador stanął, wypiął się i załatwił swoją potrzebę na samym środku chodnika.

Zduńska spojrzała przestraszona na Mortkę, a potem zaczęła przeszukiwać kieszenie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Zapomniałam torebek - powiedziała w końcu.

Mortka z trudem ukrył złośliwe rozbawienie.

- Nie szkodzi. Ja się kupami nie zajmuję.

- Aha. Bo normalnie sprzątam - zapewniała Zduńska.

Policjant udał, że jej wierzy. Zatoczyli koło podczas spaceru uliczkami i teraz znów szli w stronę willi.

- Proszę mi powiedzieć. Naprawdę nie mieli żadnych przyjaciół? Nikogo bliskiego?

- Przecież mówiłam, że nie. Chociaż kiedyś było inaczej. Wie pan, były pieniądze, byli прияciele. Jeszcze dziesięć lat temu robili wielkie, głośne przyjęcia na kilkadziesiąt osób, może więcej. Aż policję trzeba było wzywać, żeby ich uciszyła. Potem to się skończyło.

- A wrogów? Mieli jakichś wrogów?

- Nic o tym nie wiem, panie komisarzu.

Wrócili pod dom Kameronów. Stali przez chwilę w milczeniu, przypatrując się spalonemu budynkowi, aż Mortka poczuł, że labrador znów obwąchuje jego dłoń.

Właścicielka szarpnęła smycz.

- Dziękuję pani za rozmowę.

- Ależ proszę bardzo, panie komisarzu. Ale chyba nie jestem o nic podejrzana?

- Nie, oczywiście, że nie.

To miał być żart, ale Mortka wypowiedział te słowa bardzo poważnie. Zmieszana Zduńska zaszurała nerwowo nogą i przywołała do siebie psa, który tymczasem zaczął kopać w pobliskiej kupce brudnego śniegu.

- Zdaje się, że ktoś na pana czeka, komisarzu - odezwała się nagle kobieta. - To kolega z policji?

Mortka spojrzał we wskazaną przez nią stronę. Pod drzwiami willi Kameronów stał aspirant Kowalski. Na widok policjanta skończył palić papierosa i rzucił niedopałek na chodnik.

- Nie, nie z policji - odpowiedział.

- A wygląda trochę, jakby był.

- To strażak - wyjaśnił Mortka.

Pożegnał się ze Zduńską i podszedł do Kowalskiego. Przywitali się prostym uściskiem dłoni.

- Nie spodziewałem się pana tutaj - powiedział Mortka.
- Mam wyrzuty sumienia - wyjaśnił strażak. - Wczoraj dotarło do mnie, że jeśli mam rację i to było trzecie podpalenie, to po prostu koncertowo daliśmy ciała. Przez nas zginął człowiek. Musiałem tu przyjść i jeszcze raz wszystko zobaczyć na własne oczy.

Weszli razem do willi i od razu skierowali się do pokoju z kominkiem.

- Tutaj się rozpoczął pożar - oznajmił strażak. - Ogień przeszedł później na piętro.
- A reszta parteru? Jest niezniszczona.
- Ogień nie mógł się rozprzestrzenić. Pozamykane drzwi, kiepskie paliwo, zapewne brak tlenu. Łatwiej było wskoczyć na górę domu.

- Dlaczego?

- Chodnik ze sztucznego tworzywa na schodach. Pali się jak najlepsza benzyna. Kiedy tutaj przyjechaliśmy, płomienie sięgały dachu. A zanim sforsowaliśmy te zabezpieczenia - wskazał palcem na kraty w oknach wychodzące na taras - minęło dobrych dziesięć minut. Polewaliśmy przez ten czas dach i okolicę wodą, żeby ogień nie zagroził innym budynkom.

Ale jeśli chodzi o sam dom, to niewiele mogliśmy zdziałać.

- Ludzie nie mają wyobraźni - powiedział Mortka, myśląc o kratkach w oknie.

- Niestety.

- A pani Kameron?

Strażak podrapał się po brodzie.

- Widział pan już drzwi do garderoby.

- Tak - potwierdził Mortka.

- Nie wiem, co się tam stało, panie komisarzu. Ale nie podoba mi się to ani trochę. Ta kobieta wyskoczyła z okna, kiedy była już bardzo poparzona, a ogień szalał. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby tak długo zwlekać z ucieczką z płonącego domu.

- Chyba że nie mógł uciec, prawda?

- Chyba że nie mógł uciec - zgodził się strażak. - Ale to już pana zadanie, żeby ustalić, jak było naprawdę.

Mortka uśmiechnął się smutno.

- A jak było w przypadku innych pożarów? - zapytał, zmieniając temat.

- A chce pan zobaczyć?

Komisarz nie zastanawiał się długo.

- Jasne.

- To chodźmy. Będzie pan jechał za mną.

- Nie mam samochodu. Akumulator mi siadł.

- A tak. To się często zdarza przy takiej pogodzie. W takim razie pojedziemy moim.

Wyszli na zewnątrz. Mortka podszedł do policjanta pilnującego budynku, powiedział, że już pewnie dzisiaj tu nie wróci, i zostawił mu na wszelki wypadek wizytówkę. Potem wsiadł z Kowalskim do czarnej hondy civic. Tak nowej, że w środku unosił się jeszcze zapach salonu samochodowego.

- To wóz żony - wytłumaczył Kowalski, widząc pełne zazdrości spojrzenie policjanta. -

Jest główną księgową w takiej większej firmie. Obsługują dziesiątki klientów i nieźle zarabia.

Dzięki temu stać nas na moje hobby.

- Czyli?

- Pracę w straży pożarnej.

Mortka roześmiał się, chociaż wiedział, że to, co mówi Kowalski, wcale nie jest zabawne.

Co za popieprzony kraj - pomyślał. Ludzie, którzy ryzykują życie w imię porządku, prawa czy ratowania bliźnich, zarabiają nędzne grosze. A wymaga się od nich, by byli gotowi na każde wezwanie i do tego zawsze profesjonalni i skuteczni.

- Żartujemy, że ona jest od działalności komercyjnej, a ja od misji. Wie pan, że jestem ta... społeczna odpowiedzialność biznesu - powiedział ironicznie Kowalski.

- Nie przeszkadza panu, że żona zarabia więcej?

- No co pan, panie komisarzu. Jasne, że nie przeszkadza. A panu by przeszkadzało?

Mortka natychmiast pomyślał o swoim byłym małżeństwie. I o dniach, kiedy Ola dostawała pensję. Czuł się wtedy tak, jakby ktoś go wykastrował w majestacie prawa.

- Nie. Nie przeszkadzałoby - skłamał.

- Poza tym, wie pan - kontynuował strażak - pieniądze nie są najważniejsze. Jasne, chłopaki się śmieją, że żona mnie utrzymuje, ale gdyby pan zobaczył, czym jeżdżą niektórzy z nich. Bałby się pan wejść do środka.

Mortka nie odpowiedział. Oparł się o zagłówek i obserwował drogę. Zastanawiał się, co jest lepsze: mieć stary, kiepski samochód, ale własny, czy nowy, szybki i nowoczesny, ale kupiony za pieniądze żony. Nie potrafił się zdecydować. I jedno, i drugie wydawało mu się upokarzające.

Cała jazda trwała trzy minuty. Najwięcej stracili na światłach na skrzyżowaniu z Puławską. Kiedy w końcu włączyło się zielone, aspirant wcisnął gaz do dechy i dojechali na miejsce, łamiąc ograniczenie prędkości.

Stanęli przed kolejnym domem jednorodzinny. Ten był mniejszy od willi Kameronów. Parterowy, z płaskim dachem i garażem. To mógł być kiedyś warsztat czy inne pomieszczenie gospodarcze, które przed laty zamieniono w budynek mieszkalny.

- Tutaj doszło do pierwszego pożaru. Chce pan zajrzeć do środka? - zapytał strażak.

- Oczywiście.

Kowalski zaparkował tak, że zablokował wyjazd z garażu.

- Jakby była potrzeba, to przestawię - uznał.

Wysiedli z auta. Aspirant podbiegł do drzwi i nacisnął dzwonek. Zamiast zwykłego sygnału usłyszeli dźwięki gitary. Mortce wydawało się, że to początkowy riff *Smoke on the Water*, ale nie był pewien.

- Już idę! - dobiegł ich głos z wnętrza.

Ktoś spojrział przez wizjer. Potem rozległ się chrzęst zamków, aż wreszcie stanęła przed nimi mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w lnianej bluzce z rustykalnymi motywami na rękawach i kolorowej spódnicy. Kasztanowe włosy związała w kok, który dodawał jej kilka centymetrów wzrostu. Była dość niska, mogła mieć nie więcej niż metr pięćdziesiąt pięć.

Mortce natychmiast skojarzyła się z Małą Mi z *Doliny Muminków*. Brakowało jej tylko pełnych złośliwości iskier w oczach.

- Aspirant Kowalski - powiedziała z szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

- Dzień dobry, pani Aniu - przywitał się strażak. - Przyprowadziłem ze sobą komisarza Jakuba Mortkę z Komendy Stołecznej Policji. Chcieliśmy zapytać, czy jest taka możliwość, by jeszcze raz obejrzeć państwa dom?

- Możliwość jest, ale wie pan. My już wszystko naprawiliśmy - odpowiedziała kobieta z lekkim przejściem w głosie.

- Nie szkodzi, mimo wszystko chciałbym zobaczyć miejsce pożaru - wtrącił się Mortka.

Kiwnęła z namysłem głową i otworzyła szerzej drzwi.

- Kochanie, przyszedł pan z policji! - krzyknęła w głąb domu.

Z pokoju obok wyszedł długowłosy mężczyzna. Stał boso. Miał na sobie dzinsy oraz

koszulkę z napisem „Dżem” i wizerunkiem Ryszarda Riedla. Jeśli jego partnerka przypominała Małą Mi, to on kojarzył się Mortce z Włóczykijem. Miał podobny, nieodgadniony wyraz twarzy, zadarty nos i rozmarzone, lekko ironiczne spojrzenie. Jeśli kiedyś urodzą im się dzieci - pomyślał komisarz - to na pewno będą wyglądać jak Muminki.

- Cokolwiek zrobiłem, jestem niewinny! - krzyknął mężczyzna na przywitanie i podniósł ręce do góry.

Kobieta parsknęła. Mortka zmusił się do grzecznościowego uśmiechu.

- Dzień dobry, Janek Borowski. - Mężczyzna skłonił się lekko.

- Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji.

- Może przejdziemy do salonu? - Borowski wykonał zapraszający gest ręką. - Napiją się panowie czegoś?

- Ja nie odmówiłbym herbaty - powiedział Kowalski.

- Poproszę kawę - dodał Mortka.

Przeszli do dużego pokoju. Dom nie był większy od standardowego mieszkania w bloku, ale sprawiał wrażenie funkcjonalnego. W salonie znajdowały się tylko kominek, kanapa, stół i dwa fotele. Za to na ścianach wisiały gitary, flety, skrzypce i jeszcze parę instrumentów, których Mortka nawet nie potrafił nazwać.

- Państwo są muzykami? - zapytał komisarz.

- Chyba nietrudno się domyślić? Tak. Jesteśmy muzykami - odpowiedział Borowski i zajął miejsce w fotelu. Gościom przypadła kanapa.

- Da się z tego wyżyć? - zainteresował się komisarz.

- A z pracy w policji?

Nim Mortka zdążył odpowiedzieć, Borowski już zaczął mówić.

- Przepraszam, przepraszam. Tak, panie komisarzu, da się wyżyć. Żona uczy muzyki w szkole i jest muzykiem sesyjnym. Ja również jestem muzykiem sesyjnym, poza tym daję prywatne lekcje gry na gitarze. Gramy też na weselach ze znajomymi, a jak nie ma wesel, to w knajpach do kotleta. Wczoraj byliśmy na ślubie pod Warszawą, więc jakby co, to mam alibi.

Znów podniósł ręce do góry i zachichotał, jakby opowiedział swój najlepszy dowcip.

Mortka wbił wzrok w podłogę i pomyślał, że nie chce przebywać w tym domu dłużej niż to konieczne.

- Przepraszam, komisarzu, widzę, że panu nie do śmiechu - zreflektował się Borowski. -

Dopiero co się obudziłem. Wróciłem z tego wesela o siódmej rano. Fajna impreza, wśród gości była nawet Kayah i zgodziła się zagrać z nami kilka kawałków. No, ale wracając do pieniędzy. Poza tym wszystkim mam zespół Kiszka Kartoflana. Dajemy czasem koncerty.

Słyszał pan może?

- Nie.

- Gramy absurd rocka. Ale zaczynaliśmy od fekał rocka. Byliśmy prekursorami w Polsce.

- Od czego? - Mortce wydawało się, że się przesłyszał.

- Od piosenek o kupie - powiedziała wesoło Anna Borowska, która podała kawę policjantowi i herbatę strażakowi, drobiąc przy tym zabawnie jak japońska gejsza. - Chłopaki śpiewali o kupie - kontynuowała, szczebiocząc radośnie. - Wie pan, jak byliśmy młodszy, to tłumy szalały, kiedy mogły wyć: „Fekał, fekał, fekał”. No i dziewczyny na to leciały. Na przykład ja.

Usiadła na oparciu fotela obok męża i położyła mu dłoń na udzie, na tyle wysoko, że ktoś mógłby to uznać za nieprzyzwoite. Mortka odniósł wrażenie, że w ten sposób instynktownie znaczyła teren. Musiała bać się konkurencji ze strony innych kobiet.

- O panu Kowalskim już wiem, Dream Theater rządzi. A pan, komisarzu, czego słucha? - zapytał Borowski i nachylił się do policjanta.

- Radia.

Nad stołem zapadła cisza.

- Poważnie? - odezwał się muzyk.

- Poważnie.

- To musi pan mieć naprawdę smutne życie.

- Pan komisarz na pewno ma jakiś ulubiony rodzaj muzyki, jakiś ulubiony zespół! - wtrąciła się Anna Borowska.

Mortka poczuł, że powinien powiedzieć im coś na odczepnego, bo inaczej nie dadzą mu spokoju.

- Kiedyś słuchałem Dżemu - odparł, i nawet było w tym trochę prawdy. - *Whisky, Jak malowany ptak, Czerwony jak cegła*, te rzeczy.

- Słuchał pan? Czas przeszedł? Co się stało? - zapytał Borowski, który nagle zrobił się nieprzyjemnie dociekliwy.

Mortka przełknął ślinę. Zerknął na koszulkę muzyka.

- Riedel umarł - zaryzykował.

Borowski pokiwał głową z aprobatą.

- Słusznie. Bez Ryśka to już nie to samo. Dewódzki i Balcar się starają, ale to nie to.

Tylko Rysiek czuł bluesa. - Borowski przerwał i spojrzał na policjanta. - Szacunek, stary - powiedział.

Odpowiedź Mortki najwyraźniej go usatysfakcjonowała, a policjant postanowił wykorzystać moment, żeby przejść do tematu, który naprawdę go interesował.

- Chciałem porozmawiać na temat pożaru, do którego doszło u państwa w domu na początku grudnia zeszłego roku.

Borowski machnął lekceważąco dłonią.

- O czym tu mówić. Kiedy wychodziłem z domu, zostawiłem ogień w kominku jak ostatni debil. Mieliśmy, co prawda, taką żeliwną osłonę, ale nie pomogło.

- Czyli nie było państwa wtedy w domu?

Anna Borowska pokręciła głową.

- Janek grał koncert z Kiszkami.

- Gdzie?

- W Stodole. To była taka większa impreza absurd rockowa. Grał jeszcze Zacier. O

Zacierze to już na pewno pan słyszał?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- „Jestem odpadem atomowym, jestem odpadem atomowym, nikt mnie nie kocha, nikt mnie nie lubi, nikt mnie nie chce, nikt mnie nie szanuje”- zanuciła Anna Borowska. Miała przyjemny, delikatny, ale dziewczęcy głos, który równie dobrze mógłby należeć do dziesięciolatki.

- To ich piosenka?

- Tak. Zna pan?

- Nie. Ale to nieważne. Wróćmy do sprawy pożaru, dobrze? Byli państwo na koncercie, tak?

- Aha. Wyszliśmy koło osiemnastej, wróciliśmy dopiero po północy. Oboje mieliśmy wyłączone komórki, więc cała heca związana z pożarem nas ominęła - odpowiedziała.

- Rozumiem. Z tego co wiem, zniszczenia nie były duże?

- Nie. Na szczęście. Sąsiad zobaczył płomienie, najpierw zawiadomił straż, a potem natychmiast włamał się do nas i zaczął akcję ratowniczą.

- Włamał się?

- Rozbił okno. Razem z synami gasił pożar wodą z wiadra i szlauchem, który podłączyli do kranu w kuchni - wyjaśnił Jan Borowski. - Muszę powiedzieć, że tym swoim gaszeniem zrobili większe szkody niż ogień - roześmiał się. - Oczywiście żartuję. Od tamtego czasu co tydzień kupuję im flaszkę z podziękowaniem.

- Kiedy przyjechaliśmy, to właściwie nie było już co gasić - dodał aspirant Kowalski.

- Po co te wszystkie pytania? - zainteresowała się Borowska. - Przecież sprawa jest wyjaśniona.

Kowalski spojrzał na Mortkę. Z jednej strony komisarz nie chciał zdradzać za dużo, ale z drugiej jednak musiał jakoś wytłumaczyć swoją wizytę. Z doświadczenia wiedział, że odpowiedź wymijająca zrodziłaby wiele niepotrzebnych, a nawet szkodliwych plotek, które mogłyby utrudnić śledztwo.

- Powiedzmy, że rozważamy możliwość, że było to jednak podpalenie, a nie wypadek - odparł.

- To bez sensu - stwierdził muzyk. - Przecież mówiłem, że zostawiłem ogień w kominku.

- Tak, ale nie wykluczamy, że popełniliśmy parę błędów - wtrącił się Kowalski.

- Nawet jeśli, to czy nie jest już za późno? - zapytała Borowska. - Minęło półtora miesiąca, wszystko naprawiliśmy i szczerze mówiąc, zdążyliśmy zapomnieć o całej sprawie.

- W okolicy wydarzył się podobny pożar jak u państwa - zaczął Mortka. - Policja ma obowiązek sprawdzić wszystkie możliwości. Dlatego prosiłbym, żeby państwo poświęcili mi jeszcze parę minut. Najprawdopodobniej, powtarzam, najprawdopodobniej, ma pan rację i niestety przyczyną pożaru u państwa w domu było pozostawienie rozpalonego kominka, ale my musimy dmuchać na zimne. Sami państwo rozumieją.

Borowscy popatrzyli na siebie. Cała sprawa była dla nich tylko barwną anegdotką.

Pewnie opowiadali ją już tyle razy, że sami nie wierzyli, że ktoś chce jej jeszcze słuchać.

- Proszę pytać - powiedziała Borowska.

- Gdyby to było podpalenie, to czy mają państwo jakichś wrogów, którzy mogliby to zrobić?

- Nie. Raczej nie.

- Raczej nie?

- Okej. Jest taki jeden, który ma do mnie żal, bo go wyrzuciliśmy z zespołu. Do tego facet ma różne wysoki na swoim koncie, ale moim zdaniem to nie on - stwierdził Borowski.

- Dlaczego nie?

- Bo siedzi w psychiatryku.

Mortka wyciągnął notatnik i długopis.

- Może mi pan podać jego imię i nazwisko?

- Po co?

- Na wszelki wypadek.

Borowski prychnął i spojrzał rozbawiony na żonę.

- Nie ma sprawy. To Robert Wieża. Z Warszawy. Teraz jest w Tworkach. Nie znam dokładnej diagnozy.

- Myśli pan, że to on? - zapytała Anna.

Ona z kolei wydawała się autentycznie przejęta. Mocno zaciskała dłoń na udzie męża, aż jej kłykcice zrobiły się całkowicie białe.

- Nie, nie sądzę. Ale lepiej sprawdzić - odpowiedział Mortka. - Mam kolejne pytanie: czy przed pożarem nie widzieli państwo w okolicy czegoś podejrzanego? Na przykład obcych ludzi, którzy się tutaj włóczyli? Nieznanych samochodów?

- Nie - rzucił Jan. - Kochanie? - zwrócił się do żony.

- Ja też nie widziałam nikogo obcego. A przynajmniej nic mi nie przychodzi do głowy. Mortka nie spodziewał się innej odpowiedzi. Minęło już półtora miesiąca od pożaru, a w tym czasie były święta Bożego Narodzenia i sylwester. Nic dziwnego, że nawet jeśli widzieli kogoś podejrzanego, to dawno już o tym zapomnieli. Ale zapytać musiał.

- Znaleźli może państwo podczas sprzątania kawałki butelki w kominku lub okolicach? Borowski kiwnął głową.

- Tak - przyznał. - Nawet zastanawialiśmy się, skąd się tam wzięło szkło. Pamiętasz, kochanie?

- Pamiętam. To była butelka po wódce. My nie pijemy wódki. Śmialiśmy się, że to sąsiad lał wodę z tej butelki, kiedy gasił nasz pożar.

Roześmiała się, ale widząc poważną twarz komisarza, natychmiast ucichła.

- Pewnie nie zachowali państwo tych kawałków szkła?

Pokręcili przecząco głową.

- To ma jakiś związek z podpaleniem? - zapytał Borowski.

- Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

- Dobro śledztwa? - domyślił się muzyk.

- Tak. Dobro śledztwa. A znali państwo Kameronów? Klaudię i Jana Kameronów?

Zastanawiali się chwilę.

- Nie - powiedzieli w końcu niemal jednocześnie.

Mortka zamknął notatnik i schował go do kieszeni. Dopił szybko swoją kawę.

- Dziękuję państwu za poświęcony mi czas. Nie mam więcej pytań.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel i wyjął wizytówkę. Położył ją na stole przed Borowskimi.

- Tutaj jest mój numer telefonu. Gdyby przypomniało się państwu coś jeszcze, to proszę do mnie dzwonić.

- Jasne - odparł Borowski.

Komisarz wstał. Jego wzrok padł na jedną z gitar - czarną i lśniącą o bogato zdobionym gryfie. Takiego instrumentu używali amerykańscy bluesmani na teledyskach. Nagle coś go tknęło. Zrozumiał, że źle postawił jedno z pytań.

- A znają państwo Klaudię Klau? - zapytał.

Borowski uśmiechnął się tak szeroko, jak to tylko możliwe.

- Klaudia Klau! Pierwsza dama polskiej piosenki fekalnej.

Mortka nie zrozumiał, więc Borowski zaczął od razu wyjaśniać, co miał na myśli.

- To przez jej pseudonim. Wie pan, Klaudia Kał. - zrobił pauzę - ...Kał brzmi prawie tak samo jak Klau, więc szybko się przyjęło. Swoją drogą, ludzie, którzy wymyślali jej pseudonim artystyczny, mogli się trochę bardziej wysilić.

- Znał ją pan?

- Tylko jako, no powiedzmy, artystkę. Wie pan, jej, nazwijmy to tak, twórczość, jest kultowa w niektórych kręgach.

To zabrzmiało interesująco. Mortka z trudem powstrzymał się, żeby znowu nie usiąść na kanapie.

- W jakich kręgach?

- Zbliżonych do Kiszki Kartoflanej i fekal rocka - wyjaśniła Borowska. - To nie są szerokie kręgi.

- Poza tym jej muzyka jest dość, jakby to powiedzieć, gówniana. - dodał muzyk.

Mortka poczuł, że serce zabiło mu mocniej. Pomyślał o kobiecie, która leżała teraz w szpitalu - ciężko poparzona, ze złamanym życiem, a do tego straciła męża. To nie było *fair*, że

Borowski tak się o niej wyrażał.

- A znacie Michała „Stasia” Stasińskiego? - zapytał, starając się zachować spokój.

- Osobiście! - oświadczył z udawaną dumą Borowski. - Wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze gówniarzem, naobiecował, że wypromuje Kiszkę i zrobi z nas gwiazdy. To było takie pijackie gadanie, ale Staś był wtedy fajnym facetem. Dało się z nim pogadać, doradzał, chciał pomagać. A potem sprzedał się mamonie i zrobił się z niego zwykły, korporacyjny złamas.

- Podobno miał jakieś spięcie z mężem Klaudii Klau - powiedział komisarz.

- Nic o tym nie wiemy. Szczerze mówiąc, to ze Stasiem ostatni raz się widzieliśmy. -

Borowski zmarszczył brwi - ...ze dwanaście lat temu. Jak ten czas leci.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jeszcze raz dziękuję państwu za poświęcony czas. - Mortka zakończył rozmowę.

Pożegnali się szybko. Gospodarze odprowadzili ich do drzwi. Komisarz miał już wychodzić, kiedy poczuł, że musi coś powiedzieć. Odwrócił się i spojrzał Borowskiemu prosto w oczy.

- Co do Klaudii Klau.

- Kał - poprawił go szybko Borowski.

- Powinien pan wiedzieć, że mieszkała niedaleko. Po drugiej stronie Puławskiej.

Borowski uśmiechnął się i klasnął w rękę.

- Naprawdę? Tak blisko! Kurde, szkoda, że jej nie spotkałem. Wziąłbym autograf.

- Powiedział pan, że mieszkała. - szepnęła Borowska.

Mortka spojrzał na nią z uznaniem. Była bystrzejsza od męża.

- Mieszkała. W nocy z piątku na sobotę w jej domu wybuchł pożar. Jej mąż nie żyje.

Ona sama jest bardzo ciężko poparzona. Walczy o życie.

Oboje wytrzeszczyli oczy.

- Miłej niedzieli - rzucił Mortka i odwrócił się.

Kiedy razem z Kowalskim odjeżdżał spod domu, Borowscy ciągle jeszcze stali w drzwiach.

Jechali chwilę w milczeniu. Kowalski bębnił palcami o kierownicę. W końcu się odezwał.

- Dlaczego się tak zachowałeś? Dlaczego im powiedziałaś o Kameronach? I to w taki sposób?

- Ona jest w porządku - odparł Mortka, myśląc o Annie Borowskiej. - Ale on. Nie lubię takich ludzi.

- Jakich?

- Przemądrzałych. Gra w jakimś gównianym zespole, o którym nikt nigdy nie słyszał, żyje z fuch, które łapie nie wiadomo gdzie, i brzdąka do kotleta na weselach, ale i tak uważa się za gwiazdora. „Klaudia Kał, pierwsza dama polskiej piosenki fekalnej”. - Mortka prychnął

wściekle. - Dziewczyna może nie jest jakąś śpiewaczką operową, ale przynajmniej coś próbowała w życiu zrobić i coś osiągnęła, a taki przemądrzały dupek.

- Spokojnie panie komisarzu, bo się pan zapowietrzy - przerwał mu strażak.

Mortka nie odpowiedział. Kowalski włączył radio. Akurat leciała piosenka Dżemu. A może to była Budka Suflera? Mortka właściwie nigdy ich nie rozróżniał.

Kolejny dom znajdował się pół kilometra od Borowskich. Mieszkała w nim czteroosobowa rodzina. W dzień pożaru pojechali na cotygodniowy obiad do krewnych pod Warszawą i jak zwykle przy takich okazjach spotkanie się przeciągnęło. Teść wyciągnął na stół wódkę, rozpoczęły się rozmowy o polityce i nim się zorientowali, już dzwoniła do nich straż pożarna, żeby poinformować o wybuchu ognia. Nie, nie mieli żadnych wrogów. Nie znali

Kameronów, Michała Stasińskiego ani Klaudii Klau. Nie, nie widzieli w okolicy nikogo podejrzanego. Oni również sądzili, że przyczyną pożaru musiał być błąd z ich strony - nie do końca wygaszony kominek, a może spięcie w instalacji elektrycznej. Nie mieli ubezpieczenia, ale straty nie okazały się poważne. Ogień nie wyszedł poza pokój kominkowy. Naprawili wszystko sami z pomocą teścia, który miał zakład stolarski i był złotą rączką.

Po tej wizycie Kowalski podwiózł Mortkę na stację metra. Rozstali się i umówili na ewentualny kontakt telefoniczny.

Dochodziła godzina druga. Komisarz znalazł kebabownię, gdzie zjadł szybki obiad, a później pojechał do pałacu Mostowskich. W niedzielę pracowało tam niewiele osób. W ciszy i spokoju wypełnił zaległą papierkową robotę, a potem poszukał informacji o Kameronie. Z

grubsza wszystko pokrywało się z tym, co usłyszał od Grudy. Biznesmenowi szło dobrze w latach dziewięćdziesiątych. Jego majątek szacowano na ponad kilkadziesiąt ówczesnych milionów. Ale później, od roku 2000, było tylko gorzej. Dwie firmy - jedna działająca w branży gastronomicznej (restauracje), a druga w odzieżowej (sieć sklepów) - upadły. Udziały w knajpach sprzedał. Zniknął z rad nadzorczych i zarządów kolejnych przedsiębiorstw.

Obecnie zaangażował się tylko w jedno przedsięwzięcie - firmę produkcyjno-handlową Komistex, która zajmowała się wytwarzaniem elementów hydraulicznych z tworzyw sztucznych oraz podobnym asortymentem. W firmie było zatrudnionych kilkanaście osób, a siedziba mieściła się pod Piasecznem. Komistex-Transport (oddział Komisteksu) świadczył

usługi transportowe i logistyczne. Współwłaścicielem obu spółek był niejaki Mariusz Wyrwa, lat czterdzieści pięć. Mortka zapisał jego nazwisko.

Potem zadzwonił do zakładu w Tworkach. Przedstawił się i powiedział, w jakiej sprawie telefonuje, a następnie obiecał, że zaraz wyśle odpowiednie papiery, ale sprawa jest pilna, bo morderca może być na wolności, więc należy się śpieszyć i wyeliminować tyle hipotez, ile to tylko możliwe. Przemawiał w ten sposób przez dobrych dziesięć minut, zanim lekarka, która odebrała telefon, zgodziła mu się nieoficjalnie powiedzieć, że tak, Robert Wieża znajduje się w szpitalu i nie, nie opuszczał go przez ostatnie pół roku. Był jedynie na wycieczkach organizowanych przez szpital. Odmówiła jednak udzielania jakichkolwiek informacji na temat jego stanu zdrowia.

- I tak już powiedziałam panu za dużo - stwierdziła na koniec.

Mortka podziękował i się rozłączył.

A więc to nie Wieża - pomyślał i spojrzął na zegarek. Dochodziła szósta. Do Wyrwy zadzwoni lub pojedzie jutro.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ma coś jeszcze do roboty, ale stwierdził, że nie.

Śledztwo powinno ruszyć z kopyta dopiero w poniedziałek. Po chwili wahania wszedł na YouTube'a i znalazł tam teledysk Klaudii Klau. Po kilku minutach z żalem stwierdził, że Borowski miał rację - ta muzyka była główniana.

Rozdział 6

Od samego rana Mortka miał zły humor. W kuchni zastał zlew pełen niepozmywanych naczyń i śmierdzące resztki jedzenia na stole, łazienka też się lepiała od brudu. Czuł się tak, jakby mieszkał w jakimś chlewie. Pozmywał naczynia, zalał sedes domestosem i głodny pojechał do pracy, wcześniej instalując akumulator w samochodzie. Już na komendzie przygotował sobie mocną kawę, którą popił dwa pączki. Po takim śniadaniu musiał wypić jeszcze pół litra wody, żeby pozbyć się słodkiego smaku z ust.

Kochan przyszedł dwadzieścia minut po ósmej. Wesoły i uśmiechnięty, gwizdał pod nosem piosenkę, w której Mortka po chwili rozpoznał utwór Klaudii Klau.

- Musimy iść do szefa - powiedział na przywitanie komisarz.

- A gdzie dzień dobry, kolego, jak ci minęła niedziela i takie tam?

Mortka podniósł brwi i palcem wskazał na wyjście.

- Musimy iść do szefa - powtórzył.

- A wołał już nas?

Mortka kiwnął głową. Kilka minut wcześniej odebrał wezwanie. Podinspektor Artur Andrzejewski, szef Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, chciał poznać szczegóły sobotniego zajścia. Im szybciej, tym lepiej.

- Dobra. Chodźmy w takim razie do wielkiego AA. Tylko zdejmę kurtkę - powiedział Kochan.

Mortka pozwolił koledze się rozebrać i trochę ogarnąć. Dokładnie o wpół do dziewiątej zapukali do gabinetu Andrzejewskiego.

- Wejść.

- Panie przodem - szepnął Kochan i puścił Mortkę.

Kiedy Mortka zaczynał pracę, był pewien, że szef wydziału zajmuje największy pokój w całym budynku i siedzi za dębowym biurkiem na potężnym, skórzanym fotelu. Tymczasem okazało się, że jego gabinet jest akurat na tyle duży, że mogli się w nim zmieścić w trójkę.

Biurko nie było dębowe, ale ze sklejki. Pod ścianą zaś stały szafki z dokumentami, i to właściwie wszystko. Przygnębiająco skromnie - biorąc pod uwagę stanowisko, rangę, staż i znaczenie Andrzejewskiego w strukturach stołecznej policji.

Stanęli naprzeciwko szefa i obserwowali, jak rozmawia przez telefon, monotonnie powtarzając do słuchawki: „Tak, tak, tak”, ale z każdym słowem twarz robiła mu się coraz bardziej czerwona. Wreszcie rozłączył się i cisnął komórkę na biurko, jakby chciał ją rozwalić na drobne kawałki. Odbiła się od blatu i wylądowała na podłodze. Mortka domyślił się, że Andrzejewski znowu rzucił palenie. I znowu z kiepskim skutkiem, bo w pokoju wyraźnie dało się wyczuć zapach dymu tytoniowego.

- Ożeż kurwa mać! - zaklął podinspektor i schylił się po telefon.

Kochan delikatnie trącił kolegę łokciem i posłał mu pytające spojrzenie. Komisarz wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, z kim rozmawiał Andrzejewski, i nie zamierzał się tym interesować.

- Dobra, chłopaki, jak sytuacja? - warknął podinspektor i założył ręce za głowę.

Andrzejewski był mało sympatycznym, łysym i lekko grubawym typem o niewielkich oczach, które ginęły pod gęstymi brwiami i w fałdach skóry wokół powiek. Surowy, skąpy w pochwałach, od kiedy został szefem wydziału więcej czasu spędzał przed komputerem, na naradach i zakopany w papierach niż wśród swoich ludzi. Niektórzy zaczęli już mówić, że podinspektor bardziej wierzy Google'owi niż policyjnym informatorom. Słyszał z braku poczucia humoru, a ponieważ wiecznie rzucał palenie, to zawsze chodził rozdrażniony. Ale dało się z nim

żyć.

Mortka lubił Andrzejewskiego. Podobało mu się to, że każdą sprawę mógł z nim załatwić niemal od ręki. Może nie zawsze po swojej myśli, ale po wyjściu z gabinetu miał przynajmniej jasność sytuacji. To było dobre. Posuwało robotę do przodu.

Komisarz krótko zrelacjonował wydarzenia z soboty i niedzieli. Zaakcentował fakt, że Jankowski potwierdził podpalenie. Później podsumował informacje na temat interesów Jana Kamerona oraz kariery muzycznej jego żony. Podinspektor słuchał uważnie. Kiedy Mortka skończył, Andrzejewski sapnął, wstał i obszedł biurko.

- Ta hipoteza o podpalaczu. - powiedział i zawiesił na chwilę głos. - Co o niej sądzisz, Kuba? Może się okazać prawdziwa?

- Straż pożarna uważa, że tak.

- A co ci podpowiada twój psi węż?

Mortka powinien spodziewać się tego pytania i przygotować odpowiedź zawczasu.

Zamiast tego miał pustkę w głowie. Nie był jeszcze do końca przekonany do teorii o podpalaczu biegającym po Ursynowie z koktajlem Mołotowa, ale też nie potrafił wymyślić sensownej alternatywy.

- Nie można tego wykluczyć, szefie - odpowiedział z ociąganiem. - Ale na razie sprawdziłbym inne możliwości. Wiemy, że Kameron miał związki ze światem zorganizowanej przestępczości i że ostatnio najwyraźniej nie wiodło mu się w interesach.

Może miał długi? Może ktoś, komu nadepnął kiedyś na odcisk, właśnie sobie o tym przypomniał i postanowił się zemścić? Możliwości jest wiele, a ta o podpalaczu grasującym w okolicy Puławskiej jest najmniej prawdopodobna.

- Ale nie można jej wykluczyć - mruknął Andrzejewski.

Te słowa zawisły między nimi.

- To byłaby katastrofa - dodał podinspektor. - Trzy pożary wywołane w ten sam sposób i nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Nie powiadomiono nas. Nie było trupów - wtrącił Kochan.

- Myślisz, że to kogoś będzie obchodzić, Kochan? Jeśli to się potwierdzi, rzuci się na to prasa. Jeśli rzuci się na to prasa, to na komendanta stołecznego rzuci się komendant główny, a komendant stołeczny rzuci się na mnie. I wiecie co? - Wskazał na nich palcem. - Ja rzucę się na was. A to wam się nie będzie podobać.

- Na nas? Dlaczego na nas? - zaprotestował Kochan. - Przecież zajmujemy się tym dopiero od soboty! To nie nasza wina, że straż pożarna wcześniej nas nie zawiadomiła.

- A kogo to będzie obchodzić? - powtórzył Andrzejewski.

- To wina straży pożarnej.

- Darek, strażaków wszyscy lubią. Strażacy są mili, sympatyczni, dobrze wyglądają na zdjęciach z politykami. Nawet jeśli popełnili błąd, to za ten błąd zapłacimy my. Dotarło?

Kochan niechętnie skinął głową.

- Dacie sobie z tym radę? - zapytał Andrzejewski.

- Damy - odpowiedział Mortka. - Weźmiemy do pomocy chłopaków z Ursynowa.

Rozmawiałem już z ich komendantem. Sensowny gość.

- Wiem. Znam go. Na wszelki wypadek wyślę mu jeszcze dzisiaj oficjalne pismo, żeby miał podkładkę.

Podinspektor wrócił za biurko, otworzył laptopa i kilka razy uderzył palcami w klawisze, a potem długo i bez słowa wpatrywał się w ekran. Mortka zastanawiał się, czy to oznacza, że powinni już iść.

- Przydzielę wam szamana - odezwał się Andrzejewski, kiedy policjanci zrobili krok w

stronę drzwi.

Kochan spojrzął znacząco na Mortkę i zrobił zniechęconą minę.

- Czy to nie za wcześnie? - zapytał komisarz.

- A na co chcesz czekać? - odpowiedział pytaniem Andrzejewski. - Kuba, sprawa jest prosta. Jeśli się okaże, że naprawdę mamy w mieście podpalacza, to chcę, żebyśmy mogli szczerze przyznać, że zrobiliśmy wszystko, co tylko możliwe, żeby go złapać. Jeśli wiąże się to ze współpracą z psychologiem, to będziecie współpracować z psychologiem. Rozumiecie?

Ani Mortka, ani Kochan nie lubili policyjnych profilerów. Byli to zwykle przemądrzali okularnicy, którzy wykonywali swoją pracę byle jak, a przygotowywane przez nich portrety psychologiczne więcej zaciemniały, niż wyjaśniały. Co nie przeszkadzało im po rozwiązaniu sprawy zachowywać się tak, jakby złapanie mordercy było wyłącznie ich zasługą.

- A teraz do roboty, chłopaki. Albo złapcie tego podpalacza, albo jednoznacznie wykluczcie, że ktoś taki włóczy się po Warszawie. Oba rozwiązania tak samo mnie satysfakcjonują - powiedział Andrzejewski na koniec.

Siedzieli naprzeciwko siebie, każdy zapatrzony w ekran własnego komputera. Kochan przez słuchawki słuchał muzyki z YouTube'a, a Mortka cierpliwie sprawdzał skrzynkę mailową. Uporanie się ze wszystkim zajęło mu dwadzieścia minut.

- Dostałem powiadomienie o wszczęciu śledztwa. Przydzielono nam Szydłonia - powiedział w końcu do Kochana.

Kochan podniósł głowę, spojrzął zaskoczony na kolegę i zdjął słuchawki.

- Prokuratura wszczęła śledztwo. Dostaliśmy Szydłonia - powtórzył Mortka.

- Szydłonia? - odparł Kochan, gryząc długopis. - To chyba dobrze. Facet się przynajmniej nie wtrąca.

- Ale ma ambicje polityczne.

- Ale się nie wtrąca.

- Też prawda - zgodził się Mortka.

- Czego chce?

- Żeby go informować.

- To będziemy go informować. A teraz jaki mamy plan?

Komisarz otworzył kalendarz i przejrzał notatki, które zrobił dzień wcześniej.

- Trzeba pojechać do Komisteksu, to firma Kameron, powiadomić pracowników oraz współnika o śmierci szefa i wszystkich przesłuchać.

- Jezus. - jęknął Kochan. - To robota na cały dzień.

- Zgadza się. Dlatego ty to zrobisz.

- Ja? Dlaczego!?

- Wolisz to, czy pojechać do szpitala na Szaserów i powiadomić panią Klaudię Kameron, że jej mąż nie żyje?

Kochan pstryknął palcami.

- Wygrałeś, mistrzu. Jadę do Komisteksu pogawędzić sobie z pracownikami. Może ten Kameron miał jakąś fajną sekretarkę, którą trzeba będzie pocieszyć. Pocieszyć w pupę na przykład.

Wstał i zaczął się ubierać.

- Masz żonę i dziecko - przypomniał mu Mortka.

- Przecież żartowałem, Kuba. Na razie.

Kochan wyszedł. Mortka uśmiechnął się. Wyrwał z zeszytu czystą kartkę, napisał na niej kilka słów i spojrzął na zegarek. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści. Po czterdziestu Kochan wrócił do pokoju.

- Dobra, gdzie to jest?

Mortka podał mu bez słowa kartkę z adresem. Podkomisarz klepnął go po plecach i wyszedł po raz drugi.

Rozdział 7

Mortka nie lubił szpitali niemal od zawsze. Przerażały go zapach detergentów i szelest nakrochmalonych białych fartuchów, który kojarzył mu się ze śmiercią.

Kiedy był mały, ojciec, lekarz w szpitalu miejskim, brał go ze sobą do pracy, chcąc zaszcześcić w synu miłość do medycznego fachu. Podobało mu się wtedy to miejsce: te wszystkie narzędzia, wielkie strzykawki, tajemnicze lekarstwa trzymane pod kluczem. Aż w końcu pewnego dnia po raz pierwszy zobaczył trupa. Były to zwłoki osiemdziesięcioletniego staruszka, który zmarł na zawał serca. Dwie pielęgniarki prowadziły do kostnicy wózek, na którym leżało szare, bezwładne, martwe ciało. Mały Kuba popłakał się. I płakał jeszcze długo po powrocie do domu, mimo że ojciec kazał mu przestać, a potem nazywał babą, beksą i małą dziewczynką.

Nie chciał więcej chodzić do szpitala. Bał się nawet wizyt w zwykłej przychodni, bo przez długi czas był przekonany, że idzie się tam tylko po to, żeby umrzeć. Z biegiem lat ten strach minął, ale i tak wybił rodzicom z głowy plan wysłania go na Akademię Medyczną.

Kiedy został policjantem, wizyty w szpitalach stały się nieodłącznym elementem jego pracy. Nie potrafił zliczyć, ile razy odwiedzał kobiety pchnięte nożem przez mężów, ofiary gangsterskich strzelanin czy nastolatków, którzy przypadkiem stanęli na drodze bydłaka z kijem bejsbolowym.

W szpitalu wojskowym na Szaserów wyszła po niego czarnowłosa doktor o zmęczonej i przepracowanej twarzy. Każdym gestem zdawała się wysyłać sygnały, że wolałaby być gdzieś indziej, z dala od pacjentów, łóżek, pielęgniarek, śmierci, chorób i cierpienia. Mortka podejrzewał jednak, że musi być ona znakomitym lekarzem. Taki poziom zniechęcenia, czy wręcz nienawiści do własnego zawodu potrafią osiągnąć tylko ludzie, którzy poświęcają się mu całym sercem.

- Jak ona się czuje? - zapytał, kiedy szli pachnącymi chlorem korytarzami.

Komisarz pomyślał, że lekarka pasowała do tego miejsca - miała stanowczy, wojskowy krok. Świetnie prezentowałaby się na defiladzie, maszerując na czele oddziału piechoty, ubrana w zielony mundur, z hełmem na głowie i bambusową tyczką angielskiego oficera pod pachą.

- Pani Kameron? Lepiej niż moglibyśmy się spodziewać. Obrażenia nie są tak poważne, jak to na pierwszy rzut oka wyglądało. Ale wie pan, piękna to ona już nigdy nie będzie. Ma poparzoną prawie całą twarz, dekolt, nogi i lewą rękę. No i do tego złamaną jedną nogę i skręconą drugą. Na szczęście nie odniosła żadnych obrażeń wewnętrznych. Fizycznie będzie zdrowa.

- Fizycznie? A twarz?

- Trochę źle się wyraziłam. Chodzi mi o to, że wszystko będzie działać. Może mieć natomiast problemy psychiczne. Sam pan rozumie. To była piękna kobieta. Takie obrażenia strasznie wpłyną na jej poczucie własnej wartości.

Mortka kiwnął głową.

- Dlatego bardzo bym prosiła, żeby postarał się pan nie okazywać emocji - ciągnęła lekarka. - Jej widok może panem wstrząsnąć.

- Jestem policjantem. Widziałem wiele trupów, ofiar pobicia, przemocy domowej, wypadków i mógłbym jeszcze długo wymieniać.

Zmarszczyła brwi, zirytowana jego wyliczanką.

- Wierzę panu, komisarzy - powiedziała. - Ale i tak czuję się w obowiązku prosić pana o delikatność.

- Będę delikatny.

Doszli do Oddziału Klinicznego Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Leczenia

Poparzeń. Zatrzymali się przed pokojem, w którym znajdowało się otoczone specjalistycznym sprzętem jedno z dwóch w stolicy łóżek dla osób ciężko poparzonych. Lekarka przywitała się z pielęgniarzem w dyżurce, który natychmiast dał jej kilka gęsto zadrukowanych kartek do podpisania. Szybko przerzuciła je, czytając tylko nagłówki.

- Czy ktoś już jej powiedział o mężu? - spytał Mortka.

- Nie - odparła i oddała pielęgniarzowi podpisane dokumenty. - Przez ostatnie dni była pod wpływem środków przeciwbólowych. Ledwo wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Dopiero wczoraj w nocy zmniejszyliśmy dawki. Dzisiaj jest osłabiona, może mieć trudności z kojarzeniem faktów, ale jej stan się ustabilizował. Jednak nie będzie pan mógł z nią długo rozmawiać. Daję panu dziesięć minut, nie więcej. Jeśli tylko zauważymy, że dzieje się coś nie tak, natychmiast wychodzi pan z sali. Zgoda?

- Zgoda. Chociaż dziesięć minut to niewiele.

- Na więcej nie ma pan co liczyć, komisarzu. Ktoś od nas będzie w pobliżu. Na wszelki wypadek.

Mortka zajął do pokoju. Tuż obok łóżka siedziała starsza kobieta z wielką blond trwałą, wyglądającą jak hełm czołgisty. Komisarz domyślił się, że to matka Klaudii.

- Nie lubię tego - powiedział.

- Powiadamiać bliskich o śmierci? - domyśliła się lekarka.

- Ludzie najpierw obarczają nas winą za to, co się stało, bo nie zapobiegliśmy przestępstwu, potem mają nam za złe, że jeszcze nie złapaliśmy zabójcy, a w końcu wydzwanają do nas z pretensjami, że wyrok był za niski. Ale przede wszystkim nienawidzą nas dlatego, że to my przynieśliśmy złe wieści.. - Zamilkł, żeby przejechać językiem po wewnętrznej stronie zębów. - O tym zawsze trudno się mówi. Spotkać kogoś po raz pierwszy w życiu i przekazać taką nowinę.

- Jeśli pan chce, mogę to zrobić. Chyba mam większą wprawę od pana.

- Dziękuję, ale nie.

- Jak pan chce. Będę w pobliżu. Przyślę pielęgniarza, żeby stał przy drzwiach i interweniował, gdyby coś się stało.

- Jasne.

Mortka westchnął, policzył w myślach do pięciu i wszedł do pokoju.

Kobietę na łóżku niemal w całości zawinięto w białe, czyste bandaże i podpięto mniejszymi i większymi rurkami do aparatury medycznej, tak że przypominała baterię, która ją zasila. Warstwy sterylne materiału odsłaniały tylko blade, drobne usta oraz jedno, przerażone oko. Zapach lekarstw i środków dezynfekujących, charakterystyczny dla szpitala, był tak mocny, że niemal nieznośny. Mortka poczuł, że wilgotnieją mu dłonie.

- Dzień dobry - powiedział z trudem, zdając sobie sprawę, jak absurdalnie brzmi to przywitanie wypowiedane w stronę rannej kobiety. - Komisarz Jakub Mortka. Jestem z Wydziału do zwalczania Terroru Kryminalnego i Zabójstw.

Starsza blondynka z trwałą dygnęła na krześle. Klaudia Kameron tylko patrzyła.

Pomimo środków przeciwbólowych musiała potwornie cierpieć. Oparzenia były rozleglejsze, niż Mortka przypuszczał. Aż bał się wyobrazić sobie, jak wygląda jej skóra.

- Przyszedłem porozmawiać z panią na temat pożaru - oznajmił.

Kludia Kameron coś wyszeptwała. Matka nachyliła się do jej ust.

- Córka się pyta, co z mężem.

Mortka chrząknął, żeby zdobyć kilka sekund na zastanowienie.

- Niestety - zaczął - pan Jan Kameron nie przeżył pożaru.

W pokoju zapadła przenikliwa cisza. A potem Kludia Kameron wyprostowała się

gwałtownie i z jej poparzonego gardła i ranionych rozgrzanym powietrzem płuc wydobył się przerażający okrzyk, który sprawił, że Mortka cofnął się o krok i zasłonił twarz dłońmi.

Sekundę później wylądował na ścianie, bo wbiegający do sali pielęgniarz odepchnął go mocno na bok. Za pielęgniarem do pokoju wpadła lekarka. Klaudia Kameron wciąż krzyczała. Mężczyzna chwycił ją za ramiona i delikatnie położył na łóżku. Lekarka trzymała w dłoni strzykawkę ze środkiem uspokajającym. Wbiła igłę w przedramię piosenkarki i nacisnęła tłok. Kobieta nagle osłabła i opadła na łóżko. Jej mięśnie zwiotczały, a ona sama zapadła w sen.

Mortka obmył twarz wodą w szpitalnej łazience. Spojrzał w lustro. Wciąż słyszał krzyk Klaudii Kameron. Splunął do umywalki i patrzył, jak ślina pomieszana z krwią spływa do otworu. Kiedy pielęgniarz pchnął go na ścianę, komisarz przygryzł sobie wargę, która lekko spuchła i teraz szczypała.

Wyszedł z łazienki i wrócił pod pokój Klaudii Kameron. Lekarka już tam na niego czekała.

- Nic panu nie jest? - zapytała.

- Nic.

- To dobrze. Dzisiaj z panią Kameron już pan nie porozmawia. Jasne? - zakomunikowała stanowczo.

Ton jej głosu informował, że nie zniesie sprzeciwu.

- Jasne.

Wręczyła mu wizytówkę. Nazywała się Marzena Pawlik.

- Proszę do mnie zadzwonić jutro rano - powiedziała już spokojniej. - Zorientuję się, czy będzie można rozmawiać z pacjentką.

W tej samej chwili pielęgniarka z drugiego końca korytarza zaczęła energicznie machać do lekarki. Pani doktor odmachnęła jej, spojrzała przepaszająco na komisarza i podeszła do salowej. Wymieniły kilka zdań, a potem wspólnie szybkim krokiem udały się w stronę wyjścia.

Komisarz spojrział na zegarek. Kochan pewnie dopiero teraz przebił się przez korki i dojechał do przedsiębiorstwa Wyrwy i Kamerona w Piasecznie. Nie było sensu do niego dzwonić. Tymczasem zza rogu wyszła matka Klaudii Kameron z kubkiem herbaty w dłoni.

Natychmiast skierowała się w jego stronę z taką miną, jakby miała zamiar chlusnąć mu gorącym napojem prosto w twarz.

- Powinien się pan wstydzić! - warknęła. - Moja córka jest w bardzo ciężkim stanie, potrzebuje teraz spokoju, a pan przychodzi tutaj, wchodzi jak do obory i od razu z takimi wiadomościami!

Mówiła szybko, wypluwając z siebie słowa i drobinki śliny.

- Bardzo panią przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak wyglądało - odpowiedział komisarz.

- Nie chciałem, nie chciałem - przedrzeźniała go. - Powinni pana wysłać do psychologa, na jakiś kurs, żeby się pan nauczył, jak takie rozmowy przeprowadzać. Bo to trzeba subtelnie, proszę pana. Subtelnie!

Zaakcentowała ostatnie słowo i wyciągnęła palec w górę, jakby mu groziła.

- Przeszedłem taki kurs.

- To chyba pan mało uważnie słuchał.

Nie chciał ciągnąć tej rozmowy. Sięgnął po notatnik i długopis.

- Jak się pani nazywa?

Tak jak się spodziewał, niemal natychmiast zmieniła swoje nastawienie. Notatnik i długopis to policyjny odpowiednik magicznej różdżki. Wystarczy je wyciągnąć i ludzie od razu potulnieją - pomyślał komisarz. Nie wiedział, z czego to wynikało, ale często działało lepiej od

pałki.

- Katarzyna Budna.

Dla porządku zapisał jej nazwisko.

- Zadam pani kilka pytań - oznajmił.

Rzuciła okiem w stronę drzwi od sali.

- Powinnam być przy córce.

- To zajmie tylko minutkę. Jakie było małżeństwo pani córki?

- Bardzo szczęśliwe - odpowiedziała prędko. - Wręcz wzorowe. Byli tyle lat po ślubie, a wciąż gruchali jak dwa gołąbeczki.

Mortka przypomniał sobie wyłamany zamek do garderoby i opowieści o ciągłych kłótniach w domu Kameronów. Uznał jednak, że nie warto o tym teraz wspominać.

- A pani zięć?

- Wspaniały, cudowny młody człowiek.

Mortka przyjrzał się kobiecie. Mogła być starsza od Kamerna najwyżej o dziesięć lat.

Zauważył, że nie ma obrączki ślubnej. Była pewnie rozwiedziona lub, co bardziej prawdopodobne, wychowywała córkę samotnie.

- To takie straszne, co się z nim stało. Mój Boże. - przeżegnała się. - To musiała być straszna śmierć. Spłonąć żywcem.

- Zapewne cierpiał mniej, niż się pani wydaje. Ofiary pożarów zwykle giną z powodu uduszenia dymem, a nie wskutek poparzeń.

Uniosła wysoko brwi, zdziwiona.

- I to niby miało mnie pocieszyć?

Mortka poczuł, że się czerwieni.

- Nie. po prostu. - chrząknął i szybko zmienił temat, żeby odzyskać panowanie nad rozmową. - Czy pani córka lub jej mąż mieli wrogów?

- Nie! - rzuciła oburzona. - Oczywiście, że nie. Moją córkę i zięcia wszyscy, ale to wszyscy kochali.

Mortka już wiedział, że trafił na beznadziejny przypadek. Znał ten typ matek aż za dobrze. To właśnie takie kobiety chroniły swoich synów gwałcicieli, zapewniając im fałszywe alibi, i pozwalały, żeby mężowie molestowali dzieci tak długo, aż nie zaczną o tym plotkować sąsiedzi. Budna zapewne nie miała pojęcia o prawdziwym życiu małżeńskim córki i zięcia, a nawet jeśli się czegoś domyślała, to prędzej sama wyrwałaby sobie język, niż podzieliła się z policją jakimikolwiek użytecznymi informacjami.

- Skoro córka jest w szpitalu, to pani powinna zająć się domem - poradził. - Teraz pilnują go policjanci, ale to nie będzie trwać wiecznie.

Zapisał coś na kartce, którą potem wyrwał z notatnika i wręczył kobiecie.

- Proszę. To numer do komendy na Ursynowie. Niech pani do nich zadzwoni, porozmawia. Oni powiedzą pani, co ma pani zrobić, dobrze?

Katarzyna Budna spojrzała na kartkę, a potem wyciągnęła z torebki telefon komórkowy.

W tej samej chwili, kiedy wykręcała numer na ursynowską komendę, zadzwonił telefon Mortki. Komisarz spojrzał na wyświetlacz. Nie znał numeru. Odebrał.

- Zakład Medycyny Sądowej, łączę - usłyszał.

Przez moment w słuchawce rozlegał się ciągły sygnał.

- Komisarz Jakub Mortka? - zapytała kobieta po drugiej stronie.

- Tak.

- Tu doktor Halina Trymek z Zakładu Medycyny Sądowej. Dzwonię, żeby powiadomić, że właśnie przeprowadziłam sekcję zwłok pana Jana Kamerna i uważam, że powinien pan do

nas przyjechać. Jak najszybciej.

Mortka nie znał doktor Trymek. Musiała być nowa, bo komisarz miał już okazję pracować z każdym patologiem z zakładu. Kobieta mówiła w specyficzny sposób. Wyrażała się tak, jakby w ogóle nie brała pod uwagę, że ktoś mógłby się jej sprzeciwić. Nie spodobało mu się to.

- Podpisanie protokołów może poczekać, pani doktor. Jestem zajęty.

- Nie, panie komisarzu. Wcale nie chodzi o papiery. Chodzi o to, że pana Kamerona zabito.

- Zginął w pożarze - sprostował Mortka. - Jeszcze nie ustaliliśmy, czy to było morderstwo, zabójstwo, spowodowanie śmierci czy po prostu nieszczęśliwy wypadek.

- Nie, panie komisarzu. Zabito go.

- Zginął w pożarze - przerwał jej zirytowany komisarz.

- Zabito go przynajmniej dwie godziny przed wybuchem pożaru - dokończyła patolog.

Komisarz zaniemówił i poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku.

- Już jadę - powiedział i się rozłączył.

Pobiegł w kierunku wyjścia ze szpitala, zostawiając za plecami Budną.

Rozdział 8

Zakład Medycyny Sądowej nie budził w komisarzu takiej niechęci jak szpital. Wręcz przeciwnie. Czuł się w nim tak pewny siebie i spokojny, że czasami, aż go to przerażało. A przecież i w szpitalu, i w kostnicy pachniało tak samo, używano tych samych narzędzi, a pracownicy chodzili w takich samych fartuchach.

Doktor Halina Trymek wyglądała na czterdzieści parę lat. Należała do tej kategorii kobiet, których urodę określa się męskim przymiotnikiem „przystojna” - wysoka, wyprostowana, krótko obcięta i w okularach. Przypominała psychopatycznego belfra z angielskiej szkoły z internatem.

- Komisarz Jakub Mortka - przedstawił się.

- Halina Trymek. Proszę za mną.

Przeszli do sali, gdzie przeprowadzano sekcje zwłok - zimnego pomieszczenia tonącego w zieleni ceramicznych płytek. Na stole sekcyjnym leżało ciało Jana Kameron. Mortka zdał sobie sprawę, że patrzy na nie po raz pierwszy. W gruncie rzeczy nie za bardzo wiedział nawet, jak Kameron wyglądał za życia. Odnotował w pamięci, że powinien zdobyć jego zdjęcie.

Doktor Trymek założyła gumowe rękawiczki i podała parę komisarzowi. Zbliżyli się do stołu sekcyjnego.

Ciało Jana Kameron pokrywały głębokie, czarne oparzenia, kojarzące się z plamami świeżo wylanej smoły. Z włosów pozostały tylko pojedyncze poskręcane kępki na głowie i torsie. Przyjrzał się założonym po sekcji szwom na klatce piersiowej. Równe, proste, mocne.

Fachowa robota - ocenił.

- Uważa pani, że zamordowano go przed wybuchem pożaru?

Trymek spojrzała na Mortkę znad okularów.

- Panie komisarzu. Współpracujemy po raz pierwszy, więc wybaczę panu to głupie pytanie. Ja to wiem. Pewnie chciał pan zapytać, jak do tego doszłam?

Kiwnął głową. Podała mu raport z sekcji zwłok.

- Jest pan wzrokowcem czy słuchowcem? - zapytała.

- W tej chwili słuchowcem.

- W takim razie raport przeczyta pan sobie w wolnej chwili, komisarzu. Teraz proszę o uwagę. - zawahała się i nagle się uśmiechnęła. - Przepraszam, komisarzu, za mój ton i zachowanie. Przez parę lat byłam wykładowcą akademickim. Pewne przyzwyczajenia pozostają.

- Nie mam nic przeciwko.

- W takim razie przejdę do wykładu.

- Mam notować? - zażartował.

- Wszystko ma pan w raporcie. Potraktujmy go jak skrypt.

Trymek wzięła głębszy oddech. Mortka złapał się na tym, że patrzy w jej dekolt.

Podobały mu się jej piersi. Lekko opalone, kształtne, średniej wielkości.

- Nie będę pana długo męczyć. Przejdźmy od razu do tego, co najważniejsze. W płucach denata nie ma tlenu węgla ani innych substancji, których musiałyby się nawdychać razem z kłębam dymu. Nie jest więc możliwe, żeby denat był żywy w czasie pożaru.

- A czy jest możliwe...

- Nie jest - przerwała mu doktor Trymek. - Osoba mogłaby zginąć od płomieni i nie mieć w płucach tlenu węgla i sadzy tylko wtedy, kiedy w chwili wybuchu pożaru wstrzymałaby oddech na tak długo, aż by umarła. Ale to jest naprawdę mało prawdopodobne.

Kobieta spojrzała Mortce prosto w oczy.

- Rzeczywiście - przyznał komisarz.
- Sam pan widzi.
- Co w takim razie było przyczyną śmierci?

Doktor Trymek podeszła do głowy denata, delikatnie chwyciła ją w obie dłonie i przekreśliła jednym stanowczym ruchem. Wskazała palcem punkt około kilku centymetrów powyżej linii brwi.

- Widzi pan to wgniecenie? To wynik silnego uderzenia tępym przedmiotem. Nachylił się, żeby lepiej się przyjrzeć wskazanemu miejscu. Bez trudu dostrzegł zmiążdżone kości czaszki i kawałki czegoś, co najpewniej kiedyś było mózgiem.
- Skąd pani wie, że obrażenie zostało zadane przed pożarem, a nie jest wynikiem akcji ratowniczej straży pożarnej? Strażacy mogli nabroić, a potem się nie przyznać.
- Bardzo dobre pytanie, panie komisarzu.
- Dostanę plusa?
- Plusy dają za poprawne odpowiedzi, a nie poprawne pytania - odpowiedziała szorstko.
- Widzi pan, komisarzu, w momencie, kiedy obrażenie zostaje zadane jeszcze za życia ofiary, białe krwinki natychmiast przesuwiają się w kierunku rany. Tworzą charakterystyczny stan zapalny i pęcherze. Płyn z tych pęcherzy wykorzystujemy do przeprowadzenia testu reakcji proteinowej. Jeśli jest pozytywna, a w tym wypadku była, to cios został zadany przed śmiercią denata.

- Taki cios mógł być przyczyną śmierci?
- Tak. Oczywiście, jeśli ofierze szybko została udzielona pomoc, to w większości wypadków udałoby się ją uratować. Tutaj jednak nic takiego się nie stało. Ten człowiek zmarł przynajmniej dwie godziny przed wybuchem pożaru.

Mortka raz jeszcze spojrział na poparzone zwłoki. Paskudny widok. Był ciekaw, czy żona Kameron pod bandażami wygląda podobnie. Jeśli tak, to już przez resztę życia będzie kaleką i żadne operacje plastyczne jej nie pomogą. Musiał z nią jak najszybciej porozmawiać, dowiedzieć się, co się stało w jej domu w piątkowy wieczór. Ktoś do nich przyszedł, ktoś zabił Jana Kameron. Czy ta sama osoba zamknęła Klaudię w szafie i później podłożyła ogień? A jeśli tak, to dlaczego czekała z tym kilka godzin?

Wyciągnął notes i zaczął zapisywać kolejne pytania. Doktor Trymek uśmiechnęła się drwiąco.

- Wykład się skończył, a pan dopiero teraz robi notatki? W pierwszej chwili jej nie zrozumiał. A kiedy dotarło do niego, co powiedziała, szybko zamknął notes i schował go do kieszeni.
- To nie tak. Po prostu czasami w głowie pojawiają mi się myśli, dość ważne, i mam wrażenie, że jeśli ich natychmiast nie zapiszę, to je stracę i nie będę ich sobie w stanie przypomnieć.

- Dziwne. Ja mam świetną pamięć.
- Nie wątpię - mruknął rozdrażniony.
- Czy chce pan o coś zapytać?

Pokręcił przecząco głową.

- Przeczytam raport. Jeśli wtedy pojawią się pytania, to do pani zadzwonię, dobrze?
- Jak pan chce, komisarzu. Muszę pana odprowadzać do wyjścia?
- Nie. Sam trafię.

Chciał już wyjść, ale zawahał się na moment.

- Nie widzieliśmy się wcześniej - powiedział.
- Cóż za spostrzegawczość.

Jej głos był pełen sarkazmu.

- Jak pani tutaj trafiła z sali wykładowej?

Podniosła wysoko brwi.

- Przecież już pan wie.

- Nie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Uwiodłam studenta. To była czysto fizyczna znajomość, więc nie miałam żadnych oporów, żeby oblać go na egzaminie. Gówniarz postanowił się zemścić i o wszystkim powiedział prodziekanowi. No i tak trafiłam tutaj, na zesłanie. Albo to, albo bezrobocie z kiepską kartoteką.

Zamurowało go.

- Powiedziałam panu o tym, bo i tak by się pan wcześniej czy później dowiedział - wytłumaczyła. - A teraz proszę zadać kolejne pytanie.

- Słucham?

- Wy wszyscy, faceci z policji, zadajecie jeszcze jedno pytanie. Proszę je zadać i skończmy tę rozmowę.

- Jakie pytanie?

Westchnęła.

- Czy uprawia pani seks tylko ze studentami. - powiedziała.

- A uprawia pani?

- Tak. Młodzi się bardziej starają. Do widzenia panu.

Ściągnęła rękawiczki, wyrzuciła je do kosza na śmieci i wyszła z sali. Mortka został sam na sam z ciałem Jana Kamerona.

Opuścił Zakład Medycyny Sądowej i ruszył w kierunku pobliskiego skweru Grotowskiego. Chciał się przespacerować i uporządkować myśli. Uderzenie w głowę tępym przedmiotem pasowało do połowy zabójstw popełnianych w tym mieście. Pijacka rozmowa, potem kłótnia, ktoś chwyta za butelkę czy cokolwiek i traci nad sobą panowanie. Prosta, jasna i logiczna sprawa. Tak też powinno być w tym wypadku. Ale nie było. Ktoś podpalił dom. I to w bardzo nietypowy sposób. Dlaczego koktajl Mołotowa? Dlaczego przez komin? Przecież są łatwiejsze sposoby.

Doszedł do skweru. Odgarnął śnieg z ławki i usiadł. Ławkę obok zajmowała młoda para, która cały czas się całowała. Wydawało się, że panujący wokoło mróz w ogóle im nie przeszkadza. Przyglądał im się chyba za długo, bo zaraz wstali i odeszli w stronę Alej Jerozolimskich. Ta sytuacja tak go rozbawiła, że roześmiał się cicho pod nosem. Wyciągnął nogi, odchylił głowę i zapatrzył się w czysty błękit zimowego nieba.

Zadzwoił telefon, a na wyświetlaczu pojawił się numer Jankowskiego. Odebrał.

- Mortka! Wyganiaasz mnie do roboty w sobotę rano, a nie masz czasu przeczytać notatki, którą dla ciebie przygotowałem!?

- Pewnie miałem inne zajęcia - odpowiedział komisarz.

- Ja też, ale pomimo tego zrobiłem dla ciebie ekspertyzę. Mógłbyś się trochę ruszyć i przynajmniej udawać, że doceniasz moją pracę.

- Doceniam.

- Bujać to my, nie nas. Zresztą nieważne. Wiem, że wy wszyscy z terroru i zabójstw jesteście takie same, zadufane w sobie buraki. To teraz mnie słuchaj, buraku pastewny, i to uważnie. A najlepiej od razu wyciągnij swój gejoński notatnik i pisz. - Jankowski zrobił

pauzę, żeby dać czas Mortce na wyciągnięcie notesu. Komisarz nie zrobił tego, ale nie przyszło mu to łatwo. - Słuchaj. Było tak jak mówiłem. Facet spuścił przez komin do domu

koktajl Mołotowa. Mieszanka benzyny i oleju silnikowego. Jest jednak jeszcze coś ciekawszego. Znaleźliśmy ślady chloranu potasu.

- Co to takiego?

- Przeczytaj se w podręczniku do podstawówki. Teraz nie będę ci tego tłumaczył, bo i tak nie zrozumiesz. Ważne, że butelka z mieszaniną benzyny i oleju silnikowego, a dodatkowo z dolepioną paczuszką z chloranem to przepis jeszcze z powstania warszawskiego.

Widzisz, na filmach jest tak, że bohater bierze Mołotowa, podpala szmatę i rzuca, prawda?

- Prawda.

- No właśnie. W prawdziwym życiu i prawdziwej walce jest to szalenie niewygodne.

Sam rozumiesz, płyn z butelki może się wylać, podpalenie szmaty zajmuje czas i może być również niebezpieczne. Do tego trzeba mieć zapalniczkę, która działa, albo suche zapalki.

Dlatego dzielni i bohaterscy warszawscy powstańcy, cześć ich pamięci, opracowali lepszy patent. Przymocowywali do butelki paczuszkę z chloranem potasu. To substancja, która się utlenia. *pardon*, zapomniałem, że rozmawiam z debilem, robi głośne bum przy wstrząsie. To był prymitywny zapalnik, ale cholernie skuteczny. Odpadały problemy z wylewającą się benzyną i nie trzeba było tracić czasu na podpalanie szmaty. Wystarczyło wziąć butelkę i rzucić nią w szkopów. Butelka się rozbijała, chloran potasu wybuchał, a wraz z nim mieszanka benzyny i oleju.

- Czyli nasz podpalacz to miłośnik historii?

- Czy ktoś już ci mówił, że jesteś tępą? A tak, zapomniałem, twoja żona.

Mortka zacisnął pięści. Gdyby Jankowski stał obok niego, dostałby w zęby.

- Przecież mówię, że patent jest znany od powstania warszawskiego, cześć pamięci ofiar, oczywiście. Znają go wszyscy chemicy, technicy chemiczni, miłośnicy materiałów wybuchowych. Najważniejsze jest to, że podpalacz nie jest pierwszym lepszym ćwokiem, ale odrobinę zna się na tym, co robi.

- Ten chloran potasu.

- Jest dość łatwo dostępny. Facet mógł go kupić w byle sklepie z odczynnikami chemicznymi, a nawet przez internet. Rzecz jasna, jeśli kupił go w sporej ilości, to ktoś mógł zwrócić na to uwagę, ale tak naprawdę to szukanie igły w stogu siana.

- Martwy trop.

- Martwy jak ten poparzeniec z soboty.

- Ale przynajmniej wiem coś więcej.

- Wiedziałbyś wcześniej, gdybyś czytał materiały z laboratoriów, jak tylko trafiają na twoje biurko.

- Byłem zajęty - powiedział Mortka, ale niepotrzebnie.

Jankowski rozłączył się bez pożegnania. W telefonie było słyhać tylko ciągły sygnał.

Nadszedł wieczór i temperatura znowu spadła. Spiker radiowego serwisu informacyjnego zapowiadał mocne opady śniegu, a przejęci prezenterzy apelowali o bezpieczną jazdę. Mortka wziął kęs kebaba z sosem czosnkowym i po raz kolejny pomyślał, że nie odżywia się zbyt zdrowo. Nie chciało mu się jednak gotować dla jednej osoby. I nie zamierzał tego robić tym bardziej w zaniedbanej kuchni wynajmowanego mieszkania, gdzie żeby coś przygotować, najpierw musiałby zalać całe pomieszczenie żrącym płynem, bo tylko taki być może uporałby się z lepkiem brudem, który pokrywał meble i wszystko wokół. Jadł

coś na mieście, na kolację kupował dwie bułki, parówkę i litrową colę, wracał do domu i zamykał się w swoim pokoju, gdzie oglądał telewizję.

- To się nam sprawa skomplikowała - powiedział Kochan, który siedział obok i przeżuwał

swoją kanapkę. - Jakby już nie było trudno.

- Może wręcz przeciwnie. Może zabójca najpierw zamknął Klaudię Kameron w garderobie, a potem zabił jej męża. To by oznaczało, że widziała jego twarz.

- A jeśli było ich dwóch? Jeśli mieli maski?

- Mogło tak być - zgodził się Mortka. - Ale wolę sobie wyobrazić, że był tylko jeden napastnik, który miał odsłoniętą twarz, a ona zna jego imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i numer PESEL.

- Ja tam wolę sobie wyobrazić, że mam dwie panienki naraz. Jedną blondynę, drugą rudą. Kochan zachichotał i wypluł sobie kawałek mięsa na koszulę. Strzepnął go kantem dłoni.

- Masz żonę - przypomniał mu po raz kolejny tego dnia Mortka.

- Tak, ale z żoną to wiesz, jak jest. Jedna baba przez tyle lat. Nudzi się. Poza tym, kiedy urodziła dziecko, zrobiła się mniej ciasna. Czasami czuję się tak, jakbym machał fiutem na środku Sali Kongresowej. Wiesz, o co mi chodzi? Twoja eks urodziła przecież dwoje dzieciaków.

Mortka obrócił głowę w stronę bocznego lusterka i skupił się na kebabie. Siedzieli w toyocie komisarza. Kochan zaparkował swoje auto kawałek dalej.

- Ej - prychnął Kochan. - Nie rób miny jak jakiś katolik. Sam się rozwiodłeś.

- Ale nie dlatego, że mi się żona znudziła - odpowiedział Mortka.

Połknął ostatnie kęsy kebaba i wytarł palce w chusteczkę. Był rozdrażniony. W ogóle nie powinien interesować się życiem rodzinnym Kochana. Musiał się skupić na pracy.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła za dziesięć szósta. W tym momencie przed bramą domu, niedaleko którego stali, zajechało czarne bmw E91 z silnikiem diesla. Dość nietypowy samochód jak na tę markę. Bardziej rodzinny niż sportowy. Automatyczna brama otworzyła się i auto wjechało na posesję. Zaparkowało przed drzwiami do garażu. Wysiadł z niego szpakowaty mężczyzna z szarej kurtce.

- Bmw - powiedział Mortka.

- Szkoda, że nie opel vectra, co? To by ułatwiało wiele spraw.

Mortka kiwnął głową. Gdyby rzeczywiście odnaleźli samochód, który parkował przed domem Kamerona w dniu podpalenia, śledztwo ruszyłoby z kopyta. A przynajmniej taką miał nadzieję.

- To on? - zapytał, wskazując na mężczyznę.

- Wygląda jak on.

Policjanci spokojnie obserwowali, jak Mariusz Wyrwa wchodzi do domu.

Podczas spotkania z pracownikami Komisteksu i Komisteksu-Transport Kochan nie dowiedział się wiele. Wszyscy wydawali się szczerze wstrząśnięci śmiercią szefa. Nie potrafili nic powiedzieć o jakichkolwiek konfliktach, groźbach, wrogach. W ostatnich dniach nie wydarzyło się nic podejrzanego.

Z Mariuszem Wyrwą nie udało się nawiązać kontaktu od razu. Okazało się, że ma chorą córkę i w obu swoich firmach bywa rzadko. Kochan zdobył jednak jego numer telefonu komórkowego. Dodzwonił się dopiero po godzinie prób. Umówili się na spotkanie o szóstej w domu u Wyrwy.

Podkomisarz skończył jeść, wyczyścił palce i wyrzucił papierki za okno.

- Idziemy? - zapytał.

- Idziemy.

Przepełkali usta colą w nadziei, że napój chociaż trochę zniweluje zapach sosu czosnkowego. Kiedy wychodzili z samochodu, Mortce głośno zaburczało w brzuchu. Kochan spojrzał rozbawiony na kolegę.

- Jeszcze jesteś głodny?
- Chyba tak. Przyzwyczaiłem się do dwudaniowych obiadów. Od rozwodu chyba nie zjadłem takiego - odpowiedział, brnąc przez śnieg w stronę posesji.
- Serio? - zdziwił się Kochan.
- Serio.
- To przyjedź do mnie kiedyś, co? Żona przygotowuje coś dobrego i dwudaniowego. Co ty na to?

Mortka miał chwilę na zastanowienie, kiedy skrajem ulicy omijali zaspę tarasującą chodnik. Chciał odmówić, ale uświadomił sobie, że Kochan, w przeciwieństwie do znajomych byłej żony, nie będzie mu zadawał głupich pytań ani wypominał wcześniejszych emerytur dla mundurowych.

- Chętnie - odpowiedział. - Kiedy?
- Może jutro?
- Jutro nie dam rady. Biorę chłopaków na basen.
- Środa?
- Środa pasuje.

Doszli do bramy. Mortka nacisnął guzik domofonu, nad którym zawieszono tabliczkę z nazwą firmy ochroniarskiej.

- Słucham - odezwał się głos w trzeszczącym głośniku.
- Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji i podkomisarz Dariusz Kochan. Byliśmy umówieni.

Zadzwieczał dzwonek i furka otworzyła się sama. Weszli na podwórko. Posesja Wyrwy była na tyle obszerna, że mieścił się na niej duży, piętrowy dom jednorodzinny, garaż, mały plac zabaw, z tyłu ogród z altaną i niewielki zagajnik, który osłaniał dom od strony ulicy.

Sam dom wybudowano w stylu warszawsko-szlacheckim, czyli nijakim - z obowiązkowymi kolumnami przy wejściu, dwoma gipsowymi lwami i dziwnymi ozdobami na całej długości ścian. Pomalowany na żółto, miał wielkie okna i czerwone dachówki.

Mortka złapał się na tym, że rozważa, czy udałoby mu się wdrapać na górę i wrzucić koktajl Mołotowa do komina. Doszedł do wniosku, że tak.

Drzwi otworzył im wysoki, szpakowaty mężczyzna o podłużnej, lekko końskiej twarzy. Pachniał wodą kolońską na bazie alkoholu.

- Pan Mariusz Wyrwa? - spytał komisarz.
Mężczyzna obrzucił ich badawczym spojrzeniem.
- Panowie z policji? - odpowiedział pytaniem.
Miał suchy, ale mocny i stanowczy głos.

- Tak.
- Mogę zobaczyć legitymacje?

Sięgnęli do portfeli i pokazali odznaki. Wyrwa przyjrzał im się uważnie, kiwnął głową i szerzej otworzył drzwi.

- Zapraszam do środka.

Wnętrze domu było dokładnie takie, jakiego się Mortka spodziewał. Wielkie, przestronne, z wysokim sufitem, białymi, lśniącoymi kafelkami na podłodze i meblami, które można było znaleźć u Klera. Pachniało lawendowym odświeżaczem powietrza.

Gospodarz poprowadził ich do salonu, gdzie na kanapie siedziała drobna kobieta.

Sprawiła wrażenie szarej myszki, takiej, która zwykle milczy, a jeżeli się odzywa, to tylko po to, żeby przytknąć mężowi. Wstała na ich widok.

- Mario - Wyrwa zabrzmiał dziwnie oficjalnie - panowie są z policji. Przyszli w sprawie

Janka.

Maria przeżegnała się, a potem, jakby zawstydzona swoim gestem, spuściła głowę.

- To straszne, straszne, co go spotkało - wyszeptwała.

- Niech panowie siądą - zaproponował Wyrwa. - Przygotować coś do picia?

- Herbatę - powiedział Mortka.

- Colę albo coś takiego - poprosił Kochan.

Usiedli obaj na skórzanych, brązowych fotelach, które wydały z siebie trzeszczący dźwięk.

Przedsiębiorca zniknął w kuchni. Po chwili wrócił z herbatą w szklance oraz butelką oranżady. Postawił je przed policjantami i sam usiadł obok żony, która przez cały ten czas milczała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Kiedy usłyszałem od pana o Janku, byłem wstrząśnięty - powiedział Wyrwa do Kochana. - Nie spodziewałem się, że coś takiego mogło go... kogokolwiek spotkać. Śmierć w ogniu. - pokręcił głową. - Wiadomo już, kto to zrobił?

- Jeszcze nie - odezwał się Mortka. - Ale mamy kilka obiecujących tropów.

- Na szczęście - wyrwało się Marii Wyrwie. - To przerażające. Naprawdę przerażające.

- Byli państwo blisko?

Małżeństwo spojrzęło na siebie. Kobieta położyła dłoń na ręce męża.

- Nie - odpowiedział Wyrwa. - Przyszli do nas kilka razy na kolację, my ich odwiedziliśmy, ale nie nazwałbym tego jakąś szczególną zażyłością. Niestety, z powodu choroby córki nie mamy czasu dla przyjaciół. I tych starych, i tych nowych.

Mortka sięgnął po herbatę, ale szklanka była gorąca i się oparzył. Syknął cicho i kilka razy pomachał ręką, żeby ochłodzić rozgrzane palce. Spojrzął na komplet porcelanowych filiżanek, który krył się bezpiecznie schowany za gablotą szafy w rogu. Pomyślał, że najwyraźniej nie są z Kochanem dość ważnymi gośćmi, żeby wyciągać dla nich serwis.

- Jak się poznaliście z Kameronem? - zapytał.

- To była czysto biznesowa znajomość. Z powodu choroby córki nie mogłem poświęcić firmie tyle czasu, ile jej potrzeba. Wie pan, żeby wszystkiego dopilnować i zrobić dobrze, trzeba tam siedzieć niemal od rana do nocy.

- Na co choruje córka?

Wyrwa skrzywił się lekko. Do tej pory „choroba” mogła być zwykłą gripą czy katarem siennym. Żądając konkretnej odpowiedzi, komisarz przypomniał o konkretnych kłopotach.

- Zanik mięśni.

Mortka poczuł się nieswojo. Pomyślał o swoich synach i o tym, jakie to szczęście, że są zdrowi.

- Przykro mi - powiedział szczerze.

- Dziękuję - odparł Wyrwa tonem, który wskazywał wyraźnie, że jest mu to zupełnie obojętne. - Tak więc, spędzam teraz dni, wożąc Zosię do lekarzy, do szpitali, na konsultacje i rehabilitację. A kiedy tego nie robię, szukam ośrodków, które przyjąłby ją na jakąś eksperymentalną terapię.

- A są jakieś?

- Terapia genowa jest bardzo obiecująca. Ale droga i trudno się na nią dostać. Dzisiaj na przykład miałem rozmowę z kolegą, obecnie profesorem medycyny, który ma chody w Stanach Zjednoczonych. Może uda się załatwić Zosi wyjazd. Oczywiście jeśli zbierzemy pieniądze.

Kochan chrząknął znacząco. To był znak, żeby komisarz wrócił do właściwego przesłuchania.

- Jak pan poznał pana Kamersona?

Wyrwa westchnął.

- Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie prowadzić już dalej firmy samodzielnie, zacząłem szukać kogoś, kto mógłby to robić za mnie. W pierwszej chwili chciałem po prostu zatrudnić kogoś na stanowisko prezesa, ale ja jestem ze starej szkoły.

Wiedzą panowie, mam wrażenie, że jeśli ktoś nie jest właścicielem przedsiębiorstwa, to wcale nie będzie o nie dbać. Postanowiłem więc znaleźć wspólnika, sprzedać mu część moich udziałów i oddać stołek prezesa. Kolega polecił Janka.

- Kolega? Jaki kolega? - zainteresował się Kochan.

- Krzysiek Borzestowski.

Kochan gwizdnął cicho. Mortka poprawił się na fotelu. W końcu coś zaczęło się układać.

- Zna pan Borzestowskiego? - zapytał komisarz.

Wyrwa wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Tak, oczywiście, że znam. Krzysiek często wynajmuje od nas tiry.

- A potem je okrada - mruknął Kochan.

- Słucham?

- Nie, nic nie mówiłem.

- I to Borzestowski polecił panu Kamerona? - pytał dalej Mortka.

- Tak właśnie było. Spotkaliśmy się kiedyś z Krzyskiem na obiedzie, przy okazji interesów. I wie pan, jakoś tak wyszło, że zacząłem mu się zalić, a on mi polecił Janka.

Powiedział, że to dobry biznesmen, bardzo sprawny, przedsiębiorczy, ale niestety, jakiś czas temu poszedł w złą stronę.

- To znaczy?

- Janek w pewnym momencie był bardzo bogaty. I od tego bogactwa zrobił się chciwy i chciał jeszcze więcej. Zaczął grać w lotka dla bogaczy.

- Czyli?

- Giełda, proszę pana. Giełda. Normalni ludzie tracą majątek, grając w te jednoręki bandyty, a bogaci ludzie tracą majątek na giełdzie. I tak właśnie było z Jankiem.

- Może pan to sprecyzować?

- Mówi coś panu nazwa Bioton?

Mortka pokręcił głową.

- Insulina - wtrącił się Kochan.

Wyrwa wskazał palcem na podkomisarza.

- Właśnie, insulina. Pan też gra na giełdzie?

- Nie. Ale przejechałem sporo w funduszach.

Maria Wyrwa skrzywiła się, kiedy usłyszała przekleństwo.

- To prawie tak, jakby pan grał - stwierdził biznesmen. - Bioton to polska spółka notowana na giełdzie. Produkuje insulinę. Jeszcze dwa lata temu jedna jej akcja kosztowała ponad dwa złote.

- A teraz?

- Trochę ponad dwadzieścia groszy. - Wyrwa uśmiechnął się krzywo. - Janek nie potrafił inwestować. Kiedy kurs zaczął spadać, on dalej kupował akcje w nadziei, że nadejdzie odbicie i cena znowu pójdzie w górę. Nie nadeszło.

- Ile stracił?

- Nie znam dokładnych liczb.

- A mniej więcej? - zapytał Kochan.

- Dużo.

- Co to znaczy dużo? - dopytywał się Kochan.

- Naprawdę nie wiem.
 - A gdyby miał się pan domyślać?
 - Podejrzewam, że kilka milionów złotych.
- Mortka o mało nie zakrztusił się herbatą.

- Niech pan sobie policzy. Jeśli zainwestował dwa miliony złotych, to zostało mu z tego tylko dwieście tysięcy. Oczywiście upraszczam, ale fakt faktem, że Jankowi nie wiodło się na giełdzie najlepiej.

- Mimo to wziął go pan do spółki?
- Kiedy go brałem, jeszcze nie wiedziałem, że tyle stracił. Ale powiem panu, że nie żałuję. Był świetnym przedsiębiorcą. A z giełdą to jest tak, że obraca pan na niej pieniędzmi, których pan nie widzi. Biorą się znikąd, rosną, a potem znikają w nicości. Miał pan nic, został pan z niczym, więc co za różnica? Z przedsiębiorstwem jest inaczej. Kilkadziesiąt tysięcy w tę, kilkadziesiąt w tamtą to nowy etat, ciężarówka, ciągnik widłowy, nowa wyciskarka. -

Wyrwa machnął ręką. - Jest zupełnie inaczej, kiedy każdego dnia widać, na co się wydaje pieniądze. I kiedy Janek to zobaczył, odżył. Od kiedy został prezesem, obroty wzrosły o prawie trzydzieści procent.

- Skąd wziął pieniądze na wykup udziałów? - włączył się Mortka.
- Z tego co wiem, sprzedał akcje, które mu zostały.
- Długi?
- Zapewniał mnie, że żadnych nie miał. Potwierdził to notarialnie. Nie sprzedałbym udziałów komuś, tylko po to, żeby zaraz zajął je bank albo komornik.
- A wrogowie? - zapytał Kochan. - Miał jakichś wrogów?
- O tym również nic nie wiem.
- A pani?

Maria Wyrwa pokręciła przecząco głową.

- Może to byli jacyś wspólni wrogowie, wrogowie waszej firmy? - zaryzykował Mortka.

- Na rynku logistycznym nie mamy wielkich konkurentów. Jesteśmy małą firmą i nikomu nie zagrażamy. Jeśli chodzi o elementy hydrauliczne z tworzyw, to naszymi rywalami są Chińczycy, ale oni nie mają powodów, żeby się nami martwić. A to z tej prostej przyczyny, że z nimi przegrywamy. Zresztą, rozmawialiśmy nawet niedawno z Jankiem, żeby tę część biznesu zwinąć i zająć się czymś bardziej wyspecjalizowanym. Bo wie pan, teraz jesteśmy w stanie wygrać z Chinami tylko wiedzą i jakością.

Mortka poczuł na sobie spojrzenie Kochana. Nadeszła w końcu pora na kluczowe pytanie wieczoru i to on, jako starszy stopniem, miał je zadać.

- Co państwo robili w nocy z piątku na sobotę?
- A dokładnie? - spytał Wyrwa po chwili zastanowienia.
- Co dokładnie?
- Od kiedy dokładnie jest noc? O dziewiątej wróciłem do domu od profesora Pileckiego z Akademii Medycznej w Warszawie. To właśnie ten mój kolega, o którym wspominałem.
- A potem?
- Potem zjedliśmy kolację i oglądaliśmy telewizję - powiedziała Maria Wyrwa.
- A co konkretnie?
- Kanapki z serem i ogórkiem.
- Co konkretnie państwo oglądali?

Ta bezsensowna wymiana zdań zaczynała Mortkę irytować.

- *Randkę w ciemno.* To taki serial romantyczny w telewizji publicznej. Dla dorosłych,

trochę jak *Seks w wielkim mieście*. Dlatego tak późno leci.

Mortka natychmiast przypomniał sobie wielkie billboardy reklamujące serial.

- Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić? - zapytał Kochan.

- Zosia.

- A ktoś oprócz państwa córki?

- Teściowa - powiedział Wyrwa.

- Mama dzwoniła wtedy do nas, ale nie pamiętam, o której godzinie. Chyba jak się serial skończył, czyli trochę po dziesiątej. Rozmawiała z nami obojgiem - dodała Maria Wyrwa.

- A ktoś spoza waszej rodziny? - zapytał Kochan.

Wyrwa zmrużył powieki.

- Jak pan słyszał, z powodu choroby córki nie mamy zbyt wielu przyjaciół.

Mortka dopił jednym łykiem herbatę i wstał z fotela. Wiedział, że nie dowiedzą się już niczego nowego. Kochan również się podniósł.

- Odprowadzę panów - zaoferował Wyrwa.

Przeszli do przedpokoju. Przedsiębiorca stał przy nich, kiedy wkładali kurtki, jakby pilnował, czy przypadkiem czegoś nie wynoszą. Kochan pożegnał się z nim uściskiem dłoni.

Na wszelki wypadek zostawił wizytówkę. Mortka został jeszcze chwilę.

- Musi być panu ciężko - powiedział komisarz.

- Z powodu Janka? No może, ale bez przesady. Poradzimy sobie.

- Z powodu córki.

- Tak.

- Mam dwóch synów. Nie wyobrażam sobie.

Wyrwa przerwał mu ruchem ręki.

- Nie jest tak źle, jakby się mogło wydawać. Wprawdzie dość późno zdecydowaliśmy się na dziecko i są tego konsekwencje, ale i tak jesteśmy szczęśliwi.

- Ale ona.

- Umrze. Wiem o tym. Żałuję tylko, że nie będzie miała szansy doświadczyć tego, co jej rówieśnicy.

Mortka przelknął ślinę i pożegnał się z Wyrwą.

Kochan stał przy swoim samochodzie. Tupał w miejscu i trzymał dłonie w kieszeniach kurtki. Z nieba zaczęły spadać drobne płatki śniegu.

- Wierzysz mu?

- Nie wiem. Wydawał się mówić szczerze - odpowiedział komisarz.

- Ale zna się z Borzestowskim.

- Właśnie. Sprawdzisz Wyrwę?

- Już sprawdziłem. Nic na niego nie mamy.

- Na pewno?

Kochan kiwnął głową.

- Jutro o dziewiątej jest spotkanie grupy dochodzeniowej - powiedział Mortka.

- Aha. Gdzie? W fabryce?

- Fabryka? Fabryka!? To nie jest żadna fabryka, ale Komenda Stołeczna Policji. Skąd ci się to w ogóle wzięło?

- Z telewizji. - Kochan uśmiechnął się i wsiadł do renault megan.

Mortka obserwował, jak samochód znika za rogiem, a potem poszedł w stronę swojej toyoty. Posprzątał trochę wewnątrz - co polegało na przerzuceniu wszystkich śmieci na fotel pasażera - i pojechał w stronę Warszawy. Po jakichś dziesięciu minutach opuścił Piaseczno.

W mieszkaniu czekała go przyjemna niespodzianka. Przedpokój był odkurzony, a buty

zamiast na środku stały pod ścianą. Agnieszka siedziała przy stole w kuchni i czytała książkę.

Piotrka nie widział. W zlewie nie było brudnych naczyń, a podłogę dokładnie wymyło. Nie miał się czego czepiać. Włączył czajnik i przygotował sobie herbatę.

- Uczysz się? - zapytał po chwili.

Dziewczyna podniosła głowę znad książki.

- Nie. Uczylałam się przez kilka godzin i teraz sobie czytam.

- A co?

- Mankella. Znasz?

Próbował sobie przypomnieć ten tytuł czy nazwisko, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Za jego czasów na pewno nie było tego na liście lektur.

- Henning Mankell. *O krok*. Taki szwedzki kryminał. Czytasz kryminały?

- Nie.

- Tak myślałam. Pewnie masz tego dość w normalnym życiu.

- Tak - powiedział bez przekonania.

- A co czytasz, jeśli mogę spytać?

- A ty? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- A różnie. Kryminały, fantastykę. Zajębiłci są dwaj panowie P. Pilipiuk i Piekara.

Znasz?

- Nie.

- Mogę ci pożyczyć.

- Może kiedyś.

- A co ty czytasz?

- Głównie służbowe sprawy. Papiery, pracę, gazety.

- A z książek? Co czytałeś ostatnio?

Kompromitująca pustka w głowie. Ostatnio w rękach miał książkę serwisową samochodu, ale do tego się nie chciał przyznawać.

- *Miłość w czasach zarazy* Marqueza - odpowiedział w końcu.

Ola wcisnęła mu tę powieść przed kilkoma laty, kiedy już zbierało im się na rozwód, ale jeszcze próbowali ratować małżeństwo. Później przez kilkanaście dni męczyła go pytaniami, czy już ją przeczytał. Książka wydawała mu się wyjątkowo nudna i zdecydowanie za długa.

Przebrnął przez nią z trudem. Nie uratowało to ich związku.

- Piękna powieść. Bardzo piękna. Chciałam ją dać Piotrkowi, ale on ją tylko przekartkował i powiedział, że nie ma zamiaru jej czytać.

- A właśnie, gdzie on jest?

- Wyszedł z kolegami.

Woda w czajniku się zagotowała. Mortka zalał sobie herbatę i poszedł do siebie. Kiedy zasypiał, miał okropne wrażenie, że o czymś zapomniał. Myślał i myślał, ale nie potrafił sobie przypomnieć, co to takiego było.

Rozdział 9

Rano w ubikacji unosił się kwaśny zapach wymiocin, a cały dywan w przedpokoju był zabłocony. Za to w kuchni wciąż panował porządek. Mortka poszedł do łazienki, umył zęby i się ogolił. Ostatnio rzadko to robił. Ola nie znosiła zarostu. Zawsze mu wypominała, że wygląda niechlujnie i że drapie. Po rozwodzie stwierdził, że nawet do twarzy mu z kilkudniową brodą.

Na zebraniu w komendzie obecni byli Kochan, Jankowski i sierżant Janusz Skalski z Ursynowa, który został delegowany do pomocy w sprawie. Technik nie wchodził w skład grupy. Przyszedł na specjalną prośbę Mortki, żeby raz jeszcze opowiedzieć o wynikach z laboratorium.

Mortka lubił spotkania grup dochodzeniowych, nawet jeśli, jak w tym wypadku, nie zasługiwały na tę szumną nazwę. Pomagały mu uporządkować fakty, postawić hipotezy i zaplanować śledztwo. Nie zawsze potrafił to zrobić w chaosie codziennej pracy.

- Dobrze. Zebraliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o podpaleniach na Ursynowie oraz o śmierci Jana Kameron - rozpoczął.

Pokrótce zreferował wyniki dotychczasowego dochodzenia. Młody Skalski robił notatki. Kochan rozłożył się na krześle i wyglądał, jakby przysypiał.

Kiedy Mortka skończył, do pokoju zajrzał Andrzejewski. Wskazał palcem na komisarza i powiedział:

- Mortka, do mnie.

Komisarz skinął głową.

- Kamil - zwrócił się na Jankowskiego - przedstaw pod moją nieobecność wyniki pracy laboratorium.

Technik wstał z miejsca i sięgnął po raport.

Komisarz poszedł za podinspektorem do jego gabinetu.

- Zamknij drzwi.

Ton szefa nie zwiastował niczego dobrego. Mortka zrobił szybki rachunek sumienia.

Choć nie miał się czym martwić, poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka.

Wykonał polecenie szefa, odwrócił się i w tej samej chwili uderzyła go zwinięta w rulon gazeta. Złapał ją instynktownie.

- Pierwsza strona, Mortka. Czytaj na głos.

Rozłożył gazetę. Miał przed sobą okładkę „Faktu”, na której widniało wielkie zdjęcie Klaudii Kameron w bandażach i ogromny napis TRAGEDIA W DOMU KLAUDII KLAU.

- „Klaudia Klau (33 lata), piosenkarka i modelka, przeżyła koszmar. W jej domu wybuchł pożar, w którym zginął jej mąż, a ona sama została przerażająco poparzona. »Jestem w szoku. Nie wiem, co się stało. Mój kochany mąż zginął. Nie wyobrażam sobie życia bez niego«, powiedziała piosenkarka”.

- Nie musisz czytać dalej - przerwał mu podinspektor.

Mortka spurpurowiał z gniewu. Doktor Pawlik nie pozwoliła mu kontynuować przesłuchania, żeby nie stresować pacjentki, jednak najwyraźniej nie miała żadnych zastrzeżeń, kiedy dziennikarze przeprowadzali z uszkodzoną wywiad, a potem urządzili sobie małą sesję zdjęciową.

- Jak widzisz, pani Klaudia trafiła na pierwszą stronę największej i wbrew pozorom najważniejszej gazety w tym kraju. Co prawda, nie miała dużej konkurencji, bo żaden aktor się nie porzygał w miejscu publicznym a jakaś gwiazdeczka nie zamachała cystem -

powiedział Andrzejewski i uśmiechnął się niezdarnie, jakby zapomniał, jak to się robi.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - odparł Mortka.

- Ja też nie wiem - mruknął podinspektor i wciągnął powietrze przez nos. - Dobra wiadomość jest taka, że pismaki nie zwęszyły jeszcze historii o pozostałych podpaleniach, a w samym artykule nie ma niczego kompromitującego dla policji. Ale pani Klaudia robi się na powrót sławna, więc i sama sprawa staje się głośna. Musisz się sprężyć, Kuba, i znaleźć tego podpalacza, który zabił Kamerona.

- Kameron zginął przed pożarem. Od uderzenia w głowę tępym narzędziem.

Podinspektor sapnął głośno, zdziwiony.

- Ktoś go najpierw zabił, a potem podpalił dom?

- Albo to dwie osobne sprawy.

Andrzejewski musiał to sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Zaczął przygryzać końcówkę długopisu.

- Nieważne - powiedział w końcu. - Sprawa staje się głośna, a to nie wróży dobrze.

Złap, kogo trzeba, i to migiem.

- Tak jest.

- No to żegnam.

Mortka odłożył gazetę na biurko podinspektora. Andrzejewski ponownie zwinął „Fakt” w rulon, potem jeszcze złożył na pół i wyrzucił do kosza.

Kiedy komisarz wrócił do sali konferencyjnej, Jankowskiego już nie było, a na miejscu komisarza siedziała ładna, na oko trzydziestoletnia blondynka. Nosila krótką spódniczkę, ledwo zakrywającą długie, zgrabne nogi, i żakiet, który uwypuklał biust. Wstała, kiedy wszedł do środka. Wyciągnęła rękę.

- Anna Brodka - przedstawiła się. - Psycholog.

Uścisnął jej dłoń. Miała intensywnie niebieskie oczy.

Musiała nosić soczewki koloryzujące.

- Komisarz Jakub Mortka.

- Podsiadłam pana, prawda?

Nim zdążył odpowiedzieć, zabrała swoją torebkę, zeszyt i książkę, której tytułu Mortka nie zdążył przeczytać.

- Niech pani siada obok mnie - zaproponował Kochan. - Może przez przypadek usiądzie pani na mojej ręce? Albo kolanach?

Uśmiechnęła się i zajęła miejsce obok Skalskiego.

- On jest niższy stopniem. Powinna siedzieć pani obok mnie - zaprotestował podkomisarz.

- Jeśli bierzemy pod uwagę to kryterium, to powinnam siedzieć obok pana komisarza.

- On by tego nie docenił.

Mortka uderzył pięścią w stół. Osiągnął zamierzony efekt - zamilkli i Kochan, i psycholog.

- Po co pani przyszła? - zapytał.

- Zlecono mi przygotowanie portretu psychologicznego podpalacza - wyjaśniła.

- Spóźniła się pani - spojrzał na zegarek - ponad pół godziny. Mam jeszcze raz wszystko referować tylko dla pani?

- Nie. Oczywiście, że nie. Specjalnie się spóźniłam. Chodzi mi tylko o to, żeby otrzymać akta śledztwa.

- Ja je pani dam - powiedział Kochan. - A potem pani mi... odda. Akty. Przepraszam, akta oczywiście.

Wyszczерzył zęby. Psycholożka go zignorowała.

- Nie chciałabym też, żeby jakiegokolwiek wasze sugestie wpłynęły, nawet mimowolnie, na

moją pracę. Zależy mi tylko na tym, żeby poznać fakty.

- Dobra. Dostanie pani akta. Coś jeszcze?

- Chciałabym się z panami podzielić pewnymi ogólnymi informacjami na temat podpalaczy. Być może ułatwią panom prowadzenie śledztwa.

Mortka zgodził się niechętnie. Podejrzewał, że to będzie strata czasu, ale równocześnie pamiętał, że podinspektor życzył sobie, żeby współpracowali z szamanką.

- Po pierwsze, muszą sobie panowie uświadomić, że sprawy podpalaczy nie mają cech wspólnych - rozpoczęła psycholożka.

- To już akurat wiemy - mruknął Kochan.

- Co nie oznacza - kontynuowała niezrażona kobieta - że nie da się przygotować portretu takiego sprawcy. Jest to jednak znacznie trudniejsze, niż w wypadku innych typów przestępstw. Przede wszystkim podpalacze działają z ukrycia. Boją się otwartej konfrontacji.

Czasami atakują kogoś, kto zrobił im, w ich mniemaniu oczywiście, krzywdę. Podpalają należący do tej osoby budynek. Bardzo często robią to po długim czasie. Hodują w sobie uczucie krzywdy, żal, aż muszą w końcu wyładować się przez podpalenie.

Kochan pstryknął kilka razy palcami.

- To pasuje do tego producenta muzycznego. Wiecie którego.

Skalski sięgnął do notatek.

- Michał Stasiński - powiedział.

- Właśnie tego.

- Prosiłam, żeby nikt z panów niczego nie sugerował.

- Ależ niczego pani nie sugeruję. Jeszcze. - Kochan poruszył kilka razy znacząco brwiami.

- Osobną kategorią są piromani - ciągnęła psycholożka. - To sprawcy seryjni. Chorzy, bo piromania jest chorobą. Najczęściej to ludzie młodzi, mężczyźni w wieku około dwudziestu lat. Zaczynają od drobnych podpaleń, potem wybierają większe obiekty, aż w końcu pada na domy, szopy, altanki ogrodowe. Mają oni w sobie złość na świat i problemy z zaakceptowaniem siebie. Co ważne, piromani nie są zabójcami. Jeśli nawet ktoś ginie, to raczej w wyniku ich błędu, tego, że nie przewidzieli, jak się rozprzestrzeni ogień. Tak zapewne było w tym wypadku, jeśli mamy do czynienia z piromanem.

- Jan Kameron został zabity jeszcze przed pożarem - powiedział Mortka.

- Ooo... - Kobieta złożyła usta w zgrabny dzióbek. - To tylko potwierdza moje słowa.

Najprawdopodobniej nie zrobił tego podpalacz, ale ktoś inny. Muszę jednak powiedzieć, że piromani rzadko podpalają budynki mieszkalne. To dlatego, że nie chcą nikogo skrzywdzić.

- Na Ursynowie są niemal wyłącznie bloki albo domki jednorodzinne. Trudno tam znaleźć coś innego - wtrącił Skalski. - Ale pan komisarz powiedział, że w dwóch pierwszych wypadkach w domu nikogo nie było. Być może sprawca wiedział, że właściciele wyszli i nikomu nic się nie stanie, jeśli podłoży tam ogień.

- To możliwe - potwierdziła psycholożka.

Mortka zauważył, że teraz to ona stała się najważniejszą osobą na spotkaniu.

Podejmowała decyzje, nagradzała i karmiła.

- A co z Kameronami? Oni byli u siebie, kiedy wybuchł pożar - zauważył komisarz.

- Może chcieli wyjechać? - zaryzykował Skalski.

Mortka dopisał to pytanie do listy zagadnień, które miał poruszyć podczas rozmowy z Klaudią Kameron.

- Mówiła pani, że to mężczyzna - powiedział Skalski.

- Tego jestem pewna.

- A dlaczego? Może to być kobieta. Nie równie piękna jak pani, oczywiście - odezwał się Kochan.

- Kobiety, panie podkomisarzu, również chorują na piromanię. Ale one podpalają obiekty w najbliższym otoczeniu. Czują się winne i mają potrzebę ukarania siebie samych.

Dlatego podkładają ogień pod własną altanę czy szopę z narzędziami. Kobiety karzą siebie, mężczyźni karzą świat. A tak właśnie robi nasz podpalacz.

- Czyli mamy do czynienia z mężczyzną, który ma potrzebę ukarania mieszkańców Ursynowa? Wszystkich? To ponad sto tysięcy luda. - Mortka nie starał się nawet ukryć drwiny.

- Trafił pan w sedno. Na pewnym podstawowym poziomie może tak być. Oczywiście, nasz podpalacz sobie tego nie uświadamia, co nie zmienia faktu, że tak właśnie jest. Co równie ważne, i panowie musicie o tym pamiętać, piromani w życiu codziennym to bardzo spokojni, mili ludzie, trochę zamknięci w sobie.

Skalski notował wszystko. Jakies zdanie podkreślił wężykami i dodatkowo zakreślił w kółeczko. Komisarz pomyślał, że podczas jego sprawozdania nie był tak gorliwy. Wystarczy pokazać zgrabne nogi i dekolt, a mężczyźni od razu zaczynają uważniej słuchać. Albo przynajmniej udają, że słuchają.

- Nie chciała pani, żebyśmy ją sugerowali jakimiś hipotezami, ale ich stawianiem właśnie w tej chwili powinniśmy się zająć - powiedział Mortka.

- No tak. Oczywiście. Wie pan, komisarzu, ja mam zaraz zajęcia na uniwersytecie.

- Jeszcze się pani uczy? - spytał Kochan.

- Prowadzę ćwiczenia - odpowiedziała chłodno.

- No proszę. Nigdy bym nie pomyślał. Tak młodo pani wygląda.

Psycholożka po raz kolejny zignorowała Kochana.

- Panie komisarzu. Proszę mi przygotować akta śledztwa, przyjdę po nie po południu.

- Zostawię paczkę w dyżurce - obiecał Mortka.

- Dobrze, panie komisarzu. Do widzenia.

- Do widzenia.

Podali sobie ręce na pożegnanie. Skalski wstał z miejsca, kiedy zamykała za sobą drzwi.

- Myślicie, że goli cipkę? - spytał Kochan.

Pytanie Kochana zawisło w powietrzu, a Skalski nerwowo zerknął w stronę Mortki, niepewny, jak ma się zachować.

- Wydaje mi się, że ona należy do tych, które golą. - ciągnął rozmarzonym głosem policjant.

- Przerwa - zakomenderował nagle komisarz. - Skalski, przynieś mi kawę. Ma się parzyć przynajmniej pięć minut.

Młody policjant bez słowa wyszedł z pokoju. Mortka wstał i podszedł do Kochana.

Oparł się o stół obok podkomisarza i wsadził ręce w kieszenie spodni.

- Zginął człowiek - powiedział powoli, starannie dobierając słowa. - Ktoś go zamordował, a ty zastanawiasz się, czy jakaś głupia baba goli cipkę, czy nie?

- To ważna kwestia.

- Naprawdę? - Czekał, aż podkomisarz spojrzy mu niechętnie prosto w oczy.

- Naprawdę.

- Jak ważna?

- Żywotnie ważna.

Mortka pokręcił głową i zaczął przechadzać się wokół stołu konferencyjnego, uderzając rytmicznie o blat palcem wskazującym.

- O co ci w ogóle chodzi, Kuba? - zapytał zirytowany Kochan.

Komisarz zatrzymał się w pół kroku, odwrócił i spojrział na kolegę.

- O to, że nie traktujesz tej sprawy poważnie - powiedział. - Nie wiem dlaczego.

Uważasz, że jest nudna? Nieciekawa? Jeden trup to dla ciebie za mało?

Kochan spuścił głowę i długo przypatrywał się czubkom swoich butów. Kiedy ją podniósł, wyglądał na skruszonego.

- Dobra, masz rację. Przepraszam. Nie powinienem się tak zachowywać, ale...

- Ale?

- Po prostu tak wyszło. Przepraszam. Ty możesz się wszystkim zajmować z poważną miną, być twardy, srogi i smutny, a ja muszę sobie czasami porobić jaja. Ale na dzisiaj już starczy. Przysięgam. Okej?

Mortka nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Kochan zawsze miał drwiący i lekko lekceważący stosunek do świata, pracy i obowiązków. Nigdy też specjalnie nie hamował się w wygłaszaniu komentarzy. Ale dzisiaj zdecydowanie przesadził. Z czego to mogło wynikać?

Kłopoty w domu? Zbyt dużo stresu?

- Okej - odparł komisarz.

Tymczasem wrócił Skalski, niosąc dwa styropianowe kubki, wypełnione po brzegi kawą. Niezgrabnie balansował ciałem, tak żeby nie wylać ich zawartości. Jeden kubek podał

Mortce, drugi zatrzymał dla siebie.

- Dziękuję - powiedział komisarz.

Młody policjant zajął swoje miejsce. Przez chwilę przypatrywał się ukradkiem Kochanowi, który spięty i ponury obracał w dłoniach długopis.

Mortka wziął łyk kawy. Odłożył kubek na stół i wrócił do wędrówki wokół stołu.

Chodzenie pomagało mu uporządkować myśli.

- Dobrze. Zastanówmy się nad tym, co powiedziała szamanka. Skalski, widzę, że lubisz notować. To notuj.

- Tak jest.

- Sprawcą ma być mężczyzna. Tutaj wnioski szamanki pokrywają się z moimi. Tylko mężczyzna ma dość siły, żeby wdrapać się w nocy na dach i wrzucić do komina koktajl Mołotowa.

- Pamiętaj o tym, że mógł już podpalać też mniejsze obiekty - włączył się Kochan, nie przestając bawić się długopisem. - Trzeba by sprawdzić kartotekę takich incydentów. Może kogoś na tym złapaliśmy? Może strażacy wyjeżdżali do mniej istotnych podpałek w ostatnim czasie?

- Dobry pomysł - pochwalił go Mortka. - Skalski, notuj: sprawdzić sprawy podpałek z ostatnich, no, powiedzmy, sześciu miesięcy. Ty się tym zajmiesz. Jeśli znamy sprawców, to trzeba się dowiedzieć, co robili w nocy z piątku na sobotę.

- Tak jest.

- Mamy również drugą hipotezę, związaną z osobą Borzestowskiego i podejrzanymi znajomościami Kameron. Nie możemy wykluczyć, że jednak załazł komuś za skórę, zrobił coś, czego nie powinien, albo wyszły na jaw jakieś stare sprawy. Trzeba to sprawdzić.

Pojeździć po mieście, porozmawiać z ludźmi. Kochan?

- Zajmę się tym.

- Świetnie. Ja pojedę do Klaudii Kameron i ją przepytam. Umówię się i porozmawiam z tym producentem muzycznym. To stara sprawa, ale na razie nie mamy innych tropów. W

rozmowie z Wyrwą wyszedł też wątek nieudanych inwestycji Kameron. Jeszcze dzisiaj wystąpimy do sądu z wnioskiem o odtajnienie tajemnicy bankowej. Przyjrzymy się kontom Kameron. Tym również się zajmę. Jakies pytania, propozycje?

- Żadnych - odpowiedział Kochan.

Skalski przejrzał notatki i pokręcił przecząco głową.

- Dobrze. Podsumowując, mamy do czynienia z dwoma sprawami. Jedną jest prawdopodobna seria podpałów na Ursynowie. Drugą, śmierć Jana Kameron. Stawiamy dwie główne hipotezy. Pierwsza jest następująca: podpalacz wchodzi do domu, zabija Jana Kameron, a parę godzin później podpala dom - powiedział komisarz.

- Bez sensu - mruknął Kochan.

- Nie do końca - odezwał się Skalski. - Zgadza się, że jest to mało prawdopodobne, ale przecież mogło być tak, że morderca najpierw zabił Kameron, a potem uciekł w panice z miejsca zdarzenia. Po jakimś czasie, kiedy się uspokoił, doszedł do wniosku, że musi zatrzeć ślady. Wrócił.

- I wywołał pożar, wrzucając koktajl Mołotowa przez dach? - przerwał mu Kochan. -

Doceniam pomysłowość naszego młodego kolegi, ale to głupie.

Skalski nie okazał, żeby w jakikolwiek sposób przejął się słowami podkomisarza.

To dobrze, jest twardy - zauważył Mortka. Ale też się nie bronił. Czy to dlatego, że bał się dyskutować ze starszym kolegą, czy po prostu sam nie wierzył w zaproponowany przez siebie scenariusz?

- A co z panią Kameron? Co się z nią wtedy działo? Ktoś zabija jej męża, a ona przez kilka godzin nie zawiadamia policji? Nie było jej w domu? A jeśli tak, to gdzie przebywała?

Czy też taka fartowna z niej babka, że wróciła akurat na pożar? - kontynuował Kochan.

Podkomisarz zrobił się niespodziewanie aktywny. Zwykle na zebraniach milczał, żuł gumę albo obgryzał ołówek. Dopiero później rzucał dwie, trzy niezłe myśli, które świadczyły o tym, że jednak słuchał tego, co mówiono. Mortka domyślał się, że dzisiaj chciał się zrehabilitować za incydent z szamanką.

- Masz rację - powiedział komisarz. - Pani Kameron jest kluczowa. Musimy wiedzieć, co robiła tamtego wieczoru. Dlaczego nikogo nie zawiadomiła o śmierci męża?

Wziął głęboki oddech.

- Mam powody przypuszczać, że tamtego wieczoru została zamknięta w garderobie przez swojego męża.

Opowiedział im o kłótniach, zniszczonej futrynie i wyłamany zamku. Kiedy skończył, Kochan gwizdnął przeciągle z uznaniem.

- Niezły koleś z tego Kameron - rzucił wesoło. - Widać, że nie dał sobie w kaszę dmuchać. Ciekawe, czy często musiał przyłożyć żonie?

Skalski zaczął szybko przeglądać notatki.

- Nie mieliśmy żadnych zgłoszeń na temat przemocy domowej ani od niej, ani od niego

- oświadczył.

- Od niego? - zdziwił się Kochan. - Dlaczego on miałby cokolwiek zgłaszać?

- Cóż, coraz częściej się zdarza, że ofiarami przemocy domowej padają również mężczyźni - powiedział Skalski.

Kochan wyglądał na rozbawionego.

- Słuchaj, kolego. - Wycelował w młodego policjanta długopisem. - Nie ma możliwości, żeby żona biła męża. A jeśli jakiś facet daje się bić kobiecie, to znaczy, że nie jest facetem, tylko babą. Proste?

Mortka uznał, że trzeba uciąć tę wymianę zdań pomiędzy policjantami, zanim zakopią się po uszy w statystykach na temat przemocy domowej. Kilka razy chrząknął znacząco.

Odwrócili się w jego stronę.

- Druga hipoteza jest taka, że sprawców było dwóch. Jeden zabija Kameron, drugi po

kilku godzinach przyjeżdża, żeby zatrzeć ślady. Mogło być też tak, że działali od siebie niezależnie. Jeden zabija Kameroną. Drugi to nasz piroman, który przypadkiem postanawia podpalić dom Kameronów.

- Dwóch sprawców? - W głosie Kochana zabrzmiało niedowierzenie.

- Właśnie. To tylko hipoteza, oczywiście. Skupmy się teraz na piromanie, jeśli taki rzeczywiście istnieje. Jak wybiera domy? Dlaczego właśnie te, a nie inne?

- Być może naprawdę nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Wiedział, że w dwóch pierwszych domach nikogo miało nie być - powiedział Skalski.

- Skąd? - zapytał podkomisarz.

Młody policjant wzruszył ramionami.

- Być może rzeczywiście coś w tym jest - stwierdził Mortka. - Skalski, popracuj na tym.

Porozmawiaj z ludźmi z pierwszych dwóch domów. Dowiedz się, kto mógł wiedzieć, że wyjeżdżają. Poszukaj punktów styecznych. Może wszyscy korzystają, nie wiem, z usług jednego hydraulika albo pizzę z knajpy przywozi im ten sam chłopak? Dobrze by też było, żebyś skontaktował się w naszym imieniu ze strażą pożarną. Dam ci numer do aspiranta Kowalskiego. Może wpadli na jakiś pomysł, chcą czegoś od nas, albo coś takiego.

- Tak jest.

Mortka zamilkł i zastanawiał się przez chwilę, czy jest jeszcze jakiś temat, który powinni poruszyć. Nic mu nie przychodziło do głowy.

- Dobrze. Gdyby było coś pilnego, to jestem pod telefonem. Widzimy się jutro o tej samej porze.

Kochan ze Skalskim wyszli. Mortka został jeszcze w salce konferencyjnej.

Pił kawę i myślał o spotkaniu z szamanką. Nie zrobiła na nim dobrego wrażenia. Jej wnioski, pomysły, wszystko to było mało pomocne i przypominało mu horoskop - mogło pasować prawie do każdego. Ale może, mimo wszystko, miała chociaż trochę racji?

Przypominał sobie jej słowa. Piroman, młody mężczyzna, około dwudziestu lat. Ma potrzebę ukarania ludzi. Ale za co? Co mu zrobili, że podpala domy? Czy miał kontakty z Kameronami? Czuł, że się powoli gubi. Miał już dość myślenia. Czas wziąć się do działania.

Komisarz spotkał doktor Pawlik przy samym wejściu do szpitala. W pierwszej chwili wydawało się, że chce przed nim uciekać albo przynajmniej ukryć się w schowku na szczotki.

Kiedy zorientowała się, że już ją zauważył, postanowiła stawić czoło sytuacji.

- Bardzo pana przepraszam - rozpoczęła, kiedy tylko znalazł się w zasięgu jej głosu. -

Nie wiedziałam, że na oddziale pojawił się dziennikarz, nie wiedziałam, że byli u nas fotoreporterzy. Dzisiejsza okładka wstrząsnęła mną równie mocno jak panem. To oczywiście mnie nie usprawiedliwia. - Mortka poczuł, że cała złość, jaką zaczął do niej żywić po przeczytaniu artykułu, znika z jego organizmu, wypłukana przez ten potok słów.

- Zepsuła mi pani całą zabawę - oznajmił.

- Jaką zabawę?

- W opieprzanie pani.

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

- Nic nie szkodzi. Wyzywanie się na kims jest przyjemne, ale mało konstruktywne.

Ważne jest to, że chcę porozmawiać z Klaudią Kameron. I dzisiaj muszę to zrobić.

- Proszę bardzo.

- Jeśli jej stan się pogorszy tak samo jak wczoraj, będę tutaj czekał tak długo, aż będę mógł kontynuować rozmowę.

- Po jej wczorajszym wybryku nie mam nic przeciwko.

Poprowadziła go przez zatłoczone korytarze, na których pacjenci, głównie starsi mężczyźni, przechadzali się tam i z powrotem, nerwowo łypiąc okiem to w jedną, to w drugą stronę.

- Kombinują, gdzie mogą się schować, żeby zapalić - wyjaśniła Pawlik. - Części z nich nie pozwalamy, inni nie mają dość sił, żeby wyjść na zewnątrz. A palić trzeba. Pan pali?

- Nie.

- To dobrze. Zdrowo. A palił pan?

- Nie. Nigdy. A pani?

- Niestety. Większość lekarzy pali. Wiele mówimy o tym, że nie można, ale mamy taką pracę, że bez fajki nie da rady. Z wami jest pewnie podobnie?

- Sam nie wiem - odpowiedział wymijająco.

Miał kilku kolegów, którzy jeśli nie wypalili przynajmniej paczki dziennie, robili się nieprzyjemnie nerwowi, a nawet agresywni, ale nie widział powodów, żeby dzielić się tym z lekarką.

Zatrzymali się, żeby przepuścić wózek z pacjentem, który jechał na blok operacyjny.

Dwaj lekarze szli kilka kroków za nim i rozmawiali szeptem o zabiegu.

Doszli do sali, w której leżała Klaudia Kameron. Na szczęście tym razem nie było przy niej matki.

- Pielęgniarz czeka w pobliżu. Na wszelki wypadek - oznajmiła lekarka.

Minął ją bez słowa i wszedł do pomieszczenia. Wziął spod ściany krzesło i ustawił je obok łóżka Klaudii Kameron. Kobieta chyba spała. Obudziła się dopiero wtedy, kiedy usiadł.

- Dzień dobry. Komisarz Jakub Mortka z warszawskiej policji. Byłem tu wczoraj.

Pamięta mnie pani?

Kiwnęła głową.

- Jest pani w stanie rozmawiać?

Powtórnie kiwnęła głową.

- Muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło u państwa w domu w nocy z piątku na sobotę. Kobieta w milczeniu zbierała siły do odpowiedzi. Policjant czekał cierpliwie.

- Miało nas nie być - wyszeptała w końcu Klaudia Kameron płaczącym głosem.

- Dlaczego?

- Mieliśmy... spa... pod Warszawą... Serock.

Podążyła mu nazwę ośrodka.

Dom miał być więc pusty, tak jak w dwóch pozostałych wypadkach - pomyślał Mortka.

- Dlaczego państwo nie wyjechaliście? - zapytał.

- Kłótnia.

- O co?

- O wszystko.

- Dużo się państwo kłóciliście, prawda?

Przytaknęła, wykrzywając twarz w grymasie, bo każdy ruch ciągle sprawiał jej ból.

- Co się dalej stało?

- Uderzył. Potem zamknął.

- W garderobie? - dokończył za nią.

- Tak - szepnęła. Jej głos był słaby i delikatny.

- Kiedy to było?

- Dwudziesta. druga. Chyba.

- Co się wydarzyło później?

W jej oku pojawiła się łza.

- Płomienie. Palilo się.

- A wcześniej? Przyszedł ktoś do domu? Słyszała pani kogoś?

- Nie.

Mortka spojrział za okno. Niebo zakryło się ciężkimi, brudnymi chmurami.

- Mieli państwo jakichś wrogów, zna pani kogokolwiek, kto mógłby chcieć zrobić państwu krzywdę? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową. Komisarz widział, że kobieta się męczy.

- Zrobimy przerwę, dobrze? - powiedział.

- Tak.

Kiedy wychodził z sali, pielęgniarz zajrzał do środka, by upewnić się, że pacjentce nic nie jest, a potem wrócił na posterunek na ławkę naprzeciwko drzwi. Mortka usiadł obok niego. Wyjął notatnik i zaczął przeglądać zapiski, szukając pytań, które musi jeszcze zadać.

- Pan tutaj!? Znowu chcecie dręczyć moją córkę!?

Katarzyna Budna pędziła w jego kierunku, przyciskając mocno torebkę do piersi i stukając głośno obcasami. Jej chód przypominał ruchy kaczki. Mortka poczekał, aż zatrzyma się tuż przy nim, po czym warknął.

- Policja pani przeszkadza, ale dziennikarze już nie!?

Katarzyna Budna uniosła lekko podbródek, przyjmując dumną pozę.

- Fani córki mają prawo wiedzieć, co się z nią dzieje - powiedziała.

- To pani zadzwoniła do dziennikarzy, prawda? - spytał rozzłoszczony komisarz.

- Fani córki mają prawo wiedzieć, co się z nią dzieje - powtórzyła Budna.

- I jest pani z siebie zadowolona? Widząc zdjęcie córki w takim stanie na pierwszej stronie największej gazety w Polsce?

Trafił w czuły punkt. Kobieta lekko zbladła, a dolna warga zaczęła jej delikatnie drżeć.

- To był błąd redakcji. Mieli wydrukować jej wielkie zdjęcie z konkursu piękności i mniejsze ze szpitala. Przez głupotę pracowników zamienili fotografie. Ale rozmawiałam już z redaktorem naczelnym. Polecą za to głowy.

- Czyje?

Tak jak się spodziewał, nie potrafiła powiedzieć.

- Naprawdę, bardzo się zdziwię, jeśli kogokolwiek zwolnią. Wręcz przeciwnie, ktoś w redakcji dostanie premię za to zdjęcie. Dała im się pani wykorzystać. I co najgorsze, dała im pani zarobić na krzywdzie własnego dziecka.

Już nie tylko warga, ale cała kobieta zaczęła się trząść. Jej rosnące z chwili na chwilę zdenerwowanie sprawiło Mortce satysfakcję.

- Kłamstwo - syknęła. - Redaktor naczelny sam mi powiedział, że polecą głowy.

Możemy do niego zadzwonić, sam pan usłyszysz.

Zacząła szukać telefonu komórkowego w torebce. Mortka machnął ręką.

- Wracam do pani Kameron - powiedział do pielęgniarza. - Proszę nie wpuszczać pani Budnej do środka.

Kobieta zamarła i spojrzała na niego oburzona.

- Przecież to moja córka, mam prawo!

- Dobrze - odparł pielęgniarz, zupełnie ignorując Budną. Mortka domyślił się, że nie tylko jemu zalazła za skórę.

Komisarz nie potrafił ocenić, czy chwila odpoczynku pomogła Klaudii Kameron, czy nie. Leżała tak, jak ją zostawił, równie nieszczęśliwa i obolała jak przed pięcioma minutami.

Zajął miejsce obok łóżka.

- Czy podejrzewa pani kogoś o to podpalenie?

Zaczął od pytania, którym zakończył pierwszą część rozmowy. Miał nadzieję, że w czasie przerwy kobieta będzie się nad nim zastanawiała i może coś przyjdzie jej do głowy.

Spotkało go jednak rozczarowanie.

- Nie.

- Czy mieliście państwo jakichś wrogów? Pani lub mąż.

- Nie.

Trudno mu w to było uwierzyć. Taki człowiek jak Jan Kameron i ona ze swoją nieudaną karierą w show-biznesie musieli w kimś budzić niechęć albo zazdrość. Pomyślał, że kobieta kłamie.

- Ani przyjaciół - dodała po chwili Klaudia Kameron. - Byliśmy sami.

A więc tak. Komisarz w końcu ujrzał ich życie takim, jakim było ono w rzeczywistości: niegdysiejsza gwiazdka muzyki pop i biznesmen bankrut mogli teraz liczyć tylko na ochłapy dawnych, dobrych czasów. A przyjaciele i wrogowie stali się zaledwie wspomnieniem.

- Może ostatnio stało się coś dziwnego? - zapytał po chwili milczenia.

- Nie.

- Mąż nie był podenerwowany, nie obawiał się kogoś?

- Nie.

- Nie zauważyła pani, żeby ktoś obcy obserwował państwa dom?

- Nie.

- Czy ktoś wiedział, że wybieracie się państwo do ośrodka spa?

- Nie.

- Jest pani pewna?

- Tak - odparła po chwili.

Mortka nie miał więcej pytań. Podziękował, życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia i wyszedł z sali. Katarzyny Budnej nie było w pobliżu.

- Poszła na skargę do dyrektora szpitala - wyjaśnił pielęgniarz, widząc, jak komisarz rozgląda się za matką Klaudii Kameron.

- Wskóra coś? Nie będzie pan miał kłopotów?

- Nie, dyrektor każe jej w krótkich żołnierskich słowach. sam pan wie co. Wszyscy są na nią wściekli za ten tekst w „Fakcie”.

Mortka wyobraził sobie tę scenę i uśmiechnął się mimowolnie.

- Jak dziennikarze dostali się do pani Kameron? - zapytał.

- Szczerze mówiąc, po prostu mamy tu tyle roboty, że nikt nie zwrócił na nich uwagi - przyznał uczciwie pielęgniarz. - Mógłby pan tutaj wparować czołgiem, a i tak ktoś by go zauważył dopiero wtedy, kiedy by pan wjechał na salę operacyjną podczas zabiegu.

Komisarz rozejrzał się dokoła i przyznał mężczyźnie rację. Po korytarzach przewalał się tłum pacjentów, lekarzy, pielęgniarek. Z różnych stron dochodziły ciche jęki i szlochanie.

Rodziny zaczęły dokonywać doktorów, żeby za wszelką cenę dowiedzieć się, co się dzieje z ich najbliższymi. W szpitalu było gorzej niż na komendzie w piątkowy wieczór, kiedy co chwila dostają wezwanie do zbyt głośnej libacji, pobicia lub zwykłego aktu wandalizmu. Tak, dziennikarze mieli łatwe zadanie.

- Skończyłem już rozmawiać z panią Kameron. Do widzenia panu.

- Do widzenia.

Pielęgniarz wszedł do sali, a Mortka skierował się w stronę wyjścia.

Wrócił na komendę, gdzie zajął się wypełnianiem papierów związanych z wnioskiem o zniesienie tajemnicy bankowej. Zaczął też rozmyślać o śledztwie.

Najbardziej prawdopodobne wydawało mu się pospolite włamanie. Właściciele miało nie być, ale z powodu kłótni odwołali wyjazd. Dlatego też Kameronowi udało się nakryć włamywacza. Ten wpadł w panikę, wywiązała się bójka, Kameron dostał śmiertelne uderzenie w głowę, a sam złodziej uciekł. W takiej sytuacji możliwość złapania sprawcy była prawie zerowa. Szczególnie jeśli to był ktoś spoza środowiska - gówniarz, który chciał

dorobić do kieszonkowego, czy drobny złodziejaszek spoza Warszawy. Nawet nie wiedzieli, jakich fantów mają szukać. Kilka godzin później na dachu domu pojawił się piroman.

Zasepił się. Gdyby miał do czynienia tylko z podpaleniem albo tylko z zabójstwem, poradziłby sobie bez trudu. A tymczasem jedno nakładało się na drugie, sprawcy wzajemnie, chociaż nieświadomie, zacierali swoje ślady i wszystko się w ten sposób gmatwało.

Dokończył pisanie wniosku i zaniósł go do sekretariatu. Miał nadzieję, że inspektor szybko go podpisze i pismo powędruje do sądu.

Później przygotował dokumenty dla szamanki i skopiował wszystko, co mógł. Kiedy przyniósł całą paczkę do dyżurki, okazało się, że kobieta zjawiła się trzy godziny wcześniej.

Przekazała, że odbierze papiery jutro. Podobno wyglądała na zdenerwowaną.

Mortka był zły na siebie, że nie załatwił tej sprawy szybciej. Nie wierzył w szamanów, ale odpowiedni portret psychologiczny sprawcy zawsze mógł się przydać. Chociażby jako podkładka dla zwierzchników.

Wrócił do pokoju i zajął się pracą. Najpierw odnalazł spa w Serocku i zadzwonił tam.

Odebrała recepcjonistka o szczepiotliwym głosie.

- Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji. Chciałem się dowiedzieć, czy państwo Kameronowie mieli u państwa rezerwację na miniony weekend.

- Nie mogę panu udzielić takiej informacji przez telefon.

- Mogę wysłać faks, jakieś pismo.

- Najlepiej gdyby pan do nas przyjechał.

- Niestety, nie mam czasu na wycieczkę do Serocka. Jeśli można tego uniknąć. To bardzo ważne, proszę pani.

Niemal słyszał jej wahanie w słuchawce.

- Właściwie to nawet nie przyjechali - powiedziała.

- Czyli mieli rezerwację?

- Tak. Dwuosobowy pokój na ostatni weekend. Ale się nie zjawili. Szczerze mówiąc, nie zdziwiło mnie to.

- Dlaczego?

- Zawsze dzwoniemy, żeby ustalić program zabiegów. Kiedy zatelefonowałam do pani Kameron w piątek, odebrał jej mąż. Zapytałam, czy mam potwierdzić rezerwację. Powiedział, że tak.

- W takim razie dlaczego uważała pani, że i tak nie przyjadą?

- Chodziło o jego ton. To było takie, wie pan. „Aaa, mamy rezerwację? Tak, oczywiście, że potwierdzam”. Odniosłam wrażenie, że o niczym nie wiedział.

- Może zapomniał. Kto robił rezerwację?

- Kobieta. Pani Kameron.

- Rozumiem. Dziękuję za informację.

- Jakby co, to proszę się na mnie nie powoływać, dobrze?

- Nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

Zachichotała.

- Jeśli przyśle pan oficjalne pismo, to będziemy mogli się wypowiedzieć.

- Tak zrobię.

Pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Resztę dnia poświęcił na spisywanie dotychczasowych postępów w śledztwie.

Zadzwoił też do wytwórni Stasińskiego i umówił się z nim na spotkanie w środę.

Zastanawiał się także, czy nie powinien spróbować spotkać się z Borzestowskim, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że do tej rozmowy musi się lepiej przygotować. Teraz miał za mało informacji.

Po powrocie do domu miał pół godziny, żeby się zdrzemnąć. Potem zabrał kąpielówki i pojechał po dzieci. Ola oddała mu chłopców bez słowa. Odwiedzili pływalnię Warszawianka.

Synowie bawili się w płytkim basenie, a on zrobił dwadzieścia długości na długim.

Kiedy odstawiał chłopców, Ola poprosiła, żeby został chwilę. Musiał poczekać, aż była żona osuszy dzieciom włosy i położy je do łóżka. Wiedział, że ma mu za złe to, że sam im porządnie nie wytarł głów.

Siedział cierpliwie w kuchni. Kiedy w końcu do niego przyszła z nadąsaną miną, podniósł się z krzesła i stanął przy lodówce.

- Poczęstujesz mnie herbatą? - zapytał.

- A zapłacisz alimenty? - odpowiedziała napastliwie. - Jeszcze tego nie zrobiłeś.

- Przepraszam. Zapomniałem. Mam teraz taką jedną sprawę.

- Zawsze masz jakąś sprawę.

- Zapłacę ci jutro.

Nie odpowiedziała.

Wychodząc, zajrzał jeszcze do chłopców i powiedział im dobranoc. Ola nawet go nie odprowadziła.

Rozdział 10

W środku nocy zbudził Mortkę śmiech podobny do rechotu żaby. Podniósł się i sięgnął po zegarek, który leżał na szafce przy łóżku. Wskazówki pokazywały piętnaście minut po drugiej. Hałas dochodził z pokoju Piotrka. Komisarzowi wydawało się, że słyszał chłopaka, Agnieszkę i kogoś jeszcze. Kogoś, kto śmiał się głośno w wyjątkowo denerwujący sposób.

Wściekły i zrezygnowany, opadł z powrotem na łóżko i długo leżał bez ruchu. Zamknął oczy, próbował zasnąć, ale nie potrafił.

Wciąż dochodził go śmiech i dodatkowo brzęk butelek. Ktoś, chyba Agnieszka, próbował uciszyć towarzystwo.

Załóżył sobie poduszkę na głowę. Leżał tak może przez dziesięć minut. Gniew narastał w nim z każdą chwilą.

W końcu podniósł się z łóżka. Znalazł w ciemności swoją koszulkę i włożył ją.

Wyszedł do przedpokoju i skierował się prosto do pokoju Piotrka. Nie wiedział, kiedy narodziła się w jego głowie ta decyzja. Po prostu stwierdził, że jeśli jeszcze raz usłyszy ten chichot, to nie wytrzyma.

Nacisnął klamkę. W zadymionym pomieszczeniu siedzieli Piotr i Agnieszka. Obok drzwi zobaczył jeszcze krótko ostrzyżonego chłopaka. I to on zarechotał. To on śmiał się tak głośno.

Pięść Mortki wylądowała prosto na jego głowie. Komisarz ledwo poczuł ból, który rozszedł się wzdłuż dłoni i powędrował jak elektryczny impuls aż do łokcia. Chłopak spadł z krzesła i otumaniony wylądował na podłodze. Chwycił się za czoło i jęknął głośno.

Piotrek z Agnieszką umilkli i wpatrywali się zszokowani w policjanta.

- Nie możesz... nie możesz tak robić - wybełkotał Piotrek.

Agnieszka próbowała go uciszyć, ale odepchnął ją miękkim, pijackim ruchem.

- Nie mogę? - Mortka wycelował w chłopaka palcem. - Jasne, że mogę. Macie się zamknąć, bo przyjdę tu po raz drugi i połamię wam ręce. Jasne?

- Nie możesz - powtórzył Piotrek, ale już mniej zdecydowanie.

- Mogę. A jak ci się to nie podoba, to zawiadom policję.

Wyszedł z pokoju i wrócił do siebie. Położył się spać.

W całym mieszkaniu panowała cisza. Szybko zasnął.

Kiedy obudził się rano, spotkał Piotrka w kuchni. Chłopak obrzucił go spojrzeniem pełnym nienawiści, ale nie odważył się odezwać. Mortka znalazł kubek, umył go i przygotował sobie kawę. Wstydził się wczorajszego incydentu i swojego zachowania. Wrócił z kawą do siebie.

Pił i zastanawiał się, co powinien zrobić. Musiał się wyprowadzić z tego mieszkania, bo do końca zwariuje albo naprawdę zrobi coś, czego później będzie żałować. Tylko że wciąż brakowało mu pieniędzy.

Uświadomił sobie, że jeśli nic się nie zmieni, to tak właśnie będzie wyglądało jego życie aż do śmierci. Będzie się włóczył od jednego pokoju do drugiego, z każdym rokiem coraz starszy, a cała ta sytuacja stanie się coraz bardziej żalosna. Czy miał opuścić policję, poszukać pracy gdzie indziej? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Co mógłby robić? Zostać ochroniarzem? Może z jego doświadczeniem przyjęliby go na jakieś kierownicze stanowisko.

Prawda była jednak taka, że nie widział dla siebie miejsca poza służbą.

A gdyby wnieść o zmniejszenie wysokości alimentów? - pomyślał. Tylko że wtedy nie potrafiłby spojrzeć na siebie w lustrze. To, że podczas rozvodu zachował się przyzwoicie, było jedną z niewielu rzeczy, które napawały go dumą. Nie chciał sobie odbierać tego uczucia. Potrzebował go tak, jak tonący potrzebuje chociaż na chwilę wynurzyć twarz nad taflę wody.

Ale coś musiał zrobić ze swoim życiem. Obiecał to sobie. Najpierw jednak złapie tego podpalacza.

Ubrał się szybko i pojechał do pracy.

I Kochan, i Skalski wyglądali na niewyspanych. Siedzieli w milczeniu i pili kawę.

- Dobra. Rozpoczynamy zebranie. Każdy się teraz spowiada. Ja pierwszy.

Komisarz krótko zreferował wydarzenia poprzedniego dnia.

- Teraz wy. Skalski?

- Od straży pożarnej nie dowiedziałem się niczego nowego. Ale chłopaki są podminowani. Szczególnie ten Kowalski. Cały czas się zastanawiają, kiedy nasz człowiek uderzy po raz kolejny. Dosłownie błagali mnie, żebyśmy wysyłali w tamten rejon jeszcze więcej patroli.

- A podpalacze?

- Jest parę interesujących tropów. Mam pięciu podejrzanych. Dwóch sprawdziłem wczoraj. Niestety, jednego nie było wtedy w mieście, drugi ma alibi. Dzisiaj zajmę się pozostałymi trzema.

- Potrzebujesz pomocy?

- Jeździ ze mną kumpel z Ursynowa.

- To dobrze. Kochan?

Podkomisarz otarł twarz i wypił ostatni łyk kawy.

- Rozmawiałem wczoraj z ludźmi. Kameron, tak jak mówił Gruda, był znany w środowisku. Ale wszystko, czego się dowiedziałem, to historie sprzed lat. Robił za pralnię dla chłopaków z Pruszkowa. Z kolei z tymi z Wołomina dogadał się tak, że pozwolił im się parę razy okraść, a sam zgarnął odszkodowanie. Kiedy miał jeszcze knajpę na starówce, to regularnie płacił haracz, aż w pewnym momencie polubili go tak bardzo, że zwolnili z opłat.

Za to zawsze mogli się tam napić za darmo.

- Polubili go? - zapytał z niedowierzaniem Mortka.

Kochan wzruszył ramionami.

- Też nie mogłem uwierzyć, że wypuścili kurę znoszącą złote jaja z czystej sympatii, ale wszyscy zarzekają się, że tak właśnie było.

- Kameron nie miał żadnych wrogów?

- Był ponoć taki jeden. Koleś nazywał się Sokół, pochodził z Wołomina. Za zgodą Kamerona obrabiał jego ciężarówkę. Ale coś poszło nie tak, jak powinno. Strasznie pobił kierowcę. Facet wylądował w szpitalu z przetrąconym kręgosłupem i teraz jeździ, ale tylko na wózku. Kameron się wściekł. Poszedł na skargę do szefostwa. A że miał z nimi dobre kontakty, to Sokół dostał za to podobno konkretny wpierdół, stracił swój udział w łupie i spadł w towarzyskiej hierarchii.

- Gdzie jest teraz ten Sokół?

- Na cmentarzu Bródnowskim. Zginął podczas jednej z rozwałek, które chłopcy urządzali pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Kameron w ogóle nie był w to zaangażowany.

- Sokół miał rodzinę, przyjaciół, kumpli. Wiem, że to słaby trop, ale warto go sprawdzić.

Podkomisarz skinął głową.

- Zgadzam się z tobą. Dzisiaj się tym zajmę.

- A ten facet na wózku?

Kochan uśmiechnął się pod nosem.

- Podejrzewasz, że się zemścił na Kameronie za wystawienie go Wołominowi?

Musiałby mieć facet niezłą krzepę w rękach, żeby wspiąć się z wózkiem na dach.

- Może ma syna? Dorosłego. Na przykład wysportowanego dwudziestolatka. Co ty na to?

Podkomisarz zarumienił się i schował nos w dokumentach.

- Sprawdzę to - wymamrotał.

Mortka poprawił się na krześle. Spojrzał najpierw na Kochana, potem na Skalskiego.

- Dobra. Powiedzcie, co o tym wszystkim myślicie.

- Szczerze? - zapytał Skalski.

- Szczerze.

- Z powodu błędów straży pożarnej i własnych spieprzyliśmy pierwsze trzy pożary.

Dopiero kiedy podpalacz zaatakuje po raz czwarty, będziemy mieli szansę go dorwać.

Mamy za mało danych.

- A co z zabójstwem?

- Jeśli tak jak nasz młody kolega mogę mówić szczerze - rozpoczął Kochan - to tracimy czas, Kuba. Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda. Na mój nos facet był od lat czysty i nawet jeśli miał jakichś wrogów, to żadnego, który byłby skłonny go zabić. Moim zdaniem ktoś włamał się do jego domu. Zastał jednak właściciela, wywiązała się bójka, Kameron oberwał.

Zwykła historia. Problem polega na tym, że pożar zniszczył wszystkie ślady, a jak jakieś zostały, to zdeptała je straż pożarna. Przecież nawet nie wiemy, czy coś z tego domu zginęło.

I nigdy się nie dowiemy, bo nie wiadomo, co spłonęło, a co mógł ukraść złodziej.

Mortka uznał, że na razie nie będzie się przyznawać do tego, że ma podobne przemyślenia. Jeśli to było przypadkowe zabójstwo, to ich szanse na odnalezienie sprawcy mały niemal do zera. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że trafią na nowy trop.

- Spróbujmy jednak na razie poszukać zabójcy zamiast od razu odkładać sprawę na półkę. Kochan, pójdziesz tropem tego Sokoła i faceta na wózku. Może coś z tego wyjdzie.

Skalski, zajmij się tymi piromanami, których masz na rozkładzie. Ja porozmawiam z tym całym Stasińskim. Może w ogóle poszliśmy w złym kierunku. Może to nie chodzi o wrogów Kamerona, ale o wrogów Klaudii Kameron? Może to na niej ktoś chciał się zemścić?

- To prawdopodobne - przyznał Kochan. - O niej wiemy mniej niż o nim.

- Zajmę się nią - powiedział komisarz. - Jakies inne pomysły, wnioski?

Nikt się nie odezwał, więc Mortka zakończył zebranie. Pożegnał się ze Skalskim i poszedł do pokoju, żeby wziąć kurtkę i czapkę.

- Dzisiejsza kolacja aktualna? - zapytał Kochan. Podkomisarz zajął swoje miejsce przy biurku i włączył komputer.

- Tak, oczywiście.

- To umówmy się tutaj o... - Kochan spojrział na zegarek - ...może piąta trzydzieści?

Pojedziemy najpierw do ciebie, zostawisz samochód, a potem ja cię zawiozę do nas. Nie będziesz dziś prowadził, więc się trochę napijemy. Wódka już się chłodzi w lodówce.

- W taką pogodę to mógłbyś ją na balkon wystawić.

- Jeszcze by ptaki ukradły - zażartował podkomisarz. - To co, plan pasuje?

- A jak wrócę?

- Żona cię odwiezie.

Mortka widział po twarzy Kochana, że nie wywinie się od picia. Zaczynał żałować, że przyjął zaproszenie.

- W porządku. Widzimy się tutaj o wpół do szóstej.

- Tylko nie zapomnij.

- Jasne.

Mortka ubrał się. Kiedy wychodził, słyszał, jak z głośników komputera Kochana lecą pierwsze dźwięki piosenki Klaudii Klau.

Wytwórnia Michała „Stasia” Stasińskiego Stas Records mieściła się na północnych obrzeżach Warszawy, na granicy Bielania i Bemowa, w kompleksie starych, przemysłowych

garaży. Sąsiadowała z hurtownią papieru, drukarnią materiałów reklamowych i warsztatem samochodowym. Na pobliskim parkingu stało zaledwie kilka brudnych ciężarówek i dwóch mężczyzn ubranych tylko w bluzy. Obaj palili papierosy i wyglądali klientów. Przez chwilę obserwowali też Mortkę, ale ich zainteresowanie zniknęło, kiedy komisarz przeszedł obok bez słowa.

Wytwórnia zajmowała świeżo wyremontowaną, a przez to trochę bardziej elegancką część budynku. Mortka otrzepał buty ze śniegu i wszedł do środka. W malutkiej recepcji siedziała opatulona w warstwę grubych swetrów i kurtkę panienka o różowych włosach i z kolczykiem w nosie. Mocno umalowana i wydekoltowana, wyglądała jak punkowa wersja lalki Barbie.

- Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji. Byłem umówiony z panem Stasińskim.

Dziewczyna otworzyła gęsto zapisany nazwiskami zeszyt.

- Jak się pan nazywa?

- Jakub Mortka. Komisarz.

- Skąd?

Mortka był pewien, że dziewczyna jest po prostu złośliwa. Może kiedyś dostała mandat za picie alkoholu w miejscu publicznym albo ma sprawę za posiadanie narkotyków i teraz mści się w dziecinny sposób na przypadkowym policjancie, który akurat pojawił się w jej recepcji - pomyślał rozdrażniony.

- Z Komendy Stołecznej Policji. Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw.

- Aha.

Wróciła do kartkowania zeszytu.

- Jeszcze raz, jak ma pan na nazwisko?

- Śmiesz to panią?

Podniosła głowę i spojrzała na niego ze słabo udawanym zdumieniem.

- Ale co takiego!?

- To!

- Proszę pana. Ja po prostu wypełniam swoje obowiązki. Taką mam pracę, że muszę ją bardzo dokładnie wykonywać. Jeśli tego nie zrobię, to mogę mieć kłopoty. Ale oczywiście, wie pan - zniżyła konspiracyjnie głos - możemy się dogadać.

Komisarz stłumił pełne irytacji westchnięcie.

- A więc mandat - powiedział. - Za co? Za przekroczenie prędkości czy inne złamanie przepisów?

- Przekroczenie prędkości - przyznała niechętnie.

- O ile? I gdzie?

- O osiemdziesiąt kilometrów w terenie zabudowanym.

Gwizdnął z uznaniem.

- To była noc, a ten teren zabudowany to była dziura zabita dechami. Zabrali mi za to prawo jazdy - dodała dziewczyna.

Nie tylko za to - pomyślał Mortka. O ile znał kodeks drogowy, to nawet za tak rażące przekroczenie prędkości nie dostaje się tylu punktów karnych, żeby stracić prawo.

- I do tego ten gruby wieprz z drogówki chciał łapówkę.

- To może trzeba było dać.

- Nie daję psom łapówek. Nigdy.

Aha, uczciwa obywatelka jej mać - westchnął komisarz.

- Wpuści mnie pani? - zapytał.

Zmrużyła powieki, tak że Mortka zauważył na nich lśniące drobiny brokatu.

- Pan jest w porządku - zdecydowała.

Chwyciła telefon i wykręciła numer wewnętrzny.

- Stasiu. Pan z Komendy Wojewódzkiej do ciebie.

Mortka postanowił jej nie poprawiać. Podziękował tylko za pomoc.

Michał „Staś” Stasiński miał około czterdziestu pięciu lat. Chudy i ostrzyżony prawie na łyso, nosił malutką, bardzo zadbaną kozią bródkę, której pielęgnacji musiał poświęcać przynajmniej pół godziny każdego poranka, i ubrania, które już w chwili, kiedy opuszczały fabrykę, wyglądały na znoszone i wysłużone. Co nie zmieniało faktu, że wszystkie były modne, drogie i markowe.

- Jakub Mortka, Komenda Stołeczna Policji - przedstawił się komisarz.

- Staś. Zapraszam do środka.

Producent chwycił dłoń policjanta, równocześnie klepiąc go serdecznie w ramię, i poprowadził komisarza w stronę części biurowej.

- Jest pan rozczarowany? - zapytał Stasiński. - Większość osób spoza branży, kiedy widzi moje dziecko, jest rozczarowana. Spodziewają się jakiegoś wieżowca czy cholera wie czego, a tutaj, ot, przerobiony magazyn. Wszyscy myślą, że produkcja muzyki to nieustanna impreza, wielkie samochody i *bounce* ze skąpo odzianymi laseczkami. A tak jest tylko na teledyskach. No i niezłych melanzach. U mnie może jest, jak jest, ale powiem panu, że sprzęt mamy pierwszej klasy.

- Pierwszej klasy - powtórzył jak echo Mortka.

Wydawało mu się, że właśnie to Stasiński chciał usłyszeć.

- Dokładnie, panie komisarzu. Pierwszej klasy. Najlepszy w Warszawie. Nikt takiego nie ma. Chce pan coś do picia?

- Nie dziękuję.

- A do nosa?

Stasiński przytknął palec do nosa i zrobił ruch, jakby właśnie wciągał kreskę kokainy.

Zanim zaskoczony komisarz odpowiedział, producent roześmiał się głośno i powtórnie klepnął policjanta. Mortka tylko zacisnął zęby, mając nadzieję, że nie daje po sobie poznać, jak bardzo jest zirytowany.

- Nie, oczywiście, że nie! Poza tym jesteśmy czysti! - Stasiński roześmiał się raz jeszcze.

- No, ale bądźmy już poważni.

- Bądźmy - powiedział grobowym głosem Mortka.

- Zapraszam do siebie.

Przeszli do gabinetu Stasińskiego. Stało tam wielkie biurko, na którym ustawiono w idealnym porządku pudełka z płytami CD i DVD, kilka książek o muzyce oraz *Alchemika* Paula Coelho, a także komputer i schludny stosik dokumentów. Przy jednej ze ścian stała szafka, w której przeżyły się grzbiety teczek z napisami: DELEGACJE, KONTRAKTY, UMOWY O PRACĘ. Na drugiej ścianie wisiały plakaty z *Casablanki* i *Obywatela Kane'a* oraz gitara elektryczna z nieczytelnym autografem na korpusie.

Stasiński wyciągnął z szuflady papierosy marki Pall Mall.

- Zapali pan?

- Nie palę.

- Ale ja mogę?

Mortka wzruszył ramionami.

- To pana biuro - odpowiedział.

Producent wziął papierosa z paczki i wsadził go do ust. Z tylnej kieszeni wyjął

zapalniczkę. Zapalił i zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił nosem dym z błogim westchnieniem.

- Chciał pan porozmawiać o Klaudii Klau... - rozpoczął Stasiński.

- Skąd pan wie?

- Widziałem pierwszą stronę „Faktu”. Później pan zadzwonił. Nietrudno wydedukować to i owo. To co, byłbym dobrym policjantem?

- Bardzo dobrym. Takich właśnie ludzi nam potrzeba.

Stasiński zaśmiał się krótko. Znow się zaciągnął.

- Za stary jestem - stwierdził i wypuścił z ust owalną chmurkę dymu. - Poza tym muszę pilnować dziecka. Mam na myśli wytwórnię.

- Znał pan ją? - zapytał Mortka, żeby sprowadzić rozmowę z powrotem na właściwie tory.

- Klaudię Kał? Oczywiście. Przecież dlatego pan tu jest. Wyprodukowałem jej pierwszą płytę. To było w. - przymknął oczy i poruszał w powietrzu dłonią, w której trzymał papierosa, jakby dyrygował orkiestrą. - W roku 1997. Pamiętam, że wyszła wtedy *Zebra* Kayah i na listach przebojów przegrywaliśmy z *Takim tangiem*. Tak, to musiał być rok 1997.

- Powiedział pan Klaudia Kał.

Producent strzepnął szary popiół do białej popielniczki z błękitnym napisem

„Wyborowa”.

- Naprawdę tak powiedziałem? - zdziwił się. - Kurczę, czepiła się jej ta ksywka. Ktoś podrzucił to przezwisko przy okazji drugiej płyty. Ja jej nie produkowałem, ale słyszałem historie, ba, legendy z tego jakże wiekopomnego wydarzenia.

- Jakie legendy?

- Widzi pan. - Stasiński zaciągnął się po raz ostatni i zgasił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce. - Z Klaudią było tak, że śpiewała średnio, ale miała fajny tyłek i cycki. W jej kategorii muzycznej to wystarczy. Dziewczyna dostała swoje pięć minut sławy, które akurat w jej wypadku trwało minut trzy. Ale stało się tak tylko z jej winy. Gdyby zachowywała się trochę bardziej rozsądnie, to może by nawet do dzisiaj wytrzymała. Pewnie nie w pierwszej lidze, nie tańczyłaby z gwiazdami, ale na lodzie mogłaby pośmigać. Kto wie, gdyby miała trochę szczęścia, to dostałaby program na TVN Style czy coś takiego. W każdym razie dalej by ją zapraszano na bankiety.

- Co się stało?

- Zacznę od początku, dobrze?

Policjant kiwnął głową.

- W pewnym momencie z kolegami z ówczesnej wytwórni stwierdziliśmy, że trzeba by zrobić polską Britney Spears. Zorganizowaliśmy casting. Wygrała Klaudia. Dobrze wyglądała, nieźle śpiewała i do czasu była rozsądną, fajną dziewczyną. Słuchała, co się do niej mówiło, poprawiała, co było do poprawienia, starała się. Przyjemnie się z nią pracowało.

Wydaliśmy jej płytę. Żadne arcydzieło, ale znalazł się tam jeden hit i jedna piosenka, którą zaliczyłbym do kategorii prawie hitów. Najważniejsze, że album się sprzedał i wytwórnia wyszła na plus. W tamtym czasie było to na tyle imponujące osiągnięcie, że podpisaliśmy z nią umowę na wydanie drugiej płyty.

- I.

- I przyszła telewizja, przyszły teledyski, przyszły wywiady, „Życie na gorąco” i Klaudia zaczęła nam gwiazdorzyć. Gwiazdorzyć zaczął też jej mąż, wtedy chyba dopiero narzeczony. Bardzo nieprzyjemny typ człowieka, agresywny.

- Agresywny?

Stasiński podrapał się po czole.

- To może nie do końca dobre słowo - przyznał w końcu. - On miał w sobie mnóstwo złej energii. Emanował nią. Jakby całe jego ciało było zbudowane niezgodnie z regułami *feng shui*. Pan wie, to taka starożytna chińska sztuka.

- Wiem, co to jest *feng shui* - przerwał mu Mortka. - Mógłby pan powiedzieć, co takiego zrobił jej mąż?

- Zepsuł nam Klaudię. To przez niego zachowywała się tak, jakby była największą gwiazdą polskiego show-biznesu i znała się na muzyce. Zapomniała, że ona jest tylko od tego, żeby wyglądać.

Nagle do gabinetu wpadł bez pukania chłopak z dreadami i w koszulce reprezentacji Brazylii. Kiedy spostrzegł Mortkę, stanął zaskoczony.

- Przepraszam. Stasiu, musisz tego posłuchać.

Położył na biurku producenta płytę i szybko wyszedł.

- Mówiłam ci, że tam jest policjant! - krzyknął ktoś z korytarza.

Drzwi się zamknęły. Producent spojrzął na opakowanie, mruknął coś pod nosem i rzucił płytę na kupkę obok komputera.

- O czym mówiłem?

- O drugiej płycie Klaudii Klau. I o tym, że zachowywała się tak, jakby się znała na muzyce.

- No tak. - Sięgnął po drugiego papierosa i zaczął obracać go między palcami, ugniatając delikatnie tytoń. - Zaczęła wymuszać swoje pomysły. Złe pomysły. A producent, który się nią zajmował, dał się zastraszyć jej i jej mężowi. W rezultacie zamiast solidnego popowego albumu dostaliśmy tanie dyskotekowe gówno, którego nawet Polacy wychowani na disco-polo nie chcieli kupować.

- Co się wtedy stało?

- Zablokowałem wydanie płyty. Byłem odpowiedzialny w wytwórni za ten pion i wiedziałem, że jeśli to wypuścimy, to mnie wyleją.

- Była aż tak zła?

- Tu nie chodzi o to, że była zła. Sam pan wie, jaki chłam się teraz sprzedaje.

Mortka nie wiedział, ale wołał się nie wypowiadać.

- Płyty dzielimy mniej więcej na dwie kategorie: komercyjne i artystyczne -

kontynuował Stasiński. - Komercyjne to różne mniejsze lub większe popowe gwiazdy i gwiazdeczki. Mogą być słabe, ale mają się sprzedawać. Proste. Mamy też projekty artystyczne. Albo to się w ogóle nie sprzedaje, albo sprzedaje się słabo, ale warto mieć w katalogu kilka płyt, którymi będzie się można pochwalić. Tak było na przykład z Raz, Dwa, Trzy zanim się okazało, że ludzie to kupują. Pierwszy album Klaudii Klau był komercyjny aż do bólu. Osobiście nikomu w życiu bym go nie polecił, ale wiedziałem, że się sprzedaje. I tak się stało. Druga płyta pani Klau nie była ani komercyjna, ani artystyczna. Ani by się nie sprzedała, ani nie można by się nią pochwalić. A ona zachowywała się tak, jakby to był drugi *Korowód* Grechuty i Anawy połączony z *Nic nie boli tak jak życie*.

- To wtedy Jan Kameron kazał pana pobić?

Producent skrzywił się na to nieprzyjemne wspomnienie.

- Tak właśnie - przyznał. - Pana koledzy się wtedy nie popisali. Wszyscy wiedzieli, że zrobiono to na jego zlecenie, ale policji to nie wystarczyło.

- Nie było dowodów.

- Spędziłem wtedy tydzień w szpitalu, panie komisarzu.

Mortka musiał szybko zmienić temat, żeby Stasiński nie skupił się teraz wyłącznie na rozpatrywaniu własnej krzywdy.

- Co się stało z płytą?

- Sprzedaliśmy do niej prawa innej wytwórni. Tak jak się spodziewałem, poniosła komercyjną i artystyczną porażkę. Szczerze mówiąc, nie pamiętam innego albumu, który miałby aż tak złe recenzje.

Przesadza - pomyślał Mortka. Stasiński wciąż miał żal do Klaudii Kameron i jej męża.

Czy tylko z powodu płyty, czy kryło się za tym coś więcej? I co najważniejsze, czy ten uraz był na tyle głęboki, żeby zdecydował się podpalić ich dom lub wynająć kogoś, żeby to zrobił?

Po tylu latach wydawało się to mało prawdopodobne, ale komisarz nie mógł wykluczyć tej możliwości.

- Rozumiem, że po tej płycie kariera Klaudii Klau się zakończyła?

- Toczyła się siłą rozpędu przez jakiś rok czy dłużej. Nie wiem, nie śledziłem tego za bardzo. Mimo porażki niczego się nie nauczyła. Wciąż zachowywała się jak pierwsza diwa polskiej piosenki. Gnoła ludzi z góry na dół za najmniejszą krytyczną uwagę. Jej mąż wydał mnóstwo pieniędzy na promocję, organizację koncertów. Słyszałem, że później chcieli jeszcze wypuścić trzecią płytę, ale nic z tego nie wyszło. Nikt już jej nie chciał słuchać ani oglądać.

- Miała jakichś wrogów?

- Nie słyszał pan? Naraziła się całej branży.

- Sprecyzuję pytanie: czy miała jakichś wrogów, którzy byliby gotowi podpalić jej dom?

Producent wsadził trzymanego w dłoni papierosa do ust i zapalił.

- Nie - odpowiedział po kilku sekundach zastanowienia. - Nie znam nikogo takiego.

- Co pan robił w nocy z piątku na sobotę?

Stasiński prychnął lekceważąco, wypluwając przy tym dym z ust.

- Chyba mnie nie podejrzewacie?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Byłem na koncercie.

- Gdzie?

- W Fabryce Trzciny z paczką znajomych do pierwszej. Później poszliśmy na afterek do przyjaciół, gdzie spędziłem resztę nocy. Do domu wróciłem około siódmej.

- Ktoś może to potwierdzić?

- Ludzie, którzy ze mną byli, oczywiście. Mam dać panu do nich numery?

Cały czas mówił rozbawionym, pewnym siebie głosem. Mortka miał wrażenie, że zblądził się tym pytaniem, ale nie mógł się już wycofać.

- To byłoby pomocne.

- Niech pan chwilę poczeka.

Stasiński wyciągnął komórkę i zaczął przeglądać książkę adresową. Przepisał kilka numerów na czystą kartkę, a potem podał ją komisarzowi.

- Zna pan jakichś przyjaciół Klaudii Kameron? Kogoś, z kim powinienem porozmawiać?

- zapytał komisarz.

- Nie. Niestety nie. Przykro mi.

Mortka złożył kartkę na pół i schował ją do notatnika.

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował, to do pana zadzwonię.

Stasiński odprowadził go do recepcji.

- Może chce pan zaproszenie na jakiś koncert, panie komisarzu?

Nim Mortka zdążył odpowiedzieć, producent stał już przy recepcjonistce.

- Jolu, co mamy na najbliższy weekend?
- Nie, dziękuję. Nie chodzę do klubów - zaprotestował komisarz.
- Jest pan pewien?

Stasiński pomachał plikiem kolorowych biletów.

- Jestem pewien - powiedział Mortka.
- W takim razie do widzenia, panie komisarzu.

Mortka założył czapkę i poszedł w stronę samochodu. Z nieba zaczął padać śnieg.

Komisarz postanowił się pośpieszyć, zanim cała Warszawa stanie spętana sznurem samochodów.

Wracał dłużej, niż się spodziewał. Na ulicy Generała Maczka doszło do poważnego wypadku, przez który stał w korku przez blisko godzinę. Słuchał radia. Ku jego zdumieniu w pewnym momencie spiker zapowiedział piosenkę Klaudii Klau. Mortka nie dosłyszał tytułu.

Od kolegów z drogówki dowiedział się, że wypadek spowodował jakiś młody kierowca.

Jechał zbyt szybko, nie miał zimowych opon, wpadł w poślizg, zderzył się z ciężarówką z naprzeciwka.

„Zabrała go już karetka, ale wątpię, żeby wyszedł z tego w jednym kawałku” - powiedział młody sierżant.

Śnieg przestał padać dopiero trzy godziny później.

Kiedy Mortka dojechał na komendę, przypomniał sobie o alimentach. Znalazł na placu Bankowym oddział PKO BP. Odstał swoje w kolejce, bezmyślnie wpatrzony w zmieniające się numerki wzywające kolejnych klientów, i przysłuchiwał się rozmowie dwóch emerytek, wymieniających się informacjami, gdzie i co można kupić taniej. Młoda matka bezskutecznie próbowała uspokoić sześciolatniego chłopczyka, który na przemian płakał, krzyczał i biegał po całym budynku. Dopiero przy kasie Mortka przypomniał sobie, że nie zna numeru konta Oli. Zapisał go w kalendarzu na poprzedni rok, a ten zostawił w pracy. Zirytowany własną bezmyślnością, wypłacił z konta półtora tysiąca złotych.

Ola pracowała w międzynarodowej kancelarii prawniczej, która miała siedzibę w wieżowcu przy rondzie ONZ. Wcześniej był tam zaledwie kilka razy z okazji spotkań świątecznych i rodzinnych rodem z kiepskich amerykańskich filmów. Kiedyś jakiś wstawiony prawnik zapytał, czy gdyby zaatakowali ich teraz terroryści, Mortka zachowałby się jak John McClane ze *Szklanej pułapki*. Między innymi dlatego zawsze starał się tam przebywać jak najkrócej. Specjalnie przychodził spóźniony i uciekał szybciej, wymigując się pracą czy nagłym wezwaniem.

Denerwowało go to, że wszystkie nowoczesne wieżowce miały lepszą ochronę niż niejeden budynek rządowy. Przez cały czas, kiedy w nich przebywał, czuł się obserwowany albo przez kamery, albo przez barczystych ochroniarzy wciśniętych w białe koszule.

Legitymacja policyjna robiła na nich jednak duże wrażenie i wpuszczali go bez większych przeszkód.

Wchodząc do recepcji, minął dwóch biznesmenów z teczkami z czarnej skóry.

- Dzień dobry, komisarz Jakub Mortka z Komendy. - urwał w pół zdania, widząc szeroko otwarte, przestraszone oczy młodej recepcjonistki. - Przepraszam, po prostu Jakub Mortka. Czy może pani poprosić tutaj Aleksandrę Mortkę?

- Kogo, panie komisarzu?

Zapomniał, że Ola wróciła do panińskiego nazwiska.

- Aleksandrę Kamińską. Chciałem prosić Aleksandrę Kamińską.

- Kogo?

- Mecenas Kamińską.

- Nie znam takiej pani.

Czyżby kolejna młoda dziewczyna postanowiła zabawić się jego kosztem?

- Niech pani przestanie sobie robić ze mnie jaja, chwyci za słuchawkę i zadzwoni po Aleksandrę Kamińską. Teraz - powiedział stanowczo.

- Przykro mi, ale nie znam takiej pani. Może u nas nie pracuje.

Walnął pięścią w stół. Recepcjonistka aż podskoczyła na krześle.

- Pracuje. Dzwoni po nią.

Ktoś delikatnie poklepał go po ramieniu. Odwrócił się. Stał przed nim jeden z biznesmenów, których mijał, wychodząc z windy.

- Kuba, prawda? - zapytał mężczyzna. - Z policji? Mąż Oli.

Mortka przypomniał go sobie. Nazywał się Andrzej czy jakoś tak. Był chyba współnikiem w tej kancelarii.

- Dzięki Bogu. Niech pan powie tej dziewczynie, żeby zadzwoniła po moją żonę. Była żoną. Mam sprawę do Oli.

Recepcjonistka spojrzała przestraszonym wzrokiem na adwokata.

- Nasza recepcjonistka jest tu zatrudniona od niedawna.

- Zdażyłem się zorientować.

- I nie pamięta Oli.

- Właśnie widzę. - odpowiedział.

W głosie mecenasa było jednak coś dziwnego.

- Nie pamięta? - spytał komisarz.

- Ola nie pracuje u nas od ponad pół roku.

Mortka poczuł, jakby dostał obuchem w głowę.

- Jest pan pewien?

- Osobiście wręczyłem jej wypowiedzenie.

Przełknął ślinę.

- Gdzie teraz pracuje? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedział adwokat. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nigdzie.

Przynajmniej w żadnej wielkiej firmie.

Komisarzowi aż zaschło w gardle. Kiwnął głową. Nawet się nie pożegnał. Po prostu poszedł do windy i zjechał na dół.

W holu wieżowca znalazł ławkę. Usiadł i odsapnął chwilę. Jeden z ochroniarzy obserwował go natargiwie, wahając się najwyraźniej, czy ma podejść i wyprosić policjanta na zewnątrz, czy zostawić w spokoju. Mortka sięgnął po telefon komórkowy i wykręcił numer Oli. Odebrała po trzech sygnałach.

- Dzwonisz, żeby powiedzieć, że wpłaciłeś alimenty? - zapytała nieprzyjemnym tonem, zanim zdążył nawet powiedzieć „cześć”.

- Gdzie jesteś?

Zawahala się z odpowiedzią.

- Jak to gdzie? W pracy.

- W kancelarii?

- Oczywiście, że w kancelarii - powtórzyła pewnie.

- Byłem tam przed chwilą. Powiedzieli mi, że zwolnili cię ponad pół roku temu.

Mortka odniósł wrażenie, że Ola się rozłączyła. Dopiero po chwili usłyszał w słuchawce jej oddech.

- Spotkajmy się - powiedział cicho.

- Nie chcę.

- Spotkajmy się - powtórzył.
- Dobrze. Gdzie?
- Może gdzieś koło metra? - zaproponował.
- Fit Food. Metro Świętokrzyska. Za pół godziny.

Zgodził się.

Restauracja Fit Food była czymś w rodzaju wegetariańskiego McDonalda z trochę lepszą obsługą i podobno zdrowszym jedzeniem. Przy malutkich, kwadratowych stolikach, gdzie z trudem dało się zmieścić łokcie, siedziało zaledwie kilku studentów i pracowników pobliskich biur, którzy wyskoczyli na szybki lunch.

Mortka przestudiował menu. Doszedł do wniosku, że to dobry moment, żeby zacząć się lepiej odżywiać i zamienić kebaby na coś trochę zdrowszego. Wziął zupę z soczewicy i enchiladę, która smakowała jak przeżuta tektura.

Zdażył zjeść, zanim przyszła Ola. Spóźniła się prawie pół godziny. Odszukała Mortkę i usiadła naprzeciwko bez słowa przywitania. Komisarz odłożył sztućce, a potem odsunął talerz.

- Chcesz coś? - zapytał.
- Stać mnie jeszcze na to, żeby kupić sobie coś do jedzenia - odpowiedziała. Każde jej słowo ociekało jadem.
- Przepraszam. Nie to miałem na myśli.

Poczuł, jak ogarnia go złość. Przecież złożył jej tylko niewinną propozycję!

Podszedł do lady i zamówił dwie herbaty. Zyskał w ten sposób kilka minut, w czasie których zdażył ochłonąć. Wrócił do stolika. Postawił kubek przed byłą żoną. Nawet go nie tknęła.

- Dlaczego straciłaś pracę? - rozpoczął.
- Co cię to obchodzi?
- Po prostu. Nic mi nie powiedziałaś.
- To nie jest twoja sprawa.
- Jak to nie? - zapytał autentycznie zdziwiony. - Wychowujesz moje dzieci.

Nagle coś sobie przypomniał.

- Telewizor - rzucił. - Jezus Maria. Nie oddałaś telewizora do domu dziecka, tylko go sprzedawałaś.

Odwróciła głowę, żeby uniknąć jego spojrzenia.

- Brakowało mi do czynszu. Poza tym chciałam kupić nowy, ale ktoś się spóźnia z płaceniem alimentów.

- Nie zwalaj tego na mnie! Sama mówiłaś, że nie potrzebujesz tych pieniędzy, że zarabiasz tyle, że przeznaczysz te półtora tysiąca na kieszonkowe dla dzieciaków!

Pamiętasz!?

Studenci ze stolika obok obserwowali ich rozbawieni, kryjąc się za butelkami z colą.

Ola spuściła głowę tak, żeby włosy zasłaniały jej twarz. Otarła oczy wierzchem dłoni.

- Jak straciłaś pracę? - zapytał komisarz ponownie.
- Pieprz się - powiedziała tak cicho, że ledwo ją słyszał.
- Co teraz robisz?
- Przesłuchujesz mnie?

- Nie. Po prostu się o was martwię. O ciebie i o chłopców.

- W takim razie płac alimenty.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął zwitek banknotów, który położył przed nią na stole. Wzięła go szybko i schowała do torebki.

- Co teraz robisz?

Wzruszyła ramionami.

- Koleżanki podrzucają mi różne rzeczy na umowę o dzieło. Pracuję to tu, to tam. Komuś poradzę, komuś pomogę.

- Co się stało?

Odgarnęła włosy z twarzy. Wstała od stołu.

- Cześć, Kuba. Chłopcy będą na ciebie czekać w niedzielę, jak zwykle. A kolejne alimenty chcę dostać na początku miesiąca, a nie jak teraz w środku - powiedziała twardo, a na jej nosie pojawiła się gniewna zmarszczka.

Wyszła z restauracji bez pożegnania. Nawet nie tknęła herbaty.

Mortka wrócił na komendę w podłym nastroju. Jak to się stało, że się nie zorientował, że jego była żona jest bezrobotna? Jak mógł niczego nie zauważyć? Ola nic mu nie powiedziała, ale dlaczego milczeli również chłopcy? Czy to dlatego, że kazała im trzymać buzię na kłódkę, czy po prostu nie potrafił z nimi rozmawiać? Bał się, że to drugie.

Poszedł do swojego pokoju i zaczął spisywać wszystko, czego się dowiedział od producenta. Była to dość bezmyślna robota, ale pozwoliła mu na chwilę zapomnieć o Oli.

Kiedy skończył pisać, jeszcze raz przestudiował materiały. Miał nadzieję, że znajdzie coś, co przeoczył. Przesłane zawsze zostawiają jakiś trop. Trzeba go tylko umieć dostrzec.

W większości spraw, których nie udało się rozwiązać, stało się tak z winy policjantów, którzy albo źle zabezpieczyli dowody i miejsce zbrodni, albo po prostu nie zauważyli oczywistych, wydawałoby się, poszlak. Czyżby Mortka popełnił ten sam błąd? Mimo znudzenia postanowił

przeczytać akta jeszcze raz. Najpierw jednak musiał się napić kawy.

Kiedy wrócił z kubkiem, czekał już na niego Kochan. Opierał się o skraj biurka i podrzucał kluczyki.

- Jesteś, Kuba. Jedziemy.

Mortka rzucił okiem na zegarek. Wpół do szóstej.

- Zupełnie zapomniałem - jęknął.

- Właśnie widzę - powiedział Kochan i spojrzał znacząco na zawalony papierami blat. -

Składaj tę makulaturę i się zbieramy.

Komisarz podszedł do biurka i odstawił kawę. Wziął do ręki kartkę z zapisanymi luźnymi pomysłami. Odsunął krzesło. Chciał usiąść i jeszcze coś sprawdzić. Kochan zareagował błyskawicznie.

- Kuba! - krzyknął.

Mortka spojrzał w jego stronę.

- Wyluzuj, chłopie - powiedział podkomisarz. - Dzisiaj nic już nie wskóramy, a moja żona czeka z kolacją. Jedziemy cię przebrać i odstawić samochód. Ale już!

Mortka westchnął i przetarł zmęczone oczy. Kochan miał rację. Powinien się zrelaksować, odpocząć. Niechętnie złożył teczkę i schował do szafy.

Rozdział 11

Mortka zorientował się, że coś jest nie tak już w momencie, kiedy otworzył drzwi do mieszkania. Uderzyła go nienaturalna cisza.

Ktoś wciągnął go do środka i rzucił na ścianę. Potem otrzymał mocny cios w żołądek i padł na kolana. Zjedzona w Fit Foodzie enchilada podeszła mu do gardła.

- Policja! Stój i ręce na kark, gnoju! - wrzasnął Kochan z klatki schodowej.

Komisarz, podniósł się z ziemi, trzymając się za brzuch. Stał przed nim ogolony na łyso osiłek w grubej puchowej kurtce i niebieskich džinsach. Kochan celował do niego z pistoletu.

Mortka minął oszołomionego i przestraszonego napastnika i wszedł do swojego pokoju.

Agnieszka siedziała na kanapie, skulona w kucki, zapłakana i przerażona. Nad skopanym Piotrem stał drugi, jeszcze większy mięśniak. Z ust i nosa chłopaka leciała krew, a wokół oczu zaczęła się pojawiać brunatnofioletowa opuchlizna. Katujący go bandzior wpatrywał się to w komisarza, to w swojego kolegę. Nie potrafił zrozumieć, co się właściwie dzieje.

- Nic ci nie jest, Kuba? - zapytał podkomisarz.

- Nic. Dawaj tego kutasa tutaj - syknął Mortka.

- Słyszałeś, co powiedział kolega - mruknął Kochan i wykonał znaczący ruch lufą pistoletu. Nie musiał nic więcej tłumaczyć. Pierwszy bandzior stanął obok towarzysza.

Policjant nie przestawał w nich celować.

- Ej, koledzy - odezwał się większy osiłek i przełknął głośno ślinę. - Dogadamy się.

Ból brzucha zaczął ustępować, a Mortka mógł już swobodnie oddychać, nie bojąc się, że zaraz zwymiotuje. Piotrek charknął na podłodze i splunął krwią. Próbował się podnieść, ale upadł twarzą na dywan. Jęknął, a potem obrócił się na plecy.

- Jesteś cała? - zapytał komisarz Agnieszkę.

Przytaknęła.

- Co się tu dzieje? - spytał Mortka.

- Kim wy, kurwa, jesteście? - odpowiedział pytaniem byczek.

- Chyba masz problemy ze wzrokiem i nie do końca widzisz, co się znajduje w dłoniach mojego kolegi. To Walther P99. Kaliber dziewięć milimetrów, dziewięć naboju w magazynku - mówił monotonnym głosem Mortka. - Przyznam szczerze, że nie jest to najbardziej zabójcza broń, jaką stworzył człowiek, ale biorąc pod uwagę dzielącą was odległość, to na waszym miejscu srałbym teraz w portki i grzecznie odpowiadał na pytania.

Raz jeszcze. Co się tu dzieje?

Bandyci spojrzeli po sobie. Wyglądali jak ludzie, którzy uświadamiają sobie, że znajdują się w ukrytej kamerze: zdezorientowani, a przede wszystkim wściekli, że dali się złapać na tak absurdalny numer.

- Młody wisi nam pieniądze - wyjaśnił większy z nich.

Mortka nawet nie starał się ukryć zaskoczenia. Uważał Piotrka za obleśnego gówniarza, ale nigdy nie spodziewał się, że będzie aż tak głupi, żeby zadawać się z ludźmi z półświatka, ani, co ważniejsze, pożyczać od nich pieniądze.

- Mieszkam tutaj. - To było jedyne, co przychodziło Mortce do głowy.

- Nie wiedzieliśmy, panie policjancie - odezwał się niższy mięśniak.

Oprócz tego, że był drobniejszej postury, musiał być mniej doświadczony. Denerwował się, patrząc w lufę pistoletu, drżały mu też ręce i nerwowo spoglądał na boki. Większy zachowywał spokój, jakby już się znajdował w podobnej sytuacji. Stał obojętnie ze zwieszoną głową.

- Dobra. Teraz zadam kolejne pytanie. Zastanówcie się dobrze, zanim odpowiecie -

powiedział komisarz.

Kiwnęli równocześnie łysymi głowami.

- Narkotyki?

- Hazard - mruknął ponuro ten większy.

Mortce ulżyło. Gdyby się okazało, że mieszkał przez pół roku z dilerem narkotyków, nie miałby życia na komendzie. Docinki kolegów musiałby znosić aż do emerytury.

Agnieszka wciąż siedziała na kanapie, Kochan celował do osiłków, Piotrek leżał pod ich stopami, obity i krwawiący, a Mortka zastanawiał się, jak ma postąpić. Powinien aresztować napastników, ale to wiązałoby się z koniecznością kolejnej konfrontacji. Co prawda, Kochan wciąż trzymał ich na muszce, ale gdyby zaczęli stawiać opór, nie wiadomo, jakby się to wszystko skończyło. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować.

- Dobra - zdecydował. - Wypierdalać, gnoje, z mojego mieszkania. Jeśli jeszcze raz was tutaj zobaczą, to zastrzelę. Jasne?

- Tak, panie policjancie - powiedział mniejszy.

Obaj mężczyźni chyba nie do końca wierzyli we własne szczęście.

Mortka odsunął się, żeby zrobić im miejsce w drzwiach. Kochan cofnął się kilka kroków. Nie schował pistoletu. Poczekał, aż wyszli, a potem zamknął za nimi drzwi na wszystkie zamki.

Mortka usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Agnieszka podbiegła do Piotrka i pomogła mu się podnieść z ziemi.

- Jesteś cały? - zapytał komisarz.

- Aha.

Agnieszka objęła go na wysokości bioder. Zaszlochała, kiedy stęknął z bólu.

- Tak się bałam - szepnęła.

Kochan najpierw obserwował klatkę przez wizjer, a potem podszedł do okna w pokoju Agnieszki.

- Wsiadli do samochodu i odjechali - oznajmił, kiedy wrócił.

Mortka kiwnął głową.

- Ile jesteś winien? - zapytał Piotrka.

- Pięć.

To niedużo - pomyślał Mortka.

- ...dziesiąt - dokończył chłopak.

Kochan gwizdnął.

- Razem z odsetkami czy bez?

Chłopak zbladł.

- Z... chyba - powiedział.

- Komu?

- Za... Zając. Zając.

Mortka nie znał żadnego Zająca. Spojrzał na Kochana. Podkomisarz tylko pokręcił lekko głową ze smętną miną. Mortka wiedział, co znaczy ten gest. Zając, kimkolwiek był, nie przstraszy się byle kogo. A za nim pewnie stoi ktoś mocniejszy i większy, ktoś, kogo jeszcze trudniej zniechęcić do wygzekwowania długu.

- Masz kogoś, kto to za ciebie wyłoży? Rodzice, bogaci koledzy?

- Nie.

- Kredyt studencki?

- Już brałem.

Mina chłopaka wyrażała wszystko. Kredyt studencki też zdążył przegrać. Pewnie zrobił to zresztą na samym początku.

- To jesteś w dupie, chłopcze - podsumował krótko i zaraz tego pożałował.
- Nie możesz. Nie może pan z nim porozmawiać? - zapytał Piotrek z nadzieją i błagalną prośbą w głosie. - Z tym Zającem.

- I co mu powiem? Cześć, Zając, daruj mojemu współlokatorowi pięćdziesiąt tysięcy.
To głupi student, zapomniał się - przerwał na chwilę, żeby wziąć głębszy oddech. -
Zwariowałaś do reszty!?! Gdybyśmy mogli tak ratować dłużników, to na komendę ciągnęłyby pielgrzymki. A nie ciągną. Wiesz dlaczego? Bo nic nie możemy zrobić! Nic!

Wstał wściekły z kanapy. Nie na kogoś konkretnego, ale na cały ten męczący i trudny dzień. Najpierw irytująca recepcjonistka, potem sprawa z Olą, a teraz to. Ledwo pogodził się z jednym problemem, a już na jego głowę spadał kolejny.

- To co mamy zrobić? - zapytała Agnieszka.

Wciąż obejmowała chłopaka, nie pozwalając mu upaść.

- Najlepiej by było, gdybyście wyjechali z miasta - odezwał się Kochan. - Do Wrocławia, Poznania, Gdańska, gdziekolwiek, byle daleko stąd. Wynajmijcie sobie tam mieszkanie, ulóżcie życie. I siedźcie cicho jak myszy pod miotłą. Żadnych dyskotek, żadnych dragów, żadnych kasyn. Nie odwiedzajcie rodzin przez kilka lat. Przy odrobinie szczęścia już nigdy o tym długu nie usłyszycie.

Agnieszka patrzyła na policjantów zdumiona.

- Kuba. - powiedziała z nadzieją w głowie.

Oczekiwała pocieszenia, ale Mortka przełknął ślinę, wiedząc, że będzie musiał ją rozczarować.

- Darek ma rację - odparł. - Albo spłaćcie dług, albo wynoście się jak najszybciej z Warszawy.

- A nie mógłbyś porozmawiać z Zającem? - zapytał raz jeszcze Piotrek.

- Czy ty, kurwa, w ogóle nie słuchasz, matole!?! - wydarł się na niego Mortka.

Chłopak skulił się przestraszony. Dziewczyna stanęła między nim a komisarzem.

- Proszę na niego nie krzyżeć - powiedziała.

Mortka prychnął lekceważąco, dając wyraźny znak, że nic go już ta cała sytuacja nie obchodzi. Dziewczyna wzięła Piotrka pod ramię i pomogła mu przejść do ich pokoju.

Kochan zabezpieczył broń i schował ją do kabury.

- Ale się w niezłe gówno chłopak wpakował. Po same uszy - podsumował.

- No.

- Przebieraj się i idziemy.

Mortka wyglądał, jakby nie rozumiał. Spojrzał zdziwiony na kolegę.

- Kolacja - przypomniał mu Kochan.

- Tak - drgnął lekko - kolacja. Ale może powinienem tu zostać? Na wszelki wypadek.

- Myślisz, że tu dzisiaj wrócą? - zapytał podkomisarz z niedowierzaniem. - Kuba.

Chłopaczki pobiegli do Zająca i pewnie przez najbliższy tydzień będą obmyślać następny ruch.

Mortka musiał przyznać Kochanowi rację. Napastnicy spodziewali się, że to będzie łatwa robota, a tu zamiast studenta stanęli oko w oko z dwoma policjantami.

- Kto to jest ten Zając? - spytał komisarz.

- Człowiek Borzestowskiego.

Mortka westchnął.

- Borzestowskiego. To cudownie.

Pomasował brzuch. Żołądek wciąż go bolał. Cios musiał być mocniejszy, niż się początkowo wydawał. Jeśli tak bił mniejszy, to bał się pomyśleć, co by się z nim stało, gdyby

dostał się w łapy większego z bandziorów.

- Mówiłem ci, że chłopak wpadł w niezłe gównno. No, ale przebijaj się i jedziemy. A dzieciakom każ zamknąć drzwi na klucz i nikomu nie otwierać, to nic im się nie stanie.

Komisarz ciągle się wahał.

Wiedział, że przecież nie może się opiekować współlokatorami. Miał pracę i własne życie. To brzmiało strasznie, ale dług u Zajęca był ich problemem i sami musieli sobie z nim poradzić.

Ale już na dworze niemal zmienił zdanie i chciał wrócić na górę. Kochan jednak chwycił go za rękaw i pociągnął za sobą w kierunku samochodu.

- Jedziemy, bo żarcie stygnie.

- Już, już. Nie powinienem kupić twojej żonie kwiatów? - zapytał Mortka, żeby zyskać trochę czasu.

Patrzył na blok. W oknie w pokoju Piotrka paliło się światło. Wydawało mu się przez chwilę, że mignęła mu drobna sylwetka Agnieszki.

- Kwiaty? Nie, nie musisz.

- A wino?

- Wino? Wino wypijemy - zgodził się Kochan.

Mortka poszedł do monopolowego, który mieścił się w pawilonie handlowym pod blokiem. Kupił czerwone El Sol. Kiedy wracał, rozglądał się, jakby szukał wzrokiem bandytów z mieszkania, ale nie zauważył nikogo podejrzanego.

Jechali na Targówek, co oznaczało, że musieli przebić się przez pół miasta. Wisłę przekroczyli mostem Siekierkowskim. Potem wlekli się w milczeniu przez zaśnieżone i zatłoczone warszawskie ulice, wśród dźwięku klaksonów i przekleństw kierowców, a Mortka przypominał sobie wszystko, co wiedział o Borzestowskim.

Borzestowskiego mieli na celowniku policjanci z prawie wszystkich wydziałów Komendy Stołecznej i do tego kolesie z CBS-u. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, że Borzestowski jest gangsterem, że zajmuje się handlem narkotykami, nielegalnym hazardem, ma udziały w domach publicznych i cholera wie, w czym jeszcze. Tylko co z tego, skoro nie mieli dowodów? Borzestowski był sprytny i umiał postępować z ludźmi. Co jakiś czas łapali kogoś, kto dla niego pracował. Taki delikwent zawsze brał całą winę na siebie, świadomy tego, że jeśli zacznie sypać, to prędzej czy później dostanie kosę pod żebro, a jeśli będzie milczeć, niewidzialna ręka zaopiekuje się jego rodziną, co pewien czas wyśle paczkę do więzienia, a do tego ktoś szepnie współwięźniom, że jest w porządku i proszę być dla niego grzecznym.

Policjanci wiedzieli wprawdzie, że prędzej czy później trafi się ktoś, kto zgodzi się zeznawać w zamian za zapewnienie ochrony i skorzystanie z instytucji świadka koronnego, ale to czekanie było frustrujące. A Borzestowski śmiał się im w twarz. Z każdym dniem coraz głośniej i coraz bardziej szyderczo.

Policjanci mieli za mało pieniędzy, ludzi, środków i uprawnień, żeby walczyć z prawdziwą zorganizowaną grupą przestępczą, a taką właśnie stworzył Borzestowski. Gangster nie musiał nikogo pytać, czy może komuś połamać nogi, rozwalić samochód, podpalić dom czy wpakować kulkę w głowę. Po prostu to robił. A policjantów zabijała biurokracja.

Poza tym był też inny czynnik, który sprzyjał Borzestowskiemu - wskaźniki skuteczności. Policjanci musieli mieć wysokie statystyki wykrywalności przestępstw, więc koncentrowali się na tych łatwiejszych i bardziej pospolitych, bo one dawały większe szanse sukcesu.

W sprawie Borzestowskiego robili więc to, co robić mogli: obserwowali, zbierali informacje i przede wszystkim liczyli na łut szczęścia.

Ania Kochan pocałowała męża w policzek i uściśniła Mortkę. Wyglądała na zmęczoną.

Nawet makijaż nie mógł zamaskować podkrążonych oczu oraz bladej cery. Komisarz wręczył

jej butelkę wina.

- Dziękuję, Kuba, nie musiałeś. Dawno cię u nas nie było.

- Byłem zajęty.

- Ciekawe, czym? - rzucił Kochan i trącił kolegę łokciem. - Żony już nie masz, dzieciaków w domu też nie. Pewnie panienki obracasz, co, Kubuś?

Mortka chciał coś odpowiedzieć, ale w pokoju obok zaczęło płakać dziecko. Ania uśmiechnęła się przepraszająco.

- Janek się obudził. Pójdźcie do pokoju, chłopcy, uspokoje go, a potem podam wam zupę.

- Tylko szybko. Jestem głodny jak wilk - powiedział Kochan.

- Dobrze.

Ania zniknęła w pokoju dziecinnym, a Kochan poprowadził Mortkę do salonu, który pełnił również funkcję sypialni. W skromnym, dwupokojowym mieszkaniu jedno pomieszczenie przeznaczono dla dziecka, drugie zajmowali Kochanowie. Na niewielkiej przestrzeni zmieścili rozkładany tapczan, stół z krzesłami, fotel, meblościankę i duży, czterdziestocalowy telewizor. Wszystko to nakładało się na siebie, tak że trudno było w coś nie uderzyć, kiedy człowiek się po prostu obracał.

- Siadaj, Kuba. Czego się napijesz?

Kochan otworzył barek i zaczął przeglądać etykiety. Mortka przez jego ramię dojrzała butelkę czerwonego Johnnie Walkera, ginu Seagram's i metaxy. Każda z nich była przynajmniej do połowy pusta.

- Herbaty.

- Nie wygłupiaj się - obruszył się podkomisarz. - Nie będziemy dzisiaj pić herbaty. Coś bezalkoholowego dostaniesz najwyżej jako popitę.

- Nie wiem, czy powinniśmy, Darek. Jutro mamy robotę.

- Wyluzuj. Przecież nie mówię, że mamy się upić jak świnię, ale kilka kolejek sobie strzelimy. No bo kiedy ostatnio mogliśmy po prostu posiedzieć i pogadać?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

- Tuż po twoim rozwodzie - odpowiedział mu Kochan. - Ania wyjechała do matki, a my siedzieliśmy wtedy całą noc i oglądaliśmy reklamy sekstelefonów w niemieckiej telewizji.

Pamiętasz?

Komisarz przypomniał sobie, jak naśmiewali się z odgłosów wydawanych przez niemieckie aktorki, ze słów „Ruf mich an” wypowiedzianych drżącym, chrapliwym głosem.

Przypomniał sobie też ogromnego kaca, jakiego miał dzień później. I to, że musiał w połowie drogi, na moście Siekierkowskim, zatrzymać samochód i wysiąść, żeby zwymiotować do płynącej w dole Wisły.

- Może piwo na początek? - spytał niepewnie.

- Jasne. Piwo jest dobre. Ania! Mamy piwo!?! - krzyknął.

- Tak! - odkrzyknęła mu żona.

- To przynieś nam!

- Już idę.

Ania zamknęła drzwi od pokoju dziecinnego, w którym wciąż płakał jej syn, i popędziła do kuchni. Zaraz przyniosła im dwie puszki wojaka mocnego, a później dwa talerze z rosółem.

- Nie jesz z nami? - zapytał Mortka.

- Nie. Długo was nie było. Zjadłam wcześniej.

- Szkoda.

- E tam szkoda. Nic nie szkodzi. To ma być męski wieczór. Bierz się za zupę - powiedział Kochan.

Rosół był naprawdę dobry. Mocny, aromatyczny, sycący, z drobnymi nitkami domowego makaronu i kawałkami marchewki. Po nim na stole pojawiły się talerze z kotлетem schabowym, ziemniakami i kapustą. Gdzieś między pierwszym a drugim daniem synek Kochana uspokoił się i przestał płakać. Jedli w milczeniu i popijali piwem. Kiedy skończyli, Ania posprzątała, a potem wróciła do pokoju dziecinnego.

Kochan w tym czasie wstał od stołu, poszedł do kuchni, skąd wrócił z butelką wódki, którą pokrywała cienka warstwa szronu. Wyciągnął z barku dwa kieliszki. Położył je na stole i rozlał alkohol.

- A gdzie popita? - zapytał Mortka.

- Przecież masz jeszcze piwo.

Mortka potrząsnął puszką, która na szczęście była już pusta. Kochan wstał od stołu i z miną cierpiętnika poszedł po raz kolejny do kuchni. Wrócił ze szklanką i kartonem nektaru pomarańczowego. Położył je przed komisarzem.

- Powiedz mi, Kuba - rozpoczął Kochan - przygruchałeś sobie już jakąś panienkę?

- Nie.

- A powinieneś. Tyle od rozwodu. Jesteś młody. hydraulika ci działa, co?

- Działa - odpowiedział niechętnie.

Nie lubił rozmawiać na takie tematy.

- A źle wyglądasz, Kuba, źle wyglądasz. Chodzisz w brudnych ciuchach. Ty jesteś takim facetem, Kuba, który potrzebuje baby, wiesz? Takiej, która ci ugotuje, która ci upierze, która się tobą zajmie.

Mortka miał wrażenie, że Kochan był już lekko pijany. A wypili tylko jedno piwo.

- Pewnie tak.

- Wypijmy, żebyś znalazł swoją panią, Kuba.

Stuknęli się kieliszkami. Wódka była niesmaczna. Mortka odwykł od mocnego alkoholu. Szybko popił napojem pomarańczowym.

- Trzymasz się w ogóle po tym rozwodzie?

- Po co pytasz?

- Jeśli nie chcesz o tym gadać, to nie.

Kochan sięgnął po butelkę.

- Trzymam się. Ale jest ciężko, Darek. Ciężko jest. - zawahał się. Lubiał Kochana, ale nie chciał się z nim dzielić wszystkim. - Ciężko jest ułożyć sobie życie, a do tego zachować się przyzwoicie. Rozumiesz?

- Chyba tak.

Nie rozumie. Trudno - pomyślał Mortka.

- Mówiłeś o kobiecie, Darek. Wiesz, że oddaję prawie połowę pensji na dzieciaki? Jaka baba zechce mnie, policjanta z połową pensji? Przecież to jest śmieszne.

- Bogata.

Podkomisarz roześmiał się chrapliwie i rozlał wódkę.

- Bogate biorą sobie młodszych. Studentów. Jakichś pieprzonych kulturystów. A mi brzuch rośnie.

Podniósł swój kieliszek. Stuknęli się szybko i wypili. Tym razem wódka smakowała komisarzowi już bardziej i poczuł przyjemne ciepło w ciele.

Kochan znów napełnił kieliszki. Siedzieli w milczeniu. Każdy zatopiony we własnych myślach.

- A co u was? - zapytał Mortka.
- Dobrze. Janek rośnie i potrzebujemy na niego coraz więcej pieniędzy. Ubranka, książeczki, kredki, sretki.

- Znam to. My mieliśmy łatwiej, bo wtedy Ola dużo zarabiała. Ale i tak...

- Czasami zastanawiam się, czy tego nie rzucić w cholere.

Mortka zmarszczył brwi.

- Policję, nie rodzinę - wytłumaczył Kochan i wybuchnął śmiechem. - Wiesz, obaj jesteśmy jeszcze młodzi. Może trzeba założyć własną firmę. Znamy ludzi.

- Jakich ludzi? Mafiosów i zabójców.

- Nie takich. Wiesz, o co mi chodzi. Włóczyliśmy się to tu, to tam. Może by jakąś agencję ochroniarską założyć. Albo detektywistyczną.

Mortka skrzywił się. Detektywów nie lubił jeszcze bardziej niż psychologów. Niewielki był z nich pożytek, a przeszkadzali, jak się tylko dało. Z kilkoma miał dobre lub bardzo dobre kontakty, ale i tak był zdania, że świat byłby lepszym miejscem bez nich.

- Nie wiem - powiedział.

- To może jakiś specjalista od spraw bezpieczeństwa. Te rzeczy.

- Może.

Wypili kolejkę. Kochan zabrał się do nalewania następnej.

- Nie - zaprotestował Mortka i beknął, zasłaniając usta. - Chyba wystarczy.

Kochan spojrział na butelkę.

- Chyba tak - przyznał. - Ale już rozlałem.

Mortka kiwnął głową.

- Dobra. Wypijemy i tę - postanowił.

Ponarzekali jeszcze na pracę, a później przeszli do piłki nożnej oraz piłki ręcznej.

Szczególnie długo rozmawiali o tej drugiej, co było wyjątkowo dziwne, zwłaszcza że Mortka o szczypiorniaku wiedział akurat tyle, ile wyczytał w internecie w pracy. W trakcie rozmowy wypili kilka dalszych kolejek.

Pożegnali się chyba dobrze po dwudziestej trzeciej. Zgodnie z obietnicą Anna odwiozła Mortkę do domu. Rozmawiali o czymś, ale komisarz nie pamiętał dokładnie o czym. Mówiła zdaje się, że Darek bardzo go szanuje, ale jest przepracowany. Że stres, że powinien odpuścić, że coś jeszcze. Może by pogadał, tak od serca? Mortka obiecał jej, że tak, na pewno z nim porozmawia, a wtedy ona podziękowała mu i uśmiechnęła się z ulgą, jakby kamień spadł jej z serca.

Długo walczył z kluczami i zamkiem, ale w końcu udało mu się dostać do mieszkania.

W pokoju Piotrka i Agnieszki było już ciemno. Chciał do nich wejść, porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Razem na pewno wymyśliliby, jak wybrnąć z tej sytuacji. Uznał jednak, że jest zbyt pijany i tylko zrobi z siebie pośmiewisko. Postanowił poczekać z rozmową do rana.

Poszedł do swojego pokoju i położył się spać w ubraniu, zupełnie nieświadomy tego, że rozpoczyna się właśnie jedna z najstraszniejszych nocy w jego życiu.

Rozdział 12

Mężczyzna był przyjemnie podekscytowany. Ostatniej akcji nie zaliczył do udanych.

Nie wiedział, że w tamtym domu znajduje się kobieta. To nie ona była celem. Miała przecież wyjechać poza miasto. Nagłówki prasowe i jej wielkie zdjęcie w szpitalnym łóżku na pierwszej stronie zszokowały go. Kupił natychmiast „Fakt” i pobiegł do domu, żeby zdanie po zdaniu przeanalizować treść artykułu. Wściekał się na dziennikarzy, że podali tak mało informacji. Rozwahał nawet, czy nie zadzwonić do szpitala, ale bał się, że w ten sposób niepotrzebnie się odsłoni. Policja pewnie tylko czekała na jego błąd. To było. podniecające.

Długo rozmyślał o tym, co się wydarzyło. Zastanawiał się, gdzie popełnił błąd.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że nie było w tym jego winy. Mógł zatem działać dalej.

Zdecydował się jednak zmienić sposób postępowania. Dotychczasowa metoda nie była zła, ale niosła ze sobą zbyt duże ryzyko. Do tej pory mieszkańcy dzielnicy nic nie przeczuwali. Nie zwracali uwagi na to, co się dzieje wokoło. Mógł siedzieć w samochodzie przez pół nocy, obserwować okolicę i nikt nawet na niego nie spojrział. To było korzystne i niepokojące równocześnie. Miał nadzieję, że odpowiednia wiadomość dotarła do odpowiednich osób. Teraz jednak musiał zakładać, że czujność mieszkańców wzrosła i byli gotowi dzwonić po policję z byle powodu.

Zaparkował zatem na blokowisku na Ursynowie, skąd do dzielnicy domków jednorodzinnych miał półtora kilometra. Polami doszedł na skraj Lasu Kabackiego. Bał się, że spotka kogoś podczas tej wędrowki. Udawałby wtedy zatroskanego właściciela, który szuka psa o imieniu Bolo. Świecił księżyc, było jasno, mroźne, zimowe powietrze otrzeźwiało i równocześnie chłodziło rozgorączkowany umysł. Miał plan i chciał się go trzymać, ale coś go pchało, żeby pobiec, zrobić to od razu, teraz. Żeby było już po wszystkim, żeby pod niebo wzniosła się rozkoszna łuna pożaru.

Otrząsnął się z tych myśli. Nie były dobre.

Wkrótce doszedł do płotu upatrzonej wcześniej posiadłości.

Rozejrzał się dokoła i upewnił, że nikt go nie widzi. Potem wziął rozbieg, skoczył na płot i jednym ruchem znalazł się po drugiej stronie. Wylądował na miękkim śniegu i przykleknął.

Nie słyszał nic podejrzanego, nie zauważył żadnego ruchu. Tylko wiatr poruszał gałęziami.

Przed sobą miał piękny jednopiętrowy dom. Serce zabiło mu mocniej.

Drzwi do ogrodu były chronione przez zamkniętą na kłódkę metalową kratę.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni po latarkę i zapalił ją na chwilę. Następnie wyciągnął wytrychy i klęknął przy zamku. Otworzył go szybciej, niż się spodziewał. Wystarczyło niecałe piętnaście sekund.

Wyłączył latarkę, schował wytrychy i wyjął niewielki młotek. Wstrzymał oddech i uderzył w szybę w drzwiach ogrodowych. Pękła z brzękiem.

Nikt nic nie usłyszał, nikt niczego nie zauważył.

Odetchnął z ulgą. Ostrożnie, tak żeby się nie pokaleczyć, sięgnął do klamki po wewnętrznej stronie i otworzył drzwi. Wszedł do środka. Miał ochotę przeszukać szafki, pooglądać rodzinne fotografie. Wiedział, że nic mu nie grozi, że jest bezpieczny, ale należało minimalizować ryzyko.

Znalazł pokój z kominkiem. Z plecaka wyciągnął dwie dwulitrowe butle z napalmem własnej produkcji. Sporządził go z mieszaniny benzyny, acetonu i rozpuszczonego styropianu. Tak powstały płyn miał konsystencję lepkiego, wodnistej kisieli. Wylał substancję wokół kominka, na poduszki, sofę oraz meble.

Jeśli chciał, żeby pożar był tak wspaniały, jak sobie wymarzył, musiał sprawić, by ogień rozprzestrzenił się szybciej. Wyciągnął więc drugą butelkę i poprowadził strugę napalmu w stronę schodów. Oblał nim też dywany i szafę z książkami.

Wrócił do ogrodu. Zamknął za sobą drzwi, znowu uważając, żeby się nie skaleczyć, a potem kratę. Odetchnął i zebrał siły. Miał przed sobą ostatnią część zadania.

Po kracie wspiął się na balkon, a z niego wskoczył na dach. Szybko odnalazł odpowiedni komin. Wyciągnął z plecaka następną butelkę, tym razem z koktajlem Mołotowa.

Odпочzął chwilę. Wiedział, że czasu będzie mało. Krew szumiała mu w głowie. Założył plecak i rzucił koktajl Mołotowa do komina.

Po jednym uderzeniu serca znalazł się na balkonie. Po drugim wylądował na ziemi.

Trzecie, czwarte i już dopadł do płotu. Po pięciu skrył się w Lesie Kabackim. Dopiero wtedy się odwrócił. Zobaczył buchające w górę płomienie. Dokładnie takie, jakie sobie wymarzył.

Uśmiechnął się i biegiem popędził w stronę blokowiska. Przy samochodzie był po niecałych dziesięciu minutach. Nikt go nie widział.

Rozpierała go duma. Myślał o szalejącym ogniu i odczuwał podniecenie. Włączył silnik. Wyjechał na ulicę Płaskowickiej i skierował się w stronę Puławskiej.

Wciąż jednak miał pokusę, by zawrócić. Wokół domu musiał się już zebrać tłum gapiów. Nikt by go nie rozpoznał. Byłby bezpieczny.

A co jeśli na miejsce nie przyjedzie telewizja - przestraszył się nagle. Nigdy nie zobaczy swojego dzieła. Poza tym w telewizji ogień nie wygląda tak cudownie jak na żywo.

Skręcił na parking niedaleko hipermarketu Real. Rozmyślał gorączkowo. Miał stąd jakieś pięć, dziesięć minut do miejsca pożaru. Mógłby tam podejść.

Czy warto ryzykować?

Wysiadł z samochodu.

Nie wiedział, czy robi dobrze, ale nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy płomienie.

Telefon obudził Mortkę około godziny pierwszej w nocy. Odruchowo odebrał połączenie.

- Jakub Mortka - wybełkotał na wpół śpiący, a na wpół pijany do słuchawki.

- Panie komisarzu. - usłyszał wahanie i obawę w głosie dyspozytora - .kolejne podpalenie. Mortka miał przeczucie, że wydarzyło się jednak coś dużo gorszego.

- Mamy dwie ofiary - dodał dyżurny.

- Przyślijcie po mnie radiowóz. Zawiadom techników - powiedział, starając się chociaż zabrzmieć jak trzeźwy człowiek.

- Tak jest, panie komisarzu.

Wstał z łóżka i pobiegł do łazienki, żeby opłukać twarz w lodowatej wodzie. Z szafki w kuchni wyciągnął kubek termiczny. Otworzył pokrywkę i od razu poczuł kwaśny, nieprzyjemny zapach. Mocz. Ktoś mu nasikał do kubka. Wiedział kto. Piotrek. Głupi, bezmyślny, tępy, niewdzięczny gnojek. To była zemsta za to, że Mortka uderzył tamtego chłopaka.

- Pierdolcie się - mruknął policjant. - Sami sobie radźcie z Zającem.

Wylał mocz do zlewu, a sam kubek schował z powrotem do szafki. Później go umyje, wyparzy, znowu umyje, znowu wyparzy, aż w końcu wyrzuci i kupi sobie nowy.

Szybko się ubrał i zbiegł na dół, żeby poczekać na dworze na radiowóz. Chodził nerwowo chwiejnym krokiem wzdłuż bloku. Mróz szczypał w policzki, gryzł nos, a on modlił

się w duchu, żeby dzięki temu choć trochę wytrzeźwieć. Wciąż kręciło mu się w głowie i

plątał mu się język.

Powinien zadzwonić do dyspozytora i przekazać mu, żeby wezwał jednak kogoś innego.

Nie potrafił.

Policyjny samochód przyjechał po mniej więcej pięciu minutach. Kierowca nie chciał nic powiedzieć. Włączył tylko syrenę i popędził przez uśpioną Warszawę.

To, co Mortka zobaczył na miejscu, miało powracać w jego sennych koszmarach, choć nie mógł sobie przypomnieć, jaka była kolejność zdarzeń.

Pamiętał Jankowskiego. Technik szedł w jego kierunku z wściekłą miną i mówił:

- Znowu wyciągasz mnie w środku nocy, każesz pisać raport na wczoraj, a potem pewnie nawet go nie przeczytasz!

- Wal się! Słyszysz! Bierz się lepiej do roboty! - nawrzeszczał na niego w odpowiedzi.

Mortka musiał wyglądać jakoś inaczej albo Jankowski zobaczył coś w jego oczach, bo natychmiast zbladł.

- Sprawa jest poważna? - zapytał.

- Jak chuj.

Technik dopiero teraz zorientował się, gdzie jest i co się wokół niego dzieje. Wyciągnął telefon.

- Dzwonię po resztę - powiedział.

Mortka kiwnął głową. Miał łzy w oczach.

Gdzieś w oddali zawył pies.

Wokół stał tłum gapiów. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w pomarańczowe płomienie i gęste kłęby dymu.

Kowalski mignął komisarzowi tylko przez chwilę. Mruknął coś, co brzmiało jak:

„Zawsze na mojej zmianie”.

Pamiętał kobietę. Ładną, młodą. Ubraną w elegancki, szary kostium. Siedziała na zamarzniętym śniegu i na przemian łkała i wrzeszczała. Jej krzyk - pełen desperacji i żalu -

wbijał się głęboko w umysł i ciało. Komisarz słyszał go długo po tym, jak kobiecie podano środek uspokajający i siłą zaprowadzono do karetki.

I był jeszcze mężczyzna obok kobiety - ubrany w czarny płaszcz. Błady. Stał bez ruchu jak jakaś rzeźba. Nie krzyczał, nie histeryzował, ale jego smutek wydawał się głębszy i bardziej przerażający niż rozpacz kobiety. Płakał bez żadnego ruchu i bez żadnego słowa.

Mężczyzna patrzył w jeden punkt. Na ziemię przed domem, gdzie leżały przykryte kocem dwa drobne ciała. Bartek i Kamil Korzeniowscy. Lat dziesięć i siedem.

Komisarz pamiętał, że biegał od policjanta do policjanta, wrzeszczał na nich i pytał, gdzie jest Kochan.

Ktoś robił zdjęcia. Błysk lampy od aparatu oślepił Mortkę. Wziął na stronę miejscową policjantkę.

- Spiszcie mi wszystkich gapiów, rozumiesz? Chcę mieć ich dane: imię, nazwisko, adres zamieszkania, pesel. Wszystko, rozumiesz? - powiedział.

Odparła „tak jest” i ruszyła wypełniać rozkaz. Potem widział ją i jeszcze jednego policjanta, jak krążyli wśród tłumu.

Później - sam nie wiedział kiedy - stał nad chłopcymi ciałami i wpatrywał się w ich nadpalone, niewinne twarze. Bał się. Myślał o własnych synach. O tym, że są bardzo podobni do tej dwójki, która leżała przed nim. Z trudem oddychał. Przez chwilę wydawało mu się, że patrzy na swoje dzieci. Zakręciło mu się w głowie.

Po pewnym czasie siedział w samochodzie i pił kawę. Uspokoił się trochę i wytrzeźwiał. Żałował w tym momencie, że nie pali papierosów.

Jankowski zapukał w szybę. Mortka wyszedł.

- Jest już Kochan? - zapytał komisarz.

Technik pokręcił przecząco głową.

- Co macie?

- To twój człowiek. Znalazłem kawałki szkła w kominku. I benzynę. Podpalenie.

- Skurwiel.

- Zmienił sposób działania. To, co wydarzyło się w środku, jest dziwne. Będę wiedział więcej, kiedy strażacy skończą zabezpieczać teren.

- Dobrze - odpowiedział komisarz i spojrzął na zegarek. - O dziesiątej zrobimy odprawę.

- W porządku. Ale nie spodziewaj się cudów.

- Rób, co masz do zrobienia. I widzimy się na komendzie.

Jankowski odszedł, chwając się na nogach z zimna, niewyspania i zmęczenia. Mortka miał się jeszcze gorzej, bo właśnie zaczął odczuwać pierwsze objawy kaca.

Mimo to przez kilka godzin koordynował prace na miejscu zdarzenia i przepytывał sąsiadów. Chodził od drzwi do drzwi, nie zważając na wczesną porę oraz zaspanych właścicieli. Zadawał ciągle te same pytania, a w odpowiedzi słyszał te same słowa: „Nikogo nie widziałem, nie zauważyłem nic podejrzanego, nie mam nic do powiedzenia”. Bał się, że wpadnie w furię. Zginęły już trzy osoby, a on ciągle nie miał żadnego tropu.

Spóźnił się na odprawę blisko pół godziny. Głowa bolała go tak, jakby miała wybuchnąć. Musiał się zatrzymać, żeby kupić duże opakowanie ibuproenu. Wziął od razu dwie tabletki, które popił puszką nieprzyjemnie zimnej i mocno gazowanej coli.

W pokoju było więcej osób, niż powinno. Prócz Kochana, Skalskiego i Jankowskiego siedzieli tam jeszcze psycholog Anna Brodka, podinspektor Andrzejewski i mężczyzna w czarnym garniturze o zgorzkniałej twarzy.

- Kuba - odezwał się Andrzejewski - nie wiem, czy znasz...

- Nazywam się Bogdan Szydłoń. Prokurator - przedstawił się oschle nieznanemu.

Mortka przypomniał sobie tego człowieka.

- Spotkaliśmy się już kiedyś. Zabójstwo i gwałt na...

- Możliwe - przerwał mu prokurator. - Jak pan zapewne wie, prowadzę to śledztwo.

Przeglądałem dziś od rana dokumenty i muszę z przykrością stwierdzić, że widzę wiele błędów w pana postępowaniu.

Komisarz zacisnął zęby.

Pewnie przełożony prokurator wszedł rano do internetu lub włączył telewizję regionalną i dowiedział się o pożarze. Chwyć za telefon i opierdolił Szydłonia. A teraz Szydłoń zwala winę na mnie - pomyślał.

W innych okolicznościach wysłuchałby dla świętego spokoju tyrady prokuratora i wyraziłby skruchę, ale nie dzisiaj. Nie po tym jak spędził noc wpatrzony w ciała dwóch chłopców.

- Z całym szacunkiem, ale nie popełniliśmy żadnych błędów - odpowiedział twardo. -

Wypełniliśmy wszystkie nasze obowiązki.

- Ale sprawcy nie złapaliście.

- Mieliliśmy za mało czasu. Musimy sprawdzić kilka tropów.

- Jakich? W dokumentach nie znalazłem o nich żadnych informacji.

- Jak pan pewnie wie, podczas tak intensywnego śledztwa jak nasze niekiedy brakuje czasu na wypełnienie papierów i przesłanie ich do prokuratury.

- To nie jedyne uchybienie z pana strony - wysyczał prokurator. - Znalazłem ich tutaj -

popukał palcem wskazującym w teczkę z dokumentacją - kilkanaście. I wszystkie

doprowadziły do wczorajszej tragedii. W pożarze zginęło dwoje dzieci, panie komisarzy.

Mortka walnął pięścią w stół.

- Co ty mi tutaj za brednie opowiadasz!?! - wrzasnął na prokuratora. - Zapieprzamy dzień i noc od soboty, żeby złapać tego podpalacza, chwytamy każdy trop, który mamy, a ty masz mi czelność coś wypominać? Ile razy cię tutaj widziałem podczas tego śledztwa, które niby prowadzisz, co? Ile!? Zero! Zero razy! Nawet do mnie nie zadzwoniłeś! A wiesz dlaczego? Bo zwykle podpalenie z ofiarą śmiertelną jest dla ciebie za mało seksowne, karierowiczu jeden!

Kiedy skończył, w pokoju zapadła głucha cisza. Jankowski patrzył na czubki butów, Brodka spuściła głowę i najwyraźniej bardzo chciała znaleźć się gdzieś indziej, a Skalski chyba zatęsknił nagle za ursynowskim komisariatem. Podinspektor był wściekły, ale nie dawał po sobie nic poznać. Mortka wiedział, że usłyszy od niego swoje, ale dopiero po tym, jak prokurator wyjdzie z komendy. Kochan natomiast zachowywał się tak, jakby go tam w ogóle nie było.

Tymczasem Szydłoń spokojnie rozwiązał wstążkę od tekturowej teczki i rozłożył dokumenty na stole. Potem sięgnął do kieszeni i włożył na nos okulary.

- I nie ma pan sobie nic do zarzucenia? - zapytał.

Mortka poczuł ścisk w żołądku. Spokój prokuratora był nienaturalny.

- Śledztwo prowadziliśmy poprawnie - odparł.

Prokurator wziął pierwszą kartkę z samej góry stosiku.

- Jest pan pewien?

- Jestem pewien.

- W takim razie, jak pan wytłumaczy następujące fakty. - Prokurator westchnął i poprawił okulary na nosie. - Właściwie nie wiem, od czego mam zacząć. Może od początku.

Z moich rozmów ze strażą pożarną wynika, że początkowo bardzo lekceważąco podszedł pan do teorii o seryjnym podpalaczu.

- Jak pan zauważył, wtedy to była tylko teoria.

- A teraz? Czy po śmierci dwojga dzieci to też tylko teoria?

Mortka zagryzł wargę, żeby powstrzymać się od kolejnego wybuchu.

- Nie. Teraz nie - odpowiedział.

- Z tych akt wynika, że nie zrobił pan wiele, żeby pójść tropem seryjnego podpalacza.

Skupił się pan raczej na wersji, która mówi, że zabójcą Kamerona jest ktoś z jego otoczenia.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- Co więcej, mam wrażenie, że sabotował pan działania w kierunku poszukiwania seryjnego podpalacza. Pani psycholog Brodka, bardzo szanowany w Komendzie Głównej profiler, skarżyła się, że utrudnia jej pan dostęp do informacji.

Psycholożka wyglądała, jakby natychmiast chciała uciec z pokoju. Mortka nie miał do niej żalu. Podejrzał, że podczas przyjacielskiej rozmowy z prokuratorem chlapnęła coś o niedbalstwie komisarza i teraz Szydłoń zrobił z tego koronny zarzut.

- Zapomniałem przekazać jej dokumenty. Przepraszam, ale nie było to zamierzone.

- Naprawdę? Cała Komenda Stołeczna wie o pana lekceważącym stosunku do profilerów kryminalnych. Nazywa ich pan... - szukał czegoś w dokumentach - ...szamanami.

Ani ich pan nie lubi, ani ich pan nie ceni. I to pomimo sukcesów, które policja odniosła dzięki ich pomocy. Pani Brodka na pewno zna wiele takich przykładów.

Psycholożka podskoczyła na krześle jak nieprzygotowana uczennica, którą nagle wywołano do tablicy.

- Tak, oczywiście - odparła.

- Dziękuję pani bardzo - przerwał jej prokurator. - Tak więc prawie w ogóle nie podjął

pan tropu seryjnego podpalacza. Przejdźmy dalej. Jak się dowiedziałem, z nieuzasadnionym opóźnieniem przeczytał pan raport z laboratorium kryminalistycznego.

Mortka był zaskoczony. Brodkę potrafił usprawiedliwić, ale Jankowski przecież znał zasady gry. Technik był draniem, ale komisarz nigdy nie spodziewał się, że poskarży się prokuratorowi. Jankowski spojrzał przepaszająco na Mortkę. Chciał coś powiedzieć, ale nie miał możliwości.

- Czy zlekceważył pan, komisarzu, ten raport dlatego, że jego wnioski nie pasowały do pana podejrzeń?

Podinspektor Andrzejewski chrząknął.

- Wydaje mi się, że powinniśmy kontynuować tę rozmowę gdzie indziej.

- Za późno - odpowiedział mu Mortka. - Proszę, panie prokuratorze. Proszę mówić dalej.

Szydłoń uśmiechnął się chytrze.

- To niech odpowie pan na moje pytanie.

- Jankowski przekazał mi główne wnioski raportu ustnie przed jego napisaniem. Nie czułem potrzeby zaznajomienia się z wersją pisaną. Przynajmniej nie natychmiast. Miałem ważniejsze sprawy.

- Panią Kameron, głównego świadka w sprawie, przesłuchał pan dopiero we wtorek.

Trzy dni po tragicznym pożarze. Panie komisarzu, nawet „Fakt” był od pana szybszy - zadrwił prokurator.

- Wcześniej lekarze nie pozwalali - wytłumaczył się Mortka.

- Dziennikarzom brukowca to nie przeszkadzało.

- Dziennikarze brukowca muszą się przejmować słupkami sprzedaży, a nie skargami obywateli. Z nami jest trochę inaczej, panie prokuratorze.

- Niemniej zwłoka jest rażąca i w świetle publikacji „Faktu”.

- Tego się pan boi? - zapytał Mortka. - Publikacji „Faktu”? Oczywiście nie tej, ale kolejnej. Temu służy ten, sam nie wiem, co to jest. sąd, przesłuchanie? Musi się pan wykazać przed przełożonymi, zanim „Fakt” napisze o śmierci.

Skojarzył, w jaki sposób prokurator mówił o ofiarach. Uśmiechnął się w duchu i powiedział:

- Proszę mi przypomnieć, jak miały na imię?

- Słucham?

- Dzieci. Jak miały na imię? Po prostu - komisarz postukał się po czole - wypadły mi ich imiona z głowy.

Prokurator milczał.

- Nie wie pan czy po prostu zapomniał? Spróbujmy coś prostszego w takim razie. Jakiej były płci?

Szydłoń prychnął lekceważąco.

- Jakiej były płci? - powtórzył pytanie Mortka.

- Dlaczego pana kolegi nie było na miejscu zdarzenia? Dlaczego na miejscu pożaru nie było podkomisarza Kochana? - odpowiedział pytaniem prokurator.

Kochan siedział na krześle, ze spuszczoną głową i w dalszym ciągu udawał, że go nie ma w pokoju.

- Jakiej były płci? - zapytał jeszcze raz Mortka.

Z naciskiem wymawiał każde słowo.

- Być może podkomisarza Kochana nie było na miejscu, bo był pijany w sztok! Od pana, panie komisarzu, zresztą też czuć było alkohol! Jak pan to wytłumaczy!?

- Normalnie. Wypiłem wczoraj wódkę, panie prokuratorze - odparł spokojnie Mortka.

- I to niby jest dla pana wytłumaczenie?

- Tak.

Mierzyli się wzrokiem. Prokurator po kilku sekundach spuścił głowę i zaczął składać papiery.

- Muszę się poważnie zastanowić, czy nie wnioskować o odebranie panu śledztwa.

Mortka odebrało dech w piersiach.

- Chyba pan sobie, kurwa, żartuje.

- Kuba! - przerwał mu Andrzejewski.

Podinspektor najwyraźniej bał się, że Mortka rozpocznie kolejną tyradę. Komisarz jednak nie miał już na to sił.

- Podinspektor przekonał mnie, że jest pan jednym z jego najlepszych ludzi.

Uwierzyłem mu. Teraz znowu mam wątpliwości. - Szydłoń uśmiechnął się smutno.

Mortka uświadomił sobie, że prokurator naprawdę chciał go odsunąć od sprawy. To miała być wiadomość, którą zamierzał wysłać przełożonym: „Znalazłem winnego tej sytuacji i już go ukarałem”.

- Złapię tego podpalacza - oświadczył twardo komisarz.

- Śmiem wątpić.

Mortka przelknął ślinę. Z trudem opanował kolejną falę gniewu. Nie mógł sobie pozwolić na wybuch.

- Ma pan rację, panie prokuratorze - powiedział wbrew sobie. - Jestem winien pewnego niedbalstwa. Nie doceniałem niektórych sygnałów. Ale to się zmieni. Poprawię się. Od tej pory będę regularnie wysyłał panu sprawozdania oraz prowadził konsultacje. Będę grał na pańskich warunkach.

- Komisarz Mortka to naprawdę zdolny policjant - wtrącił się Andrzejewski. -

Odbieranie mu śledztwa w tym momencie jest nieuzasadnione.

- Panie komisarzu?

- Popełniłem błędy. Także teraz, podczas tej rozmowy. Proszę mi wybaczyć. To z powodu zmęczenia. To się nie powtórzy.

Prokurator powoli skinął głową. Trudno było ocenić, czy jest zadowolony z tego, co usłyszał, czy nie. Schował teczkę z dokumentami i wstał z krzesła.

- Proszę do mnie dzwonić codziennie o godzinie dwunastej oraz osiemnastej i przekazywać raporty na temat rozwoju sprawy. Oczekuję szybkich postępów. Rozumie pan, panie komisarzu?

- Rozumiem.

- Znakomicie - powiedział oschle prokurator. - W takim razie żegnam państwa.

Podszedł do Mortki, który wyciągnął rękę na pożegnanie. Prokurator położył na niej swoją wizytówkę i wyszedł z pokoju.

Nikt nie miał odwagi odezwać się pierwszy. Ciszę przerwał Andrzejewski.

- Robimy dziesięć minut przerwy - oznajmił. - Mortka, ze mną.

Andrzejewski najpierw sprawdził, czy nikt za nimi nie idzie ani nie zamierza podsłuchiwać, a potem zamknął drzwi na klucz. I nagle, zupełnie niespodziewanie, uśmiechnął się szeroko.

- Kuba, ale mu wygarnąłeś - powiedział, szczerząc żółtawe zęby. - Pękałem z dumy, słysząc tę przemowę, ale kariery ci nie wróżę, kolego. Rzec się rozniesie i Szydłoń się na tobie zemści.

Mortka wzruszył ramionami. Podinspektor pokręcił głową rozbawiony i usiadł za biurkiem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to również uważam, że nie popełniłeś błędów.
Komisarzowi ulżyło. Dobrze było wciąż mieć poparcie ze strony Andrzejewskiego.

- Dziękuję.

- Ale z Kochanem musisz porozmawiać.

- Obaj wczoraj popiliśmy. U niego. To był błąd, ale popełniliśmy go wspólnie.
Podinspektor zaczął szukać papierosów.

- Nie chodzi o to, że popiliście, ani o to, że tylko ty pojawiłeś się na miejscu zdarzenia - powiedział, zaglądając do szuflady. - Jeden pijany policjant tam wystarczył. Brak Kochana udało się jakoś zamaskować. A to, że dzisiaj milczał, tylko dobrze o nim świadczy.
Powinieneś brać z niego przykład. Przynajmniej czasami.

- W takim razie, o co chodzi?

- Policjant, który po niego przyjechał, zauważył ślady pobicia na twarzy jego żony.
Mortkę zmroziło. W pierwszej chwili nie uwierzył w to, co usłyszał.

- Ona się nie skarżyła, Kuba, a chłopak, który miał go przywieźć, jest na służbie od niedawna. Kochan opierdolił go z góry na dół, pogroził koneksjami i takie tam. Młody podkulił ogon i uciekł. Wszystko zrelacjonował swojemu szefowi, szef zadzwonił do mnie.
Cholera. Gdzie są te fajki?

Podinspektor zatrzasnęła ze złością szafkę.

- Szef rzuca palenie, pamięta szef? - przypomniał mu Mortka.

Andrzejewski zamrugał.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Naprawdę. A Kochan rzeczywiście uderzył Anię?

- Pewnie masz rację - odpowiedział podinspektor, myśląc o papierosach. - A co do Kochana, to chłopak twierdzi, że jego żona miała podbite oko.
Mortka przełknął ślinę.

- Porozmawiam z nim - stwierdził.

- Zrób to - mruknął zrezygnowany podinspektor i oklapł na krześle. - Wiesz, jak to jest z tymi sprawami, z pracą i małżeństwem. Sam się rozwiodłeś.

Ale nigdy nie uderzyłem żony - pomyślał Mortka.

- I złap tego podpalacza, Kuba - kontynuował podinspektor. - Dzisiejszy pożar jest na czołówkach wszystkich portali internetowych i już dzwoniли do nas ludzie z TVN-u i z gazet.

- Złapię go.

- To do roboty.

Komisarz wyszedł z gabinetu szefa. Najpierw skierował się do ubikacji. Obmył twarz w zimnej wodzie. Kac wciąż nie ustępował, a ognisko bólu leniwie pulsowało gdzieś w okolicach płatu czołowego.

W automacie kupił kolejną już tego dnia kawę. Czarną, mocną, z podwójnym cukrem, jeszcze słodsza niż zwykle. Kiedy obserwował, jak maszyna wypluwa do kubeczka gęsty, ciemny płyn, dopadł go Jankowski.

- Sorry, Kuba - zaczął technik. - Sorry, to nie miało tak wyjść. Gnojek nas podszedł.

Rozumiesz? Wszystkich. Siedzimy sobie, pijemy kawę, gadamy o głupotach, potem on nam opowiada, co się dzieje w prokuraturze. To wiesz, każdy się odwdzięcza historyjką. Ta psycholożka narzeka na ciebie, okej, ja też dorzuciłem swoje trzy grosze. Wiesz, jak to ze mną jest.

Mortka położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie ma sprawy - powiedział, czując, że brakuje mu już siły, by się złościć. - Zabierzmy się lepiej za śledztwo.

- Jasne. Ale sorry, Kuba, naprawdę.

Komisarz wziął swoją kawę i wrócili razem do pokoju konferencyjnego.

Mortka zajął miejsce u szczytu stołu. Postawił przed sobą kubek, wyciągnął notatnik i długopis. Westchnął. Po awanturze z prokuratorem grupa była rozkojarzona. Musiał jak najszybciej zmienić ich nastawienie, sprawić, żeby skupili się na tym, co istotne. Klasnął głośno, żeby zwrócili na niego uwagę.

- Dobra. Pewnie wszyscy wiedzą, co się stało dzisiaj w nocy.

Kiwnęli głowami.

- W takim razie przejdziemy do relacji. Najpierw Jankowski.

Technik wstał z miejsca.

- To był nasz człowiek - zaczął. - Znaleźliśmy odłamki szkła od butelki w okolicy kominka. Zapewne znów wdrapał się na dach i wrzucił do komina koktajl Mołotowa. Jednak tym razem było też trochę inaczej.

- Co to znaczy?

- Wcześniej wszedł do domu. Zidentyfikowaliśmy ślady substancji zapalającej w miejscach, gdzie nie miały prawa się znaleźć. W innych pokojach, na schodach, z dala od kominka. Ta substancja, jak wynika ze wstępnych oględzin, to rodzaj prymitywnego napalmu. Do zrobienia za pomocą powszechnie dostępnych chemikaliów.

Najprawdopodobniej otworzył wytrychem kłódkę od kraty przy drzwiach ogrodowych, a później wybił w nich szybę. Znaleźliśmy kawałki szkła po wewnętrznej ich stronie.

- Chciał coś ukraść?

- Nie jestem w stanie tego ustalić. Moim zdaniem nie. Po prostu wszedł do środka, rozlał tę swoją mieszaninę, a później wyszedł. Co dziwne, zamknął za sobą kratę na kłódkę.

- Po co? - zdziwił się Mortka.

- Żeby nikt nie wyszedł? - zaryzykował Kochan.

To były jego pierwsze słowa tego ranka. Całkiem sensowne, biorąc pod uwagę, że musiał cierpieć co najmniej tak samo jak Mortka. Jego skóra przybrała lekko zielonkawy odcień, oczy były przekrwione, a on sam huśtał się delikatnie na krześle, jakby miał zaraz zwymiotować. Nic dziwnego, że starał się nie zwracać na siebie uwagi.

- Nie wiem - odpowiedział Jankowski. - To wasza sprawa. Mówię tylko, co nam się udało wstępnie ustalić. Według nas wdrapał się na płot od strony Lasu Kabackiego, włamał się do domu, rozlał tam mieszaninę, a potem zamknął dom i wszedł na dach. Przez komin wrzucił Mołotowa. Możecie sobie wyobrazić efekt. Momentalnie wszystko zajęło się ogniem.

- Macie jeszcze coś konkretnego? - spytał komisarz.

- W domu nie. Ale w ogrodzie. - Jankowski zrobił pauzę i wypiął pierś z dumą. -

Zabezpieczyliśmy ślady butów na śniegu. Podejrzewamy, że to jego. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to on.

- Skąd wiesz?

- Zupełnie inny bieżnik niż buty strażackie. Sprawdziliśmy też naszych ludzi, to żaden z nich. Musimy się jeszcze upewnić, co do strażaków, czy nikt z nich nie miał przypadkiem cywilnego obuwia, ale tak jak ci mówię, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to nasz człowiek.

- Dobra robota - pochwalił kolegę Mortka. - Co o nim dzięki temu wiemy?

- Nosi sportowe obuwie, rozmiar czterdzieści trzy. Na oko, powtarzam, na oko, waży około osiemdziesięciu kilogramów. Podejrzewam, że jest średniego wzrostu. Tak więc, Kuba, niestety, nie trafiliśmy na powłóczącego lewą nogą karła.

Dowcip był umiarkowanie zabawny, ale wystarczył, żeby komisarz się uśmiechnął.

- Coś jeszcze?

- Coś jeszcze będzie, jak przeanalizujemy wszystkie zebrane dane.
- Okej, w takim razie poprosimy teraz naszą panią psycholog.
Brodka podniosła gwałtownie głowę i zaczęła nerwowo bawić się pierścionkiem.
- Cóż - zaczęła - dzisiaj zarzuciliście mnie panowie stosem informacji. Nie miałam czasu tego wszystkiego przemyśleć.
- A co może nam pani powiedzieć w tym momencie?
- Jak go złapiecie, to będzie w dwurzędowym garniturze.
Policjanci popatrzyli po sobie skonsternowani.
- Pani wybacz, ale nie rozumiem.
Speszyła się.
- To taki żart. Brązowy, że tak powiem.
- A bez żartowania?
Wzięła głęboki oddech.
- Mamy tutaj dwie sprawy. Podpalenie oraz zabójstwo Jana Kamerona. Uważam, że zrobili to dwaj różni ludzie. Tak jak mówiłam podczas naszej pierwszej rozmowy, piroman nie chce nikomu zrobić krzywdy, a jeśli ktoś ginie, to przez przypadek.
- Dzisiaj zginęło dwoje dzieci - zauważył Mortka. - Przez przypadek?
Spojrzała mu głęboko w oczy.
- Jestem pewna, że tak. Jestem pewna, że rodziny Korzeniowskich miało nie być w domu tego wieczoru. Wracając natomiast do pana Kameron, uważam, że jest niemożliwe, by piroman najpierw wszedł do niego, zabił go ciosem w głowę, a potem wzniecił pożar.
Piroman po prostu nie jest zainteresowany krzywdzeniem ludzi.
Mortka zgadzał się z psycholożką, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.
- Skupmy się na podpaleniach - ciągnęła. - Sądzę, że sprawcą jest mężczyzna, raczej młody, w wieku do trzydziestu pięciu lat. Sprawny fizycznie. Prawdopodobnie ma żal do mieszkańców dzielnicy, chce ich za coś ukarać.
- Za co?
- To może być wszystko. Znany jest przypadek piromana, który podpalał budynki szpecące według niego górski krajobraz. Tutaj powód może być równie niezrozumiały, tajemniczy i abstrakcyjny. Ważne jest natomiast to, w jaki sposób wybiera obiekty do podpalenia. W trzech pierwszych zdarzeniach w domu albo nikogo nie było, albo, jak u państwa Kameronów, nikogo miało nie być. To nie jest zbieg okoliczności. Uważam, że sprawca mieszka w tej dzielnicy albo przynajmniej często ją odwiedza. Może tam pracować.
Kluczowe jest pytanie: skąd sprawca wiedział, że w domu nikogo nie będzie?
- To cenna uwaga.
- Dziękuję, panie komisarzu. Mam nadzieję, że choć trochę zmieniłam pańską opinię o szamanach - powiedziała z przekąsem.
Skrzywił się lekko.
Nie powinna mi tego wypominać, nie po tym, jak się upokorzyłem przed prokuratorem - pomyślał.
- Przejdźmy do zabójcy pana Kameron - kontynuowała kobieta. - Tutaj sprawa jest dużo trudniejsza, bo pożar zniszczył większość śladów. Do tego, z powodu opóźnień w dostarczeniu mi dokumentacji, miałam za mało czasu i skupiłam się na podpalaczu. Na pierwszy rzut oka wygląda to jednak na rabunek połączony z pobiciem śmiertelnym. Zwykle takiej zbrodni dokonują mężczyźni, raczej słabo wykształceni, często z problemem alkoholowym. Może miejscowy pijaczek, któremu brakowało na wódkę, lub pracownik pana Kameron, który miał do niego żal?

- Nawet nie wiemy, czy coś zginęło - zauważył Kochan.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego mówię, że sprawa jest dużo trudniejsza, panie podkomisarzu, niż w wypadku naszego podpalacza. Podobnie jak pan Jankowski, więcej będę mogła powiedzieć po przeanalizowaniu najnowszych danych.

- Dziękuję pani - odparł Mortka. - Skalski. Jak u was?

- Przesłuchujemy mieszkańców dzielnicy. Zrobiliśmy zdjęcia gapiów.

- Chciałbym je dostać. Nagraj mi je na płytę.

- Już to zrobiłem.

Wyjął płytę CD z plecaka i pchnął po stole do komisarza.

- A co z podpalaczami, których miałaś sprawdzić?

- Niestety nic. Każdy ma alibi.

- Dobra. - Komisarz stuknął palcem kilka razy o blat. - W takim razie czas na burzę mózgów. Jakies pomysły?

- Powinien pan zapytać panią Kameron, kto wiedział, że mieli wyjechać z mężem do spa - zaproponowała Brodka.

- Już o to pytałem. Nikt o tym nie wiedział.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jest pan pewien?

- Ja nie, ale pani Kameron jak najbardziej.

- Ktoś musiał wiedzieć - mruknęła Brodka, ale chyba raczej bardziej do siebie niż do komisarza. Mortka zignorował tę uwagę.

- Coś jeszcze? Jakies inne pomysły?

- Może trzeba przepytac ludzi na dzielnicy, co wiedzą o sąsiadach? Czy nie mają jakichś podejrzeń? Skoro podpalacz najprawdopodobniej tam mieszka. - rzucił Skalski.

- Lub pracuje - dodała Brodka.

- Nie - zaprotestował Mortka. - Wywołasz polowanie na czarownice i do tego wdepniesz w miejscowe bagienko. Zaczną na siebie kablować z czystej złośliwości albo z powodu jakiegoś śmiesznego sporu sprzed lat. A my będziemy musieli to wszystko sprawdzać. Stracimy tylko czas.

- Ale jednak może jest to jakiś trop - bronił swojej koncepcji Skalski.

- Bez sensu - odezwał się Kochan. - Kuba ma rację. Mieszkasz w Polsce, chłopie, tutaj jak ktoś ma okazję wpakować cię w szambo, to zrobi to dla samej radości patrzenia, jak się w nim taplasz.

Skalski otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Jakies inne pomysły? - spytał komisarz.

Nikt już nic nie zaproponował.

- Dobra. W takim Jankowski wraca do laboratorium i przygotowuje dla nas raport. Pani psycholog robi to samo, ale w zaciszu gabinetu, czy gdzie tam pani urzęduje. Skalski, przypilnuj, żebyście wszystkich dobrze przesłuchali na Ursynowie, potem spisz mi z tego zgrabny raport i wyślij go jeszcze dzisiaj. Kochan.

Mortka zawiesił wzrok na koledze.

- Tak?

- Sprawdź mi dokładnie Korzeniowskich w naszych bazach danych. Szczerze w to wątpię, ale może coś na nich mamy. Poza tym zbadaj ich powiązania z Kameronami. Może robili wspólnie jakies interesy, byli w jednej spółce. Cokolwiek - powiedział po chwili namysłu.

- Dobrze.

- Ja pojedę się z nimi spotkać i porozmawiać. Jeszcze raz przesłucham panią Kameron.

Jeśli nie ma innych uwag, to uważam nasze spotkanie za zakończone. Kolejna odprawa jutro o dziesiątej.

Wstali z miejsc i rozeszli się do swoich zajęć. Mortka zatrzymał tylko Kochana.

Delikatnym, ale stanowczym ruchem posadził go z powrotem na krzesło. Począł, aż wszyscy wyjdą, i westchnął, zbierając siły na czekającą go rozmowę.

- Nie przyjechałeś na miejsce zdarzenia - powiedział w końcu.

Kochan przygarbił się. Wyglądał na skruszony.

- Sorry, Kuba. Jak już poszedłeś, wypilem sobie jeszcze. Wiesz, jaki jestem. Jak zaczynam, to nie mogę skończyć. Poza tym, kto się mógł spodziewać, że zdarzy się takie coś.

- Podobno uderzyłeś żonę.

Kochan westchnął, a potem uśmiechnął się słabo.

- Kuba, co ty opowiadasz?

- Policjant, który po ciebie przyjechał, powiedział, że Ania miała podbite oko.

Kochan przełknął głośno ślinę, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

- Słuchaj, piłem dalej, kiedy pojechałeś, przyznaję. Jak Ania wróciła, to się pokłóciliśmy. Sam nie wiem o co. To była ostra kłótnia, bardzo. Ale Kuba, ja jej nie uderzyłem. Przysięgam ci na Boga. Nie uderzyłem jej.

- To co się stało?

- Nic. Po prostu się pokłóciliśmy. Ona się popłakała i zupełnie rozmazała jej makijaż.

A ten policjant, który po mnie przyjechał, to był jakiś niedorozwój. Mówię ci, nie dało się z nim w ogóle dogadać. Nie był w stanie zrozumieć, że nie mogę nigdzie jechać tak pijany, a już na pewno nie do tego cholernego pożaru. Zobaczył zapłakaną Anię i pomyślał sobie.

Kuba, przecież ja bym na nią ręki nie podniósł!

Mortka nie wiedział, co ma o tym myśleć. Kochan nie był chyba typem mężczyzny, który mógłby skrzywdzić żonę. Brakowało mu gwałtowności, frustracji, bezmyślności. A przynajmniej tak się komisarzowi wydawało. Postanowił więc uwierzyć koledze. Na próbę i warunkowo. Dopóki nie skończą tego śledztwa. Bo to było teraz najważniejsze.

- Dobra. Bierz się do pracy. Zadzwoń do mnie za mniej więcej półtorej godziny z informacjami na temat Korzeniowskich. Ja muszę pojechać do domu. Zjeść śniadanie, ogolić się, wypić red bulla.

Kochan tylko skinął głową.

Mortka ubrał się i poszedł po broń. Zwykle nie nosił ze sobą pistoletu. Nie lubił i bał się. Broń palna zawsze stanowiła pokusę i dodatkowe źródło zagrożenia, szczególnie w rękach człowieka, który tak jak on właściwie nie używał jej poza strzelnicą. Dlatego, jeśli nie musiał mieć pistoletu ze sobą, to zawsze zostawiał go w kasie pancерnej na komendzie. Teraz jednak bał się powtórki wczorajszej wizyty gangsterów i czuł, że powinien mieć jakieś dodatkowe zabezpieczenie.

W drodze do domu znów rozmyślał o Kochanie. Czy podkomisarz naprawdę mógłby uderzyć żonę? Był pijany, takie rzeczy się zdarzają. Praca w policji, zwłaszcza w ich wydziale, jest niebywale stresująca. Niektórzy jej nie wytrzymują. Pękają. A może to alkohol? Kochan strasznie się wczoraj spił.

Trzeba będzie na to uważać - postanowił.

Rozdział 13

Studenci się wyprowadzili. Właściwie wcale Mortki to nie zdziwiło. Po tym, co się tutaj zdarzyło i co usłyszeli od niego i Kochana, ucieczka była naturalnym rozwiązaniem.

Zabrali ze sobą laptopy oraz większość ubrań. Zostały tylko książki, tandetne pamiątki z wakacji i inne graty, które najwyraźniej nie zmieściły się do walizek i plecaków. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek po nie wróci.

Ze zdziwieniem uświadomił sobie, jak niewiele o nich wie. Pamiętał, jak się nazywali, skąd byli i co studiowali, ale to było wszystko. Nie znał nawet ich numerów telefonów.

Był zmęczony. Usiadł na kanapie i połknął kolejne dwie tabletki ibuproenu. Z trudem zwalczył pokusę, żeby nie położyć się spać. Wiedział, że jeśli pozwoli sobie nawet na krótką drzemkę, to nie wstanie do wieczora. Umył się, ogolił i przebrał w czyste ubranie. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby przestało od niego śmierdzieć przetrawionym alkoholem.

Zjadł w kuchni dwie bułki z szynką, które popił napojem energetyzującym. Poczł się odrobinę lepiej, ale to dalej nie był jego dzień. Postanowił jednak porozmawiać z Korzeniowskimi.

Wychodząc z klatki, zauważył dwóch łyśch osiłków. Nim zdążył zareagować, trzeci, trochę bardziej owłosiony mężczyzna w skórzanej kurtce zastąpił mu drogę.

- Witam, piesku - powiedział. - Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Mortka zmrużył oczy. Ominął faceta w skórze, trącając go przy tym lekko ramieniem.

Owłosiony chwycił go za bark.

- Nie słyszałeś? Ktoś chce z tobą porozmawiać. Jasne, piesku?

Odwrócił się.

- Spierdalaj, gnoju, bo ci zaraz wybiję zęby - rzucił napastnikowi prosto w twarz.

- O! Piesek warczy. Pieska trzeba skarcić.

Na te słowa podeszło do niego dwóch łyśch. Mortce zmiękły kolana. Wiedział, że nie zdąży wyjąć pistoletu, a w walce na pięści z trzema przeciwnikami nie miał najmniejszych szans.

- Bruno! Bruno! - krzyknął ktoś z oddali.

Osiłek w skórzanej kurtce zawahał się. Mortka spojrział w kierunku, skąd dochodził głos. Szedł do nich kolejny mężczyzna. Starszy od pozostałych, w długim wełnianym płaszczu, czarnych spodniach i białym, grubym golfie.

- Bruno, uspokój się, do cholery - rzucił nieznajomy.

Podszedł bliżej. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat.

Może trochę więcej. Dobrze zbudowany, wysportowany, lekko opalony i zadbany, na pewno należał do stałych klientów siłowni i solarium. Roztaczał wokół siebie delikatną woń męskich perfum. Miał przyjemną i przyjazną twarz. Nie pasowały do niej tylko oczy - oczy węża, który właśnie wypatruje ofiary.

- Co ty, do cholery, robisz, Bruno? - powiedział.

- Pies nie chciał.

- Jaki, kurwa, pies, Bruno!? - Mężczyzna lekko spoliczkował Brunona. - Pan komisarz dla ciebie, chłoptasiu.

Bruno niepewnie kiwnął głową.

- Przepraszam pana komisarza - rozkazał mężczyzna.

Bruno przelknął ślinę, a zaraz potem własną dumę.

- Przepraszam, panie komisarzu.

- No właśnie. Bardzo ładnie - pochwalił go opalony. - A teraz odsuń się trochę. Musimy z panem komisarzem porozmawiać w spokoju.

Bruno posłusznie cofnął się o trzy kroki. Dwaj łysi stanęli z zaciętymi minami za jego plecami.

- Pan wybaczy, panie komisarzu, to nieporozumienie. Nazywam się.

- Wiem, jak się nazywasz - przerwał mu Mortka. - Krzysztof Borzestowski.

- To ja.

Borzestowski uśmiechnął się lekko i wyciągnął rękę do przywitania. Komisarz nawet nie drgnął. Gangster wzruszył ramionami i schował rękę do kieszeni.

- Skoczmy do knajpy porozmawiać? Postawię panu obiad, piwo. Jest tutaj parę fajnych lokali. A niedaleko Galeria Mokotów.

- Nie.

Borzestowski podrapał się po nosie. Wyglądał na lekko rozbawionego.

- Rozumiem, panie komisarzu. Możemy porozmawiać tutaj, na mrozie.

- Skąd pomyśl, że chcę z tobą rozmawiać?

- Bo mamy wspólny interes.

- Nie mamy.

Borzestowski natychmiast przybrał poważny wyraz twarzy.

- Mamy. Tylko pan o tym jeszcze nie wie. Chodzi o dzisiejszy pożar.

Mortka zmarł.

- Ci chłopcy, którzy zginęli - kontynuował Borzestowski - to byli moi bratankowie. O, nie wiedział pan?

Komisarz pokręcił przecząco głową. Informacja była nieprzyjemnie zaskakująca.

Kolejny element układanki, z którym nie wiedział jeszcze, co zrobić. Kameron znał

Borzestowskiego, Korzeniowski również. Czy to był trop, którego im brakowało?

- Szymek to mój przyrodni brat - wyjaśnił Borzestowski. - Ta sama matka, inni ojcowie.

Mój zmarł z przepicia, więc wzięła sobie drugiego. Takiego samego opoja. To cud, że obaj wyszliśmy na ludzi.

- Naprawdę?

Borzestowski puścił tę uwagę mimo uszu.

- Szymek nie ma nic wspólnego z tym, co ja robię. Od małego się nim opiekowałem i od małego trzymałem z daleka od moich spraw. Jest porządnym człowiekiem. Nawet abonament płaci. A ci chłopcy, Bartek i Kamil. - zawiesił głos. - Nie mam dzieci, panie komisarzu, ale tych chłopców kochałem, jakby byli moimi własnymi synami. Rozumie pan?

Nawet im taką specjalną lokatę założyłem. Żeby mieli za co studiować na Harvardzie czy Oxfordzie, jak dorosną. Kiedy rano usłyszałem, co się stało. - Pokręcił głową. - Pan rozumie, komisarzu, prawda? Sam ma pan przecież dwójkę chłopaków.

Mortka zacisnął pięści. Borzestowski cofnął się o krok i podniósł ręce w obronnym geście.

- Przepraszam, panie komisarzu. To nie miało tak zabrzmieć. Proszę mi wierzyć.

Chodziło mi o to, że... Właściwie to najlepiej zapomnijmy o tej niefortunnej wypowiedzi, dobrze?

- Czego chcesz? - wycharczał Mortka.

- Chcę dorwać tego skurwysyna, który zabił moich bratanków, komisarzu. I pan mi w tym pomoże.

- Nie.

Borzestowski nie wyglądał na zawiedzionego. Zapewne spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Słyszałem o panu, komisarzu, same dobre rzeczy. Uczciwy, obowiązkowy, bystry.

Konkretny facet, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Cholernie dobry policjant.

Prawdziwy pies, który nigdy nie odpuszcza. Więcej takich jak pan, a tacy jak ja nie mieliby racji bytu.

Komplement był dziwny i nieoczekiwany. Mortka nigdy się nie spodziewał, że usłyszy takie słowa z ust jednego z ważniejszych warszawskich gangsterów.

- W mojej propozycji, panie komisarzu, nie ma jednak nic zdrożnego. Jest ona wręcz zgodna z pana wewnętrznym kodeksem etycznym. Ma pan gnoja, który podpalił dom mojego brata z bratankami w środku. Bartek i Kamil nie żyją. Spalili się. Złapie pan tego podpalacza i co? Proszę powiedzieć, tak z ręką na sercu, ile dostanie? Jak będzie miał dobrego adwokata, to nawet piętnastu mu nie wlepią, panie komisarzu. Jak będzie miał bardzo dobrego, to dostanie papiery do Tworek. Czy to odpowiednia kara dla takiego zwyrodnialca?

Pytanie zawisło między nimi, a po chwili Borzestowski ciągnął dalej.

- Niech go pan dla mnie znajdzie. Potem nie będzie pan musiał nic robić. Po prostu da mi znać, kto to jest. Ja zajmę się całą resztą. Nie będzie pan nic wiedział, niczego się domyślał, nie będzie miał pan żadnych wyrzutów sumienia. A wie pan, co będzie pan miał?

- Nie.

- Wdzięcznego obywatela i poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Mortka był zdumiony tą propozycją.

- Nie - odpowiedział po raz kolejny.

Po twarzy Borzestowskiego przebiegł skurcz. Chwycił komisarza za kurtkę i przyciągnął do siebie.

- Słuchaj, gnoju. Masz mi go dać - warknął.

Mortka wyrwał się. Bruno stał z boku, przypatrując się rozwojowi sytuacji, gotowy włączyć się do akcji na najmniejszy sygnał szefa.

- Nie - powtórzył policjant.

- Przecież wiesz, że i tak go dorwę! Jak nie teraz, to w więzieniu.

Mortka zbliżył się do gangstera tak bardzo, że czuł jego pachnący mentolowymi papierosami oddech na swojej twarzy.

- Proszę bardzo - powiedział. - Ale wtedy to będzie problem służby więziennej, a nie mój.

- Pożałujesz tego.

- Grozisz mi? Wiesz, że za groźby wobec funkcjonariusza na służbie można pójść siedzieć?

Borzestowski uśmiechnął się fałszywie.

- Przecież tutaj nikt nikomu nie grozi. Bruno, słyszałeś, żeby ktoś komuś tutaj groził?

- Nie, proszę pana. Chyba, że to pan komisarz panu groził. To wtedy słyszałem.

- Pan komisarz mi nie groził.

- W takim razie nic nie słyszałem, proszę pana.

- Widzisz, komisarzu. Nikt nikomu nie groził. Mam na to świadków. A ty?

Mortka machnął lekceważąco ręką, odwrócił się i poszedł do samochodu. Serce waliło mu jak młotem. W każdej chwili spodziewał się, że któryś z chłopców Borzestowskiego rzuci się na niego, powali na ziemię i zacznie bić.

Wsiadł do auta. Gangsterzy ciągle stali pod jego klatką. Borzestowski palił cienkiego papierosa. Kiedy Mortka odjeżdżał, gangster pomachał mu na pożegnanie.

Korzeniowscy zatrzymali się u rodziny na Bemowie. Mortka jechał tam, przebijając się przez zakorkowane miasto. Starał się uspokoić. Borzestowski zdenerwował go bardziej, niż chciał się sam przed sobą przyznać. Postać gangstera przewijała się przez całe śledztwo jak zły duch. Skąd wiedział, gdzie Mortka mieszka? To było jeszcze bardziej niepokojące niż samo spotkanie.

Wtem zadzwonił telefon. Mortka z trudem wyciągnął aparat z kieszeni, przy okazji o mały włos nie wpadając w poślizg.

- Mortka.

- Cześć, Kuba! - Usłyszał w słuchawce podniecony głos Kochana. - Mam prawdziwą bombę. Korzeniowski.

- To brat Borzestowskiego - dokończył za kolegę Mortka.

Kochan zamilkł zaskoczony.

- Skąd wiesz? - wyjąkał.

- Bo przed chwilą spotkałem kutasa. Czekał na mnie pod blokiem.

- Żartujesz!?

- Ani trochę.

Kochan zamilkł.

- Czego chciał? - zapytał w końcu.

- Żeby znaleźć dla niego podpalacza, który zabił jego bratanków.

- Kurwa mać - zaklął Kochan. - Wszystko nam spierdoli.

Mortka pomyślał o tym samym. Brakowało im tylko ogolonych na łyso bandziorów, którym wydaje się, że wiedzą, jak prowadzić śledztwo, bo potrafią pięściami wymusić kilka odpowiedzi.

- Trzeba ich pilnować i przy najmniejszym wybryku profilaktycznie zamknąć na jak najdłużej się da.

- Zrozumiałem. Przekażę kolegom.

- Dobra. A znalazłeś jeszcze coś na Korzeniowskiego?

- Niestety nie, Kuba. Kilka mandatów, zapłaconych zresztą, i tyle.

- Czym jeździ?

- Wciąż ci chodzi po głowie ten opel vectra spod domu Kameron? Przykro mi, kolego.

I tym razem pudło. Ma peugota 407.

Komisarz nie spodziewał się innej odpowiedzi, ale i tak był rozczarowany.

- Dzięki - powiedział kwaśno.

Rozłączyli się.

Na wysokości galerii handlowej Arkadia telefon Mortki zadzwonił ponownie.

Tym razem aparat leżał na siedzeniu obok. Komisarz nie musiał powtarzać ryzykownej gimnastyki.

- Mortka.

- Dzień dobry. Jarosław Sztoch z Towarzystwa Ubezpieczeniowego EFI.

- Nie jestem zainteresowany - rzucił komisarz i się rozłączył.

Zanim odłożył aparat, znów rozległ się dzwonek. Spojrzał na wyświetlacz. Ten sam numer.

- Chyba pan nie zrozumiał. Nie jestem zainteresowany, to po pierwsze. Po drugie, nie stać mnie - warknął do słuchawki.

- Ja nie w tej sprawie - odpowiedział mu szybko Sztoch. - Chciałem porozmawiać o Janie Kameronie.

W tej samej chwili do Mortki zamachał lizakiem policjant z drogówki, każąc zjechać na bok. Funkcjonariusz zobaczył, że Mortka rozmawia przez telefon w czasie jazdy. Komisarz zaklął bezgłośnie i posłusznie zatrzymał się przy samym chodniku.

- O Kameronie? - zapytał.

- O Janie Kameronie. Z tego, co wiem, to właśnie pan zajmuje się sprawą jego śmierci i podpaleniem domu.

- Zgadza się.

Mortka obserwował w tylnym lusterku podchodzącego do auta policjanta z drogówki.

- Był naszym klientem - dodał agent.

Komisarz domyślił się, że Kameron wykupił ubezpieczenie na życie lub dom. W takich wypadkach jak ten towarzystwo zwykle kontaktowało się z policją, żeby wykluczyć próbę wyłudzenia. To była rutynowa procedura.

- Kto zgłosił szkodę? - spytał.

- Katarzyna Budna z upoważnienia Klaudii Kameron. A co?

- Nic takiego. Proszę do mnie wysłać maila w tej sprawie. Odbiorę, kiedy będę mógł.

- Wolałbym porozmawiać osobiście.

- To będzie trudne. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem.

- Ja również, panie komisarzu. Kiedy ma pan czas?

Policjant z drogówki zastukał w szybę samochodu. Wyglądał na poirytowanego.

Mortka dał mu znak, żeby jeszcze chwilę poczekał.

- Naprawdę nie możemy załatwić tego mailowo?

- Naprawdę, panie komisarzu. Proszę podać godzinę i miejsce.

Mortka spojrzął na zegarek i w myślach sprawdził plan dnia. Ludzie z towarzystw ubezpieczeniowych mieli czasami ciekawe informacje, którymi chętnie się dzielili. Nie było sensu psuć sobie z nimi układów. Doszedł do wniosku, że obiad i tak musi zjeść, więc może się przy okazji spotkać ze Sztochem.

- Dobra. Za jakieś dwie godziny w McDonalddie na Bemowie. Może być?

- Będę na pana czekał.

Agent rozłączył się. Mortka rzucił telefon na siedzenie i otworzył drzwi od samochodu.

- Dokumenty proszę - powiedział policjant z drogówki.

- Przepraszam, miałem ważny telefon.

Na funkcjonariuszu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Dokumenty - powtórzył.

Mortka sięgnął do kieszeni, wyciągnął legitymację służbową i podał policjantowi. Ten tylko na nią zerknął i od razu zasalutował. Złość mu minęła jak za dotknięciem magicznej różdżki.

- Szerokiej drogi, komisarzu.

- Dziękuję. Raz jeszcze przepraszam.

- Żaden problem. Myślałem, że to jakiś japiszon.

Policjant wrócił do radiowozu. Komisarz już bez przeszkód dojechał na miejsce.

Mortka siedział w klaustrofobicznej kuchni M3 w wielkiej płycie i wpatrywał się w martwe oczy człowieka, który stracił wszystko. Szymon Korzeniowski mieszał bezmyślnie gorącą herbatę srebrną łyżeczką. Był jak żywy trup: blady i nieobecny, zatopiony w pustce.

Jego żona Martyna leżała na kanapie w pokoju obok. Nie była w stanie rozmawiać.

Otępiała od środków uspokajających, spała zwinięta w kłębek jak zabita. Rodzice, para starszuchów przygnieciona ciężarem chwili, obserwowali ją troskliwie. Mortka wyczytał w ich spojrzeniu obawę, że córka jest gotowa zrobić sobie coś złego.

Całe mieszkanie było przepełnione niewypowiedzianym cierpieniem, które pulsowało w powietrzu. Mortka wiedział z doświadczenia, że to cisza przed burzą.

Ci ludzie jeszcze nie do końca wierzyli w to, co ich spotkało; jeszcze mieli nadzieję, że to tylko koszmarny sen, z którego zaraz się obudzą. Kiedy stracą tę nadzieję, ból wybuchnie z nową siłą i pogrążą się w czarnej rozpacz.

- Miało nas nie być - odezwał się w końcu Korzeniowski.

Mortka drgnął mimowolnie.

- Miało nas nie być - powtórzył mężczyzna. - Mieliśmy teraz jeździć całą rodziną na nartach w Alpach, ale chłopcy zachorowali na anginę i musieliśmy zostać. Wtedy wydawało mi się... wydawało mi się... - głos mu się załamał - że to prawdziwe nieszczęście - dokończył niemal szeptem.

A więc to też był wypadek - pomyślał Mortka. Pech, nieszczęśliwy i złośliwy zbieg okoliczności, który sprawił, że zamiast szaleć na stoku, zostali w Warszawie. Podpalacz naprawdę nie chciał nikomu zrobić krzywdy. To dlatego wybrał ten dom. Miało tam nikogo nie być.

- Kto wiedział o państwa wyjeździe?

- Ja, Martyna, teściowie, koledzy z pracy, sąsiedzi. Wszyscy wiedzieli.

- A kto wiedział, że państwo jednak nie wyjechali?

- To ma jakieś znaczenie? - zdziwił się Korzeniowski.

Zupełnie nie przypominał brata. Miał bardzo szczupłe ciało, do którego doczepiono, jakby dla żartu, nieproporcjonalnie dużą głowę z wysokim czołem, ozdobioną okularami w cienkich, drucianych oprawkach. Nosił krótko obcięte włosy. Wyglądał jak inteligent, ale zachowywał się trochę inaczej. Miał gesty światowca, człowieka, który robi karierę, co zupełnie nie przystawało do cherlawego wyglądu. Mortka wyobrażał go sobie, jak przemierza szklane korytarze wieżowców - ubrany w nienagannie skrojony garnitur, ze skórzaną teczką w dłoni i emanujący pewnością siebie. Taki musiał być Korzeniowski kiedyś. Teraz zaś był

kłębkiem nerwów w czasie swobodnego lotu w kilkusetmetrową przepaść.

- Ma znaczenie. Kto wiedział, że państwo jednak nie wyjechali?

- Ci sami ludzie. Koledzy z pracy zdziwili się, kiedy przyszedłem do roboty pomimo urlopu.

- Gdzie pan pracuje?

- W firmie konsultingowej Safix. Jestem współwłaścicielem. Zajmujemy się głównie wprowadzaniem w życie projektów outsourcingowych i strategii marketingowych.

- Znał pan może Jana Kamerona?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Mariusza Wyrwę?

- Również nie.

- Firma Komistex?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się intensywnie.

- Niestety, nic mi to nie mówi - przyznał wreszcie.

Pudło - pomyślał z irytacją Mortka. Wciąż miał nadzieję, że podpalenia nie są dziełem szaleńca, ale jednak kryje się za nimi jakiś motyw, myśl czy plan.

- Mają państwo wrogów, którzy mogliby chcieć podpalić państwa dom?

- Nie.

- Jest pan pewien?

- Tak.

- A pana brat?

Szymon Korzeniowski zastygł w bezruchu.

- Mój brat - odpowiedział po chwili. - Nic o tym nie wiem. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Krzysiek działa na granicy prawa.

- Na granicy prawa? Czy pan wie, czym naprawdę zajmuje się pana brat? Kim jest?

Mężczyzna wyciągnął łyżeczkę ze szklanki i położył ją na spodeczku obok. Uśmiechnął się smutno.

- Nawet jeśli, to chyba nie sądzi pan, że zacznę sypać Krzyśka? Wie pan co, komisarzu, może pan sobie o nim myśleć, co chce. Ale ja stoję za nim murem. To on mnie wychował i zapewnił mi start w życiu.

- A jeśli to jego wrogowie podpalili pana dom?

- Oni tego nie zrobili.

- Skąd ta pewność?

- Pan chyba jednak nie zna Krzyśka, komisarzu. Nikt nie tknąłby mnie ani mojej rodziny palcem, dopóki by się nie upewnił wcześniej przynajmniej trzy razy, że Krzysiek nie żyje. Ze strachu, panie komisarzu, i troski o własną skórę. Co więcej, jestem pewien, że właśnie teraz Krzysiek odbiera telefony od swoich najzacieklejszych wrogów, którzy zapewniają go, że nie mają z tą sprawą nic wspólnego.

Korzeniowski mógł mieć rację. To niekoniecznie była sprawka jakiegoś gangstera.

Takie podpalenie byłoby ostrzeżeniem, a sprawca na pewno zadbałby o to, żeby Borzestowski wiedział, kto jest nadawcą. A skoro Borzestowski prosił Mortkę o pomoc, to nie miał

zielonego pojęcia, kto mógł podłożyć ogień pod dom jego rodziny.

Mimo to komisarz odnosił wrażenie, że to Borzestowski może być kluczem do rozwiązania sprawy. Kameron go znał, Korzeniowski był jego bratem. Może właściciele dwóch poprzednich domów też mieli z nim jakiś związek. Mortka z trudem zwalczył odruch, żeby wyciągnąć notes i zapisać tę myśl.

- A pan? Pan nigdy nie działał w tej samej branży, co brat?

- Oczywiście, że nie. Gdyby tylko Krzysiek się dowiedział, że robię coś nielegalnego, to wpadłby w szal. A wtedy to nawet ja się go boję.

Komisarz uznał, że Korzeniowski mówi szczerze. Był zbyt zmęczony i zrozpaczony, żeby kłamać.

- Nie zauważył pan w ostatnim czasie niczego podejrzanego? Dziwnego?

- Oprócz tego, że Bóg się na nas uwziął?

- Słucham?

- A jak pan inaczej wyjaśni fakt, że chłopcy złapali anginę tylko po to, żeby dać się spalić?

Mortka nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Wczoraj nie było państwa w domu - odezwał się w końcu po chwili milczenia.

W oczach Korzeniowskiego zabłyśły łzy.

- Przyjaciele zaprosili nas na kolację. Przeciągnęło się trochę. Boże. Gdybyśmy odmówili.

Włożył pięść do ust.

- To nie państwa wina.

- Naprawdę? A czyja? Miałem chore dzieci w domu, a zamiast siedzieć z nimi, wolałem być u znajomych. Jezus Maria. Martyna chciała zostać, ale przekonałem ją, że skoro nie pojechalismy w Alpy, to możemy się chociaż trochę zabawić. Nie wybaczy mi tego.

Ponownie zagryzł pięść. Mortka obawiał się, że zaraz tryśnie z niej krew.

- Nie wybaczy mi tego. Jezus Maria. Nie wybaczy mi. Jak ja ją przeproszę? Jak ja jej to wytłumaczę?

Korzeniowski patrzył na komisarza przestraszonym wzrokiem, jakby Mortka znał odpowiedź na to pytanie.

- Myślę, że żona zrozumie. To nie była pana wina - powiedział, chociaż sam słyszał fałsz w swoich słowach.

- Nie zrozumie - zaprzeczył mężczyzna. - Nie zna jej pan. Ona tego nie zrozumie.

Korzeniowski wyglądał na coraz bardziej przerażonego. Rozglądał się nerwowo wokół siebie.

- Powinien pan wziąć coś na uspokojenie - poradził Mortka.

Ledwo skończył mówić, a przy Szymonie Korzeniowskim pojawiła się jak dobry duch teściowa. Na jej dłoni leżała okrągła zielona tabletki. Mężczyzna wziął ją i szybko połknął, przymykając powieki.

Mortka wstał, sięgnął do portfela, wyciągnął wizytówkę i położył na stole.

- Gdyby się coś panu przypomniało, to proszę do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Korzeniowski wziął kartonik w dłonie i długo mu się przyglądał. Potem go odłożył.

Westchnął głęboko, odchylił się na krześle i bezmyślnie zapatrzył w punkt znajdujący się ponad ramieniem policjanta.

Teściowa Korzeniowskiego odprowadziła Mortkę do samych drzwi. Komisarz zostawił wizytówkę również jej.

- To na wszelki wypadek - powiedział.

- Dziękuję, komisarzu.

Otworzyła mu drzwi.

- Panie komisarzu.

- Tak?

- Niech pan złapie tego, kto zabił moje wnuki.

- Złapię go. Obiecuję.

Wiedział, że musi dotrzymać tej obietnicy.

Ledwo komisarz wszedł do McDonalda, zaczepił go grubawy, łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Mimo że miał na sobie białą koszulę i świeżo wyprasowany garnitur, nie robił dobrego wrażenia. Tłusta cera, tłuste resztki włosów, delikatne drżenie rąk i mocny zapach papierosowego dymu roznoszący się wokoło wprost odrzucały od niego.

- Komisarz Mortka? - zapytał delikatnym, niemal kobiecym głosem.

- Tak.

- Dzięki Bogu - powiedział z ulgą nieznajomy. - Od kwadransa jak pedał zaczepiam każdego samotnego mężczyznę, który tutaj wchodzi. Jarosław Sztoch. Byliśmy umówieni.

Agent uściśnął wyciągniętą dłoń komisarza tak mocno, jakby miał zamiar połamać mu palce.

- Niech pan gdzieś siądzie, dobrze? - poprosił policjant. - Ja kupię sobie obiad.

- Aha.

Agent zajął miejsce przy dwuosobowym stoliku pod samym oknem. Ze skórzanej teczki wyjął plik gęsto zadrukowanych papierów, które zaczął nieśpiesznie przeglądać. W tym czasie Mortka zamówił zestaw z big makiem. Miła, młoda ekspedientka położyła na tacy colę, frytki i kanapkę, a na końcu grzecznie podziękowała za zakup i uśmiechnęła się serdecznie. Policjant zastanawiał się przez chwilę, czy powinien dać jej napiwek, ale dziewczyna już wpatrywała się pytająco w twarz kolejnego klienta.

Komisarz dosiadł się do Sztocha i rozpakował kanapkę.

- To o czym chciał pan rozmawiać? - zapytał. - Rozumiem, że pan Kameron miał u was ubezpieczenie na dom albo na życie.

Sztoch podniósł głowę znad papierów.

- Na dom, na życie? Cóż, być może, ale to nie u nas, panie komisarzu. U nas ubezpieczył kolekcję obrazów.

Mortka przypomniał sobie pejzaże tego całego Wyczółkowskiego, które wisiały w

gabinecie Kameron. Dla niego niewiele różniły się od *Jelenia na rykowisku*, ale też nigdy nie udawał, że zna się na sztuce. Miał sprawdzić nazwisko malarza, ale zupełnie wyleciało mu to z głowy.

- Kameron był kolekcjonerem?

- Nie wiedział pan? - zdziwił się agent. - Tak, pan Jan Kameron był kolekcjonerem. Nie jakimś znanym, ale miał u siebie Wyczółkowskiego, Kossaków, Gierymskich, Fałata, a nawet Malczewskiego.

O Malczewskim i Kossaku Mortka słyszał. Reszta nazwisk nie mówiła mu nic.

- To nie były oczywiście dzieła, które wisiałyby w Muzeum Narodowym w Warszawie czy Krakowie, ale myślę, że Łódź czy Katowice wzięłyby je z pocałowaniem ręki. Kameron zbierał głównie klasykę z XIX i z początku XX wieku. Stąd trochę mieszały mu się realizm, sceny batalistyczne, romantyzm z Młodą Polską, ale miało to swój urok. Ponieważ ubezpieczaliśmy tę kolekcję, i to na dość pokaźną kwotę, a zgłoszono nam, że została zniszczona w wyniku pożaru, muszę z panem zamienić kilka słów na ten temat.

Mortka sięgnął po kartonowy kubek z napojem i długo obracał go w dłoniach.

- Ile były warte te obrazy? - zapytał wreszcie.

- Trudno powiedzieć, panie komisarzu - odparł niefrasobliwie Sztoch. - Ceny na aukcjach sztuki są bardzo różne i dzieją się tam dziwne rzeczy. Byle bohomas zostanie sprzedany za kilkaset tysięcy, kiedy małe arcydzieła chodzą po kilka czy kilkanaście tysięcy złotych. My zgodziliśmy się ubezpieczyć kolekcję pana Kameron na trzy miliony złotych.

Mortka gwizdnął z uznaniem.

- Była aż tak cenna?

- Część z tej kolekcji należała do rodziny pana Kameron, część sam dokupił w swoich, tak zwanych, lepszych czasach. Wydaje nam się więc, że ta kolekcja była warta tych pieniędzy.

- Ładnie.

- Jak się pan pewnie domyśla, chciałem się dowiedzieć, czy istnieją jakiegokolwiek przesłanki, które mogłyby uzasadnić odmowę wypłaty odszkodowania.

Mortka wciąż bawił się kubkiem.

- Nie - powiedział. - Nie istnieją. To było podpalenie. Proszę zachować tę informację dla siebie, ale ten sam sprawca na pewno podłożył ogień w jeszcze jednym domu w tej okolicy i najprawdopodobniej w dwóch innych. Nie mogę ujawnić naszego dochodzenia w tej sprawie, ale proszę mi wierzyć, że jesteśmy w stanie to udowodnić. Jeśli zaś chodzi o obrazy, istnieje prawdopodobieństwo, że przed pożarem doszło do rabunku. Dlatego prosiłbym o przesłanie mi listy dzieł, które ubezpieczaliście. Zorientujemy się, czy gdzieś nie wypłynęły.

- Dobrze, panie komisarzu. Mogę prosić o maila?

Mortka podał agentowi wizytówkę i zajął się big makiem.

- Czyli, jeśli dobrze rozumiem, to sprawka jakiegoś szalonego podpalacza? - spytał dla upewnienia się agent.

Komisarz odłożył kanapkę. Rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje, a potem nachylił się do agenta.

- To już pan powiedział. A ja nie zaprzeczę. Ale wie pan, jak to teraz jest. Dobro śledztwa.

Sztoch podrapał się po nosie, a potem zapisał coś na marginesie jednego z dokumentów.

- Sprawa jest więc niestety dość oczywista - zauważył.

- Aha - potwierdził komisarz, gryząc frytkę.

- No cóż. W sumie nie spodziewałem się niczego innego. Chociaż szef nie będzie zadowolony.

- A to dlaczego?

Sztoch uśmiechnął się krzywo.

- Wie pan, jak to jest w tej branży. Jeśli jest byle pretekst, żeby komuś odmówić wypłaty głupich kilku tysięcy, to mu się odmawia. A co dopiero jeśli chodzi o trzy miliony.

Agent wstał i spakował swoje rzeczy.

- Na wszelki wypadek zostawiam numer telefonu. Gdyby wyszło coś na jaw, to proszę do mnie zadzwonić, dobrze? - poprosił. - Zresztą i tak na pewno będziemy w kontakcie - dodał.

Mortka skinął głową. Agent położył przed nim wizytówkę i skierował się do wyjścia.

Komisarz w spokoju dokończył jedzenie i dopił colę, rozmyślając.

Kameron był kolekcjonerem sztuki. Czy to mogło mieć jakieś znaczenie? Z pożarem pewnie nie, ale sprawa wygląda inaczej, jeśli chodzi o zabójstwo. Trzeba się przyjrzeć liście od agenta, sprawdzić paserów, środowisko złodziei sztuki. Nie mieli tam wielu dojsć, bo to zawsze było hermetyczne środowisko, a kradzieże obrazów, szczególnie te na zlecenie, należały do najtrudniejszych zadań do rozwiązania. Miał jednak nadzieję, że tym razem dopisze im szczęście.

Mortka wrócił na komendę. Padał z nóg, ale miał do załatwienia jeszcze kilka spraw, więc nie chciał jechać do domu. W pokoju spotkał Kochana. Pokrótce zreferował mu wydarzenia dnia i odbyte rozmowy. Podkomisarz z kolei powtórzył, że nie znaleziono nic podejrzanego na temat Korzeniowskich.

- Prócz tego, że Szymon to brat Krzysztofa Borzestowskiego - mruknął Mortka.

- Prócz tego - przyznał Kochan. - Aha. I mam coś dla ciebie.

Podkomisarz podał Mortce złożoną na pół kartkę papieru.

- Co to jest?

- Sędzia zgodził się na zdjęcie tajemnicy bankowej z kont Kameron. Dzwoniłem dzisiaj gdzie trzeba i umówiłem się jutro na ósmą na spotkanie z jego maklerem. Będziemy też znali stan konta i innych aktywów, bo Kameron trzymał wszystko w jednym miejscu.

- Ja tam pojedę - zdecydował szybko Mortka.

Kochan tylko wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Adres i wszystko jest na kartce. Rozmawiałem też z patologiem, tą nową doktor. Straszna sucz swoją drogą. Zrobiła już sekcje dzieci.

- I co?

- Chłopcy zmarli w wyniku uduszenia się tlenkiem węgla. Powiedziała, że umarli we śnie, zanim dotarły do nich płomienie. To była łagodna śmierć.

- Rodziców to chyba nie pocieszy.

Mortka siadł do komputera. Znow musiał długo czekać, aż się wszystko uruchomi.

Następnie włożył do napędu płytę ze zdjęciami i jeszcze przez kolejne pięć minut zmagał się z programem graficznym. W końcu zaczął przeglądać fotografie.

Od razu trafił na zdjęcia spalonych ciał chłopców i przypomniał sobie też córkę Wyrwy.

Podobnie jak wtedy, kiedy słuchał o jej chorobie, tak i teraz odczuł strach, że to koszmarnie cierpienie mogłoby spotkać jego dzieci. Strach przeszedł jednak szybko w ulgę, wynikającą z faktu, że tragedia dotknęła kogoś innego. Przyglądając się twarzom gapiów wpatrzonych w płonący dom, odniósł wrażenie, że nie był jedynym, który tego doświadczał. Było mu wstyd.

Za siebie i za nich.

Przejrzenie wszystkich zdjęć zajęło mu pół godziny. Kiedy skończył, wyciągnął się na krześle. Przymknął oczy i pomyślał, że powinien już pojechać do domu. Coś go jednak powstrzymywało.

Raz jeszcze włączył program graficzny. Tym razem oglądał fotografie powoli i dużo uważniej. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego niezwykłego, ale miał niejasne przeczucie, że coś mu umknęło. Jego palce same kliknęły przycisk, zatrzymując pokaz slajdów. Przetarł oczy. Wyteżył wzrok. To było to. W tłumie gapiów. Mężczyzna.

Muskularna sylwetka, wyprostowana postawa, wyglądał na wysportowanego. Dlaczego wcześniej zwróciłem na niego uwagę? - zapytał Mortka samego siebie. Tylko dlatego, że pasował do profilu sprawcy? Nie, było coś jeszcze. Wyraz jego twarzy. Malowało się na niej uczucie, którego nie widział u żadnej innej osoby na zdjęciu. To było czyste przerażenie.

Przerażenie wynikające z. poczucia winy?

Brodka mówiła, że piromani nigdy nie chcą nikomu zrobić krzywdy, że jeśli ktoś ginie, to zwykle przez przypadek. Czy tak było tym razem? Patrzył jak zahipnotyzowany w postać na ekranie.

Podпалиłeś ten dom. Postarałeś się. Najpierw podłożyłeś podpałkę, a dopiero potem rzuciłeś koktajl. Uciekłeś, ale wróciłeś okrężną drogą, żeby obserwować swoje dzieło.

Schowaleś się wśród gapiów. I właśnie wtedy strażacy wynieśli ciała dwóch chłopców. A przecież dom miał być pusty, prawda? Przynajmniej tak sądziłeś. Nikomu nie miała stać się krzywda. Co czułeś? Przerażenie, prawda?

- Kochan, chodź tutaj - powiedział Mortka. Podkomisarz podszedł do kolegi. Mortka powiększył fragment zdjęcia, na którym znajdował się mężczyzna. Kochan przypatrzył mu się uważnie.

- Pasuje - powiedział po chwili namysłu.

- Mnie też.

- Znasz go?

- Nie. To żaden z sąsiadów, z którymi rozmawiałem. Mortka chwycił za telefon.

Wykręcił numer Skalskiego.

Sierżant odebrał po trzech sygnałach.

- Słucham, komisarzu.

- Zdjęcie numer DS1134.

- Chwila. Nie ma mnie przy komputerze.

- A kiedy będziesz?

- Mogę być za pięć minut. Może mi pan podesłać to zdjęcie na maila?

- Jasne.

- Skalski21@poczta.onet.pl. W domu jestem.

Mortka szybko wysłał zdjęcie na podany adres. Nerwowo patrzył na zegarek.

- Myślałem o czymś - odezwał się Kochan. - Podpalacz najpierw włamał się do domu Korzeniowskich, wylał tam napalm, a dopiero później wdrapał się na dach i wrzucił

Mołotowa do komina. Dlaczego? Po co tyle zachodu? Dlaczego po prostu nie rzucił zapalki na podłogę, kiedy wychodził?

To było dobre pytanie. Dlaczego tak późno je sobie zadali? - zasepił się komisarz.

- Myślę, że on chciał, żebyśmy wiedzieli, że to on, że to jego robota - ciągnął Kochan. -

Ten koktajl zrzucający do komina to jego podpis.

- Ale dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

- Nie wiem, Kuba. To pytanie do szamanki.

Zadzwoił telefon. Mortka odebrał.

- Skalski. Mam to zdjęcie.

- Facet po lewej. Młody. W czarnej kurtce i wełnianej czapce.

Chwila ciszy. W słuchawce słychać było tylko odgłos pracującego komputera i oddech

policjanta.

- Widzę go - odezwał się Skalski.

- Kto to jest?

- Eee... Nie wiem. Nie znam go i nie kojarzę.

- Powiększ to zdjęcie, wydrukuj i pochodź z nim po dzielnicy. Może któryś z sąsiadów wie, kto to jest. Może to dostawca pizzy albo jakiś okoliczny sklepikarz. Chcę znać jego imię, nazwisko i powód, dla którego pojawił się na miejscu zdarzenia.

- Czy to nasz podejrzany?

- Jeszcze nie wiem, ale żaden z nas go nie kojarzy, a przecież odwiedzaliśmy mieszkańców dzielnicy. Jest coś niepokojącego w tym, że w środku nocy na peryferiach Warszawy w tłumie gapiów pojawił się człowiek, który nie miał żadnego powodu, żeby tam być.

- I jeszcze coś - włączył się Kochan, który podczas tej rozmowy stał przy komputerze i przeglądał fotografie. - Widzę go jeszcze tylko na jednym zdjęciu. Na oko wszyscy pozostali występują na kilku lub nawet kilkunastu. Pewnie uciekł, kiedy tylko zobaczył, że zaczynamy fotografować tłum.

Mortka przekazał Skalskiemu uwagę Kochana. Sierżant obiecał, że jak najszybciej postara się zidentyfikować tajemniczego mężczyznę na zdjęciu.

Komisarz rozłączył się i schował telefon. Uśmiechał się pod nosem. Może był przesadnym optymistą, ale czuł, że w końcu na coś trafili. Nawet jeśli to coś było tylko mało wyraźną fotografią. Doszedł do wniosku, że zasłużył wreszcie na odpoczynek.

W nocy śnił mu się pożar u Kameronów. Był u nich w domu. Stał z boku i obserwował, jak płomienie wypelzają z kominka i powoli pożerają kolejne meble, obejmują swoimi mackami ciało Jana Kameron i rzucają się na wiszące na ścianach obrazy.

Potem znalazł się na piętrze. W sypialni. To był pokój jego synów, ale nie wiadomo dlaczego, znajdował się teraz u Kameronów. Chłopcy spali, zupełnie nieświadomi, że zbliża się do nich ogień. Krzyczał na nich, chciał podbiec, szarpnąć nimi, obudzić, ale nie mógł się ruszyć. A nawet gdyby mógł zrobić krok, to nic by to nie dało. Bo chłopcy byli już martwi.

Nie oddychali. Zabił ich tlenek węgla.

Obudził się w środku nocy, przerażony i mokry od potu. Wstał, poszedł do kuchni i wypił szklankę zimnej wody. Wrócił do łóżka. Jeszcze długo nie mógł zasnąć. Przewracał się tylko z boku na bok. Kiedy przymykał powieki, widział pod nimi tańczące płomienie.

Rozdział 14

Mieszkanie bez Piotra i Agnieszki stało się nieprzyjemnie puste i spokojne. Dziwnie było wejść do kuchni i nie musieć od razu sprzątać śmieci, resztek jedzenia, wypalonych papierosów. Obudziło to jednak w Mortce wyrzuty sumienia. Jego współlokatorzy zniknęli, a on nie zrobił jeszcze nic, żeby ich znaleźć albo im pomóc. Poza tym uświadomił sobie, że jeśli się nie odnajdą, to będzie musiał sam zapłacić cały czynsz.

Komisarz umył się, ogolił, zjadł śniadanie i się ubrał. Potem wyszedł z domu i pojechał do banku Kamerona, który mieścił się w wielkim, srebrnym wieżowcu niedaleko centrum na ulicy Puławskiej. Tam poprowadzono go do sali konferencyjnej i posadzono przy stole.

Młoda recepcjonistka zaproponowała mu kawę, wodę, herbatę lub sok. Poprosił o herbatę.

Przyniosła ją po niecałych dwóch minutach. Po dwóch kolejnych do pokoju weszła ładna blondynka w popielatym kostiumie. Wyciągnęła do niego rękę na przywitanie. Uścisnęła ją.

Kobieta miała niespodziewanie mocny i stanowczy chwyt.

- Olga Korzeń - przedstawiła się. - Pan komisarz Mortka, jak sądzę?

- Zgadła pani.

Przypatrzyła mu się uważnie. Musieli być w podobnym wieku. Tyle że ona była zadbana i umalowana, a Mortka wyglądał. cóż, jak rozwodnik. Kobieta nie miała obrączki na palcu.

- Zajmowałam się jako makler operacjami giełdowymi pana Kamerona - wyjaśniła. -

Upoważniono mnie również, abym przedstawiła panu informacje na temat wszystkich jego aktywów w naszym banku. Muszę powiedzieć, że to trochę ekscytujące.

- Co takiego?

- Współpraca z policją. Nigdy tego nie robiłam.

Uśmiechnęła się i usiadła naprzeciwko policjanta. Wyciągnęła małego i cienkiego laptopa z gustownej czarnej teczki, uruchomiła go i podłączyła do projektora. Za pomocą pilota zasunęła żaluzję i rozwinęła biały ekran. Mortka z zazdrością zauważył, że jej komputer był gotowy do pracy po niecałej minucie.

- Wszystkie informacje, które tutaj przedstawię, wręczę panu również w formie analogowej przy wyjściu - oznajmiła.

Nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi.

- W formie analogowej? - zapytał.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się i poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

- Po prostu jako wydruk.

Włączyła program do prezentacji. Na pierwszym slajdzie wyświetlił się ciąg cyferek.

- To wyciąg z konta państwa Kameronów.

Znajdowało się na nim osiem tysięcy złotych i zgadzało się to z wykazem, który Mortka znalazł w ich domu. Na ekranie pojawił się kolejny slajd.

- Państwo Kameronowie mieli również wykupione obligacje Skarbu Państwa za pięć tysięcy złotych - kontynuowała maklerka. - I to właściwie ich wszystkie oszczędności.

Oczywiście kiedyś było tego więcej, ale pan Kameron większość swoich pieniędzy lokował

na giełdzie.

Nacisnęła przycisk i pojawił się kolejny obrazek.

- Tutaj widzimy podsumowanie transakcji giełdowych pana Kamerona. Jest tego sporo, więc zrobię szybkie podsumowanie. Pan Kameron miał majątek liczony w milionach złotych pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Jednakże wtedy sprzedał część swoich akcji. Nie wiem dlaczego.

Mortka domyślił się, że był to okres, kiedy finansowo wspierał karierę muzyczną żony.

- Później szło mu tak sobie. Dokonał kilku nietrafionych inwestycji. Słyszałam, że włożył pieniądze w Warszawską Grupę Inwestycyjną. To dopiero była afera. Zajmował się pan tym może?

Pokręcił przecząco głową.

- Może gdyby ktoś zginął - spróbował zażartować.

Nie zrozumiała dowcipu.

- Pan Kameron skusił się również na Elektrim - mówiła dalej. - Ta firma to legenda warszawskiej giełdy. Upadłość ogłoszono w roku 2007, obrót akcjami zawieszono w 2008.

Pan Kameron, jak wielu innych akcjonariuszy, miał nadzieję, że jeszcze coś z tego będzie. Kiepsko na tym wyszedł. Później zaczął inwestować w Bioton.

- Słyszałem o tej firmie. Insulina, prawda?

Kiwnęła głową.

- Jeszcze w roku 2006 za akcje Biotonu trzeba było płacić nawet ponad trzy złote, ale od tego czasu leciały tylko w dół. Teraz kosztują jakieś dwadzieścia, trzydzieści groszy za jedną. Pan Kameron stracił na tym prawdziwy majątek.

- Jak do tego doszło?

- Do czego? Do spadku kursu Biotonu?

- Tak.

- Po prostu stało się - powiedziała, po raz kolejny poprawiając niesforny kosmyk.

Czuła się niezręcznie. Podobnie jak każdy sprzedawca nie lubiła mówić o złych stronach towaru, którym handlowała.

- Na giełdzie takie rzeczy się zdarzają - dodała po chwili. - Akcje miały przeszacowaną wartość. Inwestorzy chcieli realizować zyski, a potem przyszedł kryzys. Sam pan rozumie.

Nie do końca tak było, ale Mortka postanowił nie zadawać więcej pytań. Bał się, że bardziej szczegółowe wyjaśnienia tylko powiększyłyby mętlik w jego głowie.

- Pan Kameron sprzedał niemal wszystko mniej więcej osiem miesięcy temu - kontynuowała maklerka. - Uzasadniał to tym, że chciał kupić udziały w jakiejś firmie.

- Komistex.

- Być może. Wspominał mi tylko, że ma na oku jakiś interes, nadzieję na nowy start.

- Ile łącznie stracił na giełdzie?

Zmarszczyła brwi i spuściła wzrok, wypatrując czegoś na ekranie komputera.

- To był jeden z najbardziej pechowych graczy, jakich znam - rozpoczęła ostrożnie, kiedy zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła się wymigać od odpowiedzi. - A do tego miał

zupełnie złe podejście do giełdy. Ktoś mu kiedyś wmówił, że można tutaj zbić majątek.

To prawda. Tylko trzeba się na tym znać. A on mi przypominał nałogowego hazardzistę. Wie pan, takiego, który przychodzi do kasyna i cały czas stawia na ten sam numer w ruletce, bo przecież w końcu musi paść. Z nim było tak samo. Wybierał sobie jedną firmę, na przykład Elektrim czy właśnie Bioton, i łądował w nią pieniądze, nie patrząc na notowania, wiadomości czy porady analityków. Mówię o tym, komisarzu, żeby przypadkiem nie wyrobił

pan sobie błędnego zdania na temat tego, co się dzieje na parkiecie. Tutaj ludzie tracą majątek i pan Kameron był jednym z nich. Ale według mnie, panie komisarzu, to już była patologia.

Gdyby to ode mnie zależało, to takim osobom zabroniłabym inwestować w akcje.

- Nie mogliście państwo czegoś zrobić?

Wyłączyła projektor. Ściszyła głos.

- Tak między nami, komisarzu. Czy krupier w kasynie przerywa grę, kiedy uzna, że gracz już dość przegrał?

- Nie.

- No właśnie - zrobiła kwaśną minę. - Prowizję dostajemy niezależnie od tego, czy nasz klient zarabia, czy traci. Niekoniecznie mi się to podoba, ale interes musi się kręcić. Poza tym prawo do niedawna zabraniało nam doradzać klientom. Od jakiegoś czasu możemy to robić, ale Kameron nigdy nikogo nie słuchał.

Wzruszyła ramionami.

- Ile stracił Kameron? - powtórzył pytanie.

- Na giełdzie około dwunastu milionów złotych. Nie wiem, ile władował w Warszawską Grupę Inwestycyjną.

Dwanaście milionów. Mortka nie wyobrażał sobie, że mógłby mieć takie pieniądze, a tym bardziej, że mógłby je stracić. Zastanawiał się, jak Kameron sobie z tym poradził.

- Dużo pieniędzy - powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

- Bardzo dużo - przyznała, ale coś w jej głosie wskazywało, że na niej ta liczba nie robi wrażenia.

- Dziękuję pani za pomoc.

Maklerka wyłączyła komputer i odprowadziła go do wyjścia. Ta sama recepcjonistka, która przyniosła herbatę, podała mu teczkę z materiałami.

- Aha. A jak mu szło ostatnio? - zapytał. - Grał?

- Ostatnio. Ostatnio rzeczywiście znowu zaczął grać na giełdzie - odpowiedziała maklerka. - Zainwestował około siedemdziesięciu tysięcy złotych.

- W co?

Maklerka uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie uwierzy pan. W Bioton.

- Rzeczywiście, trudno uwierzyć.

- Panie komisarzu, gdyby miał pan jakieś wolne fundusze, to proszę do mnie wpaść.

Mam kilka interesujących typów, na których mógłby pan zarobić z dziesięć, dwadzieścia procent. Jeżeli będzie pan zainteresowany, może pan dzwonić, kiedy chce.

Wyjęła wizytówkę. Po drugiej stronie zapisała prywatny numer i dopiero wtedy wręczyła mu kartonik. Mortka długo patrzył, jak odchodzi. Miała ładne nogi. Bardzo ładne.

Komisarz przyjechał na komendę kwadrans przed dziesiątą. Przywitał się z Kochanem i włączył komputer. Po mniej więcej dziesięciu minutach mógł sprawdzić swoją skrzynkę pocztową. Znalazł tam dużo ofert reklamowych, raport od Skalskiego oraz mail od Jarosława Sztocha. W załączniku znajdowała się lista ubezpieczonych obrazów. Mortka wydrukował ją i zabrał na naradę.

Tym razem byli tylko we trzech: Mortka, Kochan i Skalski. Każdy z nich zdał krótką relację z wypadków dnia poprzedniego. Komisarz starał się zachować spokój, ale nie potrafił ukryć entuzjazmu, kiedy w końcu doszli do kwestii tajemniczego mężczyzny ze zdjęcia.

- Czy ktoś już coś wie na jego temat? - zapytał Mortka.

Kochan ze Skalskim pokręcili przecząco głowami.

- Ludzie ode mnie z komendy od rana chodzą po okolicy z tym zdjęciem i wypytyują mieszkańców. Mieli się odezwać, gdyby na coś wpadli, ale do tej pory nie mam żadnego sygnału - powiedział Skalski.

- Paradoksalnie to dobrze - stwierdził Mortka. - Jeśli nikt go nie zna, to może być nasz człowiek.

- A co z szamanką? - wtrącił się Kochan. - Mówiła przecież, że podpalacz będzie mieszkał lub pracował w okolicy.

- Szamanka to tylko szamanka, mogła się pomylić.
- Zgadza się, panie komisarzu, ale jednak. - Skalski zamilkł w pół słowa. - Sam nie wiem.

To tylko zdjęcie.

Mortka spojrział na Kochana, na którego twarzy malowało się to samo z wątpienie, co u Skalskiego.

- Czy tylko mi się wydaje dziwne, że w środku nocy, w tłumie gapiów stoi jakiś obcy facet? Nie uczyli was, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce przestępstwa?

- Uczyli - powiedział ponuro Kochan. - Ale uczyli też, żeby się nie podniecać każdą pierdołą. To może być dostawca pizzy, facet z nocnego, pijak, taksówkarz, dziennikarz, ktoś, kto się po prostu zgubił, czy męska kurwa, która wracała z numerka. Wiesz jak jest, Kuba.

Szczególnie w takich sprawach. Długo drepczemy w miejscu, szukamy czegokolwiek i kiedy w końcu trafiamy na coś, co się wydaje śladem, łapiemy się tego i zapominamy o całym bożym świecie. A potem czeka nas rozczarowanie. I ty, i ja, nie wiem, może nawet Skalski, przeżywalismy to nie raz.

Mortka przyznawał w duchu rację koledze, ale dręczyło go dziwne przeczucie. Rzadko polegał na instynkcie. Publicznie twierdził, że coś takiego nie istnieje, że to tylko wymówka leniwego policjanta. Tym razem było inaczej. Ta twarz ze zdjęcia. Widział na niej poczucie winy wypisane tak wyraźnie, jak hasło CHWDP mażnięte czarnym sprejem na śnieżnobiałej ścianie. Nie miał żadnych wątpliwości, że to właśnie ten mężczyzna podłożył ogień pod dom Korzeniowskich. A jakimś cudem policyjny fotograf złapał go w tym momencie, kiedy spadła mu maska z twarzy.

- Ja również mam wątpliwości - skłamał Mortka. - Ale chcę wiedzieć, kto to jest. Chcę wiedzieć, co robił w środku nocy w tamtej okolicy. Musimy go znaleźć, jasne? Skalski, jeśli na Ursynowie nikt go nie zna, to przefaksuj jego zdjęcie do każdej komendy w Warszawie i okolicy. Facet może mieszkać w jakimś Wołominie, Piasecznie czy Piastowie.

- I co mam napisać, panie komisarzu?

- Że człowiek nie jest jeszcze o nic podejrzany, ale koniecznie musimy go przesłuchać.

Niech go spiszą pod byle pozorem. Ważne, żeby faceta nie spłoszyć. Jeśli istnieje możliwość zatrzymania na chwilę, to niech to zrobią i natychmiast nas zawiadomią.

- Tak jest.

- Szamanka wspominała, że piromaniacy mogą mieć na sumieniu mniejsze podpalenia.

Kochan, weźmiesz to zdjęcie i sprawdzisz, czy ktoś podobny nie został zatrzymany za podłożenie ognia w ostatnim roku. Niekoniecznie zatrzymany, może mamy portret pamięciowy kogoś w tym typie.

- Na jakim obszarze?

- Najlepiej cała Polska. Wiesz, jak to jest. Do Warszawy zjeżdżają do roboty ludzie z każdego zakątka kraju. Jakbyśmy byli jakąś pieprzoną Irlandią. Ale na razie zacznij od miasta i okolic. Możesz też zatrudnić do tego jakiegoś stażystę.

Kochan wyszczerzył zęby.

- Dobra. Przypominam tylko, że sam nie jesteś z Warszawy, Kuba.

- Ale kocham ją całym sercem, a dziadek mojej byłej żony zginął w powstaniu.

Wracajmy jednak do pracy. Mam też listę obrazów, które znajdowały się w domu Kameron.

Kochan, pchnij ją, gdzie trzeba, i niech chłopcy na nie uważają. Może gdzieś wypłyną.

Podkomisarz wziął listę od Mortki i przejrzał pobieżnie. Przy kilku nazwiskach pokiwał głową z uznaniem. Nagle pstryknął palcami, jakby coś sobie przypomniał.

- Sprawdziłem te dwie inne rodziny *à propos* ich związku z Borzestowskim -

powiedział. - Borowscy, właściciele pierwszego podpalonego domu, od razu przyznali się, że znają Wielkiego B.

Komisarz nadstawił uszu.

- Naprawdę?

- Aha. Zespół tego faceta grał na kilku imprezach organizowanych przez Borzestowskiego. Wygląda to dość niewinnie. Jeśli chodzi o drugi dom, tych Filipków, to żadnych związków z Borzestowskim ani nikim z jego otoczenia nie udało mi się ustalić.

- Czyli najprawdopodobniej martwy trop - uznał komisarz. - To, że podpalacz wybrał na ofiary ludzi związanych z Borzestowskim, jest tylko zbiegiem okoliczności.

- Też tak uważam - zgodził się Kochan.

- Skalski?

Młody policjant zawahał się.

- No nie wiem, nie znam dostatecznie faktów.

- Zaryzykuj. Jak ci się wydaje?

- Trochę dużo tutaj tych zbiegów okoliczności - powiedział.

Skalski miał minę, jakby nie był pewien, czy udzielił poprawnej odpowiedzi. Nie chodziło o to, czy była zła, czy dobra, ale czy była zgodna z opinią Mortki.

Potakiwanie, najgorsza z chorób, na które cierpi polska policja. Młodszy rangą potakują wyższym stopniem, żeby ułatwić sobie awans, nie robić wrogów i po prostu, dla świętego spokoju. Tych, którzy mają swoje zdanie i do tego odwagę, żeby je wyrazić, jest niewiele -

pomyślał komisarz. Dlatego tak cenił Kochana. Podkomisarz po prostu należał do tej niewielkiej grupy odważnych.

- Rzeczywiście, trochę ich dużo - zgodził się Mortka.

- Chcesz przesłuchać Borzestowskiego? - zapytał Kochan.

- Nie wiem. Pewnie powinniśmy. Tylko czy on nam coś powie?

- Wątpię.

- Właśnie. Dlatego musimy się wstrzymać, aż będziemy mieć na niego jakiegoś haka, coś, czym będziemy mogli go przycisnąć.

- Ty jesteś szefem, Kuba.

Komisarz uznał, że rozmowa z Borzestowskim byłaby bardzo trudna. Nie wiadomo, kto kogo właściwie by przesłuchiwał - czy policja jego, czy on policję. Poza tym Mortka musiał sam przed sobą przyznać ze wstydem, że boi się tego człowieka. Wielki B., jak określił go Kochan, tak bardzo chciał dorwać tego, który spowodował śmierć jego bratanków, że był gotowy staranować każdą przeszkodę, która stała mu na drodze do celu. Nawet jeśli tą przeszkodą miałby być oficer warszawskiej policji.

Nagle komisarz poczuł niepokój. Przypomniał sobie słowa Borzestowskiego: „Pan też ma dwoje dzieci”. Zdecydował się zakończyć zebranie.

- Dobra. Priorytetem jest teraz facet ze zdjęcia. Trzeba go dorwać. Kochan, należy wytypować człowieka z otoczenia Borzestowskiego, który może mieć dostęp do interesujących nas danych, a którego łatwiej będzie przesłuchać i złapać niż samego Wielkiego B.

- Znajdę takiego.

- No to do roboty, panowie.

Nie czekając na resztę, wyszedł z pokoju. Już na korytarzu wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił do Oli. Nie odbierała. Czy coś im się stało? Gdzie teraz są chłopcy? Pewnie w szkole. Wydawało mu się, że powinien tam pojechać. Próbował sobie gorączkowo przypomnieć, do której podstawówki chodzili.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz - Ola.

- Dzwoniłeś - usłyszał jej głos w słuchawce.

- Gdzie chłopcy?

- Jak to gdzie, w szkole. Czy coś się dzieje?

Zawahał się. Nie wiedział, co konkretnie ma jej powiedzieć.

- Pewnie nic. Ale uważaj na nich.

- Coś się dzieje, Kuba?

- Nic. Po prostu uważaj na nich.

- Kuba?

- Muszę kończyć.

Wyłączył telefon. Już żałował tej rozmowy. Dał się ponieść emocjom i spanikował.

Najpewniej niepotrzebnie. Teraz dodatkowo będzie miał Olę na głowie. Nie da mu spokoju przez resztę dnia, tygodnia, może nawet miesiąca. Zaklął cicho nad własną głupotą.

- Kuba!

Andrzejewski zbliżał się do niego szybkim krokiem z gazetą w rękę. Bez słowa przekazał ją komisarzowi. To była „Gazeta Stołeczna”, lokalny dodatek „Gazety Wyborczej”.

PODPALACZ NA URSYNOWIE - zobaczył wielki nagłówek. Artykuł rozpoczynał się od podania informacji o śmierci dzieci Korzeniowskich. Dalej była opisana również historia Klaudii Klau, wypowiadała się jej matka. Narzekała na policję. Straż pożarna wydała enigmatyczne oświadczenie, a rzecznik policji stwierdził, że śledztwo w tej sprawie trwa. A cała dzielnica drży ze strachu przed tajemniczym podpalaczem, głosiła puenta.

- Masz szczęście - powiedział Andrzejewski, kiedy Mortka skończył czytać - że nie trafiło to do głównego wydania. Ale do naszego rzecznika od rana wydzwanają „Fakt” i

„Superexpress”. Nie mówiąc już o dziennikarzu z „Dużego Formatu”, który chciałby zrobić o tym reportaż. Koniecznie chce się z tobą spotkać.

- Nie ma mowy.

- To samo przekazałem rzecznikowi. Dodaj do tego jeszcze TVN Warszawa i regionalną Trójkę i możesz sobie wyobrazić, w jakiej dupie jesteśmy.

Milczeli, wpatrzeni w wybitą czarną czcionką tytuł.

- Mamy trop. Taki solidny - przerwał ciszę komisarz.

- Szydłoń się skarżył, że do niego nie zadzwoniłeś.

Mortka zaklął cicho.

- Zaraz to zrobię.

- Musisz rozwiązać tę sprawę, Kuba - powiedział przyjacielsko Andrzejewski. - Media zaczynają się tym interesować, a co interesuje media, to interesuje górę, rozumiesz? Jeśli, tak jak się spodziewam, „Fakt” i „Superexpress” zrobią z tego jutro czołówkę, to w sobotę rano obudzi mnie słodki głos ministra spraw wewnętrznych.

- Złapię tego podpalacza - obiecał Mortka.

Andrzejewski klepnął go w ramię i zostawił komisarza z gazetą w rękę na środku policyjnego korytarza.

Mortka zadzwonił z telefonu stacjonarnego do prokuratora Szydłonia. Przez blisko pół godziny szczegółowo zrelacjonował mu postępy w śledztwie. Potem przez kolejne pół godziny odpowiadał na jego pytania. Na koniec jeszcze wysłuchiwał dobrych rad na temat tego, co koniecznie powinien zrobić, i to najlepiej już kilka dni temu. Kiedy odłożył słuchawkę, miał wrażenie, że spuchło mu ucho.

Kochana nie było w pobliżu. Komisarz zostawił na jego biurku kartkę z informacją, że pojechał do szpitala, żeby porozmawiać z Klaudią Kameron.

Tym razem nie spotkał doktor Pawlik. Szpitalnymi korytarzami prowadził go inny lekarz:

grubawy, starszy mężczyzna z siwym wąsem, do którego wszyscy napotkani mówili „pułkownik”.

Zatrzymali się dopiero przy salce, w której leżała Kameron. „Pułkownik” zajrzał do środka.

- Teraz ma gościa - powiedział. - Niech pan chwilę poczeka, komisarzu.

- Jak z nią?

- Lepiej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Kiedy ją tu przywieźli, sądziłem, że będzie kaleką do końca życia. Teraz jestem zdania, że rehabilitacja i chirurgia plastyczna mogą zdziałać cuda. Nasi lekarze już się biją o to, który z nich będzie mógł opisać jej przypadek.

Komisarzowi przeszło przez myśl, że doktor Pawlik nie ma w szpitalu, bo właśnie pisze swój artykuł. Wydało mu się to jednak mało prawdopodobne. Pawlik była taka jak on. Od kariery ważniejsza była dla niej dobrze wykonana praca.

- Mamy problem z dziennikarzami - kontynuował „pułkownik”. - Co chwilę ktoś chce przeprowadzić z nią wywiad. Kto by pomyślał, że będziemy tu kiedyś leczyć celebrytkę.

- A ten gość?

- Też celebryta. No, celebrytka raczej. Nie dziennikarz.

Zza rogu wyłoniła się pielęgniarka.

- Panie pułkowniku. Wszędzie pana szukam. Sala operacyjna jest już gotowa - powiedziała z wyrzutem.

- Idę, idę. Panie komisarzu.

Lekarz spojrział na niego znacząco.

- Dam sobie radę.

- Szybciej, panie pułkowniku - pośpieszała go kobieta. - Utrapienie z panem mamy.

„Pułkownik” lekceważąco machnął na nią ręką, ale pobiegł we wskazanym kierunku.

Komisarz podszedł do okna. Patrzył, jak pielęgniarki wchodziły do budynku z pacjentem na noszach. Odwrócił się w momencie, kiedy z pokoju Klaudii Kameron wychodziła jakaś kobieta. Kojarzył ją. Wysoka, długowłosa blondynka z lekko zadartym nosem i ładnymi, orzechowymi oczami. Miała na sobie ciasno opinające pośladki dżinsy i zamszową kurtkę założoną na białą bluzkę ze sporym wycięciem. Pomiędzy jej piersiami wisiał łańcuszek z wielkim bursztynem w srebrnej oprawie. Mortka spojrział na jej dekolt.

- Mogę panu jakoś pomóc? - zapytała z przekąsem kobieta.

Podniósł wzrok. Miała dziwny, drapieżny wyraz twarzy, jakby tylko czekała na okazję, żeby rzucić mu się do oczu.

- Ja panią skądś znam - stwierdził niepewnie.

Była to pierwsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Nie pan jeden - warknęła. - Zbok - dodała pod nosem.

Mortka poczuł się urażony.

- Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji - powiedział, jakby jego stopień i miejsce pracy mogły zatrzeć złe pierwsze wrażenie, które zrobił.

Zaczerwienił się od razu, zdając sobie sprawę, że nie był to najlepszy pomysł.

- Policjant? - Przypatrzyła mu się. - Pan pewnie zajmuje się sprawą Klaudii?

Przytaknął.

- Opowiadała o panu.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

- Ona tak. Natomiast jej matka nie ma o panu najlepszego zdania. Uważa, że jest pan agresywny, nieuprzejmy i zboczony.

- Zboczony?

Wzruszyła ramionami.

- To ostatnie mogłam dodać od siebie - przyznała.

Roześmiał się. Ona nie.

- Przepraszam. - Pstryknął palcami. - Za to... Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

- Niech się pan nie przejmuj. Wszyscy faceci to świnię.

Powiedziała to obojętnym tonem.

- Jak się pani nazywa?

- Podobno mnie pan zna.

Irytowała go ta dziewczyna. Starał się być dla niej uprzejmy, a ona miała to za nic.

- Kojarzę twarz, ale nie mam pamięci do nazwisk - skłamał.

- Joanna Błoniak.

- Pani gra w tym serialu, tym. - Powtórnie pstryknął palcami.

Już sobie przypomniał. Widział jej twarz na billboardzie zawieszonym niedaleko budynku

Komendy Stołecznej.

- *Randka w ciemno* - dokończył.

- Zawsze miło spotkać fana - oświadczyła cierpko. - Oglądał pan serial?

- Niestety nie.

- To przez takich jak pan go zdjęli.

- A zdjęli?

- Aha. Przed świętami. Tępaki.

- Serial był dobry, ale widzowie tego nie docenili?

- Serial był niezły, ale jak się go daje w piątek wieczorem, kiedy ma konkurować z hitami filmowymi Jedyńki i TVN-u, to nic dziwnego, że ogląda go niecały milion widzów.

Nie wiem, co oni sobie myśleli, gdy wybierali taki czas antenowy. Przecież to się nie mogło udać. Kretyni.

Mortka miał dość słuchania o problemach aktorki i postanowił zmienić temat.

- Długo pani zna panią Kameron?

- Długo? Całe lata. Co prawda, jakiś czas nie miałyśmy ze sobą kontaktu, ale jak przeczytałam o niej w gazecie, to od razu postanowiłam ją odwiedzić. Biedaczka.

Aktorka zrobiła zmartwioną minę. Mortka nie potrafił ocenić, czy jest szczerą, czy tylko gra.

- Jak się poznałyście?

- Na jednej imprezie. To było po wydaniu jej pierwszej płyty. Szybko się dogadałyśmy.

Wie pan, obie jesteśmy z małego miasteczka, obie chciałyśmy coś w życiu osiągnąć. Mnie się udało, jej nie, ale i tak się spotykałyśmy na kawę. Ot tak, pogadać.

- Co może mi pani o niej powiedzieć?

- O niej? To bardzo nieszczęśliwa kobieta.

- Nieszczęśliwa? Dlaczego?

- Bo jej się nie udało. Poza tym miała męża pijaka.

To było coś nowego.

- Świeć Panie nad jego duszą oczywiście, ale Klaudia opowiadała mi, że facet sporo pił.

I zupełnie sobie nie radził z biznesem. Stracił mnóstwo pieniędzy na giełdzie.

- Wiem. Miała jakichś wrogów?

- Nie. - Zawahała się. - Chyba nie. No, był ten Stasiński, którego jej mąż kazał pobić, ale to było dawno temu.

Spojrzała na zegarek.

- Pewnie musi się pani zbierać - domyślił się Mortka.

- Tak - stwierdziła nie do końca zdecydowana.

Komisarz widział, że aktorka chce coś dodać, ale zastanawia się, czy powinna. Czekał cierpliwie. Był przekonany, że jeśli tylko zacznie ją naciskać, zamknie się w sobie. Czasami przedłużająca się cisza była najlepszym sposobem na zdobycie nowych informacji.

- Myślę, że spotykałyśmy się tylko dlatego, że Klaudia chciała mieć materiał do rozmyślań - oznajmiła wreszcie Błoniak, wciąż nieprzekonana, czy robi dobrze.

- Przykro mi, ale nie rozumiem.

Uśmiechnęła się lekko i zaczęła mimowolnie gładzić wisiorek z bursztynem.

- Wydaje mi się, że lubiła sobie wyobrazać, że jest mną - wyjaśniła. - To w końcu ja mam życie, którego ona zawsze pragnęła. Więc naturalnie, od czasu do czasu dla poprawienia humoru zastanawiała się, jakby to było, gdybyśmy się zamieniły miejscami.

- A jakby było?

Wzruszyła ramionami, dając wyraźny znak, że nic ją to nie obchodzi.

- A pan, panie komisarzu? Wyobraża pan sobie czasami, że jest kimś innym? Albo że byłby pan kimś innym, gdyby dokonał w życiu innych wyborów? - zapytała.

- Nie - skłamał.

- O! - Uniosła brwi wysoko. - Właściwy człowiek na właściwym miejscu. To się bardzo rzadko zdarza.

- A pani? Wyobraża pani sobie czasami, że jest kimś innym?

Roześmiała się.

- Jestem aktorką, panie komisarzu. Na tym polega moja praca. Do widzenia.

Odwróciła się na pięcie i stukając obcasami, poszła w stronę wyjścia. Męska część pacjentów odprowadzała kobietę wzrokiem, żeby obserwować jej pośladki poruszające się rytmicznie pod obcisłym dżinsowym materiałem.

Mortka wyciągnął notatnik i zapisał pytania, które powinien zadać Klaudii Kameron.

Wszedł do środka. „Pułkownik” wprawdzie mówił, że pacjentka jest w lepszym stanie, ale policjant nie widział różnicy. Wciąż większość jej ciała pokrywały bandaże. Tym razem kobieta nie była jednak oszołomiona środkami przeciwbólowymi. Poznała komisarza i nawet się uśmiechnęła na jego widok. Przywitał się i usiadł na krześle, które przed chwilą zajmowała aktorka.

Pokrótkie opowiedział jej o tym, co się stało w domu Korzeniowskich. Wydawała się wstrząśnięta. Kiedy usłyszała o martwych chłopcach, w jej oku pojawiła się łza.

- Pani rozumie, że muszę jej zadać kilka pytań.

Przytaknęła.

- Znała pani Korzeniowskich?

- To byli sąsiedzi, mieli dom niedaleko. Czasami spotykałam ich w sklepie czy na spacerze.

- Łączyło was coś prócz tego?

- Nie.

- Ostatnio powiedziała pani, że mąż zamknął panią w garderobie.

- Tak.

Mówiła z trudem. Powoli dobierała słowa. Ale miała więcej siły niż kilka dni temu.

- Słyszała coś pani, kiedy tam była?

- Nie. Nic. Puścił głośno muzykę. Żeby mnie zagłuszyć.

To zdawało się sensowne. Ale w żaden sposób nie ułatwiało mu pracy. Komisarz miał świadka, który był na miejscu zbrodni w czasie popełniania zabójstwa, ale który nic nie widział i nic nie słyszał.

- Powinna pani unikać kontaktu z prasą, dopóki nie skończymy śledztwa.
- A kiedy skończycie?
- Niedługo. Zna pani Krzysztofa Borzestowskiego?
- Chyba tak. Kiedyś, dawno temu go spotkałam. Przyjaciel Jana.
- Kiedy go pani widziała po raz ostatni?
- Nie pamiętam.
- Ktoś pytał o niego ostatnio? Obiło się pani o uszy jego nazwisko?
- Dopiero. pan.
- Podobno pani mąż pił.
- Pił. Ale nie był alkoholikiem.

Komisarz zastanawiał się przez chwilę, co to znaczy, ale nie chciał teraz roztrząsać, kiedy zwykle picie zmienia się w chorobę. Wyciągnął z kieszeni wydruk zdjęcia tajemniczego mężczyzny sprzed domu Korzeniowskich.

- Zna pani tego człowieka?
- Nie.
- Jest pani pewna?

Przyjrzała się zdjęciu.

- Nie. Niestety.

Mortka schował fotografię.

- Jestem zmęczona - powiedziała.
- Rozumiem.

Wstał i ruszył do wyjścia. Zatrzymała go w pół drogi.

- Panie komisarzu.

Jej głos był słaby.

- Tak?

- Ci chłopcy. biedactwa.

Czekał jeszcze chwilę, ale nic więcej nie dodała.

W drodze do komendy zaczął padać śnieg, a komisarza znowu rozboleła głowa. Wziął dwie tabletki ibupromu.

Ulica Targowa, jedna z ważniejszych na Pradze, była o tej porze zatłoczona. Mortka wyrzucił sobie, że nie wybrał innej drogi. Tkwił w korku przed światłami, coraz bardziej zirytowany i zmęczony. Z nudów zaczął obserwować mężczyznę, który bezskutecznie próbował odpalić stojący na parkingu samochód. W końcu wysiadł na zewnątrz i zaczął

kopać w opony. Jego furia rozśmieszyła komisarza. Facet otworzył klapę od silnika, wyjął narzędzia i zaczął wykręcać akumulator.

Wtedy Mortkę coś tknęło. Wyłączył radio. Siedział jak zahipnotyzowany i rozmyślał.

Samotny facet wyciąga akumulator z auta. Sam komisarz niedawno to robił. Jest ostra zima. Codziennie w nocy temperatura spada do minus dziesięciu, dwudziestu stopni. Jeśli ktoś nie chowa samochodu do garażu, to musi się liczyć z tym, że może mieć problemy z odpaleniem. Szczególne, jeśli się ma diesla.

Zamarł.

Tymczasem zmieniły się światła, kierowca z tyłu zatrąbił. Komisarz jednak nie ruszył.

Wyciągnął za to z kieszeni telefon i wybrał numer Kochana. Podkomisarz odebrał niemal natychmiast.

- Kochan, jesteś przy komputerze?

- No. Na komendzie.

- Musisz koniecznie coś dla mnie sprawdzić, rozumiesz? Kochan głośno przełknął ślinę.

- Co się stało? - zapytał powoli.

Facet, którego Mortka obserwował, właśnie zniknął w bramie pobliskiej kamienicy.

Komisarz wiedział, że nie powinien wypowiadać tych słów, ale po prostu musiał je usłyszeć.

- Chyba wiem, kto mógł zabić Kameroną.

Rozdział 15

Zbudziło go zapalone światło. Zasłonił oczy przedramieniem. Nie wiedział, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Dopiero po chwili dotarło do komisarza, że znajdował się w swoim pokoju na komendzie, a pod głową, zamiast poduszki, miał zawiniętą kurtkę. Przypomniał

sobie, że po wielogodzinnej pracy postanowił zrobić krótką przerwę na sen. Od leżenia na podłodze rozboleły go plecy.

Jankowski stał nad nim z teczką w dłoni. Mortka podniósł się z podłogi, lekko pojękując. Z trudem poruszył głowę.

- Powinieneś pójść do lekarza. Psychologa albo psychiatry - powiedział technik.

- Dlaczego? - zapytał komisarz, przecierając powieki.

- Muszę się przyznać, że uważam cię za skończonego debila. I dajesz mi po temu wiele powodów. Dlatego też nie odczuwam specjalnie wyrzutów sumienia, rozprowadając na lewo i prawo, jakim wielkim jesteś kretynem. Ale potem, prawie zawsze, masz ten swój przebłysk geniuszu. Ty chyba jesteś dzieckiem autystycznym, Mortka. Wiesz, jak ten Rain Man.

Genialny debil.

Jankowski skończył przemowę i szczyrzył zęby. Mortka prychnął i wyrwał technikowi teczkę z dłoni. Zaczął szybko przeglądać papiery. Zatrzymał się dłużej przy konkluzjach.

Mimowolnie się uśmiechnął.

- Masz go, Kuba - powiedział Jankowski.

- Wiem. Dzięki, że się tym zająłeś.

- Żaden problem. Ale wiesz mi dobrą wódkę. Będę ci jeszcze do czegoś potrzebny, Rain Manie?

- Nie. Możesz iść do domu. Jakby co, to będę dzwonił.

- Dzwonił sobie, dzwonił, ja komórkę wyłączam.

Technik wyszedł bez pożegnania. Mortka raz jeszcze przeczytał podsumowanie raportu.

Zadowolony, zadzwonił do aresztu i poprosił o dostarczenie podejrzanego do sali przesłuchań. Sam poszedł do automatu w holu i kupił sobie kawę.

Kochan stał przy szybie ze szkła weneckiego. Obserwował pokój przesłuchań.

- O! Śpiąca królewna się obudziła - przywitał Mortkę. Komisarz wypił łyk gorzkiej, czarnej kawy. Skrzywił się i z niedowierzaniem spojrzął na kubek. W automacie skończył się cukier?

- Co z nim? - zapytał, wskazując na podejrzanego.

- Z nim? Udaje twardziela, ale moim zdaniem szybko pęknie. Jankowski coś znalazł?

- Tak.

- Coś pysznego?

- Coś bardzo pysznego. Gdzie Szydłóż?

- Nasz ulubieniec? Zameldowano mi, że duma i chluba polskiej prokuratury jest napruty jak ja przedwczoraj. Tylko że on się upija na smutno i chyba właśnie wypłakuje się dzielnicowemu w mundur.

- Nie będę czekał, aż wytrzeźwieje. Zaczynamy bez niego.

- Czyń honory, Kuba. Jest twój.

Mortka dopił kawę i odłożył kubek na stół.

Wszedł do pokoju przesłuchań. Mariusz Wyrwa początkowo nie zareagował. Dopiero po chwili podniósł głowę i spojrzął na komisarza. Przedsiębiorca był blady, lekko drżały mu ręce, ale udawał pewnego siebie.

- Pan komisarz.

- Dzień dobry.
Mortka zajął miejsce po drugiej stronie stołu i włączył magnetofon. Spojrzał na zegarek.
- Sobota, 16 stycznia 2010 roku, godzina 2.17 nad ranem. Komisarz Jakub Mortka prowadzi przesłuchanie w sprawie zabójstwa Jana Kamerona. Podejrzany: Mariusz Wyrwa.
Przedsiębiorca uśmiechnął się kpiąco.
- Podejrzany? Naprawdę? W końcu ktoś powiedział mi, dlaczego właściwie mnie zatrzymaliście. To jest śmieszne, panie komisarzu! Rozumie pan!? To jest śmieszne!
Podniósł się z krzesła. Wymachiwał rękami przed twarzą Mortki. Policjant nie poruszył się.
- Niech pan siada, panie Wyrwa. Tylko pan to niepotrzebnie przedłuża.
Przedsiębiorca wykonał polecenie, chociaż niechętnie.
- To jest śmieszne - powtórzył. - Mam znajomych, ważnych znajomych. W sejmie, i w ogóle. Będzie pan miał kłopoty, panie komisarzu.
- Nie sądzę, proszę pana - odpowiedział Mortka.
Odczekał chwilę, aż Wyrwa się uspokoi. Przedsiębiorca wiercił się nerwowo. Wiedział już, dlaczego go zatrzymano. Nie miał pojęcia, co policja na niego ma. Komisarz postanowił dać mu chwilę na snucie domysłów.
- Co pan robił w nocy z 8 na 9 stycznia? Konkretnie 8 stycznia w okolicach godziny 22?
- Przecież pan wie.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Byłem w domu. Oglądałem telewizję z żoną.
- Co konkretnie?
- Serial. *Randka w ciemno*.
- A to ciekawe, panie Wyrwa. Dzisiaj, no, biorąc pod uwagę godzinę, to wczoraj, spotkałem aktorkę, która gra. *pardon*, grała w tym serialu. Powiedziała mi coś, co oczywiście sprawdziłem. Otóż serial został zdjęty z anteny przed świętami. Nie mógł więc pan go oglądać.
Przedsiębiorca wzruszył lekceważąco ramionami.
- I dlatego mnie pan zatrzymał? Przez serial? To śmieszne. Po prostu śmieszne. Nic dziwnego, że bandziory chodzą po ulicach, jak tak pracuje policja.
- Nie mógł pan oglądać serialu.
- To oglądałem, kurwa, inny! - wrzasnął Wyrwa.
Ciężko oddychał. Poniosły go emocje i było widać, że już tego żałował.
- Oglądałem w takim razie inny - powtórzył dużo ciszej. - Ja ich nie rozpoznaję. Zresztą szybko zasnąłem. Dlatego mnie pan zatrzymał?
Mortka pokręcił głową.
- Nie. Nie dlatego - oznajmił i zamilkł.
Znowu dał Wyrwie czas na pozbieranie myśli. Chciał, żeby przedsiębiorca dokładnie zastanowił się nad swoją sytuacją i zrozumiał, że już jest po wszystkim, więc nie ma sensu kłamać. Dobrowolne przyznanie się do winy zawsze lepiej wyglądało w sądzie. Dla wszystkich: policji, prokuratury, sędziego i nawet oskarżonego.
- Co pan robił w nocy z 8 na 9 stycznia?
- Byłem w domu. Oglądałem telewizję.
Mortka pokręcił głową.
- Komisarz Jakub Mortka opuszcza pokój - powiedział i wyłączył magnetofon.
Nie poruszył się. Patrzył Wyrwie prosto w oczy.
- Ma pan chorą córkę, prawda?

Przedsiębiorca niemal podskoczył na krześle.

- Co to ma wspólnego z...

- Co się z nią stanie, jeśli zatrzymamy i oskarżymy pana żonę o współudział po fakcie?

- zapytał Mortka.

Wyrwa poderwał się z miejsca. Wycelował palec prosto w twarz komisarza.

- Nie możecie. Nie zrobicie tego!

- Proszę usiąść.

- Nie!

- Pańska żona nas okłamała. Możemy ją zatrzymać, postawić zarzuty.

- Nie możecie. To się nie utrzyma w sądzie.

- Oczywiście, że nie - przyznał Mortka. - Ale trochę sobie posiedzi, zanim sąd każe ją wypuścić. Wie pan, co to jest areszt wydobywczy? Niektórych trzymają w nim latami. A ja też mam znajomości. W prokuraturze. Mogę załatwić pańskiej żonie miesiąc albo dwa takiej przyjemności. A może uda się i więcej. Co się wtedy stanie z pańską córką? Kto się będzie nią opiekował? Stawiam na dziadków, ale oni pewnie sami mają problemy ze zdrowiem. Jeśli jeszcze żyją, bo i pan, i żona do najmłodszych nie należycie. Co dalej? Dom opieki, hospicjum?

Wyrwa usiadł na krześle. Uśmiechnął się słabo.

- Pan tego nie zrobi. Znam takich jak pan. Pan jest tym dobrym policjantem.

- Skutecznym - powiedział Mortka, powoli wypowiadając każdą sylabę. - Pomylił pan dobroć ze skutecznością.

Wyrwa położył dłonie na stole. Dotknął obrączki.

- Nie chodzi tylko o serial, prawda?

- Oczywiście, że nie.

Wyrwa kiwnął głową.

- Jeśli się przyznam?

- Nie będziemy w to mieszać pańskiej rodziny. Wiem, co się stało. Nie jest tak źle, jak pan myśli. Jeśli się pan przyzna, znajdzie dobrego adwokata, który dogada się z prokuratorem, może zmienią klasyfikację czynu. Zabójstwo w afekcie, pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Są możliwości, panie Wyrwa. Ale musimy widzieć też wolę współpracy po pana stronie. Jeśli jej nie będzie. My też potrafimy dopiec. To jak?

Przedsiębiorca tylko kiwnął głową. Mortka włączył magnetofon.

- Komisarz Jakub Mortka wraca do pokoju przesłuchań. Chce pan może coś do picia? - zapytał Wyrwę.

- Nie.

- Kawy, herbaty, wody?

- Nie.

- W takim razie proszę opowiedzieć, co pan robił w nocy z 8 na 9 stycznia.

- Pojechałem do Jana Kameron. Do domu. Musiałem z nim porozmawiać.

- O czym?

- Mam chorą córkę. Pan o tym wie, komisarzu. Jej leczenie sporo kosztuje.

Rehabilitacja, lekarstwa, konsultacje, zabiegi, wyjazdy. - zamilkł na chwilę. - Może się jednak czegoś napiję.

- Później, panie Wyrwa. O czym pan chciał porozmawiać z Kameronem?

- Janek. Janek. - Wyrwa pokręcił głową. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Okradał firmę. Potrzebuję teraz każdej złotówki, a ten gnój. Wyciągnął z przedsiębiorstwa kilkadziesiąt tysięcy złotych. I tak kiepsko przędziemy. Firma funkcjonuje z miesiąca na miesiąc.

- Co konkretnie zrobił?
- Podrabiał faktury i rachunki. Różnice pomiędzy tym, co płacili klienci, a tym, co szło do kasy, chował do kieszeni.

- Jak się pan o tym dowiedział?
- Spotkałem jednego z moich stałych klientów na zakupach w sklepie. Zaczęliśmy rozmawiać. Poskarżył się, że będzie musiał zrezygnować z naszej współpracy, bo podwyższyliśmy drastycznie ceny. Nie rozumiałem, o co chodzi. Jeszcze tego samego dnia wieczorem pojechałem do firmy i zacząłem sprawdzać księgi. Podzwoniłem do klientów.

Znalazłem kilka oszustw Janka, a to był tylko początek.

To by się zgadzało. Kameron kradł pieniądze z firmy, żeby zainwestować je na giełdzie
- pomyślał Mortka. Zapewne planował je oddać, kiedy się odkuje. W ten sposób nikt by się o niczym nie dowiedział, a zyski zatrzymałby dla siebie.

- Co się stało dalej?
- Pojechałem do niego do domu, żeby pogadać.
- Skąd pan wiedział, że go tam zastanie?
- Naprawdę bym się zdziwił, gdyby go nie było. Janek, miał chyba problem z alkoholem. W tygodniu nad sobą panował, ale w weekendy pił przed telewizorem aż do nieprzytomności. Miałem nadzieję, że uda mi się go złapać, zanim doprowadzi się do tego stanu. Nie zdążyłem.

- Mimo to postanowił pan z nim porozmawiać?
- Byłem zdenerwowany, a on wyglądał jeszcze w miarę trzeźwo. Błędnie oceniłem sytuację. Wciąż palił papierosy, grała głośno muzyka, telewizor, ale nie pozwolił mi ich ściszyć.

- Co się stało później?
Wyrwa potrząsnął głową.
- Zaczęliśmy rozmawiać. Nazwał mnie kłamcą. Obraził. Ja też nakrzyczałem na niego. Potem. pobiliśmy się. Nawet nie wiem, kto zaczął. Chwyciłem coś, co stało na stole. Uderzyłem go. W głowę. Chyba więcej niż raz. Upadł na kanapę. Dopiero po chwili zorientowałem się, co zrobiłem. Uciekłem.

Zamilkł. Kiedy kończył, miał łzy w oczach. Mortka wyłączył magnetofon.

- Spiszę pana zeznania i przyniosę panu do podpisania.
- Dobrze.
- Ktoś zaraz do pana przyjdzie i odprowadzi do aresztu.
Mortka wstał z miejsca. Czuł się dziwnie.
- Jak się pan domyślił? - zapytał Wyrwa.
- Samochód - odpowiedział Mortka.
- Słucham?

- Kiedy na pana czekaliśmy, zaparkował pan bmw przed domem. Nie w garażu. W środku zimy stulecia. A to jest diesel i potrzebuje dużo mocy rozruchowej. Sam niedawno musiałem wymować akumulator. Kto może, ten chowa wóz. Pan nie. Dlaczego? Po prostu ma pan dwa samochody, a tylko jedno miejsce pod dachem. Sprawdziliśmy pana i pana żonę w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców. Okazało się, że na pana żonę zarejestrowany jest opel Vectra. Samochód tej samej marki świadkowie widzieli przed domem Kamersona w noc pożaru. To oczywiście ciągle za mało. Ale przepytaliśmy sąsiadów. Jeden widział, jak pan wyjeżdża w piątek wieczorem. Oplem właśnie, bo to ten samochód zwykle stał na zewnątrz, a bmw w garażu. Ale po tym, co się wydarzyło, opla wolał pan schować, prawda?

No i ostatnia sprawa. Po pana zatrzymaniu vectrę sprawdzili nasi technicy. Widzi pan, głowa jest bardzo ukrwiona. Rozwalił pan Kameronowi czaszkę. Musiał się pan bardzo pobrudzić, prawda?

Wyrwa przytaknął.

- Znaleźliśmy krew Jana Kameron w pańskim samochodzie. Na siedzeniu.

To nie była do końca prawda, ale przedsiębiorca nie musiał o tym wiedzieć. Jankowski potwierdził na razie tylko zgodność grup krwi Kameron i śladów znalezionych w samochodzie Wyrwy. A że Kameron miał dość rzadką grupę AB+, więc właściwie mogli być pewni, że krew pochodziła od niego. Dodatkowo białe krwinki w śladach były pozbawione ciała Barra, które nie występuje u mężczyzn. Wreszcie ustalono, że Wyrwa, jego żona i córka mieli grupę krwi A+, a więc ślady nie mogły pochodzić od nich. To były mocne dowody.

- Czyściłem samochód.

- Nigdy się nie da wszystkiego wyczyścić. A nasi chłopcy wiedzą, jak szukać.

Kiedy Mortka wychodził, Wyrwa siedział bez ruchu i wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą.

Komisarz odebrał gratulacje od Kochana. Nie czuł jednak satysfakcji. Przedsiębiorca może i zabił Kameron, ale to nie jego ścigał Mortka. Wyrwa był tylko zwyczajnym człowiekiem, który działał w afekcie. Nie było w nim zła. Zdarzało się po prostu, że zwykli ludzie dokonywali zbrodni i łamali swoje życie. Nie mógł się pozbyć współczucia do nich, kiedy wsadzał ich do więzienia. Z jakiegoś niezrozumiałego i nieokreślonego powodu wydawało mu się, że coś jest nie w porządku.

Mortka chciał złapać podpalacza. Kimkolwiek był, gdziekolwiek był. To jego chciał najpierw widzieć w więzieniu.

Pojechał do domu, żeby przespać się kilka godzin. Wstał o wpół do szóstej, ubrał się, umył, szybko coś zjadł i już o siódmej był z powrotem na komendzie. Zajął się pracą.

Przygotował protokół z wczorajszego przesłuchania i zdobył podpis Wyrwy. Przedsiębiorca złożył go ze smutnym, zrezygnowanym uśmiechem.

- Właściwie to nawet mi ulżyło - powiedział.

- Zwykle tak jest.

- Co ze mną będzie?

- Niech pan znajdzie dobrego adwokata. Dużo da się zrobić.

Pożegnali się. Następnym razem mieli się spotkać dopiero w sądzie.

Rozdział 16

W przeciwieństwie do większości ludzi Stefan Majewski nie lubił weekendów. W ciągu tygodnia jego żona pracowała w urzędzie i Majewski od ósmej rano do czwartej po południu miał święty spokój. Mógł leżeć na kanapie, oglądać telewizję, czasami wyjść z kolegami przed blok, by coś wypić i pogadać. W weekendy natomiast żona przebywała w domu i nieustannie męczyła go swoim zrzędzeniem: opowieściami o pracy, dzieciach, problemach czy wyrzutami za to, że od czasu wypadku nie robi nic, tylko siedzi w fotelu i zmienia się w warzywo.

Kiedyś było inaczej. Majewski pracował w magazynie po dziesięć, dwanaście godzin na dobę, biorąc każde możliwe nadgodziny, żeby tylko dorobić. I chociaż czasem dosłownie padał z nóg, to zaciskał zęby, bo chciał, żeby jego córki miały to samo, co ich bogatsze koleżanki.

A potem przyszedł ten dzień, kiedy na parę sekund przymknął powieki i ciężka, kilkudziesięciokilogramowa skrzynia wypełniona koreańskimi telewizorami spadła na niego, łamiąc mu żebra i gruchocząc kręgosłup. To była wina kolegi, równie przemęczonego jak sam Majewski.

Podobno krzyczeli na niego, żeby się odsunął. Podobno go ostrzegali. On sam tego nie pamiętał. Wiedział tylko, że przymknął powieki i pomyślał o kanapie w dużym pokoju, na której chciał się wyłożyć z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej po powrocie z roboty.

Potem był tylko ogłuszający huk i okropny ból rozchodzący się po jego pięćdziesięcioletnim ciele.

Po wypadku dostał niezłe odszkodowanie i przeciętną rentę. Kręgosłup miał tak pogruchotany, że lekarz, który go badał, do dziś kręci z niedowierzaniem głową i powtarza, że to cud, że jeszcze może chodzić. Nie mógł już dźwigać i pracować. Zabroniono mu nawet pomagać w domu - odnosić naczynia po obiedzie, odkurzać, myć podłóg, a nawet nosić siatek z zakupami. Największa zmiana zaszła jednak w jego głowie. Zniknęła ta chłopska, twarda ambicja, która go napędzała. Nie było w tym nic dziwnego. Córki dojrzały, wyprowadziły się i same utrzymywały. Nie potrzebowały ani jego pieniędzy, ani pomocy. Zniechęcenie, a potem lenistwo pożarły ciało Majewskiego jak rak.

Odnalazł przyjemność w wylegiwaniu się do późna w łóżku, chociaż kiedyś wstawał skoro świt. Spodobało mu się wystawianie przed klatką w chłodne dni i rozpijanie z kolegami kolejnej połówki. Lubiał wieczory spędzane przed telewizorem, podczas gdy jego żona krzątała się w kuchni, zbyt zmęczona codzienną harówką, żeby się do niego odezwać.

Patrzyła wtedy na niego z wyrzutem, co jednak szybko nauczył się ignorować. Nie przepadał

tylko za weekendami, kiedy miała dość siły i wystarczająco dużo czasu, żeby rozpocząć kolejną litanię narzekań i opowieści o tym, jakim wspaniałym mężczyzną był kiedyś, a jakim bezwartościowym gnojem stał się teraz. Jakby to była jego wina, że spadły na niego te cholerne telewizory! Zresztą, przed wypadkiem też się na niego wydzieriała z byle powodu.

Wtedy jednak słowem albo pasem przywoływał ją do porządku. O tak, Stefan Majewski nienawidził weekendów i z niecierpliwością oczekiwał nadejścia poniedziałku, kiedy wszystko wracało do normy.

W końcu, metodą prób i błędów, znalazł sposób na ich przeżycie. Wstawał bardzo wcześnie rano, kiedy Iwona jeszcze spała, i brał psa na spacer. Po drodze w całodobowym sklepie monopolowym kupował dwie małpki i wędrował nad Wisłę. Tam rozkoszował się dzikim pięknem prawego brzegu rzeki i pił wódkę. Kiedy wracał do domu, był w dobrym humorze, a zrzędzenie żony ledwo przebijało się przez alkoholowy szum w jego głowie.

Tej soboty było tak samo. Spacerował wśród zwałów śniegu, śmieci i łysych szkieletów

drzew i obserwował Wisłę, która leniwie sunęła, niosąc bryły lodu. Reks, kundel, którego przygarnęli kilka lat wcześniej, biegał dokoła, węsząc i szukając resztek jedzenia.

Majewski wypił właśnie pierwszą buteleczkę. Ciepło rozlało się po jego ciele, a w ustach pozostał wyraźny, ostry smak wódki. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął drugą małąkę.

Otworzył ją wprawnym ruchem. Przysunął do ust i wziął małego łyka. Pomyślał, że powinien już wracać. Oceniał, że opróżni drugą buteleczkę akurat, kiedy dojdzie do domu.

Zagwizdał na psa. Kundel nie przybiegał. Pewnie coś zwęszył w krzakach. Iwona zawsze powtarzała, żeby trzymał Reksa na smyczy, a on i tak puszczał go luzem, kiedy tylko zniknął z zasięgu jej wzroku.

Jeszcze raz zawołał psa. Zobaczył, że coś się poruszyło na polance za najbliższymi krzakami. Łyknął wódki i poszedł w tamtą stronę.

- Reks, do mnie! Reks! Reks.

Nagle głos uwiązał mu w gardle, a twarz, wcześniej zdrowo czerwona, przybrała szarą barwę lodowej kry. Reks był za krzakami. Leżał na śniegu i obgryzał palec trupa. Na widok pana zamerdał wesoło ogonem.

Majewski skoczył do psa. Chciał go odrzucić kopniakiem od ciała, ale kundel uciekł przed ciosem, a mężczyzna stracił równowagę i padł na miękki śnieg. Patrzył wprost w spalone resztki ludzkiej twarzy. Poderwał się błyskawicznie i nie zważając już na zwierzaka, pobiegł w stronę domu.

Reks radośnie podreptał za nim.

Zebranie o dziesiątej było krótsze niż zwykle. Mortka opowiedział Skalskiemu o aresztowaniu i przesłuchaniu Mariusza Wyrwy. Policjant pogratulował komisarzowi sukcesu.

Potem przeszli do spraw bieżących.

- Przed zebraniem dzwonił do mnie Szydłoń - powiedział Mortka. - Zaraz jadę do prokuratury przekazać mu materiały.

- Szydłoń żyje? - zdziwił się Kochan.

- Żyje - przytaknął komisarz. - Ale powiem ci szczerze, że nie wydawał się szczególnie zachwycony faktem, że musi dzisiaj przychodzić do pracy.

- Wiadomo, kaca najlepiej leczy się w domu.

- Co z facetem ze zdjęcia? Skalski?

- Rozesłałem fotografie po komendach.

- Nadal nikt go nie rozpoznał?

- Został rozpoznany. Ale nikt nie wie, kim jest.

I Mortka, i Kochan wpatrywali się pytająco w Skalskiego.

- Ponieważ sąsiedzi Korzeniowskich go nie znali, postanowiłem porozmawiać z innymi ofiarami - kontynuował młody policjant. - Borowski podobno pił z nim po jednym ze swoich koncertów.

- I co? - spytał komisarz.

Skalski zrobił zawiedzioną minę.

- I nic. Borowski był wtedy pijany. Niewiele pamiętał. Poza tym, że rozmawiał z tym człowiekiem o muzyce.

- Borowski naprawdę zapamiętał pijacką gadkę sprzed kilku miesięcy? Ma facet łeb - zdziwił się Kochan.

Skalski przytaknął.

- Borowski twierdzi, że to była dziwna rozmowa.

- W jakim sensie dziwna?

- Przez jakiś czas gadało im się dobrze, a potem przeszli do tematu fekal rocka i rozmowa

po prostu siadła. Żona Borowskiego dodała, że wydawało się, jakby ten facet chciał się bić z jej mężem, ale zamiast tego po prostu w pewnym momencie wyszedł z klubu.

- Dlaczego chciał się bić?

- Nie mają pojęcia. Ale dodali, że on mógł wiedzieć, że w nocy, kiedy wybuchł pożar, nie będzie ich w domu.

- Skąd?

- Borowski chwali się każdemu na prawo i lewo, że żona jeździ z nim na wszystkie koncerty. Mówi, że to taka jego osobista *groupie*.

Mortka podrapał się po brodzie.

- A ci drudzy, jak oni się nazywali? - Mortka sięgnął do notatek. - Filipek. Co z nimi?

- Nie znają go. Pani Filipek wydaje się, że widziała tego mężczyznę kiedyś na ulicy, ale nie była pewna, czy to na sto procent był on.

Komisarz pochwalił Skalskiego. Zdobyli kolejne informacje, które uprawdopodobniły teorię, że mężczyzna ze zdjęcia jest ich podpalaczem. Niemniej jedyną nowością było to, że nie jest wielbicielem fekal rocka. Z drugiej strony ten news nie był do końca prawdziwy, bo przecież podejrzany brał udział w koncercie zespołu Borowskiego. Dlaczego w takim razie chciał pobić muzyka? Zresztą czy musiał być jakiś wyraźny powód? Borowski po pijaku mógł się zachowywać jeszcze bardziej arogancko i nieznośnie niż na trzeźwo - pomyślał

Mortka.

Podzielili się zadaniami. Skalski miał kontynuować swoje poszukiwania, a Kochan pochodzić ze zdjęciem wśród policyjnych informatorów. Może któryś znał tajemniczego mężczyznę z fotografii, chociaż prawdopodobieństwo było niewielkie.

Mortka natomiast chciał przypilnować, żeby dokumenty w sprawie Wyrwy trafiły do prokuratury, więc wziął na siebie kontakty z Szydłoniem.

Gruda złapał ich w momencie, kiedy wychodzili z sali konferencyjnej. Musiał tam chyba specjalnie czekać, aż skończą.

Pstryknął na nich palcami, tak jak kiedyś się pstrykało na kelnerów, dopóki nawet oni nie uznali, że ten gest jest uwłaczający.

- Dobra, młodzieży. Szybkie pytanie: który z was podwiezie mnie na Pragę. Mamy tam klienta nad Wisłą.

Kochan spojrzał pytająco na Mortkę. Komisarz tylko wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, to jedź.

- Kilka osób, które miałem wypytać, mieszka na Pradze.

- Jasne - mruknął bez entuzjazmu Mortka.

- To jedziemy, młody - rzucił Gruda. - Zbieraj manatki i czekam na ciebie na parkingu.

Tylko ruchy, młody, ruchy.

Kiedy Gruda się odwrócił, Kochan pokazał mu środkowy palec. A potem pobiegł po swoje rzeczy.

W pokoju komisarz przykleił zdjęcie tajemniczego mężczyzny do korkowej tablicy.

Długo mu się przypatrywał. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat, wyglądał na wysportowanego.

Ubrany zwyczajnie, nie wyróżniał się też niczym. Tylko ten wyraz twarzy, to przerażone spojrzenie pełne poczucia winy.

- Dlaczego chciałeś pobić Borowskiego? - powiedział sam do siebie Mortka.

Siadł jeszcze na pół godziny przy biurku, żeby uporządkować dokumenty, zebrał wszystkie w starą, pożółkłą teczkę i pojechał do prokuratury.

Prokuratorem Szydłoniem co dziesięć sekund wstrząsał dreszcz, jakby zaraz miał

zwymiotować. Stał przy otwartym oknie i palił papierosa. Wiatr zwiewał dym wprost na twarz komisarza Mortki, który zastanawiał się, czy dwa dni wcześniej wyglądał równie żałośnie, czy jednak trochę lepiej. Prokurator charknął, wyjął papierosa z ust i splunął przez okno.

- To se dzień wybrałeś, żeby koleś przyskrzynić. Cały tydzień nic nie robicie, a akurat dzisiaj, w sobotę. - nie dokończył, tylko machnął ręką.

Mortka wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru dać się w żaden sposób sprowokować.

Prokurator podszedł do biurka, wyciągnął stamtąd kubek, do którego wrzucił tabletkę alka-seltzeru i zalał wodą. Potem wypił lekarstwo z widocznym niesmakiem.

- Dobra, komisarzu, pokaż, co tu masz.

Mortka położył przed nim teczkę. Szydłoń z trudem rozsypał węzeł, założył okulary i zaczął przeglądać protokoły. Najbardziej interesowało go przyznanie się Wyrwy do winy.

- Dlaczego pan nie siada, komisarzu? - zapytał, nie odrywając wzroku od dokumentu.

Mortka usiadł na wskazanym miejscu. Wiało prosto na niego.

- Mogę zamknąć okno? - spytał.

- Tak, proszę.

Zamknął okno i wrócił na krzesło. Przymknął na chwilę powieki. Przysnął. Obudził się, kiedy opadła mu głowa. Przetarł oczy.

- Nie wycofa się z tego? - zapytał prokurator.

Mortka nie zrozumiał pytania.

- Czy Wyrwa nie wycofa się z przyznania się do winy? - rozwinął wypowiedź Szydłoń.

- Nie wiem. Nie wyglądał na takiego, jakby chciał, ale sam pan lepiej wie, że na komendzie mówią jedno i podpisują wszystko, co im podsunie, a w sądzie przedstawiają nas jako gestapo, które wymusiło zeznania, masakrując im jądra.

- A jak było?

- Nie zmasakrowałem mu jąder.

- A coś innego?

- Mogłem go trochę postraszyć - przyznał Mortka. Prokurator skrzywił się zdegustowany.

- Trudno. Będę musiał sobie z tym poradzić - powiedział Szydłoń.

Odłożył dokumenty. Spojrzał na Mortkę spod szkieł.

- Mieliśmy zły początek, komisarzu - stwierdził nagle. Zaskoczony policjant wykonał nieokreślony gest, który mógł znaczyć „nie ma o czym mówić”.

- Mnie też cisną - dodał Szydłoń. - Pana to pewnie nie obchodzi, prawda?

- To chyba naturalne, że przełożeni oczekują wyników.

- Tak. To naturalne - mruknął prokurator.

Wydawał się zawiedziony odpowiedzią komisarza. Wrócił do dokumentów. Nagle syknął z bólu i chwycił się za czoło.

W kieszeni Mortki zadzwonił tymczasem telefon. Komisarz wyjął go, wstał z miejsca i wyszedł z pokoju. Spojrzał na wyświetlacz - Kochan. Odebrał.

- Mortka.

- Kuba, musisz tutaj przyjechać - powiedział podkomisarz.

- Co się stało?

- Lepiej, żebyś tutaj po prostu przyjechał.

- Nie powiesz mi?

- Nie przez telefon. Po prostu przyjedź.

- Gdzie?

- Na północ od mostu Siekierkowskiego, naprzeciwko Gocławia. Niedaleko jest stacja benzynowa i ujęcie wody.

- Wiem, gdzie to jest. Zjawię się tam, jak to tylko będzie możliwe.

Mortka rozłączył się i wrócił do Szydłonia. Prokurator był zatopiony w lekturze.

Komisarz postanowił mu nie przerywać.

Na miejsce dojechał w dwadzieścia minut. Trafił bez trudu. Już z Wału Miedzeszyńskiego widział policyjne samochody. Za stacją Statoil skręcił w niewielką dróżkę prowadzącą nad Wisłę i zaparkował. Wysiadł z wozu i pokazał legitymację miejscowemu funkcjonariuszowi, który wskazał mu, gdzie iść.

Po mniej więcej stu metrach dojrzał Kochana. Podkomisarz podszedł do Mortki.

Przywitał się, przez cały czas unikając spojrzenia kolegi.

- Co tutaj mamy? - zapytał komisarz.

Kochan odwrócił się i wsadził ręce do kieszeni. Wpatrywał się w Wisłę.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - oznajmił po chwili. - Chyba najlepiej by było, gdybyś sam to zobaczył.

Poprowadził Mortkę w stronę rzeki.

- Znalazł go około godziny dziewiętej trzydzieści miejscowy pijacek, Stefan Majewski.

Był na porannym spacerze z psem. Przy okazji zatarł sporo śladów - mówił

Kochan.

Gruda stał z boku i energicznie pokazywał coś technikom, a potem policjantom.

Stanęli nad ciałem. Kochan kucnął i odsłonił białe prześcieradło, którym przykryto zwłoki. Komisarz zachwiał się, gdy zobaczył denata.

Stopiony śnieg wokół ciała uformował krąg gołej ziemi, który wskazywał, że podpalono je właśnie tutaj. Ubrania były spalone i w strzępach. Twarz i ciało pokryte zwęglonymi resztkami skóry, które tworzyły brązowo-czarno-czerwona układankę, jakby siedmiolatek próbował zrobić wycinankę z kawałków surowego i spalonego mięsa. Mimo to Mortka rozpoznał ofiarę.

Leżało przed nim ciało Piotrka.

Minęło dwadzieścia minut, zanim doszedł do siebie. Siedział w samochodzie, pił ciepłą herbatę, którą przyniosła mu jakaś policjantka, i wpatrywał się bezmyślnie w kierownicę.

Czuł się podle. Wyrzuty sumienia spadły na niego i przygniotły całym ciężarem.

Pomyślał, że zawiódł w sposób, którego się po sobie nigdy nie spodziewał. Jego współlokator, młody chłopak, prosił go o pomoc, a on go po prostu zignorował. Wmawiał sobie wtedy, że nie może nic zrobić, ale to przecież nie była prawda. Mógł chociaż pojechać do tego Zająca, postraszyć go, i nawet jeśli nie załatwiłby ostatecznie sprawy długu, to mógłby pomóc wynegocjować jakiś układ albo po prostu dać Piotrkowi chwilę oddechu. Ale komisarz chłopaka nie lubił i miał gdzieś jego problemy. Gówniarz miał za swoje. Miał. A teraz jest martwy.

Kochan otworzył drzwi i usiadł na miejscu pasażera. Milczeli chwilę wspólnie. W końcu podkomisarz chrząknął cicho.

- To nie twoja wina - powiedział.

Mortka wałnął pięścią w kierownicę.

- Jak to, kurwa, nie!? Sam go wypchnąłem z domu. Nie dałem mu żadnej nadziei, żadnej pomocy. Tylko utwierdziłem go w przekonaniu, że ma przejebane.

- Nie mogłeś przewidzieć.

- Jak to, kurwa, nie!? - powtórzył wściekły. - Wisiał kasę człowiekowi Borzestowskiego! Czego się miałem spodziewać? Że go w czoło pocałują i poklepią przyjacielsko po plecach!?

Znowu uderzył pięścią w kierownicę. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Równie dobrze mogłem sam go zabić - wyszeptał.

Kochan przelknął ślinę.

- Teraz to już pierdolisz, Kuba - powiedział powoli. - Możesz sobie wmawiać, co chcesz, ale to nie była twoja wina. I w końcu sam to przyznasz.

Mortka, zamiast odpowiedzieć, zaczął rozcierać pulsującą bólem rękę.

- Co mamy? - zapytał.

Kochan oparł głowę o zagłówek.

- Ciało oblano benzyną i podpalono - odparł niechętnie. - Na dziewięćdziesiąt procent był już wtedy martwy. Na podanie przyczyny zgonu musimy czekać do raportu patologa.

Wydaje się, że został pobity ze skutkiem śmiertelnym albo uduszony. Nie zauważyliśmy śladów ani od noża, ani od kuli.

- Świadczenie?

- Nie. Ale przejrzymy taśmy z monitoringu miejskiego. Wątpię, żebyśmy tam coś znaleźli, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

- Nie zaszkodzi - powtórzył jak echo Mortka.

- Zabezpieczono ślady opon. Mogą należeć do samochodu kierowcy. Pojazd osobowy, zwyczajny bieznik. Żadnego punktu zaczepienia.

Komisarz potarł dłonią szczękę.

- Czyli zbrodnię popełniono gdzie indziej - powiedział bardziej do siebie niż do Kochana.

- Tutaj przyjechał tylko po to, żeby pozbyć się ciała. Dlaczego je podpalił?

Dlaczego nie wrzucił do Wisły?

Kochan westchnął, wiedząc już, że wpakował się w sytuację, z której trudno mu będzie wybrnąć.

- To nie jest twoje śledztwo, Kuba - powiedział z obowiązku, bo nie miał najmniejszej nadziei na to, że przemówi Mortce do rozsądku.

- Wiem. Ale już mnie tu ściągnałeś. Dlaczego nie wrzucił ciała do Wisły?

- Może taki był początkowy plan? - rzucił Kochan. - Ale kiedy tu przyjechał, zobaczył, że rzeka jest w połowie zamrznięta. Musiałby przejść niemal na sam środek. Nie wiadomo, czy lód utrzymałby i jego, i ciało. W dodatku było ciemno i nie mógł widzieć, gdzie pokrywa jest słaba, a gdzie mocna. Skończyłoby się pewnie na tym, że obaj wyładowaliby w Wisłę, a my mielibyśmy dwa trupy do zidentyfikowania, a nie jednego.

- Jeśli rzeczywiście chciał wrzucić trupa do Wisły i w ostatniej chwili zmienił zdanie, to pewnie nie był przygotowany na tę ewentualność. Nie miał benzyny.

- A w baku?

Mortka pokręcił głową.

- Musiałby mieć przy sobie pompkę do spuszczenia paliwa. Takich rzeczy się nie wozi w bagażniku. Trzeba sprawdzić nagrania z monitoringu w pobliskich stacjach benzynowych z okolicy godziny zabójstwa. Zabójca mógł tam pojechać, żeby kupić albo pompkę, albo benzynę, kiedy się zorientował, że Wisła jest zamrznięta.

- Przekażę Grudzie.

- A co z dziewczyną? Agnieszka? - zapytał.

- Nie ma po niej śladu. Myślisz, że ją też dorwali?

Przytaknął. Kochan bił się chwilę z myślami, aż wreszcie lekko wzruszył ramionami i pogodził się z narzuconą mu przez sytuację rolą.

- Zajac - powiedział po prostu.

Mortka bez słowa zapalił silnik.

Wszyscy myśleli, że ksywa Zajaca pochodzi od jego nazwiska - Zajaczek. Ale to była nieprawda. Na początku wszyscy wołali na Zajacę Krzywy, a to dlatego, że miał krzywe nogi i kręgosłup. W młodości wyglądał, jakby był zbudowany z samych kości. Potem przyszły lata

rehabilitacji i gimnastyki korekcyjnej. A późnej siłownia, odżywki i okazjonalne sterydy sprawiły, że zaokrąglił się, nabrał ciała i masy mięśniowej. Ale ksywa Krzywy pozostała. Do czasu, kiedy okazało się, że Krzywy ma naturalny talent do spierdalania. Spierdalania przed policją, kibolami drużyn tradycyjnie wrogich Legii, konkurencją. Ktoś kiedyś zauważył, że „Krzywy spierdalał jak jakiś zajac”. I się przyjęło.

Nie jednak, żeby Zajac nie potrafił komuś przywalić. Bo potrafił. I to skutecznie, tak że zęby leciały. Ale w przeciwieństwie do wielu innych umiał realistycznie ocenić swoje szanse, a do tego miał instynkt, dzięki któremu wyczuwał niebezpieczeństwo na kilometr. Trzech na jednego to na przykład było już za dużo. Policja - lepiej się zmywać; koleś wygląda, jakby miał gnata - trzeba brać nogi za pas. To były pewne proste zasady, które zwiększały szansę przeżycia i utrzymania pełnego uzębienia, a których kumple Zajaca z niewiadomego powodu nie potrafili sobie przyswoić. Dlatego też koledzy zostali w tyle, a Zajac piał się w górę w grupie Borzestowskiego. Bo Borzestowski cenił ludzi, którzy potrafili minimalizować straty i maksymalizować zyski.

Jednak tym razem instynkt zawiódł Zajacą. Może powodem był wczorajszy melanz i alkoholowo-narkotykowy kac, a może po prostu po dwóch latach działania w tym biznesie, kiedy nie stało mu się nic złego, poczuł się zbyt pewnie. W każdym razie, kiedy szedł otwierać temu dobijającemu się do niego sukinsynowi, nie spodziewał się niczego złego.

Załoczył łańcuch i nacisnął klamkę. W tym samym momencie człowiek po drugiej stronie kopnął w drzwi, które uderzyły Zajacą prosto w czoło, a lichesy łańcuch pękł w trzech miejscach naraz. Bandyta upadł na podłogę. Błyskawicznie obrócił się na brzuch i poderwał do góry.

Zbyt wolno.

Jeden z napastników chwycił go za koszulkę, przygniół do ściany i uderzył prosto w nerki. A potem jeszcze raz. Zajac po raz kolejny upadł na ziemię, tym razem tylko po to, żeby dostać kopniaka w żebra. Jęknął i skulił się w kłębek.

- Spacyfikowany - powiedział ktoś nad jego głową.

Zajac odważył się spojrzeć w górę. Stali nad nim dwaj mężczyźni. Obaj mieli około trzydziestki. Nie znał ich. Pierwszy z nich, chyba trochę młodszy, zachowywał się niepewnie.

Drugi miał w sobie coś takiego, że instynkt Zajacą rozszalał się na dobre i gangster wiedział

już, że należy czym prędzej wiać.

To właśnie ten drugi wyciągnął i odbezpieczył pistolet. Na sam ten dźwięk żołądek Zajacą ścisnął się boleśnie. Mężczyzna wymierzył broń w jego głowę.

- Wstawaj i na kolana - rozkazał.

Zajac wykonał posłusznie polecenie. Zawsze inaczej wyobrażał sobie tę chwilę.

Spodziewał się, że utrzyma pełen cynizmu spokój. A zamiast tego walczył o to, żeby powstrzymać wymioty, a przed oczami miał krocze jakiegoś kolesia z gnatem w dłoni.

- Nie przesadzasz, Kuba? - zapytał drugi mężczyzna.

Mortka zgromił Kochana wzrokiem i przycisnął lufę pistoletu do czoła Zajacą. Bandyta był bładny jak kreda.

- Zabiliście Piotrką - stwierdził komisarz.

Zajac zamrugnął trzy razy.

- Kogo?

- Piotr. Student. Był ci winien pięćdziesiąt tysięcy.

Trybiki w skacowanym mózgu Zajacą poruszały się powoli, ale i on w końcu zrozumiał, o kim mowa.

- A, to ty jesteś tym policjantem, który z nim mieszka - powiedział, a jego twarz rozjaśniło uczucie ulgi. Wydało mu się, że skoro napadli go policjanci, to nic mu się nie stanie. W tym samym momencie dostał kolbą w głowę tak mocno, że znowu upadł.

- Jestem. I co z tego?

- Jezu. Człowieku. Wyluzuj. Daruję mu ten dług. - jęczał Zając, wijąc się po podłodze i trzymając za głowę.

Mortka spurpurowiał ze złości. Zanim jednak cokolwiek zrobił, pomiędzy niego a bandytę skoczył Kochan.

- Spokojnie, Kuba. Spokojnie.

Komisarz oddychał głęboko, a potem bardzo powoli skinął głową. Kochan odsunął się, ale stał na tyle blisko, że był w stanie w każdej chwili interweniować.

- Nie słuchałeś mnie, Zając. Znaleźliśmy go. I zidentyfikowaliśmy. Wiemy, że go zabiliście.

- Ale człowieku, co to...

- Cicho, Zając - przerwał mu cicho, ale bardzo stanowczo Mortka. - Twoje życie zależy teraz od dwóch odpowiedzi na dwa bardzo poważne pytania.

- Człowieku. Przecież mnie nie zabijesz. Jesteś policjantem.

- Zabić to nie - zgodził się komisarz. - Ale postrzelić, rozwalić kręgosłup. Sam rozumiesz, stawianie oporu przy aresztowaniu, atak na policjantów. My jesteśmy dwoma szanowanymi stróżami porządku, ty jesteś zwykłym śmieciem, którego tak naprawdę nikt nie będzie żałować. Chciałbyś spędzić całe życie na wózku, Zając? Wiesz, jak jest fajnie? Masz zawsze wolne miejsce do parkowania przy supermarkecie. Co prawda, już sobie nie podupczysz i mamusia znowu będzie musiała ci zmieniać pieluszki, ale to miejsce parkingowe. Z takim fajnym znaczkiem.

- Nie zrobisz tego - powtórzył Zając, ale już mniej pewnie.

Wciąż leżał na podłodze, trzymając się za głowę w miejscu, gdzie otrzymał cios kolbą.

- Zobaczmy. Pamiętaj, to są dwa pytania. Dwie odpowiedzi. Zupełnie jak w *Milionerach*. Jesteś gotowy?

Zając wcale nie był gotowy, ale mógł tylko kiwnąć głową. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wymierzoną w niego lufę pistoletu.

- Gdzie jest dziewczyna?

- Jaka dziewczyna?

- Zła odpowiedź - warknął Mortka. - Skup się! Dziewczyna Piotrka. Agnieszka. Była w mieszkaniu, kiedy przyszły tam twoje byczki. Gdzie ona jest?

- Człowieku, nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

Mortka skrzywił się. Spojrzał pytająco na Kochana, który tylko wzruszył ramionami.

- No dobra, jeszcze jedna szansa, chłopie. Ale teraz naprawdę się skup. Kto zabił Piotrka? Ty czy ktoś inny?

- Nie wiem, o czym mówisz. Poważnie. Wczoraj melanzowałem z chłopakami i paroma dupami.

- Kto powiedział, że on zginął wczoraj? - zapytał Mortka.

Przeniósł lufę pistoletu z głowy na obszar poniżej brzucha Zajęca. W oczach bandyty pojawiły się łzy strachu. Drżał na całym ciele.

- Kto zabił Piotrka?

- Nie wiem!

Mortka trwał z wycelowaną w Zająca lufą. Bandyta patrzył na niego przerażony.

- Kuba. Kuba.

Komisarz opuścił broń. Kochan odetchnął z ulgą. Mortka zdał sobie ze wstydem sprawę, że przez chwilę naprawdę chciał nacisnąć spust. I kto wie. Gdyby był tu sam.

Przestraszył się tej myśli. Opuścił głowę i przeczesał palcami włosy.

Kochan obrócił Zająca na plecy, wykręcił mu ramiona i skuł kajdankami.

- Nie ruszaj się, gnoju - powiedział. - Dzwonię do Grudy i po techników. Niech sprawdzą tę dziurę - zwrócił się do Mortki.

- Dobrze - odparł komisarz.

Miał zupełnie sucho w gardle. Adrenalina już opadła. Był słaby i zmęczony. Mięśnie mu drżały. Poszedł do kuchni, żeby napić się wody, a potem przeszedł do dużego pokoju, usiadł na kanapie i czekał na przyjazd reszty ekipy.

Zając leżał kilka kroków od niego z twarzą wciśniętą w dywan.

Stali na podwórku przed blokiem na Pradze, niedaleko ronda Wiatraczna. Zająca już dawno odstawiono radiowozem do aresztu. Okoliczni mieszkańcy przez chwilę obserwowali całą akcję, ale ponieważ nic się nie działo, szybko rozeszli się do domów. Zostały tylko jakieś dzieci, wściekły Gruda i cierpliwie znoszący wybuch starszego policjanta Mortka.

- Co ty, ćwoku jeden, zrobiłeś!?

- Zatrzymałem dla ciebie podejrzanego, co do którego było ryzyko, że może uciec z miasta - odparł spokojnie Mortka.

Ta odpowiedź tylko rozsierdziła Grudę.

- Ty złamasie! - Stuknął Mortkę palcem w pierś tak mocno, że komisarz pomyślał, że będzie miał tam siniaka. - To nie jest twoje śledztwo.

- Sam dobrze wiesz, że w takich sprawach kluczowe są pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Zatrzymałem dla ciebie podejrzanego, który w innym wypadku mógłby mataczyć.

Gruda zacisnął pięści.

- Słuchaj. Pobijeś faceta.

- Zaatakował policjantów. To była obrona konieczna. Kochan potwierdzi.

- Jeśli policjant mówi, że nie pobił podejrzanego, a na potwierdzenie ma słowa innego gliniarza, to akurat mu uwierzę. Myślisz, że jestem pełnym kretynem? - Gruda wykrzywił

usta, a potem splunął zieloną flegmą wprost na śnieg. - Ale to w zasadzie nieważne. Nic mnie nie obchodzi, czy go pobijeś, czy wyruchałeś. Ale jeśli przy okazji schrzaniłeś mi śledztwo, bo jakiś adwokat udowodni, że przekroczyliśmy uprawnienia, to ci tego nie daruję. Jasne?

- Jak słońce.

- To teraz gadaj jak na spowiedzi, kim był ten zamordowany chłopak, co cię z nim łączyło i co ma z tym wspólnego ten cały Zając.

Mortka opowiedział wszystko, co wiedział o swoich współlokatorach. Gruda, wciąż wściekły, słuchał uważnie i co chwila robił notatki, zadawał pytanie albo prosił o powtórzenie zdania. Stali tak na mrozie przez blisko godzinę. Kiedy się roztawali, wydawało się, że gniew Grudy minął. Mortka obiecał do niego zadzwonić, kiedy tylko przyjdzie mu coś do głowy.

Pojechał prosto do domu. Wcześniej odwiedził pobliską drogerię Rossmann, gdzie kupił pudełko lateksowych rękawiczek oraz woreczki próżniowe.

W mieszkaniu zdjął kurtkę, schował ją w swoim pokoju, wyciągnął pistolet z kabury i położył go na stole. Następnie założył lateksowe rękawiczki, przygotował woreczki i wszedł do pokoju Piotrka.

Na początku uderzył go zapach stęchlizny. Do tej pory drzwi były zamknięte i swąd nie miał szans rozprzestrzenić się po mieszkaniu. Szybko zlokalizował źródło zapachu. Na parapecie leżał talerz ze sporą ilością spleśniałych kanapek. Wyrzucił je przez okno.

Przeszukanie rozpoczął od biurka. Na blacie wśród gęsto zapisanych cyframi i wzorami

kartek papieru leżało kilka w większości zepsutych długopisów oraz ołówków. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego. Jedna i druga praca domowa, kilka ćwiczeń matematycznych. Nie znalazł żadnych osobistych notatek.

Zaczął otwierać poszczególne szuflady. Znajdowały się tam zeszyty z rysunkami technicznymi, podręcznik do mechaniki, zużyte i czyste chusteczki do nosa, popielniczka z kilkoma petami, dwie puste paczki papierosów i liczne opakowania po tanich batonach.

W szafach było kilka sztuk odzieży. Przeszukał kieszenie, ale wyciągnął z nich tylko wyprany banknot dziesięciozłotowy. Sprawdził jeszcze, co jest za łóżkiem, ale nie znalazł tam nic oprócz grubej warstwy kurzu i starego kawałka pizzy.

Ściągnął rękawiczki, wyrzucił je do kosza na śmieci i założył drugą parę. Przeszedł do pokoju Agnieszki. Panował tam dużo większy porządek. Żadnych śmieci, żadnych papierów na podłodze, żadnych resztek pożywienia. Pościelone łóżko, pluszowy miś smętnie zwieszający głowę w kącie, starte kurze i zdjęcia z wakacji powieszzone na ścianach.

Zatrzymał się przy jednym. Przedstawiała uśmiechniętą Agnieszkę stojącą na tle skąpanego w miękkim, południowym słońcu miasteczka. Mortka rozpoznał je. To musiało być gdzieś w Toskanii, dokąd policjant pojechał na wakacje z żoną i dziećmi dwa lata wcześniej. Urlop, który miał rozniecić na nowo dawną namiętność, okazał się prawdziwą katastrofą. Już pierwszego dnia spalił się tak, że był czerwony jak rak, a plecy bolały go przy najmniejszym ruchu. Ola goniła ich bezlitośnie od jednego muzeum do drugiego, od kościoła do kościoła, a on był tym jeszcze bardziej znużony i znudzony niż jego kilkuletni synowie, którzy przynajmniej mogli wyrażać swoje niezadowolenie głośnym krzykiem, tupaniem i płaczem. Bolała go od tego głowa, ale po cichu im zazdrościł. Koniec końców, wrócił do Polski jeszcze bardziej zmęczony niż przed wyjazdem. A co do namiętności - kochali się we Włoszech tylko raz, kiedy Mortka, pijany tanim włoskim winem, wpakował się Oli do łóżka, a ona postanowiła dla świętego spokoju mu dać, ale ani się nie ruszała, ani nie wydała żadnego dźwięku, dopóki nie skończył.

Uśmiechnął się smutno do fotografii.

Następnie zabrał się do równo ułożonych na półce książek. Znajdowały się tam tytuły, które mu nic nie mówiły, i autorzy, których nie znał. Piekara, Sapkowski, Mankell, Pilipiuk, gruby horror Marii Janion, *Historia teatru*, wielkie tomy o tytułach *Pozytywizm*, *Romantyzm*, *Młoda Polska*, praca poświęcona Wyspiańskiemu.

Sprawdził, czy Agnieszka nie ukryła czegoś za rzędem książek. Musiał się sporo nagimnastykować i mocno wykręcić dłoń, ale w końcu wyciągnął stamtąd niewielki woreczek z twardo zbitymi zielonymi, ziołowymi grudami. Otworzył go i poczuł charakterystyczny zapach marihuany.

Narkotyku było za mało, żeby posądzać Agnieszkę o handel. Lubiła pewnie sobie od czasu do czasu popalić, jak większość studentów. Mortka nie wiedział, co ma zrobić ze znaleziskiem. To mógł być trop, ale z drugiej strony nie chciał, żeby dziewczyna miała kłopoty z tak błahego powodu. Schował woreczek tam, skąd go wyciągnął.

Obok książek leżał stosik płyt. W większości pirackie egzemplarze, bez okładek, włożone tylko do papierowych kopert. Kazik, Kult, Metallica, Iron Maiden, Cradle of Filth.

Podszedł do szafy. Tam też zostało trochę ubrań. Musieli się pakować w pośpiechu, a po resztę rzeczy zamierzali wrócić przy okazji - pomyślał Mortka. Przejrzał ciuchy. Jedna para spodni, kilka koszulek z mało śmiesznymi napisami i dwie czarne bluzy. Sukienka.

Zdziwił się. Nigdy nie widział, żeby w niej chodziła. Do tego bielizna i pół paczki podpasek.

W biurku znalazł zeszyty z notatkami, a także, i to go zainteresowało, pamiętnik

Agnieszki z zeszłego roku. Usiadł na jej łóżku i zaczął czytać. Miała ładne, okrągłe pismo, bardzo dziewczęce.

Wpisy pojawiały się nieregularnie i w większości wypadków były mało ciekawe.

Agnieszka opisywała, o której kładła się spać, co robiła, kiedy wróciła do domu, co się działo na zajęciach. Kilka razy wpadła w jakieś mętne, pseudoartystyczne dygresje, których Mortka do końca nie rozumiał. W listopadzie bała się, że jest w ciąży. Nadejście miesiączki uczciła osobnym wpisem tylko na ten temat z mnóstwem wykrzykników i uśmiechniętych buziek, chociaż równocześnie narzekała na ból brzucha.

Znalazł też kilka uwag o sobie. Napisała, że jest przystojny, ma „szorstki urok” i równocześnie jest „pociągający, ale groźny”. Spodobał mu się ten opis. Chciałby tak siebie postrzegać. W późniejszej notatce Agnieszka stwierdziła natomiast, że Mortka czasami jest nieznośny i zachowuje się jak zwykły buc.

Zamknął pamiętnik i schował go w biurku. Nie było tam już nic wartego uwagi. Na ścianie nad biurkiem Agnieszka zawiesiła korkową tablicę. Przypięła tam plan zajęć na uniwersytecie oraz zdjęcia: swoje, rodziny i Piotrka. Ściągnął fotografię, na której była dziewczyna. Pojechał z nią na komendę. Rozesłał ją stamtąd faksem do wszystkich posterunków w Warszawie. Policjanci, którzy trafiliby na jakikolwiek ślad dziewczyny, mieli natychmiast do niego zadzwonić. Mortka wiedział, że powinien to zrobić w porozumieniu z Grudą, ale nie czuł z powodu tej samowolki wyrzutów sumienia.

Wrócił do domu. W monopolowym pod blokiem kupił cztery piwa. Wypił je podczas oglądania telewizji i zasnął niepostrzeżenie.

Nic mu się nie śniło.

Rozdział 17

Wstał po dziewiątej. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł się wypoczęty. Wziął długą kąpiel i zjadł lekkie śniadanie. Przy pierwszej porannej kawie z długopisem w ręku próbował naszkicować plan dnia. Wiedział, że koło czwartej powinien być u chłopaków. Postanowił, że tym razem zabierze ich na lodowisko. Jedno znajdowało się koło stacji metra Imielin, blisko ich domu. Tam pojedą. Do tego czasu miał jeszcze kilka godzin, które musi rozsądnie wykorzystać.

Zadzwoił do Grudy. Komisarz nie był zadowolony, kiedy usłyszał w słuchawce głos Mortki, ale zgodził się porozmawiać.

- Według patologa chłopak zginął w nocy z piątku na sobotę. Przyczyną śmierci było uduszenie. Ma też ślady po uderzeniach. Prawdopodobnie wdał się w bójkę. Wcześniej nie był torturowany, nie ma śladów po krępowaniu. Ciało podpalono zapewne po to, żeby pozbyć się dowodów, ale sprawca nie spodziewał się, że ogień uczyni tak małe szkody - mówił

leniwie Gruda, robiąc długie przerwy między zdaniami na zaciągnięcie się papierosem.

- Czyli to nie był profesjonalista - domyślił się Mortka.

- Raczej nie. Zając zaprzecza, jakoby miał ze śmiercią chłopaka cokolwiek wspólnego.

Twierdzi, że po tym, jak wpadliście na jego windykatów w środę, nie zajmował się długiem Piotra. Nie wiedział, co się dzieje, dlaczego Piotr mieszka z policjantem, czy jest przez nas kryty, czy nie. Do tego ma alibi. Był w klubie aż do czwartej rano. Mamy nawet nagrania z kamer wideo, na których jest uwieczniony. Pobieś nie tego faceta, co trzeba, młody -

zakończył Gruda i zarechotał złośliwie.

- I tak mu się należało. Zresztą nie spodziewałem się, że zrobił to osobiście. Mógł to komuś zlecić.

- Za długi się raczej łamie nogi, młody.

- Chyba że się chce zrobić z kogoś przykład. Albo traci nad sobą kontrolę.

Gruda z cichym, lekceważącym prychnięciem wypuścił dym wprost do słuchawki.

- Nie jestem przekonany, młody. Nawet jeśli, to przecież zabiliby go w inny sposób niż przez uduszenie.

Ma rację, pomyślał Mortka. Uduszenie było bardzo osobistą formą zabójstwa. Zwykle tak zabijano kogoś z rodziny - brata, siostrę, żonę lub dziewczynę. Nigdy kogoś obcego, dłużnika. Takim najczęściej dawano po prostu pałą w łeb.

- A dziewczyna? Znalazła się?

- Nie mamy najmniejszego śladu. Dostałem jej numer od rodziców chłopaka, ale nie odbiera. Może jest u przyjaciół? Masz jakieś namiary do nich?

- Nie. Trzeba by się przejechać na uniwersytet. Była na trzecim roku polonistyki dziennej.

- Trzeba by. A ty coś znalazłeś, młody?

Wiedział, że musi być szczerzy. Takie były zasady. Jeśli teraz nic by mu nie powiedział, to w przyszłości starszy komisarz nie pomógłby mu przy żadnym śledztwie. A połowa sukcesu policjanta zależała od tego, czy koledzy dzielą się swoimi informacjami, podejrzeniami, plotkami. Nie raz i nie dwa Mortka rozwiązał sprawę tylko dzięki temu, że ktoś z komendy miał dojście do odpowiedniego informatora.

- W pokoju Agnieszki znalazłem marihuanę - przyznał.

- Jezu Chryste, młody. - jęknął Gruda. - W tych czasach marihuanę to znajdę nawet w pokoju własnej córki. Masz coś jeszcze?

- Niestety nie.

- A ta marihuana. Ile jej było?

- Na własny użytek.
- Na pewno nie dilowała?
- Gruda, wiem, że uważasz mnie za kretyna, ale czy naprawdę myślisz, że nie zauważyłbym, że mieszkam z handlarzami narkotyków?

- Rzeczywiście, aż tak głupi nie jesteś - zgodził się niechętnie starszy policjant. - Ale po twoim wczorajszym wysoku, młody, nie wiem, czy nie powinienem jednak zmienić zdania.

Pożegnali się i rozłączyli. Mortka schował telefon do kieszeni, zaparzył sobie kolejną kawę i usiadł w kuchni nad pustą kartką papieru.

Piotrek zginął w nocy z piątku na sobotę. Zniknął razem z Agnieszką w środę wieczorem. Co się z nimi działo przez dwa dni pomiędzy tymi wydarzeniami? To był klucz do rozwiązania zagadki jego śmierci. Opuszczali mieszkanie w pośpiechu, przestraszeni, ale mieli już zarys planu. Gdzie chcieli się ukryć? U znajomych? Może mają w Warszawie jakąś rodzinę? Przez niemal dwa dni udaje im się umykać przed ludźmi Zająca. Wpadają dopiero w piątek. Dlaczego? Co poszło nie tak? Tak naprawdę to mogło być coś prostego. Byli tylko dwojgiem przestraszonych studentów, którzy nie mieli żadnego doświadczenia w ukrywaniu się. Mogli zrobić głupi błąd: zadzwonić do Zająca czy do kogoś z jego otoczenia. Próbowali się dogadać, załagodzić sprawę i w końcu przystali na spotkanie lub nawet sami je zaproponowali.

Martwiło go to, że nie wiedział, co się stało z dziewczyną. Bał się, że bandyci Borzestowskiego ją porwali, trzymają w piwnicy w domu pod Warszawą, gwałcą regularnie, a kiedy uznają, że jest już złamana, sprzedadzą do burdelu w Niemczech czy Holandii.

Skończyła mu się kawa i zastanawiał się, czy powinien pić kolejną. Była dopiero jedenasta, a to byłaby już trzecia tego dnia. Zdecydował się na herbatę. Wstał i umył kubek.

Gruda miał wątpliwości, czy Piotrka naprawdę zabili ludzie Borzestowskiego. Ale jeśli nie oni, to kto?

Próbował sobie przypomnieć wszystko, co wiedział o swoim współlokatorze. Zwykły student politechniki, niechlujny i w gruncie rzeczy prymitywny. Pochodził z małego miasteczka. Kto mógłby chcieć jego śmierci?

W głowie Mortki pojawiło się kilka odpowiedzi na to pytanie, ale wszystkie były albo głupie, albo wręcz idiotyczne. Wyobrażenia podsuwała mu ambitnego adiunkta, który chciał usunąć zdolnego studenta, kolegę, który zazdrościł mu dziewczyny, i inne takie. Był na siebie zły. Mieszkał z nimi prawie cztery miesiące, a nic o nich nie wiedział.

Kiedy kończył zaparzać herbatę, usłyszał dzwonek od drzwi. Odłożył parujący kubek na stół i poszedł do przedpokoju. Zajrzał przez wizjer. Na korytarzu stał Borzestowski w towarzystwie dwóch osiłków. Mortka po cichu wycofał się do pokoju, wziął pistolet, sprawdził, czy jest naładowany i odbezpieczył broń.

Borzestowski zadzwonił po raz drugi.

- Już idę! - krzyknął komisarz.

Założył łańcuch. Pamiętając o tym, co sam wczoraj zrobił u Zająca, kiedy otwierał drzwi, równocześnie podpierał je ramieniem. W tej sytuacji, gdyby ktoś w nie kopnął, żeby włamać się do środka, miałby szansę najpierw je przytrzymać, a potem zamknąć. Broń trzymał w drugiej ręce, schowaną tak, żeby nie widział jej nikt z jego „gości”.

Borzestowski uśmiechnął się na przywitanie.

- O, pan komisarz. Przyszedłem z panem porozmawiać. Możemy wejść?

- Chyba sobie żartujesz.

Gangster pokiwał głową ze zrozumieniem, pstryknął palcami i wskazał na obstawę.

- Chłopaki, czekajcie w samochodzie.

Ludzie Borzestowskiego nie wyglądali na zadowolonych, ale posłusznie zeszli na dół.

Mortka usłyszał, jak zamykają drzwi do klatki.

- A teraz, komisarzu?

Miał tylko sekundę na podjęcie decyzji. Ściągnął łańcuch i otworzył szeroko drzwi, ale w taki sposób, żeby Borzestowski nie zobaczył pistoletu.

Gangster wszedł do środka. Rozejrzał się po mieszkaniu.

- Przyjemne lokum. I piękne historyczne wnętrze. Nic tu nie zmieniono od lat siedemdziesiątych, prawda?

Mortka zamknął drzwi na wszystkie zamki. Borzestowski odwrócił się i dopiero teraz zauważył broń w dłoni policjanta. Uniósł tylko brwi.

- Chce pan tego użyć? - zapytał lekko rozbawionym tonem.

- Tylko daj mi pretekst.

- Uuuu. - mruknął. - Jaki z pana twardziel, komisarzu. Pewnie ma pan tyle testosteronu, że trzy razy dziennie musi pan dymać kurewki, żeby utrzymać go w ryzach, co? Jeśli tak, to proszę tylko powiedzieć, zapewnię panu darmowe używanie w najlepszych agencjach w Warszawie. Co pan na to, komisarzu?

Mortka nie odpowiedział.

- Tak jak sądziłem - ciągnął niezrażony Borzestowski. - Nie jest pan zainteresowany. A może woli pan chłopców? Do tego towaru też mam dostęp. Bez obawy, nikt się o niczym nie dowie. W tych sprawach zapewniam stuprocentową dyskrecję. Lepiej niż u księdza. Bo ksiądz, to wiadomo, opowie gosposi, a gosposia to już całej wsi.

- Skończ już! - warknął policjant.

- Pan wybaczy, komisarzu. - Gangster rozłożył szeroko ramiona. - Zawsze robię się odrobinę nerwowy, kiedy staje przede mną człowiek z bronią.

Borzestowski sięgnął do wnętrza kurtki. Mortka natychmiast w niego wycelował.

- Spokojnie, komisarzu.

Borzestowski powoli wyciągnął paczkę papierosów, trzymając ją dwoma palcami.

- Mogę zapalić?

- Nie.

Gangster zrobił zawiedzioną minę i schował pudełko.

- Może pan przestać we mnie celować? Ręka trochę panu drży. Boję się, że dojdzie do jakiegoś wypadku. Obaj byśmy tego nie chcieli.

- Tylko ty.

- Naprawdę, czas już skończyć z tą twardzielską gadką, komisarzu. Nie po to tu przyszedłem, żeby jej wysłuchiwać. A i pan nie musi mi niczego udowadniać.

Mortka opuścił broń. Nie dlatego, że dał się przekonać, ale dlatego, że rzeczywiście już lekko bolało go ramię.

- Napijemy się czegoś? - zapytał Borzestowski.

- Do kuchni - powiedział komisarz.

Ruchem głowy pokazał gangsterowi drogę. Na miejscu kazał mu usiąść na krześle przy samym oknie, w bezpiecznej odległości od siebie.

- Mogę prosić o herbatę albo o kawę?

Mortka wskazał gangsterowi na swój kubek. Borzestowski podziękował skinieniem.

Upił łyk i się skrzywił.

- Mogę posłodzić? - zapytał.

- Cukier jest w szafce nad blatem.

Gangster wyciągnął cukiernicę i wsypał do kubka z herbatą trzy czubate łyżeczki.

Potem sięgnął za pazuchę, wyciągnął piersiówkę i wlał do naparu trochę wódki.

Zamieszał.

- Słyszałem, że dorwał pan wczoraj Zająca - powiedział, stukając łyżeczką o brzeg kubka.
- I to w dość spektakularny sposób. Jest oskarżony o zabicie tego chłopaka, prawda?

Piotra Stelmacha. Cholera, nie wiedziałem, że pana współlokator wisi mi pięćdziesiąt tysięcy złotych. Gdybym wiedział, to od razu bym umorzył ten dług. W końcu co to jest pięćdziesiąt kafli pomiędzy przyjaciółmi, prawda, komisarzy?

Mortka czuł, że gangster stara się go sprowokować. Nie miał tylko pojęcia, w jakim celu. Musiał jednak przyznać, że Borzestowskiemu szło nieźle.

- Popytałem - ciągnął dalej Borzestowski. - Nie zrobił tego nikt z moich ludzi. Na sto procent.

- Po co mi to mówisz?

- Żeby była między nami jasność, komisarzy. Nie chcę, żeby nasze stosunki zepsuły się z powodu tej przykrej sprawy. Żadnemu z nas się to nie opłaca. Przychodzę w pokoju.

Wchodząc tutaj bez moich chłopców, siedząc u pana w kuchni i pijąc pańską herbatę, składam deklarację: nie mam nic wspólnego ze śmiercią tego chłopaka. Zając też nie.

Zrobił pauzę. Mortka powoli kiwnął głową.

- Ten student wisiał nam pieniądze - kontynuował Borzestowski. - To prawda. Zając kazał go pobić, to też prawda. Ale po wizycie u pana, kiedy wpadł pan ze swoim kolegą na chłopców Zająca, on był tak skołowany, że nie wiedział, co ma zrobić. Podejrzał nawet, że pana współlokator może być świadkiem koronnym pod waszą opieką. To pojebane, fakt, ale Zając czasami ma takie pojebane myśli. Ale poza tym to dobry chłopak. W każdym razie, nikt ode mnie nie tknął tego studenta nawet małym paluszkiem. No, przynajmniej od środy.

- Dalej nie wiem, po co mi to mówisz.

Borzestowski odłożył łyżeczkę na stół i przez chwilę wpatrywał się w matowe odbicie swojej sylwetki w jej krzywiźnie.

- Bo mamy wspólny interes, komisarzy - wyjaśnił. - Teraz większy niż poprzednio.

Niech pan pomoże mnie, a ja pomogę panu. Powiesz mi, co wiesz o podpalaczu, który zabił

moich bratanków, a ja rozpuszczę ludzi po mieście, żeby dowiedzieli się wszystkiego o tym Piotrku. Wiem, że polska policja jest niezastąpiona, ale moich chłopców nie krępują procedury, komisarzy. Mogą czasami wyciągnąć więcej informacji niż wy.

- Wiesz, kto zabił chłopaka?

- Oczywiście, że nie, panie komisarzy - odpowiedział Borzestowski.

Mortka spojrzał mu prosto w oczy. Miał wrażenie, że mówi szczerze, ale nie mógł być pewien.

- Naturalnie, mogę popytać - ciągnął już odrobinę znużony gangster. - Zainteresować się. Może nie tylko u mnie chłopak miał dług i ten ktoś ma, niestety, mniejsze pokłady cierpliwości niż ja. Pomyślał pan o tym, komisarzy?

- Sprawdzamy taką możliwość. - Mortka skłamał bez mrugnięcia okiem.

Był zły i zdziwiony, że ta hipoteza wyszła od Borzestowskiego. Inni wierzący. To było dość oczywiste. Rzadko pożyczają się pieniądze od ludzi pokroju Zająca, jeśli jest inna możliwość. Najpierw idzie się do rodziny, znajomych, potem do banku albo Providenta.

Dopiero w ostateczności dzwoni się do faceta z ogłoszenia o pożyczkach bez poręczeń, na dowód i w pięć minut.

- Co robicie z takimi ludźmi? - zapytał nagle Mortka.

- Nie rozumiem pytania, panie komisarzy.

- Z takimi chłopakami jak Piotr Stelmach - doprecyzował policjant. - Nie miał nic.

Żadnego mieszkania, żadnego samochodu, nic, co by mógł dać w zastaw.

Borzestowski wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu.

- Pan chyba żartuje, komisarzu. Myśli pan, że zdradzę mu sekrety prowadzenia biznesu?

To tajemnica handlowa. Poza tym nie chcę wyhodować konkurencji.

- Pięćdziesiąt tysięcy - naciskał Mortka. - Przecież wiedziałeś, że ci nie zwróci tych pieniędzy.

- Podejrzewam, że był dość przekonujący, kiedy mówił, że tym razem się odkuje.

Hazardziści mają błysk w oku. Zając, jak go widzi, od razu mięknie. Jesteśmy w gruncie rzeczy normalnymi ludźmi. Podzielamy stany ducha naszych klientów. Cieszymy się z ich wygranych i smucimy razem z nimi, kiedy przygrywają. Czasami ta empatia posuwa się za daleko i popełniamy błędy. Zapominamy o biznes-planie. Inna sprawa, że narzuciłem, tak jak banki zresztą, dość ostry plan sprzedażowy. Niektórzy sprzedawcy, na przykład Zając, żeby go wykonać, wciskali kredyty dosłownie każdemu, kto się nawinął, nie patrząc na jego możliwości finansowe, historię kredytową i takie tam. Ale to problem wszystkich banków.

Codziennie można w gazecie przeczytać, że jakaś babcia z emeryturą w wysokości trochę ponad tysiąc złotych dostała kredyt na sto tysięcy. Z czego ona ma to spłacić, ja się pytam?

Banki. - Pokręcił głową, jakby naprawdę się tym przejmował. - To są dopiero bandyci. Ale nikt się nimi nie zajmie, bo wszyscy politycy siedzą u nich w kieszeni. Ten kraj zmienia się w bagno, komisarzu.

Mortka zabezpieczył pistolet i odłożył go na kuchenną szafkę. Rozprostował palce.

- Dobrze się bawisz? - zapytał.

- Wręcz przeciwnie, panie komisarzu - przyznał Borzestowski. - Przyszedłem do pana z konkretną propozycją, a tracę czas na gadki o niczym.

- Czemu dałeś mu pięćdziesiąt tysięcy?

- Odpowiem na to pytanie, jeśli pan odpowie na moje.

- Zgoda.

Gangster sięgnął po kubek i upił łyk.

- Po pierwsze, takie dzieciaki mają rodziców. A rodzice mają domy, mieszkania, etaty.

Dzieciak w końcu się łamie i biegnie po pomoc do mamy i taty. W dziewięciu przypadkach na dziesięć rodzice spłacają jego dług. Z odsetkami.

- A co z tymi, którzy nie płacą?

- Wysyłamy ich na wakacje. Do Kolumbii, Wenezueli, Peru, Maroka, Tajlandii. To taka nagroda dla naszych najwierniejszych klientów.

- Niektórzy stamtąd nie wracają - domyślił się Mortka.

- To cudowne kraje i zamieszkują je wspaniali, gościnni ludzie. Niekiedy nie chcą po prostu wypuścić naszych klientów, którzy spędzają tam kilka czy nawet kilkanaście lat w malowniczych, aczkolwiek przyznaję, lekko zatłoczonych, hotelikach. Ale dość o moim małym biurze podróży. Teraz pora na moje pytanie, panie komisarzu.

Mortka kiwnął głową. Wdał się w grę z diabłem. Miał tylko nadzieję, że ma dość sprytu i oleju w głowie, żeby ją wygrać.

- Kim jest podpalacz?

- To mężczyzna. Ma nie więcej niż trzydzieści lat. Normalnej budowy ciała. To wszystko, co wiemy. Ale mamy trop.

- Jaki?

- To już kolejne pytanie.

- Kolejna runda w takim razie?

- Agnieszka Krajan. Dziewczyna Piotra Stelmacha.

- Nie znam jej. W ogóle o niej nie słyszałem. Co się z nią stało?
- Zniknęła. Nie wiemy, co się z nią dzieje.
- Zorientuję się, co o niej słyhać na mieście. Teraz czas na moje pytanie.
- Już na nie odpowiedziałem.

Borzestowski podniósł brew.

- Słucham?
- Zapytałeś: co się z nią stało? Odpowiedziałem, że nie wiem.

Gangster podniósł się z krzesła.

- Myślałem, że osiągnęliśmy tu pewne porozumienie, komisarzu.
- Zgadza się. Osiągnęliśmy.

Borzestowski uśmiechnął się krzywo.

- Kolejna runda?
- Nie mam ochoty.
- Pan myśli, komisarzu, że to jakaś pieprzona zabawa, co?
- Absolutnie nie. To moja praca, którą traktuję bardzo poważnie. Od prawie dziesięciu lat nie robię nic innego, tylko łapię takich gnoi jak ty czy ten podpalacz.

Gangster zmierzył komisarza gniewnym wzrokiem.

- Pan myśli, że nic mu nie mogę zrobić, prawda, komisarzu? Że jest pan nieśmiertelny i nietykalny? Nie tacy jak pan szli do piachu.

- Bardzo ostre słowa. Za takie słowa można trafić do więzienia.

Borzestowski wyciągnął ręce przed siebie.

- W takim razie niech mnie pan aresztuje, komisarzu. Proszę bardzo. Niech mi pan założy kajdanki i zawiezie na komisariat. Moi chłopcy czekają na dole. Wystarczy, że tylko mrugnę. Proszę mnie aresztować, komisarzu. Proszę mi zrobić tę przyjemność.

Mortka nie ruszył się z miejsca. Borzestowski po chwili opuścił ręce.

- Tak właśnie myślałem - powiedział.

Gangster napił się jeszcze herbaty i przeszedł obok Mortki. Zatrzymał się dopiero w drzwiach.

- Chcę tego podpalacza, komisarzu. A pan niech pamięta, że nie jest nieśmiertelny - rzucił na pożegnanie.

W takich chwilach Mortka wolał być w pracy. Chciał działać, przesłuchiwać podejrzanych, szukać mordercy, szperać w aktach, prowadzić naradę zespołu. Tylko nie było na to najmniejszych szans. Gruda nie pozwalał, żeby ktokolwiek ingerował w jego śledztwo.

Natomiast w sprawie podpalacza nie było żadnych nowych danych ani pomysłów. Co nie zmieniało faktu, że myślał na przemian to o jednym, to o drugim dochodzeniu. Głowę miał pełną pomysłów i hipotez, które sam wysuwał, a następnie obalał.

Jego synowie chyba to zauważyli. Snuli się po lodowisku od jednej bandy do drugiej, a jazda na łyżwach nie sprawiała im radości. Po niecałych dwudziestu minutach zeszli z tafli i poszli zmienić obuwie.

Mortka był na siebie zły. Powinien się teraz skupić na dzieciach, porozmawiać z nimi, spędzić miło czas, wynagrodzić rozwód rodziców i to, że widzą się z ojcem ledwo dwa razy w tygodniu.

Zaprosił jeszcze chłopaków na pizzę. Zgodzili się, ale jakby niechętnie. Jedli też chyba tylko po to, żeby nie zrobić mu przykrości. Próbował z nimi rozmawiać, ale to już była zupełna katastrofa. Potrafił tylko zapytać, co słyhać w szkole, czego się teraz uczą, jak stopnie i wkrótce zorientował się, że zachowuje się tak, jakby prowadził kolejne przesłuchanie. Dokończyli jeść w milczeniu i odwiózł ich do domu.

Ola odebrała chłopców i ku zaskoczeniu Mortki zaprosiła go na herbatę. Zgodził się.

Była żona zajęła się dziećmi, wysłuchała ich relacji z lodowiska i pizzerii, a potem zagoniła do pokoju i poprosiła, żeby pobawili się przez chwilę cicho. Przyszła do kuchni. Mortka już tam był. Siedział przy stole.

- Myślałam, że zrobisz nam herbatę.

- Nie chciałem ci grzebać po szafkach. To teraz twój dom.

Zrobiła minę, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale nagle zrezygnowała. Zamiast tego nastawiła wodę.

- Chciałam z tobą porozmawiać - powiedziała, kiedy wsypywała herbatę do kubków. -

O kilku sprawach. Po pierwsze, dzwonili twoi rodzice. Zaprosili do siebie chłopców na ferie.

Zgodziłam się. Pojadą do nich na tydzień.

- Pod Tomaszów Mazowiecki? Mało atrakcyjny wyjazd.

- Jak już wiesz, na Alpy nas obecnie nie stać. Po drugie, chłopcy kochają dziadków i chętnie się z nimi zobaczą. A twoi rodzice równie chętnie ich porozpieszczają.

- Dobrze. Niech jadą.

- Ojciec albo matka nie wspominali ci o tym?

- Rzadko rozmawiam z rodzicami. Jakoś nam nie po drodze.

Znowu chciała coś powiedzieć i znowu zrezygnowała.

- Zawieszisz chłopców? - zapytała.

- Tak.

Zaparzyła herbatę i postawiła przed nim kubek. Usiadła po drugiej stronie stołu.

Odgarnęła włosy z czoła.

- Druga sprawa będzie mniej przyjemna - zaczęła. - Dla mnie.

Wzięła głęboki oddech.

- Chciałam cię przeprosić.

Tego się nie spodziewał.

- Za to, że nie powiedziałam ci, że straciłam pracę, za te cyrki z alimentami, za całą tę aferę. Jestem pewna, że gdybym dała znać, że naprawdę potrzebuję tych pieniędzy, byłyby już pierwszego, jeśli nie wcześniej. Tylko że ja...

Przerwała, jakby coś ścisnęło ją za gardło.

- Nic się nie stało - powiedział.

- Poczekaj. Nie utrudniaj tego bardziej, dobrze?

Przełknął ślinę.

- Jasne - szepnął nieśmiało.

- Chcę ci powiedzieć coś ważnego. Trudno mi się do tego przyznać, ale uważam, że masz prawo wiedzieć, co się ze mną dzieje. Szczególnie, że ma to wpływ na chłopców.

Wiem, że ich bardzo kochasz.

Znowu przerwała. Tym razem, żeby napić się herbaty. Mortka ze zdziwieniem stwierdził, że boi się słów, które miały paść.

- Wiesz, że cię kocham - powiedziała nagle.

Zamurowało go.

- Ja ciebie też - odpowiedział.

- Wiem.

- Czy to znaczy. - zaczął z nadzieją, ale przerwała mu natychmiast.

- Nie. Kocham cię, Kuba, ale z tobą się nie da żyć. Inni policjanci, na przykład Kochan, potrafią połączyć życie rodzinne z pracą, ale ty jesteś człowiekiem, dla którego na pierwszym

miejscu zawsze stoi obowiązek. Być może dlatego taki dobry z ciebie. były mąż. Bo teraz i ja, i dzieci to dla ciebie obowiązek, kolejne zadanie do wykonania. Ty zawsze wypełniasz swoje obowiązki.

Zabolało go to, co usłyszał.

- Nic mi nie powiesz? - zapytała.

- Nie rozumiesz.

- To ty nie rozumiesz, Kuba - przerwała mu. - Przede wszystkim siebie samego. Chyba uważasz, że jesteś kimś innym niż w rzeczywistości. Inaczej siebie postrzegasz. Ale prawda jest taka, że jesteś świetnym policjantem, Kuba, i...

...tylko policjantem. Nigdy nie byłeś mężem, nigdy nie byłeś ojcem. Chociaż sam może myślałeś, że jest inaczej.

Wstał z miejsca, wściekły, obolały i upokorzony.

- Dzięki za herbatę - powiedział.

- Poczekaj. - poprosiła. - Usiądź. Nie mówię ci tego na złość. Po prostu, chcę ci wytłumaczyć.

- Co? - Tym razem to on jej przerwał. - To, że jestem fatalnym ojcem i jeszcze gorszym mężem!? To, że moją największą wadą jest to, że traktuję poważnie swoją pracę? Serdeczne dzięki.

Milczała. On też. Było mu wstyd. Nie powinien mówić tego, co powiedział. Ale nie wytrzymał. Uderzyła w czuły w punkt.

- Bardzo mocno przeżyłam nasz rozwód - odezwała się w końcu. - Nigdy się nikomu do tego nie przyznałam. Ty jesteś, jaki jesteś, a ja nie potrafiłam sobie z tym poradzić, dostosować się, zaakceptować. Nie mieliśmy szans. I nie będziemy mieli. Mimo to kocham cię. Dlatego to tak bardzo boli.

Jego też bolało, ale nie mógł się przemóc, żeby to wyznać.

- Myślałam, że po rozwodzie będzie łatwiej. Że sobie ze wszystkim poradzę. Do tego ty dałeś mi wszystko, czego chciałam. Mieszkanie, samochód, dzieci.

- Tak.

- Jak byliśmy małżeństwem, potrafiłeś nagle zadzwonić i powiedzieć pół godziny przed zamknięciem przedszkola, że nie dasz rady odebrać chłopców. Albo że nie możesz zrobić zakupów. Albo tysiąc innych rzeczy. Wtedy ja musiałam rzucić wszystko i ratować sytuację.

- Przepraszam cię za to. Ja...

Uciszyła go ruchem dłoni.

- To nie są wyrzuty, Kuba. Ten etap mamy już za sobą. Teraz mnie wysłuchaj.

- Dobrze.

- Po rozwodzie myślałam, że będzie łatwiej. I tak już prawie wszystko robiłam sama, a teraz odpadł ten czynnik chaosu, który wprowadzałeś do naszego życia. Wszystko się już miało toczyć według przygotowanego wcześniej planu dnia, tygodnia, miesiąca. Ale coś nie wyszło. Mechanizm się zaciął. Budziłam się w środku nocy, ciebie nie było obok i nagle docierało do mnie, że to się już skończyło. Płakałam w poduszkę. Nie dosypiałam. Najpierw zawałam termin w pracy. Potem zapomniałam odebrać chłopców ze szkoły. Jedno nachodziło na drugie, byłam coraz bardziej wściekła. Sama nie wiem, czy na siebie, czy na ciebie, czy w ogóle na życie. I w pewnym momencie wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Zwolnili mnie. Po prostu, ot tak. - Pstryknęła palcami. - Nie było łatwo, Kuba. Świat nagle zawałił mi się na głowę.

- Mogłaś powiedzieć.

- Mogłam - przyznała. - Ale nie chciałam. Byłam na ciebie wściekła, bo ty nic nie zauważałeś. Przychodziłeś dwa razy w tygodniu, na początku miesiąca kładłeś na stół

pieniądze jak wielki pan.

- To nie tak - zaprotestował.

- Wiem. Potem ubzdurałam sobie, że ty wiesz, że nie mam pracy, bo przecież jesteś policjantem. No i nie jesteś ślepy i pewnie robisz to wszystko, żeby mnie upokorzyć. Żeby musiała cię prosić o pomoc. Więc nie prosiłam.

Chciał zapytać, jak w ogóle mogła tak o nim myśleć, ale nie potrafił. Przerazało go to, co mówiła.

- Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, że ty po prostu, jak zwykle, myślałeś tylko o pracy. O tym, żeby złapać kolejnego zabójcę i wsadzić go do więzienia. Taki już jesteś.

Widzisz tylko pracę. Sprawców i ofiary. Nic więcej. Rodziców też nie prosiłam o pomoc.

Wstydziałam się. Wiesz, jak moja matka zareagowała na wieść o rozwodzie. Dopiero niedawno dotarło do mnie kilka rzeczy. Między innymi to, że jednak mogę na tobie polegać.

Że mogę cię prosić o pomoc. Nagle, po rozwodzie, staliśmy się dla siebie, ja i chłopcy, boję się powiedzieć, że czymś równoważnym z pracą, ale może się do niej zbliżyliśmy.

- Zrozumiałem, co straciłem.

Uśmiechnęła się lekko.

- Kłamiesz, Kuba. Może nieświadomie, ale kłamiesz. Zresztą to nieważne. Chciałam cię przeprosić. Za to, że zataiłam przed tobą, że nie mam pracy. Za to, że sprzedałam telewizor.

Powinłam ci powiedzieć. Dla dobra dzieci.

Wziął łyk herbaty. Musiał zwilżyć usta. Język zmienił mu się w kołek.

- Co teraz zrobisz?

- Pozbierałam się trochę przez ostatnie dwa tygodnie. Jest lepiej. Zaproszono mnie na kilka rozmów kwalifikacyjnych. W piątek dostałam telefon zwrotny z jednej kancelarii. Chcą mnie zatrudnić. Muszę tylko dogadać szczegóły.

- Co to za kancelaria?

- Nie znasz. Ja zresztą też nie znałam. Nic prestiżowego. Raczej spokojna rodzinna firma, bez wielkich ambicji i aspiracji. Ale płacą przyzwoicie, mają siedzibę na Ursynowie, więc blisko domu, no i będę miała normalne godziny pracy. Osiem godzin. Jak Pan Bóg przykazał.

Dopił herbatę i odstawił kubek.

- A co u ciebie? - zapytała.

- Wiesz, że mieszkam ze studentami.

Odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się lekko.

- Tak. To dosyć zabawne.

- Zabito mojego współlokatora.

Krzyknęła cicho i podniosła dłoń do ust.

- Jeszcze nie wiemy, kto i dlaczego. Poza tym.

Zamilkł. Zdał sobie sprawę, że nie chce z nią o tym rozmawiać. Nie teraz. Nie po tym, co od niej usłyszał. Wstał z miejsca.

- W środę wezmę chłopców na basen.

Ubrał się, pożegnał z dziećmi i pojechał do siebie.

Po drodze wstąpił do monopolowego pod blokiem, kupił cztery dębowe mocne i zupkę chińską na kolację. Puste mieszkanie i cisza sprawiały, że czuł się nieswojo.

Odłożył pusty talerz do zlewu, gdzie zebrała się już spora kupka brudnych naczyń. Nie chciało mu się zmywać. Zamiast tego otworzył kolejną puszkę. Włączył telewizor, ale zerkał bezmyślnie przez okno i czekał, aż fala bólu rozleje się po całym jego ciele.

Zasnął przy trzecim piwie.

Śniło mu się, że do pokoju wszedł podpalacz. Z kieszeni kurtki wyciągnął kanister i oblał

benzyną całe mieszkanie, łóżko i jego samego. Benzyna wbijała się w nozdrza ostrym zapachem. Mortka miał kontrolę nad całym swoim ciałem. Mógł zrobić wszystko. Ale nie zrobił nic. Obserwował tylko, jak podpalacz rzuca zapalkę i płomienie ogarniają wszystko wokół. Leżał bez ruchu, pełen spokoju, a ogień pożerał jego ciało.

Rozdział 18

Obudził go włączony telewizor. Lecił program śniadaniowy, w którym jakiś lalusiowaty prezenter narzekał, że po raz kolejny mamy poniedziałek i do weekendu zostało jeszcze pięć dni, a potem zapowiedział gościa. Mortka wyłączył odbiornik.

Poszedł do lodówki, ale nie znalazł tam żadnego jedzenia. Przypomniał sobie, że dzień wcześniej nie zrobił zakupów. Wypił więc tylko kawę i postanowił, że kupi śniadanie w drodze do pracy.

Gdy jechał na komendę, rozmyślał o maklerce Kameron. Gdzieś miał jej wizytówkę.

Zastanawiał się, czy nie powinien do niej zadzwonić, spróbować się umówić na kolację czy po prostu na wspólne wyjście do kina. Może by się udało. Zarabiała pewnie tyle, że stan jego portfela nie będzie dla niej istotny, a co do kwestii mieszkaniowych, to pewnie uda mu się zataić, że musi wynajmować mieszkanie ze studentami.

Ten pomysł mu się spodobał.

Zadzwonił telefon. Przez chwilę szukał go po kieszeniach kurtki. Odebrał niechętnie.

- Komisarz Jakub Mortka, słucham?

- Starszy szeregowy Grzegorz Kazań z tej strony. Dzwonię, żeby powiedzieć, że znaleźliśmy tę dziewczynę, Agnieszkę Krajan.

Mortka wstrzymał oddech, a w głowie pojawił mu się obraz martwego ciała dziewczyny leżącego na skraju szosy katowickiej.

- Co z nią? - wydusił z siebie pytanie.

- Nic, panie komisarzu. Jest cała i zdrowa. Drapnęliśmy ją, jak szła na zajęcia na uniwerku.

Kamień spadł mu z serca.

- Gdzie jesteście?

- Przy uniwerku, panie komisarzu.

- Przyprawdźcie ją do mnie, do pałacu Mostowskich. Zaraz tam będę.

- Tak jest, panie komisarzu.

Na komendę dojechał w niecałe piętnaście minut. Biorąc pod uwagę lód na drodze i poranny tłok, był to bardzo dobry czas. W trakcie jazdy parę razy mocniej się spocił i musiał wysłuchać wściekłego trąbienia innych kierowców.

Do biura przybiegł prosto z parkingu, omijając kilku zdziwionych i rozbawionych znajomych z pracy. Agnieszka już na niego czekała w asyście dwóch młodych policjantów.

Rozmawiali, dowcipkowali, jakby się znali od dawna. Na jego widok dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Poczul ulgę. Była cała, zdrowa, bezpieczna.

- Kuba! Cześć!

- Komisarz Jakub Mortka - przedstawił się policjantom i na wszelki wypadek pokazał im legitymację. - Możecie odejść. Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy, panie komisarzu - rzucił jeden z chłopaków.

Zasalutowali mu nieoczekiwanie, a jeden z nich puścił oko do Agnieszki.

- Chodźmy do mnie - powiedział Mortka.

Poprowadził ją do pokoju. Pozwolił, żeby usiadła na jego miejscu. Kochana jeszcze nie było.

- Chcesz kawy albo herbaty? - zapytał.

- Nie. Dziękuję. Czemu mnie tu ściągnąłeś? Nie zapłaciliśmy za czynsz czy coś takiego? Zapłacimy, jak będziemy mieć kasę. Serio.

Minęły dwa dni, a ona nic nie wie - ta myśl przeraziła Mortkę i zdał sobie sprawę, że za

żadne skarby nie może powiedzieć Agnieszce o zabójstwie Piotra. Nie chciał patrzeć na łzy spływające ciemnym od rozmazanego tuszu strumieniem po białych policzkach. Musiał się jednak zdradzić spojrzeniem albo wyrazem twarzy, bo dziewczyna zbladła.

- Coś się stało - stwierdziła.

Przytaknął.

- Piotr nie żyje - powiedział.

Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Znaleźliśmy jego ciało w sobotę rano. Przykro mi.

Wybuchła płaczem.

Przytulił ją mocno i pozwolił, żeby wyłakala się na jego ramieniu. Szlochała cicho, trzymając go za rękaw swetra.

- Wiedziałaś. - szepnęła w pewnym momencie.

Nie potrafiła powstrzymać łez, a jej całe ciało drżało.

Mortka delikatnie głaskał ją po głowie. To było jedyne, na co się zdobył.

Kochan stanął zaskoczony w drzwiach. Mortka gestem nakazał mu wyjść. Podkomisarz zniknął na chwilę, żeby wrócić z dwoma kubkami herbaty. Postawił je na stoliku i opuścił biuro.

Agnieszka doszła do siebie dopiero po kwadransie. Mortka przysunął do niej krzesło Kochana, usiadł i wyciągnął notatnik.

- Musisz mi teraz odpowiedzieć na kilka pytań, rozumiesz?

- Tak - szepnęła.

Była wyczerpana, ale wydawała się przytomna. Oceniał, że jest w stanie udzielić mu paru podstawowych informacji.

Na bardziej szczegółowe przesłuchanie przyjdzie czas, kiedy odpocznie.

- To bardzo ważne. Odpowiadaj powoli, jeśli musisz, to się zastanów. Dobrze?

- Aha. Mogę prosić o chusteczkę?

Mortka przeszukał kieszenie, ale nie znalazł żadnej. Z szafki w biurku wyciągnął rolkę papieru toaletowego i postawił przed dziewczyną.

- Przepraszam, ale nic więcej nie mam.

- Nie szkodzi.

Oderwała kawałek rolki i wydmuchała nos.

- Musisz mi teraz opowiedzieć, co się z wami działo od środy.

Oddychała przez chwilę głęboko.

- Przestraszyliśmy się. - zaczęła powoli, jakby słowa umykały jej spod języka. - Jak wyszedłeś, to baliśmy się, że ci ludzie wrócą. Spakowaliśmy trochę rzeczy i uciekliśmy.

- Gdzie mieszkaliście przez ten czas?

- W hostelu. Jest taki jeden na placu Dąbrowskiego, niedaleko ambasady Włoch.

Ambasada mieściła się w samym centrum miasta, tylko stację metra od Komendy Stołecznej. Miałem ją cały czas tak blisko siebie - pomyślał Mortka.

- Co robiliście?

- Zastanawialiśmy się, od kogo pożyczyć kasę na spłatę długu. Ani jego rodzice, ani moi nie mają takich pieniędzy. Poza tym nie zamierzaliśmy ich w to mieszać. Nie chcieliśmy też wyjeżdżać z Warszawy. Oboje mamy tu studia. - W jej głosie pojawił się histeryczny ton.

Mortka podał jej herbatę. Wzięła kubek z wdzięcznością. Trzymała go w dłoniach, próbując się uspokoić.

- Poszedł sobie w piątek - kontynuowała po chwili. - Myślałam, że może sam uciekł, gdzieś pojechał. Do tego Wrocławia, o którym mówiłeś. Trochę się niepokoiłam, ale byłam

pewna, że w końcu się odezwie, a on...

Znowu się rozplakała.

- Nie myśl teraz o tym - powiedział komisarz.

Położył rękę na jej dłoni i delikatnie ścisnął.

- Gdybym wcześniej do ciebie przyszła. - szepnęła.

- Nic by to nie zmieniło. Skup się teraz i odpowiadaj na moje pytania, rozumiesz? To naprawdę bardzo, bardzo ważne.

- Tak.

- Napij się herbaty.

Zrobiła, co jej kazał.

- Czy Piotrek miał dłużni u innych osób? - zapytał Mortka.

- Nic o tym nie wiem. Nie mówił. - Zamilkła. - Może w banku - dodała. - Wspominał, że nie może wziąć kredytu studenckiego.

- Powiedziałaś, że poszedł sobie w piątek. Wiesz dokąd?

- Aha. Mówił, że już wie, skąd wziąć pieniądze. Że ma kumpla, który mu da te pięćdziesiąt tysięcy. Strasznie się tym podjarał.

- Znasz tego kumpla?

Kiwnęła głową.

- To taki jeden Paweł. Z naszych okolic. Trochę starszy od Piotrka.

- Jak ma na nazwisko?

- Nie wiem.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Aha. Nie znam adresu, ale byłam tam kiedyś i wiem, jak dojechać. To na Gocławiu.

Gocław, wielkie blokowisko, znajdowało się blisko miejsca odnalezienia zwłok. Był też motyw. Pieniądze, które ten Paweł miał z jakiegoś powodu dać Piotrowi. Pokłócili się.

Doszło do tragedii. To mogło mieć sens - pomyślał komisarz.

- Zaprowadzisz nas tam, dobrze?

- Dobrze.

- Jak wygląda ten Paweł? Możesz go pokrótce opisać?

Zamyśliła się. Raptem zamarła, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze strachu i zdziwienia.

Podniosła drżące ramię i palcem wskazała na wiszącą na korkowej tablicy fotografię tajemniczego mężczyzny spod domu Korzeniowskich.

- To jest Paweł - wyszeptała i znowu zaczęła szlochać.

W salce konferencyjnej byli już wszyscy: Kochan, Skalski, prokurator Szydłoń, Brodka.

Mortka wkroczył tam z taką miną, jakby wybierał się właśnie podbijać Afganistan.

- Przygotowałam portret psychologiczny - wyrwała się Brodka.

Mortka zignorował ją. Spojrzał na zegarek.

- Przekładam naradę na godzinę siedemnastą. Skalski, możesz wracać na Ursynów.

Kochan, ze mną. Panie prokuratorze.

Szydłoń spojrzał na niego pytająco.

- Mamy podejrzanego. Jeśli dopisze nam szczęście, to jeszcze dzisiaj znajdzie go pan w celi.

Prokurator był zaskoczony, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Będziemy potrzebowali prokuratorского nakazu przeszukania mieszkania - dodał Mortka.

- Proszę tylko podać adres, komisarzu, a wypiszę natychmiast - odpowiedział Szydłoń.

- Niestety, nie znamy. Proszę nie pytać dlaczego. Zrobimy je na razie na blachę.

- Jeśli to jest ten człowiek, to róbcie, co musicie. Jakby co, wszystko wam antydatuję.
Mortka poczuł nagle przyływ sympatii do prokuratora.

- Dzięki. Zbieramy się, Kochan.

Wyszli wspólnie z sali konferencyjnej. Mortka szybko wyjaśnił podkomisarzowi, jak przedstawia się sytuacja. Kochan tylko gwizdnął z uznaniem. Poszli po dziewczynę.

Agnieszka się pomyliła. Paweł wcale nie mieszkał na Gocławiu. Od blisko godziny włączyli się autem po uliczkach blokowiska, z trudem manewrując wśród zasypanych śniegiem samochodów. Komisarz na przemian obserwował ulicę i wskaźnik paliwa.

Pomyślał, że wkrótce będzie musiał zatankować. Agnieszka natomiast co chwila powtarzała, że to nie ta okolica. Mortka z trudem ukrywał rosnącą irytację, a Kochan wyciągnął komórkę i zaczął grać w węża.

- Oglądałeś mecz? - zapytał, nie odrywając wzroku o małego ekranu komórki.

- Mecz? A kto grał?

- Nie wiem. Legia? - zaryzykował podkomisarz. - Chuj. Przecież ja się nawet piłką nożną nie interesuję - zreflektował się nagle.

Mortka wjechał w kolejną uliczkę.

- To tutaj? - zapytał siedzącą na tylnym siedzeniu dziewczynę.

Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył, że Agnieszka po raz kolejny kręci przecząco głową. W jej oczach pojawiły się łzy, a drobne dłonie z pomalowanymi na czarno paznokciami zdrząły.

- Wracajmy już, Kuba. To nie ma, kurwa, sensu - powiedział Kochan.

Mortka zagryzł wargi. Byli blisko, a mimo to nie potrafili znaleźć podpalacza. Chciało mu się aż wyć z wściekłości.

- To tutaj? - zapytał po raz kolejny grobowym głosem.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna. - To nie tutaj! Przecież mówię, że to nie ta okolica!

- Mówiłaś, że to tutaj! Miał być Gocław i jest Gocław!

Zahamował i odwrócił się do Agnieszki. Dziewczyna była blada. Łzy spływały jej po policzkach.

- To nie tutaj - powtórzyła i opuściła głowę.

Mortka poczuł, że robi się czerwony ze wstydu.

- Przepraszam - szepnął.

- To nie tutaj.

- Wracamy już? - włączył się Kochan.

Komisarz nie odpowiedział. Przycisnął pedał gazu i wyjechał na ulicę Fieldorfa. Pas w stronę Wału Miedzeszyńskiego był zakorkowany, więc skierował się na Ostrobramską.

Agnieszka w milczeniu patrzyła przez okno.

Kiedy przejeżdżali obok wielkiego centrum handlowego Promenada ożywiła się.

- Tu mieszka Paweł - oznajmiła.

Mortka zwolnił. Kochan odłożył telefon i odwrócił się do dziewczyny.

- Tutaj?

- Tak. Gdzieś tutaj - przytaknęła Agnieszka.

- To Praga Południe, a nie Gocław - powiedział z wyrzutem Kochan.

- Nie wiedziałam - jęknęła. - Ktoś mi mówił, że to Gocław.

- Przyjezdni. Dwie ulice na krzyż, a...- Przestań, Kochan - uciszył go Mortka. - Gdzie mam jechać?

- Chyba tutaj. - Agnieszka wskazała na boczną ulicę od Ostrobramskiej.

Komisarz jechał zgodnie z jej instrukcjami. Z każdym przejechanym metrem

rozpoznawała kolejne miejsca, domy, sklepy.

Mortce ulżyło. Bał się, że Agnieszka nie pamięta, gdzie mieszka jej kolega albo po prostu zmyśla. A wtedy szukaj wiatru w polu. Sam Gocław zamieszkiwało ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Małe miasteczko. Chociaż w małym miasteczku było o tyle łatwiej, że wszyscy wszystkich znają. A tymczasem na blokowisku mieszkała anonimowa masa. Próba znalezienia w niej kogokolwiek przypominała szukanie igły w stogu siana.

Wkrótce zajechali pod trzypiętrowy szary blok przy jednej z bocznych uliczek. Mimo wczesnej pory z trudem znaleźli miejsce do parkowania.

- To tutaj - stwierdziła dziewczyna.

- Jesteś pewna? - zapytał Mortka.

Przytaknęła.

- Która klatka?

Bez wahania wskazała pierwszą od lewej. Podeszli do drzwi i Kochan nacisnął przypadkowy numer na domofonie. Po kilku próbach, ktoś podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Dzień dobry. Ja z pizzerii. Mogę ulotki rozłożyć?

Anonimowy mieszkaniec otworzył im drzwi.

Weszli do środka. Klatka schodowa była ładna, świeżo odmalowana i zadbana.

Żadnych śmieci, papierosów, pustych puszek po piwie. Pachniało umytą podłogą. Agnieszka poprowadziła policjantów na pierwsze piętro i wskazała na pierwsze drzwi po lewej stronie.

Komisarz nacisnął dzwonek. Potem jeszcze raz. Nikt nie otwierał.

- Może chłopak jest w pracy - zasugerował Kochan. - Nie ma jeszcze pierwszej.

- To możliwe - przyznał Mortka.

Przyjrzał się zamkom. Standardowe zamknięcia, łatwe do pokonania. Pogrzebał w kieszeni kurtki i w końcu wyciągnął wytrychy.

- Zamierzasz się włamać? - zapytał Kochan z niedowierzaniem.

- Nie martw się - uspokoił go Mortka. - W razie czego biorę to na siebie.

- Nie podoba mi się to.

- To nie patrz.

Kochan wzruszył ramionami i odwrócił się plecami.

Mortka zrobił głęboki wdech i zabrał się do pracy. Nie czuł zamka tak dobrze jak kiedyś. Bał się, że może złamać wytrych. Wkrótce usłyszał charakterystyczny chrzęst i drzwi były otwarte. Wyciągnął z kieszeni kurtki gumowe rękawiczki, założył je i wszedł do środka.

To była zwykła, niewielka kawalerka. Pod jedną ze ścian stała rozkładana sofa, pod drugą stół, telewizor, szafa i regał z kilkoma książkami. Jak na mieszkanie samotnego mężczyzny panował tam niezwykle porządek. Żadnych brudnych naczyń w zlewie, butelek po piwie na podłodze, starych gazet i pudełek po pizzy na stole. Nie było nawet pełnej petów popielniczki na oknie. Uwagę Mortki zwrócił jednak przede wszystkim zapach - wyraźnie wyczuwalna woń benzyny, oleju, chemikaliów, która wydobywała się z okolic szafy wnękowej.

- Dziewczyna powinna poczekać na zewnątrz - powiedział komisarz.

Agnieszka spuściła wzrok zakłopotana.

- A co będzie, jeśli pojawi się podejrzany? - zapytał Kochan.

- Słusznie. Zostańcie tutaj. Pilnuj, Kochan, żeby niczego nie dotykała.

- Nie jestem dzieckiem - oburzyła się dziewczyna. - Mogę wyjść na zewnątrz. Nic mi się nie stanie.

- Czekaj tutaj - rozkazał jej Mortka.

Czuł wyraźnie, że jest w mieszkaniu podpalacza, którego szukał od ponad tygodnia. Nie mógł tego zepsuć. Otworzył szafę. W środku znalazł podejrzanie mało ubrań. Stare spodnie, kilka koszulek, bluza. Żadnej bielizny. To go zaniepokoiło, ale nie dał nic po sobie poznać.

Na dnie szafy były ułożone butelki z chemikaliami: benzyna, kanister z olejem silnikowym, pojemnik z, jak głosiła etykieta, chloranem potasu, inne odczynniki chemiczne oraz buteleczka z kwasem siarkowym. Odetchnął głęboko. Teraz miał pewność.

- Kochan. Weź Agnieszkę do samochodu i wezwij chłopaków z laboratorium. Prowadź obserwację.

- A ty?

- Zostanę tutaj.

- Masz broń?

- Tak.

Podkomisarz wziął dziewczynę pod ramię i delikatnie, ale zdecydowanie, wyprowadził z mieszkania.

Mortka tymczasem przyjrzał się książkom na półce. Były tam głównie starsze tytuły: *Pan Tadeusz*, *Na barykadach Warszawy* Komornickiego, oprócz tego kryminał Cobena, *Kod Leonarda da Vinci*, *Harry Potter* i kilka innych pozycji. Mortkę najbardziej zainteresowały podręczniki do chemii dla starszych klas liceów oraz studentów. Przejrzał je pobieżnie i zauważył, że ktoś zaznaczył fragmenty poświęcone produkcji materiałów wybuchowych.

Kartki były brudne, rogi zagięte. Z tych książek zapewne często korzystano.

Obok książek leżała niewielka sterta płyt. W większości oryginalnych. Doda, Gosia Andrzejewicz, Feel, coś Kazika, najnowsza Chylińska i dwie płyty Klaudii Klau. Jedna miała autograf - wyraźny, wykonany grubym mazakiem podpis: „Klaudia Kameron” na okładce.

Ciekawe, czy ten cały Paweł wiedział, że podpala dom swojej idolki? - pomyślał Mortka.

W mieszkaniu nie znalazł żadnych rzeczy osobistych: dokumentów, zeszytów, zapisków, zdjęć czy pamiątek z wakacji. To go jeszcze bardziej zaniepokoiło niż brak ubrań w szafie. Nie było również komputera.

Po chwili usłyszał stanowcze pukanie do drzwi. Wahał się, ale jednak poszedł otworzyć. Drzwi nie miały wizjera. Uchylił je delikatnie. Stało przed nim dwóch policjantów.

Jeden z nich trzymał dłoń na służbowej tonfie, gotowy w każdej chwili ją wyciągnąć. Mortka westchnął z ulgą. Dopiero teraz zauważył, że spocły mu się dłonie, a serce biło szybciej.

Otworzył drzwi na oścież.

- Dzień dobry - powiedział starszy z policjantów. - Pan tu mieszka?

- Nie.

Zauważył, że funkcjonariusz się nie przedstawił, jak powinien. To było podejrzane.

- To co pan tu robi?

- A co wy tu robicie?

Policjanci spojrzeli po sobie, a Mortka natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Nikt nie zawiadomił miejscowych, że komisarz jest w środku. Młodszy funkcjonariusz wyciągnął pałkę.

- Proszę wyjść z mieszkania i odwrócić się twarzą do ściany. Ręce na kark.

- To nie jest tak, jak myślicie, chłopaki. - Mortka sięgnął po portfel do kieszeni kurtki, żeby pokazać im legitymację. Równocześnie bezmyślnie odsłonił kaburę z pistoletem.

Reakcja patrolowego była błyskawiczna. Uderzył pałką w zgięcie kolana i komisarz z krzykiem upadł na ziemię. Jeden z funkcjonariuszy wylądował na jego plecach, boleśnie

wykręcił mu ramiona i błyskawicznie skuł kajdankami. Potem obrócił go i sprawdził, co Mortka ma w kieszeni. Wyciągnął broń, a następnie portfel. Kiedy zobaczył legitymację policyjną, natychmiast zbladł.

- Kurwa mać. - jęknął.

- Co jest? - zainteresował się drugi.

Zajrzał koledze przez ramię.

- *Fuck* - sapnął, kiedy zdał sobie sprawę, kim jest zakuty przez nich mężczyzna.

- Pomóście mi wstać - warknął Mortka.

Zrobili, co kazał. Otrzepali mu kurtkę i zdjęli kajdanki.

- Przepraszam, panie komisarzu - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Ale mieliśmy wezwanie, że ktoś się włamuje do tego mieszkania.

Mortka prawie go nie słyszał. Jęknął i łzy napłynęły mu do oczu. Ból w lewej nodze pulsował tak mocno, że ledwo mógł myśleć. Nie potrafił ustać i musiał się oprzeć o ścianę.

Miał nadzieję, że nic mu się nie stało.

- I od razu bijecie podejrzanych? - zapytał ostro.

- Wie pan, komisarzu, jak to jest.

- Nie wiem, kurwa, jak to jest! - wrzasnął na nich tak głośno, że słyszała go cała klatka.

Speszeni policjanci spuścili głowy. Mortka sapnął ciężko. Wyrwał im z dłoni portfel, a potem broń. Był wściekły. Także na siebie. Powinien wcześniej sam zadzwonić na miejscowy komisariat i powiadomić ich o obserwacji.

- Dobra. Jak już tu jesteście, to przydajcie się do czegoś, matoly.

- Ale panie komisarzu, my mamy... - zaczął patrolowy, ale przerwał, kiedy kolega wymierzył mu kuksańca w bok.

- Na dole czeka mój kolega, podkomisarz Dariusz Kochan. Siedzi w samochodzie. Jest z nim dziewczyna. Pójdźcie do niego, ale dyskretnie, że niby mu dajecie mandat czy upomnienie. Cokolwiek. Niech wam wskaże sektor do obserwacji. Powie wam również, kogo szukam. Rozumiecie czy mam wam to gdzieś zapisać?

- Rozumiemy, panie komisarzu.

- No to sio. I dajcie tam znać u siebie, że tutaj nie ma żadnego włamania, zanim przyjdzie tu kolejny patrol kretynów.

- Tak jest, panie komisarzu.

Policjanci pośpiesznie uciekli z klatki. Mortka rozmasował bolącą nogę i wrócił do mieszkania.

Posiedział trochę na sofie, a potem przechadzał się po mieszkaniu, uważając, żeby nie stanąć przy oknie. Nie chciał, żeby podpalacz zauważył go z podwórka. Ból nogi ustawał, więc nie było z nią aż tak źle. Zostanie potężny siniec, ale chyba nie stało się nic poważnego.

Jutro będzie mógł normalnie chodzić, być może nawet biegać. Mimo to z minuty na minutę czuł się coraz gorzej i bardziej niepewnie. Narastał w nim niepokój, którego nie potrafił się pozbyć. Poszedł do łazienki i zbadał jej wnętrze. Zaklął cicho i stłumił chęć, żeby uderzyć pięścią w lustro. Już wiedział, że jego najgorsze obawy się spełniły. W mieszkaniu brakowało nie tylko ubrań, rzeczy osobistych, zdjęć, ale nawet szczoteczki do zębów i maszynki do golenia. A to mogło oznaczać tylko jedno. Podpalacz już się tu nie pojawi.

Mężczyzna gratulował sobie przezorności. Od czasu wizyty Piotrka, jego absurdalnego domagania się pięćdziesięciu tysięcy złotych i dużo mniej absurdalnego szantażu, spodziewał

się, że coś takiego może się zdarzyć. Dlatego też od piątku najpotrzebniejsze rzeczy trzymał

w samochodzie. Dokumenty, ubrania, pieniądze, laptopa. Mógł uciekać w każdej chwili.

Przez weekend nic się nie zdarzyło, więc był przekonany, że jego plan, choć wymyślony na poczekaniu, się powiodł. Ciało Piotrka spłonęło na popiół albo przynajmniej na tyle, że nikt nie jest w stanie go rozpoznać. Zabrał mu przecież dowód osobisty i prawo jazdy, które później pociął na kawałki i wyrzucił do kilku przypadkowych śmietników w centrum miasta i na Pradze. Oczywiście nie wykluczał, że mógł coś przeoczyć, popełnić błąd.

Musiał w końcu działać w pośpiechu, do którego nie przywykł. Dlatego też przewidywał, że policja może się u niego pojawić już w sobotę. Tak się jednak nie stało. Nie przyszli ani w sobotę, ani w niedzielę. Założył zatem, że może czuć się bezpiecznie. A jednak, i z tego był dumny, nie wypakował rzeczy z samochodu, nie zaczął świętować sukcesu, tylko wziął urlop, załatwił wszystkie zaległe sprawy i mógł teraz ulotnić się z miasta na całe dwa tygodnie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Podjechał pod dom, żeby ostatecznie się spakować. Nie wysiadł jednak od razu.

Obserwował uważnie okolicę. Najpierw do jego klatki weszli dwaj umundurowani policjanci.

To wydało mu się niezwykle. Nie mieszkał tam żaden pijak, nie było żadnych patologicznych rodzin ani złodziei. Wprawdzie nie znał wszystkich i powód wizyty policjantów mógł nie mieć z nim nic wspólnego, ale mężczyzna postanowił jeszcze chwilę poczekać.

Kiedy tak siedział w samochodzie, zaczęły dręczyć go wątpliwości. Rozważał, czy nie powinien wysiąść z auta, pobiec do klatki, znaleźć funkcjonariuszy i przyznać im się do tego, co zrobił. Opowiedziałby im wszystko, od początku do końca. O podpaleniach, o Kameronie, i o tym, że wcale nie chciał zabijać ani tych chłopców, ani Piotrka.

A jednak kiedy policjanci wreszcie wyszli, wyraźnie przestraszeni i zdenerwowani, nie ruszył się z miejsca.

Przypomniawszy sobie, że przecież jeszcze wszystko może się dobrze skończyć i za miesiąc, dwa, będzie leżał na hiszpańskich plażach.

Policjanci podeszli do stojącego nieopodal samochodu. W środku siedział mężczyzna o niesympatycznej twarzy oraz dziewczyna. I to ona zwróciła jego uwagę. Drobną, czarnowłosa, bladą. Znał ją.

- Agnieszka - szepnął.

Teraz miał pewność. Znaleźli go. Jakimś cudem go znaleźli. Ta myśl, o dziwo, nie była taka straszna. Wiedział już, na czym stoi. Nie musiał się niczego domyślać.

Włączył kierunkowskaz i wyjechał na ulicę. Przejechał obok pojazdu z policjantem i Agnieszką w środku. Powstrzymał pokusę, żeby na nią spojrzeć. To byłoby ryzykowne, mogłaby go zauważyć.

Obserwował w lusterku, czy nikt za nim nie jedzie. Gdy w końcu upewnił się, że nie jest śledzony, uśmiechnął się i docisnął pedał gazu.

Był bezpieczny.

Mortka siedział bez ruchu, kiedy Gruda rzucał się od ściany do ściany jak tygrys w za małej klatce, a podinspektor Andrzejewski starał się ukryć za ekranem laptopa. Szef wydziału wyrazem twarzy i postawą dawał wyraźny znak, że wolałby być gdzieś indziej, gdzie nie musiałby rozwiązywać tego sporu. Mortce natomiast było wszystko jedno. Potwornie się rozczarował. Miał podpalacza tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, a jednak nie udało mu się go złapać. Skurwysyn w jakiś sposób przewidział, że po niego przyjdą, i uciekł.

- Skończmy to wreszcie i wracajmy do pracy - westchnął ciężko komisarz.

Tych kilka słów wystarczyło, żeby Gruda cały spurpurowiał.

- Ty bezczelny dupku! - wybuchnął.

Najchętniej rzuciłby się na Mortkę z pięściami.

- Komisarzu! Bez takich epitetów - upomniął go Andrzejewski, ostrożnie wychylając się ze swojej kryjówki.

Gruda otworzył usta, żeby coś odwarknąć, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i zacisnął zęby.

- Kuba, co masz na swoje usprawiedliwienie? - zapytał podinspektor.

Mortka wzruszył ramionami.

- Prowadziłem śledztwo.

- Moje śledztwo! - warknął Gruda.

- Szydłoń o wszystkim wiedział i na wszystko się zgodził.

Andrzejewski zdecydował się wreszcie niechętnie zmierzyć z tą sytuacją. Musiał wziąć stronę albo Mortki, albo Grudy. Zwykle podobne spory kompetencyjne rozstrzygał bez zbędnego namysłu. Tym razem sprawa przedstawiała się inaczej. Miał przed sobą swoich dwóch najlepszych policjantów, których zaangażowanie w pracę było tak wielkie, że nawet podinspektor niejednokrotnie zastanawiał się, czy są oni do końca normalni. Zamiast jednak współpracować, rzucali się sobie do gardeł przy każdej nadarzającej się okazji. Nie potrafił

tego w żaden sposób zrozumieć.

- Tak się składa, Kuba, że rozmawiałem z Szydłoniem. Powiedział mi, że nie podałeś mi wszystkich informacji - odezwał się po chwili namysłu.

Mortkę aż zatkalo.

- Co!? Kłamie. Wiedział o wszystkim!

- On twierdzi coś innego. A Gruda ma rację.

Mortka spojrzał na Andrzejewskiego zdumiony.

- Obie sprawy się zająbiają - zaprotestował.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś? - zapytał Gruda. - Przed czy po tym, kiedy przesłuchałeś kluczowego świadka w mojej sprawie?

- Kuba? - Andrzejewski podchwycił pytanie.

- Grudy nie było nigdzie w pobliżu. Nie mogłem czekać.

- Nie było mnie w pobliżu!? A czy ty mnie w ogóle szukałeś?

Brak odpowiedzi Mortka uznał, za najlepszą możliwą odpowiedź.

- To nie pierwszy raz. - Gruda patrzył prosto na Andrzejewskiego. - Do Zająca wpadł, pobił go i zatrzymał bez konsultacji ze mną. A potem to ja się będę musiał tłumaczyć z brutalnego zachowania policji przed prokuratorem, sądem i cholera wie kim jeszcze.

Poszukiwania dziewczyny prowadził oczywiście również bez mojej wiedzy.

- I dlatego być może były skuteczne - zauważył Mortka.

Tym razem to Gruda stwierdził, że najrozsądniej będzie zignorować uwagę przeciwnika.

- Bez mojej wiedzy ją przesłuchał - ciągnął niezrażony - bez mojej wiedzy i konsultacji ze mną jeździł z nią po całym mieście, a potem włamał się do mieszkania domniemanego sprawcy i wdał się w awanturę z policją z Pragi Południe. Nie wiadomo, co robił w tym mieszkaniu i ile śladów zatarł przy okazji. Tak się nie da, szefie - powiedział starszy policjant, nie spuszczać oka z Andrzejewskiego. - Albo ja, albo on. Kogo wybierasz?

Ultimatum Grudy zaskoczyło Mortkę. Spodziewał się mniej lub bardziej gwałtownej i uzasadnionej krytyki. Ale nie tego.

Andrzejewski natomiast kiwnął głową, jakby właśnie czegoś takiego oczekiwał.

Komisarz zaczął podejrzewać, że podinspektor już wcześniej się zastanawiał, jak ma odpowiedzieć na takie pytanie. A to oznaczało, że wiedział, że ono padnie.

- Gruda ma rację - powiedział ciężko Andrzejewski. - Przykro mi, Kuba.

Dopiero po chwili dotarł do niego sens tych słów. Poderwał się z krzesła.

- Co!? Odbierasz mi tę sprawę?

- Tak, Kuba. Odbieram ci tę sprawę. Sam stwierdziłeś, że oba śledztwa się zająbiają. W takim wypadku powinniście ze sobą współpracować. A ty najwyraźniej tego nie potrafisz.

Andrzejewski miał pewny siebie, zdecydowany głos. Naprawdę musiał podjąć tę decyzję wcześniej. Gruda zdążył go urobić, zanim jeszcze wezwano Mortkę. Komisarz poczuł, jak krople potu występują mu na czoło. Wiedział, że znajduje się na polu minowym i każdy fałszywy krok, jedno nieodpowiednie słowo, może go drogo kosztować.

- To niemożliwe - powiedział powoli. - Prowadzę ją od samego początku. Nie możesz mi jej zabrać w tym momencie.

Andrzejewski pozostał niewzruszony.

- Niestety, Kuba. Z powodu śmierci Piotra Stelmacha traktujesz to śledztwo zbyt osobiście. To nieprofesjonalne.

- Gówno prawda.

Gruda prychnął lekceważąco.

- Wyłączam cię, Kuba - powtórzył twardo podinspektor. - Pogódź się z tym.

Mortka obrócił się ku Grudzie. Mógł przysiąc, że stary policjant uśmiechał się drwiąco.

- O co chodzi, Gruda? Masz za słabe wskaźniki wykrywalności? Brakuje ci sukcesów?

To dlatego poczekałeś, aż ja rozwiążę tę sprawę, a teraz mi ją zabierasz? O to chodzi, ty siwy sukinsynu?

- Kuba!

Andrzejewski walnął pięścią w biurko.

- Dość tego! Ja tu podejmuję decyzje! A od tej chwili śledztwo w sprawie podpalacza i mordercy Piotra Stelmacha prowadzi komisarz Gruda. Jasne?

- Jestem w tym od początku! Tylko ja mam pełną wiedzę.

- A Kochan? - wtrącił się Gruda.

- Właśnie, a Kochan?

Mortka poczuł, że opuszczają go siły. Nie potrafił się już bronić. Machnął tylko ręką i opadł na krzesło.

- Czyli już postanowione? - zapytał.

Andrzejewski przytaknął.

- Postanowione. Gruda przejmuje śledztwo, a Kochan będzie mu pomagał. Jeśli zajdzie potrzeba, masz współpracować z Grudą, odpowiadać na wszelkie pytania i podzielić się informacjami na temat śledztwa - zawiesił głos na chwilę i wychylił się w stronę komisarza. -

To rozkaz, rozumiesz?

Mortka zasalutował nonszalancko.

Gruda wyszedł pierwszy. Dopiero, kiedy zamknęły się za nim drzwi, komisarz wstał z miejsca.

- Dlaczego, podinspektorze?

Andrzejewski zrobił nieokreślony ruch dłonią.

- Zachowałeś się nieprofesjonalnie, Kuba - przyznał wreszcie. - I tyle. Jesteś świetnym policjantem, jednym z najlepszych, jakich tutaj mam, ale czasami mam wrażenie, że jeszcze nie dorosłeś. To wszystko. Gruda jest do ciebie podobny. Obaj macie ten sam błysk w oku, obaj jesteście gotowi wypruć sobie żyły, żeby tylko rozwiązać sprawę, ale on już swoje przeszedł i wie, jak postępować. Ty nie. I tyle, Kuba, nie ma w tym żadnego podtekstu.

Zrobił pauzę. Mortka uśmiechał się krzywo.

- To jest ważne śledztwo. Bardzo ważne - kontynuował Andrzejewski. - Codziennie komendant dopytuje się, czy już złapaliśmy sprawcę. Nie mogę pozwolić, żebyś ją spartolił.

Będziemy cię oczywiście informować o postępach.

Mortka tylko pokręcił głową.

- Jutro masz wolne, Kuba - powiedział podinspektor na pożegnanie. - Odpocznij trochę.

Złap oddech. W środę znajdziemy ci coś do roboty.

- Jasne - odparł komisarz.

Wyszedł z gabinetu szefa. Potem wziął swoje rzeczy i pojechał do domu. Zjadł obiad i położył się spać.

Obudził się, bo usłyszał hałas. Wstał po cichu, wziął pistolet i go odbezpieczył. Po ostatnich przeprowadkach z Borzestowskim spodziewał się już wszystkiego. Otworzył z impetem drzwi do pokoju. Jakaś dziewczyna - chuda blondynka z piersiami w kształcie trójkątnych pagórków, w długim, wyciągniętym swetrze - krzyknęła na jego widok i upuściła torbę z książkami. Mortka dopiero po chwili zauważył Agnieszkę, która stała obok z plecakiem w rękach. Opuścił broń.

- Agnieszka - powiedział.

- Cześć - szepnęła. - To Ola.

Ola dygnęła lekko. Miała kolczyk w dolnej wardze i chyba też w języku, bo zauważył srebrny błysk w jej na wpół otwartych ustach. Wpatrywała się w broń komisarza.

- Co robisz? - zapytał Mortka.

- Przyjechałam po swoje rzeczy. Zamieszkać u Oli.

Blondynka raz jeszcze dygnęła przestraszona.

- Zostawiłaś swoje zamiary na komendzie?

Od razu pożałował tych słów. Działał zbyt mechanicznie. Powinien powiedzieć, że się o nią martwił przez ostatnie dni, że wcale nie musi się przeprowadzać, że jest mu przykro.

- Zostawiłam. Nieźle mnie tam maglowali.

- To konieczne.

- Wiem.

- Będziesz tu jeszcze mieszkać?

Zawahała się.

- Myślę, że nie - odpowiedziała powoli. - Możesz szukać nowych współlokatorów.

Poczuł żal, ale nie chciał tego okazać. Nie zdziwiła go jednak odpowiedź dziewczyny.

Na jej miejscu postąpiłby podobnie.

- Poszukam.

Blondynka podniosła opuszczoną torbę.

- Ten drugi policjant. Ten siwy. - zagadnęła Agnieszka.

- Gruda - domyślił się Mortka.

- Właśnie. To on mnie tak maglował. Strasznie niesympatyczny.

- To dobry policjant.

Nie wiedział, dlaczego bronił Grudy. To był chyba odruch. Gliniarska solidarność.

- Znajdziecie Pawła? Albo tego, kto zabił Piotrka?

- Znajdziemy.

- Przysięgasz?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Przysięgam.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Chciała usłyszeć te słowa. Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. Wytarła ją rękawem. Uścisnęła Mortkę na pożegnanie i szybko wyszła z mieszkania. Klucze zostawiła na szafce w przedpokoju. Zamknął za nią drzwi.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma wieczorem. Zebrał swoje rzeczy, ubrał się i także

wyszedł z mieszkania.

Kochan wrócił do domu przed dwudziestą trzecią - zły i zmęczony. Gruda nie chciał wypuścić go wcześniej. „Mamy sprawę do rozwiązania, podpalacza do złapania, rzeczy do sprawdzenia” - podkomisarz ciągle słyszał jego zrzędlawy głos w głowie. Po prostu nie mógł się od niego uwolnić, tak jak nie można się uwolnić od wakacyjnego hitu, którego się nienawidzi, ale mimo to i tak nuci się go bezwiednie pod nosem. Kochan wiedział, że pomoc może mu tylko kilka puszek piwa. Miał nadzieję, że znajdzie je w lodówce, chłodne i czekające na niego z utęsknieniem. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Żona przywitała go w przedpokoju. Przyjrzał się jej i usta same wykrzywiły mu się w grymasie niechęci.

- Kobieto, jak ty wyglądasz? Mogłabyś się przynajmniej umalować - powiedział.

- Kuba na ciebie czeka - weszła mu w słowo.

Zaskoczony Kochan kiwnął głową, zdjął szybko kurtkę i buty i przeszedł do dużego pokoju. Tam, przy stole, nad szklanką zimnej herbaty siedział komisarz Mortka.

- Kuba. - Kochan rozłożył ręce w geście bezradności. - Głupio, że ci zabrali tę sprawę.

Mortka zmrużył oczy i odchylił się lekko na krześle.

- Gruda jak zwykle się czepia - rzucił w stronę sufitu.

- Pojechałeś trochę po bandzie.

- Ale tylko trochę.

Kochan zajął miejsce obok komisarza.

- Aniu, przynieś mi piwo! - krzyknął w głąb mieszkania.

Po chwili pojawiła się jego żona, niosąc wojaka mocnego. Wziął od niej puszkę i otworzył, a natychmiast wybiły z niej kłęby białej piany. Podkomisarz zaczął ją spijać, siorbiąc przy tym głośno i klnąc w przerwach pomiędzy jednym łykiem a drugim. Ania tymczasem zamknęła się w pokoju dziecka.

- Po co przyjechałeś? - zapytał Kochan.

- Chcę trzymać rękę na pulsie. Dowiedzieć się, jak się rozwija śledztwo.

- Jasne. Nie ma sprawy.

- Ale najpierw. - Komisarz zawahał się. - Ania ma siniaki na ramionach.

Mortka uważnie obserwował reakcję kolegi. Kochan wypił trochę piwa.

- Naprawdę? Będę musiał zapytać, co się jej stało.

- Słuchaj, Darek.

- Nie - przerwał stanowczo Kochan. - To ty słuchaj. Wiem, do czego zmierzasz. Ale to jest bzdura. Rozumiesz?

Kochan spojrzał Mortce głęboko w oczy. To oskarżenie musiało go zabołec, bo jego wzrok zdawał się mówić, że jest przecież dobrym policjantem i komisarz nie powinien okazywać mu braku zaufania. A przede wszystkim nie powinien wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Jestem cholernie zmęczony, Kuba, cholernie - kontynuował Kochan, mając nadzieję, że delikatne drzenie głosu nie zdradzi jego wzburzenia. - I albo będziemy tracić czas na to, żebym tłumaczył ci, dlaczego twoje podejrzenia to stek bredni, albo porozmawiamy o śledztwie. Wybieraj. Byle szybko, bo chciałbym się położyć spać. Jutro od rana mam być w komendzie.

Kochan podniósł puszkę do ust. Upił dwa duże łyki.

- Pogadajmy w takim razie o śledztwie - powiedział komisarz po długiej i męczącej chwili milczenia. - Co ustaliliście?

Kochan odłożył piwo na stół i założył ręce za głowę.

- Po kolei. Mieszkanie jak zwykle nie należało do podejrzanego. Wynajmował je od niejkiej. - przymknął oczy, żeby odszukać w pamięci nazwisko - .Jolanty Rysik. Tak, chyba tak

się nazywała. Wszystko załatwiali na gębę. Nie podpisywali żadnych papierów ani nic takiego. Oczywiście nie zgłosiła tego do urzędu skarbowego. Podejrzany zachowywał się spokojnie. Nie urządzał głośnych imprez, nie pił, płacił w terminie. Na szczęście знаła jego nazwisko. Paweł Grocki. Ponieważ Agnieszka wiedziała, z jakiej wiochy się wywodzi, udało nam się ustalić jego PESEL, adres zameldowania i takie tam. Ma dwadzieścia siedem lat.

Rodzice rozwiedzeni. Ojciec w Londynie.

- Gdzie jest zameldowany?

- U mamusi. W jednej wsi pod Myszkowem. To w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

- Wiem, gdzie to jest - odburknął Mortka.

Kochan chwycił puszkę, postukał palcem w aluminium i nachylił się w stronę komisarza.

- Teraz mam dla ciebie prawdziwą bombę.

- Zamieniam się w słuch.

- Grocki służył w swoim czasie w Ochotniczej Straży Pożarnej.

Mortka gwizdnął cicho. To rzeczywiście była bomba. Nikt nie wie lepiej od strażaka, jak podłożyć ogień.

- Jak się tam sprawował?

- Nienaganny przebieg służby. Facet podobno był świetny. Kiedyś nawet uratował dziecko. Wiesz, dzieciaki chcieli zrobić sobie ognisko, a łąka była sucha. Zanim się zorientowali, wywołali pożar. Jeden chłopiec zgubił się w dymie i otoczył go ogień. Grocki go znalazł i wyniósł w bezpieczne miejsce. - Bohater.

- Aha - przytaknął Kochan. - Tak samo mówił komendant ochotniczej, z którym rozmawiałem. Twierdzi, że Grocki chciał przez chwilę pójść nawet na zawodowego, ale w końcu nawet nie przystąpił do egzaminów. Jednak w czasie służby odbył kilka specjalistycznych kursów.

- Co robił w Warszawie?

Mortka wyrzucał z siebie pytania automatycznie, właściwie bez zastanowienia, a podkomisarz równie automatycznie odpowiadał.

- Pracował w warsztacie samochodowym. Jest po technikum. W Myszkowie nie potrafił znaleźć pracy, wujek stąd załatwił mu fuchę u kumpla. Przyjechał cztery lata temu i został.

Podobno był świetnym pracownikiem. Sumienny, pracowity, obowiązkowy, uprzejmy, klienci go lubili.

- Ten wujek?

- Brat ojca. Umarł na raka rok temu. Ciotka od czasu pogrzebu nie widziała Grockiego. Nie mamy powodów, żeby jej nie wierzyć, ale na wszelki wypadek będziemy ją mieć na oku.

- Kumple?

- Sprawdzamy wszystkich. Głównie koledzy z pracy i klubu.

- Jakiego klubu?

- Trenował mieszane sztuki walki. Wiesz, te do klatek. Dużo tam podejrzanych typów.

Kibole Legii, którzy ćwiczą do ustawek, kolesie notowani za pobicia i sporo normalnych gości, którzy z jakiegoś powodu lubią, jak się ich pierze po mordzie.

Komisarz znał takie miejsca. Na salach treningowych śmierdziało stęchłym potem i świeżą krwią. W większości wypadków lepiej było się nie przyznawać, że pracuje się w policji, żeby ktoś „niechęcy” nie połamiał ci podczas sparingu nóg czy nie uderzył nieczysto w jądra.

- Ten Grocki miał dziewczynę?

- Chyba tak.

- Czyba?

- Koledzy tak podejrzewają, ale nikt tej babki nie widział na oczy, nikt nie wie, jak wygląda, kim jest. On sam nic o niej nie mówił. Ale wiesz, ładnie się ubierał, coś tam kupował. Kwiaty, sraty, duperele.

- Potajemny romans?

Kochan pokręcił głową.

- Moim zdaniem to pedał - rzucił. - Nie chwalił się, że ma faceta, bo ci wszyscy kibole z klubu zabiliby go przy pierwszej nadarzającej się okazji, a mechanicy samochodowi też nie należą do specjalnie tolerancyjnych. I słusznie.

Mortka nie miał nic przeciwko homoseksualistom, natomiast Kochan należał do osób, którzy na widok dwóch trzymających się za rękę mężczyzn dostają ataku agresji. Komisarza denerwowało takie gadanie, ale nigdy nie protestował. W policji, podobnie jak wojsku, jakiegokolwiek wyrażenie sympatii dla gejów było jak strzelenie sobie w stopę.

- Jeśli to prawda, to trzeba będzie sprawdzić środowisko - powiedział.

- Gorzej, jak był z tych, co mają bogatego sponsora. Wiesz, koleś był młody, wysportowany, przystojny. Niezły kasek dla jakiegoś starszego, bogatego pedzia z brzuszkiem.

Gej podpalacz. Brzmiało to niewiarygodnie i absurdalnie, ale kiedyś równie niewiarygodne wydawało mu się, że można kogoś zabić, bo wyczerpało mu się limit rozmów w telefonie komórkowym.

Szamanka mówiła, że podpalacz może mścić się za prawdziwe lub wydumane krzywdy, których doznał od mieszkańców okolicy, w której działał. Czy to o to chodziło? Czy mieszkał

tam ktoś, kto go kiedyś skrzywdził? Wykorzystał i zostawił? A może nienawidził heteryków?

Nie, to było po prostu głupie - pomyślał Mortka. Ale przecież Grocki musiał mieć jakiś motyw. Tego im brakowało do tej pory.

Znali sprawcę, ale nie wiedzieli, dlaczego podpalał domy. Co nim kierowało?

- Samochód?

- Stary opel astra z 1998 roku, kolor bordowy metalik. Tablice myszkowskie. Nie pamiętam numerów.

Mieli tego człowieka. Imię, nazwisko, samochód, PESEL, wszystko. Mortka poczuł się jednak jak maratończyk, który biegł po złoto, ale tuż przed metą potknął się o rozwiązana sznurówkę i dał się wyprzedzić całemu peletonowi. To on chciał złapać podpalacza. Dla synków Korzeniowskich, dla Piotrka i Agnieszki. A odebrano mu tę możliwość tuż przed finiszem.

- Rozmawiał ktoś z jego matką? - zapytał.

- Zawiadomiliśmy chłopaków z Myszkowa. Pojechali tam i pogadali z kobietą. Nie wiedziała, gdzie jest syn. Ostatni raz rozmawiała z nim tydzień temu przez telefon. Była wyraźnie przestraszona. Cały czas dopytywała się, o co chodzi. Kiedy jej powiedzieli, to się popłakała. Nie potrafiła uwierzyć, że jej dziecko, i takie tam dalej historie. Znasz je wszystkie.

- Znam - przyznał Mortka.

- Chłopcy z Myszkowa obiecali, że będą do niej zaglądać co jakiś czas.

Kochan pstryknął palcami, jakby nagle sobie coś przypomniał.

- A właśnie. Nasz typ wziął sobie urlop.

- Słucham?

- W sobotę zadzwonił do szefa i powiedział, że chce wziąć sobie dwa tygodnie wolnego. Dzisiaj pojawił się w pracy tylko na chwilę, żeby wypełnić i podpisać wniosek.

- Czyli wiedział, że będziemy go szukać - stwierdził ponuro Mortka.

Jego hipoteza się potwierdziła. Poczuł złośliwą satysfakcję, kiedy uświadomił sobie, że

Gruda będzie miał spore trudności ze złapaniem Grockiego.

- Możliwe, że wiedział - mruknął Kochan. - Na wszelki wypadek powiadomiliśmy Okęcie i inne lotniska oraz chłopaków na Dworcu Centralnym. Gruda urabia prokuratora, żeby wysłać za facetem list gończy. Szydłoń uważa jednak, że to przesada.

- Jeśli Grocki rzeczywiście poszedł w Polskę, to nie wiadomo, kiedy go złapiemy.

Kochan kiwnął głową i napił się piwa.

- Ktoś się wybiera do tego Myszkowa? - zapytał Mortka.

- Nie. Mamy za dużo roboty tutaj. Poza tym tamtejsi...

- Nie mam zaufania do tamtejszych - mruknął rozdrażniony komisarz. - Po pierwsze, sam wiesz, że policjanci z regionów nie lubią nas, z Warszawy, i olewają, kiedy tylko mogą.

Po drugie, to nie oni znaleźli trupa. Myślisz, że zależy im na schwytaniu tego faceta? Zrobią, co do nich należy, ale tylko tyle i jak najmniejszym nakładem własnych sił. Poza tym z tego, co kojarzę, chłopaki mają teraz pewnie inne rzeczy na głowie.

Gazety i telewizja od kilku dni trąbiły o gigantycznej awarii w tamtej okolicy, która odcięła tysiące osób od prądu. Sroga zima spowodowała, że na liniach energetycznych osadziły się zwały szronu, przez co najmniejszy powiew wiatru zrywał przewody, jakby były wykonane ze zwykłej włóczki.

- To co mamy zrobić?

- Daj mi adres tej kobiety. Pojadę tam jutro.

Kochan podniósł wysoko brwi w geście niedowierzania.

- Nie dość nabroileś, Kuba? - zapytał.

- Jutro mam wolne. Mogę robić, co mi się podoba. Na przykład wybrać się na wycieczkę i oglądać zamki na Szlaku Orlich Gniazd. Tam obok chyba jest jakiś zamek, nie?

- Nie mam pojęcia.

- Jakiś się znajdzie.

Kochan patrzył przez okno, zastanawiając się nad prośbą kolegi. Ulegając jej, naraziłby się na spore nieprzyjemności. Każdy domyśliłby się, że komisarz dostał informacje o miejscu zamieszkania matki Grockiego od niego. Ale przecież nie robił niczego zakazanego. Gruda na zebraniu zespołu przecież sam przyznał, chociaż z wyraźną niechęcią, że Mortka ma być informowany o postępach śledztwa. Kochan przypomniał sobie, że to stary policjant przytrzymał go w pracy do dziesiątej, i uznał, że dobrze byłoby mu zrobić trochę na złość.

- Jutro wyślę ci esemesem adres matki Pawła - zdecydował. - Tylko nie narozrabiaj tam za bardzo, dobra? I nie przyznawaj się, że masz te dane ode mnie.

- Chcę się tylko rozejrzeć - uspokoił go Mortka. - Porozmawiam z nią, z komendantem straży pożarnej w okolicy. Powęszę. Dowiem się, z kim się przyjaźnił ten Grocki. Może ma jeszcze jakichś kolegów w Warszawie albo kogoś innego, u kogo mógłby się schować.

Pożegnali się. Mortka wyszedł z mieszkania i wrócił prosto do siebie.

Kiedy jechał zaśnieżonymi ulicami Warszawy, zastanawiał się, czy dokonał dobrego wyboru. Przecież widział te ślady na ramionach Ani, które ukryła, wkładając sweter z długim rękawem.

A może przesadzał? Kochanowie wychowywali przecież małe dziecko, które potrafi, nawet niechcący, uderzyć. On sam miał kiedyś nogi całe w siniakach po tym, jak Jędrzek dostał ataku dziecięcej hysterii w sklepie z zabawkami. Położył się na ziemi, zaczął

wrzeszczeć na całe gardło i kopać każdego, kto się do niego zbliżył. Pozostali klienci patrzyli wtedy na Mortkę z niechęcią połączoną z rozbawieniem i głaskali po główkach własne dzieci, które stały grzecznie tuż obok. Policjant nie potrafił w żaden sposób uspokoić syna. Prosił, rozkazywał, a nawet udał, że wychodzi ze sklepu, ale na Jędrku nie zrobiło to

najmniejszego wrażenia. Wrzeszczał nawet głośniej. W końcu po prostu przyłożył synowi w tyłek trzy razy, a chwilę potem chwycił go za bluzę, wrzucił sobie na ramię i siłą wywlekł ze sklepu. Nie uciszył Jędrka w ten sposób, ale przynajmniej uciekł spod spojrzeń rozbawionych klientów i zmęczonej tym wybrykiem dziecięcego szaleństwa obsługi.

A późno w nocy tego samego dnia siedział samotnie nad kubkiem herbaty w kuchni i myślał, że pęknie mu serce. Nie powinien był bić syna. Nie chciał sobie wybaczyć, że gniew potrafił nim tak pokierować. Najgorsze było jednak to, że gdyby nie usłyszał przerażonego okrzyku jednej z ekspedientek, na trzech klapsach by się nie skończyło. Gdyby nie ona, biłby syna tak długo, aż nie zdrętwiałaby mu ręka.

Nie wiedział, dlaczego jego grzeczne do tej pory dziecko tak się zachowało. Ale to był trudny okres dla nich wszystkich, dla jego małżeństwa. Nieprzyjemne emocje przepełniały ich życie, wibrowały w domu razem z wykrzyczanymi przez nich wzajemnymi pretensjami. On i Ola byli dorośli i potrafili utrzymać rosnącą w nich złość na wodzy. Dziecko mogło po prostu nie wytrzymać tego stężenia gniewu. Jeśli to rzeczywiście było przyczyną zachowania Jędrka, Mortka mógł uznać za cud, że wydarzyło się to tylko raz.

Były jednak dzieci, wiedział o tym dobrze, które nie potrzebowały specjalnego powodu, żeby wpaść w szał. Wystarczyło zabrać im zabawkę, wyciągnąć z placu zabaw, odezwać się ostrzejszym tonem. Może tak się stało w wypadku Ani? To było możliwe. Przypominał sobie, że Kochan kiedyś narzekał na to, że jego synek bywa niezdolny.

Uspokoił się. W przyszłości będzie musiał naprawdę porozmawiać z Darkiem, ale teraz chyba nie było się czym niepokoić.

Chyba. To słowo pozostawiło w jego ustach gorzki posmak, którego starał się nie zauważać.

Anna Kochan zmywała właśnie naczynia, kiedy poczuła na karku oddech męża.

Chwycił ją mocno za ramiona. Poczowała ból i strach.

Nie wiedziała, co zrobiła źle, i nic jej nie przychodziło do głowy. Obiad był gotowy, wystarczyło go tylko odgrzać, synek spał grzecznie w łóżku, gościem się zajęła, a piwo stało w lodówce. Mocne, takie jak lubił. Przyniosła mu je natychmiast, kiedy tylko poprosił. Nie umalowała się wprawdzie, ale przecież było już późno. Dlaczego więc mógł być na nią zły?

Nie wiedziała. I to ją przerażało.

- Poskarżyłaś się - warknął wprost do jej ucha.

Nie zrozumiała.

- Poskarżyłaś się Kubie - powtórzył raz jeszcze.

Czy chodziło mu o tę rozmowę, kiedy odwoziła Mortkę? Przecież prosiła tylko, żeby dał Darkowi odpocząć.

Ścisnął jej ramiona.

- Nic się nie poskarżyłam - powiedziała wreszcie cichutko.

Drżały jej wargi.

- Ty głupia cipo.

Próbowała się delikatnie wyrwać, ale jej nie pozwolił.

- Puść - poprosiła.

Nie zrobił tego. Jednym, szybkim ruchem wykręcił jej rękę, a drugą dłonią chwycił ją za kark. Przerazenie odebrało jej dech w piersiach.

Pociągnął ją za sobą. Potknęła się i syknęła z bólu. Ledwo udało się jej złapać równowagę.

- Co ty, kurwa, myślisz, że jesteś jakąś księżniczką, po którą przyjedzie rycerz na białym koniu?

Postawił ją przed lustrem w łazience. Chwycił za włosy i mocno wykręcił, tak żeby musiała patrzeć prosto w swoje odbicie.

- Patrz na siebie - dyszał Kochan nad jej uchem. - Nie jesteś księżniczką. Nie przyjedzie po ciebie biały rycerz. A wiesz dlaczego?

Nic nie powiedziała. Potrząsnął nią tak gwałtownie, że o mało nie uderzyła czołem w lustro.

- Wiesz dlaczego? - powtórzył pytanie.

- Nie - szepnęła.

- Bo wyglądasz jak gówno. I gówno ludzi obchodzisz. Rozumiesz? Wyglądasz jak gówno.

W tej chwili usłyszeli płacz z pokoju dziecka. Kochan puścił żonę. Wytrzeł dłonie w koszulkę, jakby się jej brzydził.

- Ucisz go - rozkazał.

Pobiegła do syna, łykając po drodze łzy. Kochan tylko prychnął wściekle. Miał ochotę się napić. Poszedł do dużego pokoju i wyciągnął z kredensu butelkę wódki.

Rozdział 19

Mortka wyjechał z Warszawy rano, zaraz po tym, jak dostał od Kochana esemesa z adresem Grockiego. Na dworze było jeszcze ciemno, a mróz był tak wielki, że małe drobiny lodu osiadały na jego policzkach i brodzie. Odczuwał jednak potrzebę jak najszybszego opuszczenia pustego mieszkania, które zaczęło go przerażać. Dużo myślał o Piotрку, o wizycie Borzestowskiego, a przede wszystkim o Agnieszce. Rozważał, czy nie powinien zdobyć jej numeru telefonu i zadzwonić. Zastanawiał się, jak się czuje, czy wszystko jest z nią dobrze. Bał się jednak, że zostanie źle zrozumiany. Nie chciał się narzucać.

Na trasie wyjazdowej na Katowice panował duży ruch, ale dało się jechać, natomiast pasy w stronę stolicy były zakorkowane. Mieszkańcy z okolicznych miast i miasteczek zmierzali do pracy.

Naprawdę luźno zrobiło się dopiero za Rawą Mazowiecką. Natomiast w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego zniknęły w końcu fotoradary i mógł przyspieszyć.

Minał Częstochowę, skręcił w miejscowości Koziegłowy, gdzie chyba wszyscy mieszkańcy żyli z produkcji sztucznych choinek albo ozdób świątecznych. Niemal na każdym domu widniał bowiem szyld, który głosił, że właśnie tutaj jest fabryka drzewek lub bombek.

Po półgodzinie dojechał do Myszkowa. Miasto nie zrobiło na nim dobrego wrażenia.

Okazało się pospolite, brzydkie, szare i zaniedbane, pokryte grubą warstwą brudnego śniegu tak ściśle, jakby to była ciepła pierzyna. Zaparkował przy dworcu kolejowym w centrum, gdzie znajdowało się kilka większych sklepów, i poszedł do pobliskiej restauracji, żeby zjeść śniadanie i napić się kawy.

Wiedział, że powinien zgłosić się do komendanta miejscowej policji i przynajmniej grzecznościowo zawiadomić go o swojej obecności. Tylko że w ten sposób o jego wycieczce dowiedziałby się Andrzejewski, a tego Mortka chciał uniknąć.

Jedząc lekko przypaloną jajecznicę, przeglądał atlas samochodowy i szukał wskazówek, jak dojechać do wioski, w której mieszka matka Pawła Grockiego. Kelnerka z restauracji zapewniła go, że w okolicy wszystkie drogi są przejezdne. Uwierzył jej.

Za Myszkowem warunki się pogorszyły. Drogi były zaniedbane i miejscami śliskie, a na domiar złego zaczął padać śnieg. Szron pokrywał białą, lśniącą warstwą drzewa, słupy energetyczne i kable, które ugięły się do ziemi i trzeszczały.

We wsi, z której pochodził Grocki, akurat był prąd. Mortka zatrzymał się przed sklepem, żeby zapytać, gdzie jest dom jego matki. Przy okazji wysłuchał kilku plotek na temat kobiety. Sklepowa narzekała na ojca Grockiego, który był nieodpowiedzialnym babiarzem i uciekł do Anglii, a ślad po nim zaginął. Podobno znalazł tam sobie młodą Angielkę z końskimi zębami. Był to zadziwiający szczegół, biorąc pod uwagę odległość dzielącą Myszków od Londynu, ale Mortka nie dopytywał, skąd kobieta ma tak wyczerpujące informacje na temat nowej partnerki starego Grockiego. Podziękował za pomoc i wrócił do samochodu.

Mimo wskazówek znalezienie domu Grockiej zajęło mu kolejne dziesięć minut. Musiał wjechać w małą, boczną uliczkę, na której końcu, w pewnym oddaleniu od wsi, znajdowało się gospodarstwo. Droga została odśnieżona rano, ale od tamtej pory spadło na nią dobrych kilkanaście centymetrów śniegu. Mortka przestraszył się, że utknie w zaspie i zaparkował pod płotem, blisko głównej ulicy. Poszedł dalej na piechotę.

Było nieprzyjemnie zimno. Żałował, że nie ma czapki. Schował ręce w kieszeniach i skulił się, żeby choć trochę ochronić się przed zimnem.

Grocka mieszkała w starym drewnianym budynku z zielonym, blaszanym dachem.

Chałupa była nieduża, mogły się w niej zmieścić trzy pokoje z kuchnią i łazienką.

Prócz tego na obejście składały się szopa, stary wychodek, chyba już nieużywany, psia buda i zniszczona szklarnia, której wewnątrz było równie zaśniewane jak samo podwórko.

Całość gospodarstwa wyglądała jak mocno zniszczony skansen wsi polskiej i dowód jej cywilizacyjnego zacofania. Było to o tyle zaskakujące, że na sąsiednich posesjach stały piękne, duże, zadbane domy.

Mortka wszedł na podwórko. Na jego widok z budy wyskoczył uwiązany do niej pies, zwykły wiejski burek, i zaczął głośno ujadać. Szarpał się tak mocno i z takim zapalem, że przez chwilę wydawało się, że zerwie się z łańcucha. Wreszcie opadł z sił.

Komisarza zdziwiło to, że nikt nie zareagował na szczekanie psa. Nie zauważył żadnego ruchu, nikt nie wyrztał przez okno. Może przyjechał za wcześnie i kobieta była jeszcze w pracy?

W śniegu dostrzegł regularne zagłębienie - ślady samochodu, które prowadziły do szopy. Skierował się w tamtą stronę. Podniósł żelazny skobel, a potem ostrożnie uchylił

wrota. W środku, wśród starych opon, zardzewiałego żelaza i zwykłych śmieci, stał bordowy opel astra. Serce Mortki zaczęło bić szybciej. Sięgnął do kieszeni po komórkę.

Raptem usłyszał jakiś dźwięk. Nie zdążył się odwrócić. Coś ciężkiego spadło mu na głowę i stracił przytomność.

Otworzył z trudem oczy. Czuł potworny ból głowy. Bał się.

Znajdował się wewnątrz chałupy. Skrępowano go i przywiązano do krzesła. Poszarpał się chwilę i poczuł, że węzeł robi się luźniejszy.

W pokoju pachniało starością, kurzem i wilgocią. Ściany musiały być przeżarte grzybem. Obok niego stał stół z białym obrusem i cukierniczką, komoda oraz szafka z niewielkim telewizorem. Była też sofa, na której leżała mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w fioletowym swetrze z angory. Spała.

- Proszę pani. - szepnął Mortka.

Nie obudziła się.

- Proszę pani - powiedział trochę głośniejszy.

Dopiero teraz komisarz zauważył, że kobieta była nienaturalnie blada i nie oddychała.

Przeszył go dreszcz. Żeby się uspokoić, przymknął oczy i zaczął głęboko oddychać, jednocześnie licząc do dziesięciu. Nie mógł teraz spanikować. Poczul lodowate ukłucie strachu. Kiedy skończył liczyć, otworzyły się drzwi, a do środka wszedł Paweł Grocki.

Komisarz rozpoznał go od razu, chociaż chłopak był wyższy i lepiej zbudowany niż na zdjęciu. Miał na sobie stare, ubrudzone smarem dżinsy i szaro-czarną bluzę.

- Obudził się pan - stwierdził beznamiętnie Grocki.

Podszedł do stołu i położył na nim rzeczy Mortki: dokumenty, telefon komórkowy oraz broń.

- To dobrze.

Mężczyzna był blady. Szczęka drgała mu nerwowo. Co chwila wycierał dłonie w bluzę.

- Paweł. - Mortka zwrócił się do podpalacza.

Grocki spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Tak?

- Musisz mnie rozwiązać - powiedział komisarz, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie i stanowczo.

Grocki potrząsnął energicznie głową.

- Nie. Nie mogę. Nie mogę tego zrobić.

- Musisz mnie rozwiązać - powtórzył Mortka. - Masz kłopoty. Zabiłeś ludzi.

- Nie chciałem skrzywdzić tych dzieciaków - odparł powoli mężczyzna. - Ani Piotrka.

To nie moja wina. Samo tak wyszło.

- A ta kobieta?

Grocki zawahał się, zmarszczył brwi i spojrzał na ciało.

- Mama mnie nie rozumiała - wyszeptał. - Przestraszyła się tych policjantów, którzy wczoraj przyjechali. Nie powinni jej straszyć. Nie powinni jej opowiadać tego wszystkiego.

Przez nich chciała, żebym się do nich zgłosił. Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie mogę, ale ona sama by do nich poszła. Nie mogłem jej na to pozwolić.

- Wiem. Rozumiem.

Mężczyzna obliznął wargi i uśmiechnął się krzywo.

- Nie. Nie rozumie pan, panie komisarzu. Nie rozumie pan. Zresztą, pieprzyć to. Co się stało, to się nie odstanie, nie?

- Dwoje dzieci, Paweł. Chłopców. Piotrek. Twoja mama. Wiemy, kim jesteś, co zrobiłeś. Złapiemy cię.

Przez kilka sekund Mortce wydawało się, że przemówił Grockiemu do rozumu. Ale zaraz potem podpalacz wycelował w komisarza palcem i udał, że strzela.

- Nie złapiecie mnie - powiedział z wyższością i pewnością siebie. - Oj, nie. Ja mam plan.

- Plan?

- Aha. Plan. Bo ja działałam zawsze zgodnie z planem. Pan go nie zna, komisarzu.

- To wytłumacz mi.

- Nie, nie, komisarzu. - Grocki pomachał policjantowi palcem przed nosem. - To tak nie działa. Ale mogę panu zdradzić, co zrobię za chwilę.

- Co?

- Podpalę ten dom. Z panem w środku, komisarzu. Jesteśmy podobnej budowy ciała.

Zostawię gdzieś tutaj swoje dokumenty, tak żeby nic im się nie stało, a wezmę twoje. Jak znajdą twojego trupa, to pomyślą, że to jestem ja.

Mortka zdał sobie sprawę, że rozmawia z szaleńcem. Grocki był jak w transie, zatopiony we własnych urojeniach. Nie było żadnych szans, żeby dotrzeć do niego racjonalnymi argumentami. Komisarz mógł tylko grać na zwłokę w nadziei, że w końcu wpadnie mu jakiś pomysł do głowy albo dopomoże mu szczęście.

- To jest głupie - powiedział. - Po prostu głupie. Jestem policjantem, Paweł. Koledzy wiedzą, że tu przyjechałem. Mają moją kartę dentystyczną. Rozpoznają ciało po zębach. Nikt się na to nie nabierze.

- To może wybije ci zęby?

Grocki nie żartował. Mortce aż włosy stanęły dęba ze strachu, ale dyskretnie zaczął rozluźniać więzy na dłoniach. Nóg nie miał skrępowanych. Gdyby mu się udało, mógłby skoczyć na Grockiego, powalić go na ziemię i obezwładnić.

- Straciecie czas na te zęby, komisarzu, a ja już będę daleko i bezpieczny - kontynuował Grocki.

Nagle przerwał, zamrugał kilka razy, jakby coś sobie przypomniał, i zapytał:

- A Kameron?

Mortka nie rozumiał.

- Dzieciaki, Piotr, mama, nie powiedziałaś o Kameronie. Zabiłem jeszcze Kamerona.

- Nie zabiłem go.

Grocki dopadł do policjanta i chwycił go za poły kurtki. Wyglądał na przerażonego.

- Zabiłem go! - krzyknął. - Nie oszukasz mnie, psie. Zabiłem go. Spalił się, skurwiel.

Rozumiesz? Spalił się!

- Nie zabiłem go - powtórzył komisarz.

Chciał, żeby Grocki był blisko niego. Czuł, że za chwilę uda mu się uwolnić ręce i będzie

mógł zaatakować.

- Skrzywdziłeś jego żonę, jest w szpitalu.

Grocki puścił go i się wyprostował.

- Tak. - przyznał. - To naprawdę był wypadek. Błąd w sztuce. Nie chciałem tego.

- Ale Kamerona chciałeś zabić?

Grocki prychnął cicho.

- Dość gadania.

Zniknął za drzwiami. Mortka szarpnął się mocniej, mając nadzieję, że uda mu się wyswobodzić i sięgnąć po broń. Musiał jednak zrobić coś nie tak, bo węzeł zamiast puścić, zacisnął się.

Grocki wrócił z kanistrem. Odkręcił kurek i poprowadził cienką strużkę benzyny z pokoju do korytarza za drzwiami.

Mortkę zemdliło od woni paliwa, która wbiła mu się w nozdrza.

- Czekaj, Paweł, pogadajmy. Tego da się uniknąć - mówił gorączkowo policjant.

Grocki bez słowa rozlewał benzynę. Szczególnie dużo wylał na sofę i ciało matki. Robił to z dziwną czułością i troską. Kiedy skończył, pocałował martwą kobietę w czoło. Potem podszedł do komisarza. Mortka zacisnął zęby. Grocki przechylił kanister, ale wyleciało z niego tylko kilka kropel.

- Skończyło się - powiedział podpalacz.

Zakręcił kanister i położył obok stołu. Wziął dokumenty policjanta z blatu, schował je do kieszeni, a pistolet wsadził za pasek spodni.

- Słuchaj, Paweł. To, co robisz, jest nierozsądne - zaczął Mortka łagodnym tonem. -

Pozwól mi sobie pomóc. Możemy to jakoś załatwić. Paweł, Paweł? Słyszysz mnie?

Grocki jednak wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

- Paweł! Paweł! Kurwa mać! Wracaj tutaj! - wrzeszczał Mortka, szarpiąc się nerwowo z więzami.

Spod drzwi buchnął jęzor ognia.

Płomienie ogarnęły całe pomieszczenie. Komisarza uderzył smród palonych włosów i skóry, a potem fala gorąca i kłęby ciemnego dymu, od których zaczął się krztusić. Wrzasnął dziko. Poderwał się z krzesłem cały czas przywiązany do ciała i z całych sił uderzył meblem o ścianę. Ten pękł z trzaskiem, a on poczuł, jak jakaś długa, ostra drzazga przecina mu skórę na plecach. Bolało, ale był wolny.

Pobiegł w stronę drzwi i pchnął je barkiem. Nie mógł ich wyważyć. Były zbyt mocne albo Grocki zdążył je czymś zastawić.

Płomień liznął jego dłoń. Odskoczył od drzwi. Piekła go skóra, gorące powietrze parzyło w płuca. Chwycił telewizor, wyrwijąc kabel z gniazdka, i rzucił nim w okno. Rozbił

w ten sposób szybę i wyrwał kawałek framugi. Podniósł z ziemi nogę od złamanego krzesła i za jej pomocą wybił pozostałe w ramie kawałki szkła. Ogień był coraz bliżej. Wydawało mu się, że jego włosy zaczynają się palić. Skoczył do przodu i wypadł przez wybite okno na zewnątrz, prosto na miękką śnieg.

Przeturlał się kilka razy tam i z powrotem, gasząc płomienie na swoim ubraniu. Potem podniósł się z trudem. Odkaszlnął.

Pomyślał od razu o schowanym opłu. Grocki na pewno będzie chciał nim uciec. Nie zastanawiając się długo, pobiegł do szopy. Już z daleka widział, że wielkie drewniane wrota są otwarte. Grocki stał do niego tyłem, tuż obok auta. Mężczyzna musiał usłyszeć policjanta, bo błyskawicznie się odwrócił. Trzymał pistolet. Odbezpieczył broń i wycelował. Mortka podniósł ręce do góry.

- Paweł. Musisz się poddać - powiedział.

Ale kiedy tylko skończył mówić, jego ciało zadziało instynktownie. Od razu skoczył w bok. Ułamek sekundy przed tym, zanim Grocki nacisnął spust. Kula przeleciała tuż obok policjanta. Podpalacz ruszył w kierunku komisarza.

Mortka poderwał się z ziemi i popędził wzdłuż dłuższego boku szopy. Schował się za rogiem. Przyłgął do ściany. Znajdował się obok drewni. Zauważył stos drewna, pieńek z wbitą siekierą i mały daszek, pod którym leżał kawałek ściętego drzewa. Siekiera była zbyt daleko, komisarz ocenił, że nie zdążyłby do niej dobiec, szczególnie, że nadchodził Grocki.

Podniósł więc z ziemi polano. Wstrzymał oddech. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę.

Nie chciał zginąć.

Usłyszał kroki. Blisko. Wskoczył z załomu. Grocki strzelił. Komisarz poczuł piekący ból w boku. Uderzył polanem w wyciągniętą rękę podpalacza. Trafił i pistolet wyleciał mężczyźnie z dłoni. Zamachnął się jeszcze raz, ale Grocki uniknął ciosu, przekrzywiając tułów i cofając się o pół kroku. Mortka rzucił się jednak na niego z impetem, napierając barkiem. Szamotali się przez moment. W końcu Grockiemu udało się uwolnić i zadał policjantowi dwa błyskawiczne ciosy w twarz. Mortka ledwo zdążył je poczuć. Poleciał

do tyłu, prosto na stos ułożonego drewna. Grocki zrobił dwa kroki do przodu i wyciągnął z pieńka siekierę.

Mortka nie miał szans. Mężczyzna był zbyt szybki i za silny. Znow stanął przy komisarzu, zamachnął się nad głową, ale policjantowi w ostatniej chwili udało się uchylić przed spadającym ostrzem.

Skoczył do przodu, tuż obok zaskoczonego napastnika, a potem zrobił to, co setki razy powtarzał podczas szkolenia. Przebiegł trzy metry, przeturlał się przez bark i wylądował na ziemi.

Chwycił leżący pistolet i obrócił się na plecy. Grocki był tuż-tuż, z siekierą wzniesioną do ciosu. Mortka nie mógł oderwać wzroku od ostrza, które zaraz miało zmiażdżyć mu czaszkę.

Strzelił. Noga Grockiego wygięła się pod nienaturalnym kątem na wysokości kolana.

Mężczyzna wrzasnął z bólu i przerażenia, a Mortka nacisnął spust po raz kolejny. Tym razem trafił Grockiego w pierś. A potem w głowę i szaroczerwone kawałki mózgu rozprysnęły się po śniegu. Podpalacz upadł na ziemię.

Mortka opuścił broń. Oddychał ciężko. Szumiało mu w głowie i miał wrażenie, że znajduje się na pełnym morzu podczas sztormu. Zrobiło mu się niedobrze. Z trudem przeturlał się na bok i zatopił lewą stronę twarzy w zimnym śniegu. Bał się, że zaraz straci przytomność. Ale teraz mógł sobie na to pozwolić. Gdzieś w oddali słyszał już strażackie syreny.

Rozdział 20

Kiedy dwa dni później Mortka wszedł do salki konferencyjnej w Komendzie Stołecznej, zebrani zamilkli na jego widok. Bez słowa zajął wolne miejsce obok Brodki.

Prócz niej obecni byli jeszcze Gruda, Kochan, Skalski, podinspektor Andrzejewski, prokurator Szydłoń oraz oficer komendy z Myszkowa, którego nazwiska komisarz nie potrafił sobie przypomnieć.

Zmienił pozycję, tak żeby siedzenie nie sprawiało mu bólu. Wyglądał jak inwalida wojenny. Założono mu opatrunek na plecy, w miejscu, gdzie wbiła się drzazga z rozbitego krzesła, oraz na boku, tam, gdzie drasnęła go kula. Na szczęście rana była powierzchowna.

Oprócz tego obandażowano mu głowę. Guz po tym, jak powalił go Grocki, miał wielkość małej piłeczki. Zresztą cała jego twarz pozostawała opuchnięta, a jej spore połacie przybrały lekko fioletowy kolor.

- Kontynuuj, Gruda - powiedział Andrzejewski.

Gruda chrząknął, wziął szklankę wody i wypił łyk.

- W samochodzie Grockiego znaleziono między innymi kalendarz, w którym miał zapisane adresy podpalonych przez siebie domów wraz z notatkami, planami sytuacyjnymi oraz informacjami, kiedy lokatorów ma nie być. Takiej adnotacji nie było natomiast przy domu Jana Kameron. Mamy też trzech świadków, którzy widzieli Grockiego lub jego samochód w okolicy tuż przed pożarami. Numer jego buta zgadza się z numerem buta ze śladu znalezionej na posesji Korzeniowskich. Biorąc pod uwagę to wszystko oraz ślady zabezpieczone w mieszkaniu wynajmowanym przez Grockiego i zeznania obecnego tu komisarza Jakuba Mortki, że Grocki przyznał się przed nim do podpalenia przynajmniej domu Kameronów i Korzeniowskich, możemy uznać, że to Grocki był sprawcą podpalenia domów jednorodzinnych na zachodnim Ursynowie. Czy do tego wątku sprawy są jakieś pytania?

Pytanie było skierowane głównie do prokuratora Szydłonia. Pokręcił on przecząco głową.

- Morderstwo Piotra Stelmacha - kontynuował Gruda. - Podejrzewamy, że Piotr Stelmach zjawił się u Pawła Grockiego, którego znał jeszcze z Myszkowa, skąd obaj pochodzili, i chciał od niego pieniędzy na spłatę hazardowych długów. Z jakiegoś powodu pokłócili się i Grocki zabił Stelmacha. Potem przewiózł ciało nad Wisłę i tam je podpalił. W

samochodzie Grockiego zabezpieczono między innymi włosy Piotra Stelmacha. Ślady biologiczne Stelmacha znaleziono również w mieszkaniu Grockiego. Bieżnik opon samochodu Grockiego pasuje do śladów opon pozostawionych w miejscu porzucenia ciała.

Biorąc pod uwagę to wszystko oraz zeznania Jakuba Mortki, że Grocki przyznał się pośrednio do zabicia Piotra Stelmacha, możemy uznać, że to on jest sprawcą tego zabójstwa. Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał. Gruda upił kolejny łyk wody.

- Morderstwo Barbary Grockiej - powiedział, po czym zamilkł na moment. -

Najprawdopodobniej Barbara Grocka chciała, żeby syn sam się zgłosił na policję. Paweł Grocki nie miał jednak takiego zamiaru. Doszło między nimi do sprzeczki na tym tle.

Podejrzewamy, że Grocki był wtedy mocno niestabilny emocjonalnie i nie potrafił nad sobą zapanować. Najprawdopodobniej zabił swoją matkę przypadkiem, dusząc ją poduszką.

Uważam, że nie ma sensu bardziej szczegółowo omawiać tej sprawy tutaj, ponieważ zajmuje się nią policja i prokuratura w Myszkowie.

Nikt nie protestował. Gruda podziękował i usiadł przy stole. Teraz wstał Andrzejewski.

Popatrzył po zebranych.

- Drodzy państwo. Chciałem tylko pogratulować wszystkim, którzy brali udział w tym

śledztwie. Szczególnie funkcjonariuszowi Skalskiemu. Wykonał pan mnóstwo świetnej roboty na Ursynowie. Jeszcze dzisiaj wyślę do pana komendanta podziękowania oraz list na temat pańskiej pracy dla nas. Mam nadzieję, że zaowocuje to chociaż drobną nagrodą.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział Skalski.

Andrzejewski usiadł. Szydłoń chrząknął.

- To teraz ja, tak? - zapytał prokurator. - Dobrze. Też wam zajmę tylko chwilę. Dziękuję wszystkim, którzy brali udział w śledztwie. W szczególności komisarzowi Grudzie, który przejął prowadzenie śledztwa pod koniec. Bałem się, że może wpłynąć to na jego jakość, ale muszę przyznać, że współpracowało się z panem znakomicie.

Zrobił krótką przerwę. Jeśli spodziewał się, że Gruda mu również podziękuje, to się srogo rozczarował. Komisarz zachowywał się tak, jakby nic nie słyszał.

- Chciałem jeszcze tylko ogłosić, że podejmuję decyzję o zamknięciu tego śledztwa.

Raz jeszcze dziękuję państwu - dokończył.

Mortka wyprostował się gwałtownie. Uderzył plecami o oparcie i zerwał opatrunek na plecach. Syknął z bólu.

- Nie może pan - powiedział.

Szydłoń popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego?

- Jest zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Zbyt wiele rzeczy nie pasuje.

- Jakich pytań, Kuba? - wtrącił się Andrzejewski. - Ustaliliśmy, że Grocki dokonał podpaleń domu Kameronów oraz Korzeniowskich, odpowiada za śmierć synów Korzeniowskich, zabił Piotra Stelmacha oraz własną matkę. Nie mamy żadnych tropów, które wskazywałyby, że mogły być w to zamieszane osoby trzecie.

- Grocki nie pasuje do profilu sprawcy - stwierdził Mortka. - Pani psycholog na pewno mnie wesprze.

Brodka zaczęła nerwowo poprawiać włosy.

- Cóż. - zaczęła z ociąganiem. - Paweł Grocki rzeczywiście nie był typowym podpalaczem, wiele jego cech nie pasuje do profilu sprawcy, natomiast w innych punktach jego sylwetka jak najbardziej pokrywa się z przygotowanym profilem.

Mortka zaklął w duchu. Szamanka zagrała asekuracyjnie. Na jej pomoc nie miał co liczyć.

- Brakuje nam motywu - powiedział. - Nie wiemy, dlaczego Grocki podpalał te domy.

Dlaczego jego ofiarą padli akurat Kameronowie i Korzeniowscy?

- Cóż, panie komisarzu. Tego się już chyba nigdy nie dowiemy - odparł prokurator.

Bo go zabiłem - pomyślał ze złością Mortka.

- Nie przekonał mnie pan, panie komisarzu. Zamykamy to śledztwo z powodu śmierci sprawcy - dodał Szydłoń.

Mortka zacisnął pięści. Wiedział, że to nie powinno się tak skończyć. Należało jeszcze wyjaśnić, dlaczego musieli zginąć synowie Korzeniowskich. Ale najwyraźniej nie chciał tego chyba nikt oprócz niego.

- W takim razie kończymy tę naradę - powtórzył Andrzejewski. - Proszę o pozostanie na miejscu komisarza Grudę, komisarza Pasewicza z Myszkowa oraz komisarza Mortkę.

Skalski i Kochan wyszli z salki. Brodka nachyliła się do Mortki. Podsunęła mu swoją wizytówkę.

- Panie komisarzu, gdyby chciał pan porozmawiać, to proszę do mnie zadzwonić.

- Nie potrzebuję terapii.

- Zna pan zasady. Musi pan być pod opieką psychologiczną. To mogą być ja albo ktoś

inny. Pański wybór.

Wstała i wyszła z sali.

Zapadła cisza. Andrzejewski stukał palcem o blat stołu.

- Kuba - rozpoczął. - Ponieważ nie mieliśmy okazji rozmawiać od poniedziałku, to chciałem przede wszystkim zadać ci pytanie, które, jak sądzę, wszystkich nas tu nurtuje... -

Wziął głęboki oddech. - Co to, kurwa, było!?

Mortka odczekał chwilę w milczeniu. Zbierał siły na nadchodzącą konfrontację.

- Chciałem spotkać się z matką Grockiego. Porozmawiać - powiedział twardo.

- Po co?

- Ze względu na śledztwo.

- To śledztwo, z którego zostałeś wyłączony?

- To samo.

Andrzejewski walnął pięścią w stół.

- Nie bądź bezczelny!

- Nie jestem.

Mierzyli się wzrokiem. Podinspektor pierwszy opuścił głowę. Zajrzał w dokumenty.

- Pojechałeś do domu Grockiego bez konsultacji z kimkolwiek i bez zgody przełożonych, w sprawie śledztwa, z którego zostałeś wykluczony. W dodatku udałeś się tam sam. Nie powiadomiłeś o swojej obecności i działaniach komendy w Myszkowie.

- To był mój wolny dzień. W wolne dni mogę robić, co mi się podoba, prawda?

Natomiast co do komendy w Myszkowie, to mam wrażenie, że ich powiadomienie mogłoby tylko pogorszyć sprawę.

Pasewicz poprawił się na krześle, po czym zapytał:

- Co to znaczy?

- To, że kompletnie spierdoliliście sprawę.

- Słucham? To niby nasza wina?

- A niby czyja? Wasi ludzie byli dzień wcześniej u Grockiej. Paweł Grocki już tam prawdopodobnie przebywał. Nie zauważyliście też samochodu, który był schowany w szopie.

A nie tak trudno go było znaleźć. Mielicie prowadzić obserwację domu, której nie prowadziliście - wyrzucał z siebie Mortka. - I tak, to wasza wina. Bo gdybyście w tym pieprzonym Myszkowie robili to, co do was należy, to Grocki siedziałby teraz w areszcie.

Pasewicz spurpurowiał ze złości.

- Każdy policjant, który prowadzi działania operacyjne na terenie, który mu nie podlega, ma obowiązek powiadomić o tym odpowiedniego komendanta. To jest, kurwa, abecadło - odpowiedział.

- Miałem dzień wolny - powtórzył po raz kolejny Mortka. - Wy też? Może cała komenda, co?

- Dość, Kuba - wtrącił się Andrzejewski. - Komisarz Pasewicz ma rację. Powinieneś ich zawiadomić, że pojawiaasz się na ich terenie. I przestań się już zasłaniać dniem wolnym, bo nie pamiętam, żebyś składał wniosek urlopowy.

Mortka zamarł. Andrzejewski rzeczywiście dał mu wolne nieoficjalnie, ale nie sądził, że podinspektor będzie o tym wspominał.

- Pojechałeś do Grockiej, nie informując nikogo. Skończyło się na wielkim pożarze i dwóch trupach. I tylko ty wiesz, co tam naprawdę zaszło - dodał podinspektor.

- Składałem już wyjaśnienia i pewnie będę je składał jeszcze milion razy. Czy są jakieś nowe ślady, które podważają moją wersję wydarzeń?

- Wręcz przeciwnie, Kuba. Każdy ślad, który znajdujemy, ją potwierdza. Ale nie w tym

rzecz. Mamy w policji pewne zasady. Ustalają one na przykład standardy współpracy z innymi jednostkami, tak żebyśmy sobie nawzajem nie przeszkadzali. Ich przestrzeganie ma minimalizować straty śmiertelne wśród policjantów. Ty te wszystkie zasady złamałeś.

Najpierw tam jadąc, potem dając się obezwładnić i odebrać sobie pistolet, a w końcu ścigając samotnie, bez broni, uzbrojonego napastnika, o którym wiedziałeś, że jest niebezpieczny. To, że przeżyłeś, to cud. Powinieneś teraz na klęczkach iść do Częstochowy.

- Ktoś musiał dorwać tego sukinsyna! Najwyraźniej tylko mnie na tym zależało. Co innego miałem zrobić?

- Po pierwsze, podporządkować się i nie brać udziału w śledztwie.

Mortka prychnął lekceważąco. Miał dość tego przedstawienia.

- Zawieszam cię, Kuba.

Komisarz w pierwszej chwili miał wrażenie, że się przesłyszał albo że Andrzejewski żartuje. Ale podinspektor był śmiertelnie poważny.

- Zdaj broń i legitymację.

- Dlaczego?

- Dla dobra służby, Kuba. Na razie na miesiąc. Potem zadecydujemy, co dalej, biorąc pod uwagę stanowisko prokuratury w Myszkowie i wynik ich śledztwa w sprawie śmierci Pawła Grockiego i Barbary Grockiej.

Mortka wiedział, że kłótnia nie miała sensu. Podinspektor podjął decyzję i z pewnością, by jej nie zmienił. Poza tym Andrzejewski chciał i musiał ukarać Mortkę. Chciał, bo był

naprawdę na niego zły, musiał, bo miał nad sobą komendanta, który mógł się nagle zainteresować sprawą. No i chronił też własny tyłek.

- Czy coś jeszcze?

- Nie, Kuba. To już wszystko.

Inspektor wstał od stołu. Razem z nim wyszedł policjant z Myszkowa. Rozmawiali o czymś, Mortka był pewien, że padło słowo „obiad”. Chwilę potem podszedł do niego Gruda i położył mu rękę na ramieniu.

- Przykro mi, młody. Nie mam z tym nic wspólnego. Jeśli dojdzie do czegoś, to będę cię bronił w czasie dyscyplinarki.

- Oczywiście, że będziesz. Ty też to spieprzyłeś. Nie wysłałeś nikogo do Grockiej, chociaż powinieneś. Poza tym to przez ciebie odebrano mi śledztwo.

Gruda uśmiechnął się smutno.

- Nawet nie próbuj, młody - powiedział.

- Czego?

- To jest twoje i tylko twoje szambo. Nie próbuj mnie w nim umoczyć.

Ścisnął go delikatnie za ramię.

- Trzymaj się, młody.

Wyszedł. Mortka został sam w sali konferencyjnej. Obracał w palcach wizytówkę Brodki. Schował ją do portfela. Później oddał broń i legitymację, podpisał oświadczenie, że odebrał decyzję o zawieszeniu, i pojechał do siebie.

Kilka godzin później do drzwi jego mieszkania zapukał kurier. Wręczył zaskoczonemu Mortce paczkę. Komisarz rozpakował pudło w kuchni. W środku znalazł wielki, ozdobny kosz z żywnością. Były tam francuskie sery, wino, pasztety z gęsi, szwajcarskie czekolady, syropy. Do kosza przywiązano liścik ze słowem: „Dziękuję”. I podpisał: „B”.

Mortka zapakował wszystko z powrotem do pudła, które zalepił taśmą klejącą. Wyniósł paczkę z domu i wręczył zaskoczonemu pijackowi pod blokiem. Wrócił do mieszkania i położył się spać.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Jediną czynnością, którą wykonywał, było oczekiwanie na telefon z prokuratury w Myszkowie, żeby stawił się na kolejne przesłuchanie.

O wynik postępowania był spokojny. Prokurator, który prowadził sprawę, był facetem starej daty. Szlify zdobywał jeszcze w PRL-u i nie wierzył w takie rzeczy jak prawa zatrzymanego. Po pierwszym przesłuchaniu zabrał Mortkę na kawę z automatu, poklepał go po ramieniu i powiedział, żeby się nie martwić, bo on zrobi wszystko, żeby komisarzowi nie spadł włos z głowy. I dodał, że dobrze, że zabił skurwiela, bo dla takiego gnoja jak Grocki nawet dożywocie byłoby zbyt łagodną karą.

Zatem o ile o wynik postępowania nie musiał się martwić, to po prostu źle znosił bezczynność. Przez całe dni leżał w łóżku, oglądał telewizję i tylko czasami schodził do Biedronki, żeby kupić coś do jedzenia i kolejne piwo.

Rozmyślał dużo o synach Korzeniowskich, którzy zginęli w pożarze. Dlaczego do tego doszło? Jaki motyw miał Grocki? Dlaczego wybrał te, a nie inne domy? Komisarz czuł, że coś mu w tej sprawie umyka, coś istotnego, że coś zaniedbał i być może nigdy nie uda mu się naprawić tego zaniedbania. Doprowadzało go to do szału. Przypominał więc sobie całe śledztwo dzień po dniu, przesłuchanie po przesłuchaniu.

Ci chłopcy często mu się śnili. Otaczały ich płomienie. Umierali i patrzyli na niego oskarżycielsko. Miał wrażenie, że ich zawiodł. To uczucie nie dawało mu spokoju.

Odwołał spotkania z własnymi dziećmi. Rozmawiał z nimi tylko czasami przez telefon.

Nie chciał, żeby oglądali go z pokiereszowaną twarzą, a opuchlizna długo schodziła.

Dowiedział się od nich, że Ola dostała tę pracę w kancelarii.

Skontaktował się z właścicielką mieszkania i opowiedział jej dokładnie, co się stało z Piotrem i Agnieszką. Była zszokowana. Zgodziła się obniżyć mu czynsz. Zapytał się, czy powinien szukać nowych współlokatorów. Nie wiedziała. Musiała się zastanowić.

Przebąkiwała coś, że być może zdecyduje się na sprzedaż. Ale da mu jeszcze znać.

Tydzień później, w sobotę wieczorem, kiedy opuchlizna już zeszła, wyciągnął pieniądze z banku i pojechał do Oli. Zbliżał się koniec miesiąca i wmawiał sobie, że udaje się do byłej żony, żeby zapłacić alimenty. Ale to był tylko pretekst. Potrzebował po prostu okazji, żeby wyjść z domu. Porozmawiać z kimś. Może spotkać się z Andrzejkiem i Michałem.

Zapomnieć o dwóch martwych chłopcach, którzy nie dawali mu spokoju.

Kiedy otworzyła mu drzwi, oszołomił go zapach jej perfum. Miała na sobie małą czarną, elegancki makijaż i biżuterię, która podkreślała kolor jej oczu. Musiała założyć specjalny biustonosz, bo jej piersi wydawały się większe niż zazwyczaj.

- Kuba?

- Cześć. Mogę wejść?

Otworzyła niepewnie drzwi i wpuściła go do przedpokoju.

- Już niedługo luty. Przyniosłem pieniądze. Wiem, że masz pracę, ale parę groszy zawsze się przyda.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę. Zamarł, kiedy zobaczył, jak w przedpokoju pojawia się inny mężczyzna. Wysoki blondyn, wysportowany, przystojny, w spodniach od garnituru i białej koszuli. Ola wzięła pieniądze. Wyglądała na speszoną.

- Eee... Adam, to Kuba, mój były. Kuba, to Adam - powiedziała.

Mężczyzna podszedł i podał Mortce rękę. Miał mocny, stanowczy uścisk.

- My się właściwie znamy. Niemniej, miło cię poznać. Ola wspominała o tobie.

Pracujesz w policji, prawda?

- Prawda. Jezu. - Poczuł, że się czerwieni. - Przepraszam, nie chciałem wam przeszkadzać.

Mortka przerwał i zmarszczył brwi.
- Przepraszam, powiedziałaś, że się właściwie znamy?
- Z widzenia - wyjaśnił mężczyzna. - Mieszkam niedaleko ciebie. Po drugiej stronie ulicy. Robimy zakupy w tych samych sklepach. Parę razy nawet zamieniliśmy kilka słów.
Niedawno chyba wyjechałaś, prawda?
- Słucham?
- Nie widziałem twojego samochodu.
Komisarz przyglądał się stojącemu przed sobą mężczyźnie. Rzeczywiście, jego twarz wydawała mu się znajoma. Prawnik nagle roześmiał się niezręcznie.
- Przepraszam - powiedział i postukał się palcem w czoło. - Opowiadam głupoty. Ale po prostu tak mam, widzę różne rzeczy, zapamiętuję. To właściwie trochę straszne, kiedy obcy facet opowiada, że wie, jakim jeździsz samochodem.
- Tak. To trochę dziwne - przyznał Mortka. - Zaraz idę. Mogę tylko zamienić słówko z chłopakami? - zwrócił się do byłej żony.
- Chłopcy są na noc u moich rodziców.
- Aha. A mogę z tobą porozmawiać? Na osobności?
Ola zgodziła się niechętnie. Przeprosiła Adama i poprowadziła Mortkę do kuchni.
- Słyszałem, że dostałaś tę pracę. Gratuluję.
- Dziękuję - odpowiedziała chłodno. - Czego chciałaś, Kuba?
Zawahał się.
- Co to za facet?
- Adam? Mój znajomy.
- Znajomy?
- Tak. Znajomy.
- Te rzeczy, które opowiadał o moim samochodzie.
- To głupia sytuacja, więc opowiadał głupoty. Bywa, Kuba. Coś jeszcze?
- Długo się spotykacie?
- Dwa, trzy tygodnie.
- Trzy tygodnie - powtórzył za nią. - I to wystarczy, żeby pójść z nim do łóżka?
- Słucham?
- Proszę, nie udawaj. Myślisz, że nie widzę, co tu się dzieje? Mała czarna, makijaż, dekolt do samego pępka, a dzieci, oczywiście przypadkowo, akurat dzisiaj są u dziadków.
Jej twarz stężała.
- Wyjdź stąd - powiedziała cicho, ale stanowczo. - Wyjdź stąd, zanim powiesz coś, czego będziesz później żałował.
Posłuchał jej. Odprowadziła go do samych drzwi, jakby chciała się upewnić, że na pewno opuści mieszkanie. Zatrzymał się na samym progu. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.
- Kilka dni temu o mało nie zginąłem.
Jej nozdrza delikatnie zadrżały.
- Wynoś się stąd, Kuba - powtórzyła.
Nie ruszył się. W jej oczach zabłyśły łzy.
- Nie słyszałaś!? Wypierdalaj!
Uciekł. Słyszał, jak z traskiem zamyka za nim drzwi i przekreśla wszystkie zamki.
Po powrocie do domu usiadł przy stole nad puszką piwa. Ten cały Adam zachowywał się dziwnie, ale Ola miała rację - to była niezręczna sytuacja. W tym, co powiedział, było jednak coś, co nie dawało Mortce spokoju. Komisarz wziął łyk piwa i sięgnął po telefon. Zadzwoił do Kochana.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedział, kiedy kolega odebrał połączenie. -
Zdobądź zdjęcie Klaudii Kameron tuż sprzed pożaru.

W połowie lutego Mortka spotkał Klaudię Kameron przed wejściem do jednego z apartamentowców na Mokotowie. Czekał na nią dobre półtorej godziny i zdążył już porządnie przemarznąć. Wielokrotnie dopadały go wątpliwości i chciał już zrezygnować ze swoich zamiarów i wrócić do domu. Zawsze powstrzymywał go widok czarnego porsche cayenne.

Przypominał sobie wtedy, dlaczego się tu znalazł.

W końcu zobaczył, jak wysiada z taksówki. Na początku nie był pewien, czy to ona.

Miała na sobie futro. Mimo że była już noc, nosiła duże okulary przeciwsłoneczne i gruby szal, za którymi chowała resztę twarzy. Ale sylwetka, wiek, kolor włosów - te rzeczy się zgadzały. Ciągle chodziła o kulach.

- Pani Kameron! - zawołał.

Zatrzymała się. Przyjrzała mu się i rozluźniła, kiedy w końcu go rozpoznała.

- Pan komisarz. Dobry wieczór.

- Dobry wieczór pani.

Uśmiechnęła się lekko.

- Co u pani słyhać? - zapytał.

- Dziękuję. Nie najgorzej. Niedawno odstawiłam środki przeciwbólowe, a lekarze są zadowoleni i mają dobre prognozy. Dwa tygodnie temu skontaktowała się ze mną telewizja TVN Style. Podpiszemy kontrakt. Chcą zrobić serial dokumentalny ze mną w roli głównej. O

tym, jak przebiega moja rehabilitacja, o operacjach plastycznych, aż do pełnego powrotu do zdrowia, no i dawnego wyglądu. Zgodzę się, bo częściowo sfinansują mi leczenie i zapewnią dostęp do najlepszych chirurgów. Pan też mógłby tam wystąpić.

- Jako kto?

- Jako pan, oczywiście! - Roześmiała się chrapliwie, jakby sprawiało jej to ból. - Wie pan, prowadził pan śledztwo. Jest pan bohaterem w końcu.

- Dziękuję, ale chyba nie. Z zasady unikam kontaktu z prasą i telewizją. To nie dla mnie.

- Niech pan to przemyśli, komisarzu. A ja porozmawiam z producentami. Poza tym powstały moje fan kluby w Warszawie i w Gdańsku. Dostałam dużo listów z życzeniami powrotu do zdrowia. To naprawdę piękne i dodało mi sił. Jeżdżę też do sądu. Wie pan, w sprawie Mariusza Wyrwy. Biedny człowiek. To straszne, co zrobił, ale czasami jest mi go po prostu żal. No, ale dość o mnie. Pan pewnie ma jakąś sprawę?

Kiwnął głową.

- Chciałem porozmawiać. O śmierci pani męża i w ogóle o tym wszystkim.

- Pan wybaczy. Ale to bolesny temat. Wolałabym jednak nie.

Zrobiła krok w stronę wejścia do budynku. Zastąpił jej drogę.

- Nalegam. To dla mnie ważne.

- Skoro tak. - powiedziała z ociąganiem.

- Pani wie, że Paweł Grocki zabił również Piotra Stelmacha oraz własną matkę?

- Tak. Słyszałam. Biedna kobieta. Biedny chłopiec.

- Piotr Stelmach był moim współlokatorem. Mieszkaliśmy razem w mieszkaniu studenckim. Dlatego jego śmierć nie daje mi spokoju.

Drgnęła zaskoczona.

- Rozumiem. To musi być dla pana trudne, szczególnie, że jest pan policjantem. Był pana przyjacielem?

- Nie. Właściwie to wcale go nie lubiłem. Ale nie w tym rzecz. Piotr był hazardzistą i zadłużył się u gangsterów na pięćdziesiąt tysięcy złotych. To z powodu tych pieniędzy pojechał

do Pawła Grockiego. Jego dziewczyna twierdzi, że był pewien, że Paweł mu da te pięćdziesiąt tysięcy. To dziwne. Dlaczego Paweł miałby dać... dać, nie pożyczyć, takie pieniądze Piotrkowi? Szczególnie, że ani Grocki, ani jego matka pięćdziesięciu tysięcy nie mieli. Skąd miałby je wziąć?

Wzruszyła ramionami.

- Powiem szczerze, że nie wiem.

- Miał wziąć te pieniądze od pani.

Ta chwila ciągnęła się niemal w nieskończoność. Żałował, że nie widzi jej twarzy, jej oczu. Był pewien, że wyczytałby w nich prawdę.

- Przyznam, że nie rozumiem - odparła spokojnie.

- Rozumie pani, ale i tak wytłumaczę. Pani życie, powiedzmy to sobie szczerze, nie ułożyło się tak, jak pani sobie wyobrażała. Miała być pani gwiazdą piosenki, królową estrady.

Ale po pierwszej płycie druga zaliczyła klapę. To byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby pani mąż zapewnił pani życie na odpowiednim poziomie. Niestety. Stracił majątek w kiepskich interesach i na giełdzie. Zamiast pławić się w luksusie, tak jak pani sobie wymarzyła, wylądowała pani w takim sobie domku u boku męża pijaka. I tak jak część kobiet w pani sytuacji znalazła pani sobie kochankę. Miłego, wysportowanego faceta z prowincji. Pawła Grockiego.

Wziął głęboki oddech. Poczul, że chce po prostu się odwrócić na pięcie i uciec. Ale wiedział, że musi skończyć to, co zaczął.

- Pani mąż miał tylko jedną cenną rzecz - kontynuował. - Kolekcję obrazów. Pieniądze z ich sprzedaży umożliwiłyby pani powrót do życia w prawdziwym luksusie, a nie jego taniej protezie, jak dotychczas. Tylko, jak sądzę, mąż nie chciał w ogóle o tym słyszeć. Ta kolekcja to było coś, co utrzymywało go przy życiu. Dlatego w pani głowie narodził się plan, jak zdobyć majątek i pozbyć się męża. Namówiła pani Pawła Grockiego, żeby podpalił wasz dom w piątek wieczór. To była tradycyjna noc picia u pani męża. Upity do nieprzytomności, nie dałby rady wyjść z płonącego domu. A co najważniejsze, spłonęłyby obrazy, które były ubezpieczone na kilka milionów złotych.

Jego słowa nie robiły na niej żadnego wrażenia.

- Oczywiście, taki pożar byłby bardzo podejrzany. Towarzystwo ubezpieczeniowe miałoby wątpliwości. Mogłoby odmówić wypłaty odszkodowania, a pani wtedy zostałaby bez męża i ze spalonym domem. Dlatego potrzebowałaby pani serii podpaleń. W tej samej okolicy i do tego na tyle charakterystycznych, żeby nikt nie miał zastrzeżeń, że to dzieło jednego szaleńca. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego Grocki podpalał domy za pomocą koktajlu Mołotowa. W taki oryginalny sposób. Ale o to przecież chodziło, prawda? To był

jego podpis. Istotny element przedstawienia, które razem odgrywaliście dla towarzystwa ubezpieczeniowego. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Gdyby tylko spłonął pani dom, to byłoby podejrzane. Ale jeśli w Warszawie grasowałby podpalacz. Długo zastanawiałem się, w jaki sposób Grocki wybierał domy, które ma podpalić. To pani mu je wskazywała. Bo pani wiedziała, kogo kiedy nie ma.

- Niby jak? - zapytała ze sztywnym uśmiechem. - Nie znałam nikogo prócz Korzeniowskich.

- Z nazwiska oczywiście nie, ale z widzenia, jak najbardziej - wyjaśnił Mortka.

Kilka dni wcześniej pochodził ze zdjęciem Klaudii Kameron po domach ofiar podpaleń.

Fotografia została wykonana mniej więcej rok temu. I tak na przykład Borowska nie potrafiła uwierzyć, że uwieczniona na zdjęciu kobieta to Klaudia Klau, z której tak często wyśmiewała się razem z mężem. Mortka potrafił ją zrozumieć. Bez makijażu, retuszu, świateł, do tego starsza o kilka lat wyglądała zupełnie inaczej niż na okładkach płyt. Kobiety biegały w

sezonie razem po Lesie Kabackim. Od czasu do czasu rozmawiały ze sobą podczas wspólnej rozgrzewki. Z kolei Filipkowie stwierdzili, że kobieta na fotografii to ta pani, z którą tak miło się zawsze plotkuje w sklepie w kolejce do kasy. Nie wiedzieli wprawdzie, jak się nazywa, ale mieli wspólnych znajomych.

- W dniu pożaru pani byłaby w spa, a pani mąż spłonąłby żywcem we własnym domu - kontynuował policjant. - Potem wytłumaczyłaby pani, że pojechała do spa sama, bo mąż, nie wiem, był już pijany albo miał dojechać dzień później. Oczywiście nie wszystko poszło zgodnie z planem. Po pierwsze, w dniu, kiedy Grocki miał podpalić pani dom, pokłóciliście się z mężem. Jan Kameron wpadł w szal, kiedy dowiedział się, że zamówiła pani weekend w ośrodku. Pewnie nie było was na niego stać, a może był jakiś inny powód. Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli i zamknął panią w garderobie. Najpierw krzyczała pani, żeby panią wypuścił, a potem spędziła pani pół nocy na tym, żeby się stamtąd wydostać. Udało się, ale było za późno. Pożar szalał już w całym domu. Ponieważ wyłądownała pani w szpitalu, nie mogła pani wiedzieć, że Korzeniowscy odwołali z powodu choroby dziecka swój wyjazd w Alpy. A ponieważ pani nie wiedziała, to Grocki też nie.

Dalej nie reagowała. Stała tylko i słuchała.

- Przejdźmy do Piotra Stelmacha. Mam swoją teorię na temat jego śmierci. Grocki, jak każdy facet, lubił się chwalić. Długo trzymał język za zębami, ale kiedyś wyznał Piotrowi, który był jego znajomym z rodzinnych stron, że, wybaczy pani to wulgarne słowo, posuwa była kandydatkę na Miss Polonia i piosenkarkę Klaudię Klau. Piotr skojarzył ten fakt, kiedy zobaczył pani zdjęcie na pierwszej stronie „Faktu” i przeczytał artykuł o pożarze i śmierci pani męża. Podejrzewam, że nie wiedział na pewno, że to Paweł jest podpalaczem, ale był już dość zdesperowany. Prawdopodobnie chciał go tylko zaszantażować: albo Paweł da mu pieniądze, albo Piotr poleci na policję i powie, że Grocki jest pani kochankiem i może być zamieszany w podpalenie. Dlatego zginął. Grocki musiał chronić i siebie, i panią. A potem.

Pani była w szpitalu, a on nie wiedział, co ma robić. Realizował plan, jak było ustalone.

Biorąc to wszystko pod uwagę, jest pewną ironią losu, że to właśnie Wyrwa zabił pani męża.

Te pożary, śmierć dwojga dzieci. To wszystko nie było potrzebne. Gdyby pani po prostu poczekała, to mogłaby pani zupełnie legalnie te obrazy sprzedać.

Skończył i uważnie ją obserwował.

- Czy są jakieś dowody na potwierdzenie tej pana bajeczki? - zapytała.

Uśmiechnął się. Miał nadzieję, że sprawiał wrażenie pewnego siebie.

- Poszlaki - stwierdził z udawaną nonszalancją. - Kiedy rozmawiałem z Grockim, zdziwiła mnie jego reakcja, gdy dowiedział się, że to nie on zabił Kameron. Bał się. Dla mnie było oczywiste, że Kameron zabił Wyrwa, ale tego mu nie powiedziałem. Powstało pewne niedopowiedzenie. Myśl, że pani mąż, mimo tego, co napisano w gazecie, przeżył, przeraziła go. Teraz wiem dlaczego. To by przecież niweczyło cały plan. Całe odszkodowanie dostałby pan Kameron, a nie pani. Nie byłoby żadnych pieniędzy! Poza tym jest jeszcze kilka elementów. Na przykład to, że miał pani płytę z autografem.

- Kiedy występowałam, po koncercie często dawałam autografy.

- Na jego płycie podpisała się pani jako Klaudia Kameron. Odwykła pani od scenicznego pseudonimu, prawda?

Mortka zauważył, że zareagowała po raz pierwszy. Była chyba zaskoczona i wściekła, że złapał ją na takim głupim błędzie.

- To wszystko są poszlaki, panie komisarzu. Ma pan dowody?

- Jeszcze nie. Ale znajdę. To kwestia czasu. Sprawdzę wasze billingi i konta mailowe.

Poza tym, gdzie się musieliście spotykać. Może u niego. Może w hotelu. Znajdę ludzi, którzy widzieli was razem. Udowodnię, że mieliście romans. Obiecuję pani.

Setki razy wyobrażał sobie tę rozmowę, planował to, co ma powiedzieć, i próbował przewidzieć jej zachowanie. Miał nadzieję, że wszystkiemu zaprzeczy, że będzie go wyzywać, grozić sądem, prokuratorem, że udowodni mu, że się myli. Nie spodziewał się jednak, że Klaudia Kameron po prostu się roześmieje. A tak się właśnie stało.

- Proszę bardzo, panie komisarzu. Niech pan to udowodni. Będę czekać. Ale wie pan co? To nic nie zmieni. Bo ja się przyznam do tego romansu. - Zmieniła nagle ton głosu z wesołego na płaczliwy. - Tak, Wysoki Sądzie, to prawda, że miałam romans z Pawłem Grockim. Ale nie wiedziałam, że to on jest tym podpalaczem. Dlaczego nic nie mówiłam?

Wstydziałam się, Wysoki Sądzie. Wstydziałam. To tak boli.

Przerwała.

- Albo jeszcze lepiej. - Ponownie przybrała płaczliwy ton. - Tak, Wysoki Sądzie, miałam romans z Pawłem Grockim, ale zerwałam z nim. Pewnie dlatego podpalił mój dom i zrobił mi to.

Ściągnęła okulary teatralnym gestem, żeby pokazać Mortce napuchnięte blizny po oparzeniach.

- I wie pan co? I ludzie mi wybaczą. Bo ja jestem gwiazdą, panie komisarzu, a gwiazdom się wybacza wszystko. A pan nigdy nie udowodni, że to ja kazałam mu podpalić te domy. Bo sam pan go zabił. Schrząnił pan to, panie komisarzu.

Założyła okulary. Odeszła, opierając się na kulach.

Nie zatrzymywał jej. W milczeniu obserwował, jak wchodzi do budynku, wita się z portierem, który pomaga jej przejść korytarzem, a potem znika w windzie. Miała rację.

Wydać mógł ją tylko Paweł Grocki, a Grocki nie żył. Mortka nie potrafił nawet udowodnić ich romansu. Był przecież zawieszony. Poza tym nikogo to już nie obchodziło. Sprawca został znaleziony i zlikwidowany, sprawę zamknięto, akta powędrowały na półkę. Nie chodziło o to, żeby odkryć prawdę i ukarać winnych, ważne były cyferki, które można było w końcu dodać do odpowiednich statystyk i pochwalić się sukcesem przed przełożonymi.

Ktoś stanął tuż za Mortką. Mężczyzna. Komisarz czuł jego oddech na karku.

- To ona? - zapytał.

Mortka nie odpowiedział. Nie potrafił. A przecież sam po tego człowieka zadzwonił, sam go tutaj sprowadził. Komisarza nie interesowały bowiem statystyki. Sensem jego pracy, tym, co utrzymywało go przy życiu, i tym, co sprawiało, że miał jeszcze trochę szacunku dla samego siebie było wymierzanie sprawiedliwości. A czy w ogóle warto było być policjantem, jeśli osobie winnej śmierci dwóch małych chłopców nie zostanie wymierzona żadna kara?

- Nie będziesz o niczym wiedział. Jeśli cię to brzydzi, to nawet nie musisz nic mówić.

Daj tylko znak. Czy to ona?

Mortka, wbrew samemu sobie, bardzo powoli skinął głową.

Usłyszał, że mężczyzna odchodzi. Odwrócił się i zobaczył jeszcze, jak Borzestowski wsiada do czarnego porsche cayenne i odjeżdża w stronę centrum.

Zmusił się, żeby w końcu się ruszyć. Spacerował bez celu przez godzinę, zanim zdecydował się pójść do domu. Wiedział już, że przez resztę życia nie będzie potrafił spojrzeć na siebie w lustrze. Ale wiedział też, że już nikt w jego snach nie będzie na niego patrzeć z wyrzutem. Musiało mu to wystarczyć.

Epilog

Dla Katarzyny Hopli wsadzenie do więzienia jej męża było najlepszą rzeczą, jaka spotkała ją w życiu. Chociaż początkowo nic tego zapowiadało. Kiedy usłyszała, co zrobił, była zrozpaczona. Nie wiedziała, jak teraz bez niego ma utrzymać siebie i dziecko. On ją przytulił i powtarzał, że wszystko będzie dobrze.

O dziwo, okazało się, że po raz pierwszy w życiu miał rację. Zaczęło się od tego, że na początku każdego miesiąca w skrzynce pocztowej Katarzyna znajdowała kopertę z trzema tysiącami złotych. Kazik zarabiał niecałe dwa, a i tak większość albo przepijał, albo przegrywał na automatach. Nagle zaczęła mieć więc tyle pieniędzy, że wystarczało na wszystko, a jeszcze dawało się zaoszczędzić.

Co więcej, w jej mieszkaniu przestali się pojawiać ogoleni na tyso barczyści mężczyźni, którzy przed pójściem Kazika do więzienia wizytowali ich regularnie. Wtedy grozili jej pobiciem, podpaleniem, a kiedyś zniszczyli ich poloneza i rozwalili szafę w przedpokoju.

Kazik pożyczył od nich pieniądze na grę na automatach i nie miał z czego oddać. Wszystko przegrał. Nigdy nie powiedział, ile tych pieniędzy było.

Tak więc chociaż kara więzienia dla Kazika początkowo wydawała się jego żonie prawdziwą katastrofą, okazała się koniec końców rozwiązaniem jej wszystkich problemów.

Nie rozumiała, dlaczego tak się stało, ale wolała się tym nie interesować. Cieszyła się własnym szczęściem.

Kazimierz Hopla przyznał się przed sądem do śmiertelnego potrącenia Klaudii Kameron. Piosenkarka zmarła w szpitalu z powodu licznych obrażeń zewnętrznych i wewnętrznych trzy godziny po wypadku. Mimo że pojawiły się wątpliwości, czy to naprawdę Hopla kierował pojazdem, prokurator postanowił dać wiarę jego słowom. Za popełniony czyn Hopla dostał dziesięć lat więzienia, ale miał dużą szansę wyjść wcześniej za dobre sprawowanie.

Były osoby, które uważały, że to zbyt łagodny wyrok.